

Mo
Hayder

Skóra

Skin

Z języka angielskiego przełożyła

Alina Siewior-Kuś

1

Skóra jest największym organem w ludzkim ciele. Składa się ze skóry właściwej, naskórka i podskórnej warstwy tłuszczowej. Gdyby zdjąć ją bez uszkodzeń i rozłożyć, zajęłaby powierzchnię niecałych dwóch metrów kwadratowych. Oprócz rozmiaru ma także wagę: ze wszystkimi komórkami tłuszczowymi i proteinami tworzy solidną bryłę. Skóra zdrowego dorosłego mężczyzny waży od dziesięciu do piętnastu kilogramów. Tyle samo co spory kilkulatek.

Skóra kobiety waży nieco mniej i zajmuje też mniejszą powierzchnię.

Większość mężczyzn w średnim wieku, nawet tych, którzy mieszkają samotnie w odległych częściach Somerset, nie poświęca ani jednej chwili na rozmyślanie, jak wyglądałaby kobieta bez skóry. Nie zastanawiają się też, jak wyglądałaby jej skóra przypięta do warsztatu.

Ale też większość mężczyzn zupełnie nie przypomina tego mężczyzny.

On jest zupełnie inny.

2

W deszczowych Mendip Hills w Somerset znajduje się osiem zalanych wodą wapiennych kamieniołomów. Od dawna nieużywane, przez właścicieli oznaczone cyframi od jeden do osiem, tworzą kształt końskiej podkowy. Numer ósmy, na najbardziej wysuniętym na południowy wschód czubku, niemal styka się z Grotą Elfa, jak miejscowi nazywają system jaskiń i korytarzy sięgających daleko w głąb ziemi. Legenda mówi, że z owego systemu tajemne przejścia prowadzą do starych rzymskich kopalń ołowiu, że w starożytności elfy z Groty wykorzystywały tunele jako drogę ucieczki. Niektórzy powiadają, że przez te wszystkie dwudziestowieczne wybuchy tunele otwierają się prosto na zalane kamieniołomy.

Sierżant „Pchła” Marley, szefowa policyjnego oddziału płetwonurków hrabstw Avon i Somerset, zanurzyła się w kamieniołomie numer osiem tuż po czwartej w pogodne majowe popołudnie. Nie zastanawiała się nad tajemnymi przejściami. Nie szukała dziur w ścianach. Jej myśli zaprzętała kobieta, która zaginęła przed trzema dniami. Nazywała się Lucy Mahoney. Policja uważała, że jej ciało może być gdzieś w tej ogromnej masie wody, zaplątane w wodorosty na jakiejś półce.

Pchła zeszła na dziesięć metrów, ruszając szczęką na boki, by wyrównać ciśnienie w uszach. Na tej głębokości woda miała dziwny kolor, błękitnawy jak benzyna, tylko w miejscach, gdzie płetwy zmaciły osad, wisiał jasny jak mleko wapienny kurz. Idealnie. Zwykle woda, w której nurkowała, była „nil vis”, co przypominało pływanie w zupie, i Pchła mogła polegać wyłącznie na dotyku, ale na tej głębokości widziała na co najmniej trzy metry. Oddalała się od wejścia, przesuwając dłońią po ścianie kamieniołomu, aż lina ubezpieczająca całkowicie się naprężyła. Dostrzegała każdy szczegół, każdą dryfującą roślinę, każdy głaz na dnie. Każde miejsce, w którym mogło spoczywać ciało.

- Sierżancie? - w słuchawkach rozległ się głos konstabla Wellarda, asystującego jej na powierzchni. Usłyszała go tak, jakby stał obok niej. - Widzisz coś?

- Tak - mruknęła. - Widzę przyszłość.

- Co?

- Widzę przyszłość, Wellard. Widzę siebie, jak za godzinę wychodzę przemarznięta na kość. Widzę rozczarowanie na waszych twarzach, że nic nie znalazłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu nie wydaje mi się, żeby tu była. To mi nie pasuje. Kiedy zaginęła?

- Dwa i pół dnia temu.

- I jej samochód. Gdzie był zaparkowany?

- Jakieś osiemset metrów stąd. Przy B3135.

- Uważają, że była w depresji?

- Przesłuchano jej byłego męża. Stanowczo twierdzi, że nie.

- I nic poza tym nie łączy jej z kamieniołomem? Żadna należąca do niej rzecz? Nigdy wcześniej tu nie była ani nic w tym rodzaju?

- Nie.

Pchła zanurkowała, za nią łagodnie podryfowała rura zapewniająca tlen i komunikację z powierzchnią. Kamieniołom numer osiem cieszył się złą sławą ulubionego miejsca samobójców. Może policyjny konsultant do spraw poszukiwań, Stuart Pearce, nie zgadzał się z rodziną w kwestii stanu umysłu Lucy Mahoney. Może dlatego akurat tutaj wbił szpilkę w mapę i zlecił poszukiwania. Albo też chwycił się brzytwy. Pchła wcześniej spotkała Stuarta Pearce'a. Według niej druga ewentualność była bardziej prawdopodobna.

- Umiała pływać, Wellard? Zapomniałam zapytać.

- Tak. Była dobrą pływaczką.

- W takim razie jeśli chciała popełnić samobójstwo, musiała się obciążyć. Włożyć plecak, coś w tym rodzaju. Co oznacza, że powinna być w pobliżu brzegu. Przeprowadzimy poszukiwania w promieniu dziesięciu metrów. Wykluczone, żeby znalazła się dalej. Potem przejdziemy na drugą stronę kamieniołomu.

- Hm, sierzancie, z tym jest problem. Przy takich poszukiwaniach zejdziesz na głębokość ponad pięćdziesięciu metrów.

Wellard miał plan kamieniołomu, który Pchła przestudiowała na powierzchni. Do wykonywania wąskich otworów na materiały wybuchowe firma wykorzystywała dziesięciometrowe wiertła, co oznaczało, że kamieniołom przed wyłączeniem pomp i zalaniem rozpadał się na dziesięciometrowe bryły. Na jednym końcu głębokość kamieniołomu wynosiła od dwudziestu do trzydziestu metrów, na drugim więcej, ponad pięćdziesiąt. Zasady ustalone przez inspekcję bezpieczeństwa i higieny pracy mówiły jasno: policyjnym nurkom nie wolno schodzić na głębokość większą niż pięćdziesiąt metrów. W żadnych okolicznościach.

- Sierzancie, słyszysz mnie? Na końcu tego łuku zejdziesz na pięćdziesiąt metrów, może więcej.

Pchła odchrząknęła.

- Zjedliście cały chleb bananowy?

- He?

Dzisiaj rano przed wyjściem do pracy upiekła chleb bananowy dla oddziału. Takie rzeczy nie leżały w jej naturze. Była szefową, ale nigdy nie traktowała podwładnych po maczynemu, zresztą tylko Wellard był od niej młodszy. Nie chodziło też o to, że lubiła pichcić. Przeżywali trudny, fatalny okres: jeden z jej ludzi wziął urlop, z którego przypuszczalnie nie wróci po tym, co przeszedł na początku tygodnia. I jeszcze okropne samopoczucie Pchły, koszmar, który jej towarzyszył przez ostatnie dwa lata. Co jakiś czas musiała dawać im coś w zamian.

- Zjedliśmy. Ale posłuchaj, sierzancie, niektóre z tych kieszeni mają dobrze ponad pięćdziesiąt metrów głębokości. Powinniśmy sprowadzić jednego z tych świniętych nurków technicznych.

- Po której jesteś stronie, Wellard? Naszej czy inspekcji bhp?

Milczenie - a raczej bezgłośnie burczenie Wellarda. W kwestii bycia starą babą Wellard bił cały zespół na głowę.

- OK, ale jeśli to zrobisz, ja ściszam radio. Słyszać cię nad całym kamieniołomem, a dzisiaj mamy widownię.

- Kogo?

- Patrol drogowy przyjechał popatrzeć, siedzą na hałdach. Chyba piją kawę.

- Ale nie ma wśród nich tego palanta konsultanta, co?

- Jeszcze nie.

- Świetnie - powiedziała Pchła, teraz sarkastycznie.

- Choć niektórzy są zdania, że dobre maniery wymagają, żeby konsultant zwlókł dupę z łóżka i zjawił się na miejscu, skoro sam zlecił poszukiwania.

Zwolniła. W mroczniejącej wodzie dostrzegała przed sobą sieć. Za nią znajdowała się pięćdziesięciometrowa sekcja, gdzie woda była ciemniejsza i bardziej niebieska. A także zimniejsza. Teren do tego stopnia był niepewny, że firma ustawiła sieci, by powstrzymać rekreacyjnych nurków, którzy czasami wykorzystywali kamieniołom do treningów. Pchła chwyciła sieć, włączyła lampę i oświetliła miejsce, gdzie dno niebezpiecznie się obniżało.

Prawda, do tej pory tylko raz zetknęła się z Pearce'em, ale to wystarczyło. Nie pozwoli, żeby z nią wygrał. Nawet gdyby miało to oznaczać złamanie wszystkich zawodowych zasad i zejście na głębokość większą niż pięćdziesiąt metrów, prędzej szlag ją trafi, niż przerwie poszukiwania. Po prawej w betonie widniał pokryty algami napis:

Niebezpieczeństwo: głębokość ponad pięćdziesiąt metrów. W kamieniołomie obowiązuje wrywkowe sprawdzanie komputerów nurkowych. Podczas nurkowania bierz pod uwagę swoje możliwości.

Dobre miejsce do zawieszenia komputera, pomyślała Pchła, przesuując dłonią po napisie. Wystarczy zdjąć urządzenie z przegubu, powiesić na gwoździu i zabrać w drodze powrotnej. Nikt sprawdzający je na powierzchni nie będzie wiedział, że zszedłeś poniżej pięćdziesięciu metrów, a sprzęt na powierzchni nie generuje skomputeryzowanego zapisu nurkowania. To taka sztuczka. Tato ją stosował. Nurek ekstremalny, gotów na wszystko, byle przesunąć granice, zejść na głębokość, na której mu zależało.

Nożem przecięła sieć, ostrożnie zdjęła komputer i zawiesiła na ostrzeżeniu. Włączyła latarkę i wsunęła się w otwór, podążając za snopem światła w mrok.

Popłynęła w dół na północny zachód, jak wynikało ze wskazań kompasu, kierując się układem skały i zachowując odległość około dwóch metrów od dna. Wellard poluzował linę ubezpieczającą. Plan nie kłamał, tu rzeczywiście było głęboko. Schodziła wolno, dokonując obliczeń w głowie. Nie miała komputera. Musiała sama wyliczać czasy zejścia i postoje dekompresyjne.

Ruch w mroku po prawej stronie. Pchła przesunęła latarkę i spojrzała uważnie, dryfując w pozycji horyzontalnej. W kamieniołomie numer osiem nie było ryb. Zalano go wiele lat temu i firma nie podjęła próby zarybienia. Brak rzek w pobliżu, więc pewnie nie ma tu nawet skorupiaków. A poza tym to nie mogła być ryba. To coś było za wielkie.

Serce biło jej wolno. Oddychała w jednym rytmie: przy zbyt głębokich wdechach zacznie się unosić, przy zbyt płytkich utraci wyporność. Nic nie może poruszać się na tej głębokości, w kamieniołomie nie ma prądów, powinien panować absolutny bezruch. Zaczęła płynąć w kierunku miejsca, w którym dostrzegła ruch.

- Sierzancie? - Na powierzchni Wellard momentalnie zauważył zmianę. - Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Daj mi następny bar.

Kiedy schodziła głębiej, obowiązkiem Wellarda było zwiększenie ciśnienia powietrza, które docierało do niej przez rurę. Odwróciła się i oświetliła przestrzeń za sobą, by stwierdzić, jak bardzo oddaliła się od sieci. Przypuszczalnie znajdowała się na czterdziestu siedmiu metrach i schodziła głębiej. Zostały trzy metry do limitu wyznaczonego przez inspekcję bhp.

- Tak, zwiększ do szesnastu.

- Szesnaście barów? To będzie dla ciebie...

- Wiem, jakie to dla mnie będzie. Pozwól, że ja się tym będę martwiła, nie ty.

Płynęła z wyciągniętymi rękami, bo nie była pewna, co zobaczy. Czterdzieści osiem metrów, czterdzieści dziewięć. Dotarła do miejsca, gdzie widziała ruch.

- Sierzancie? Wiesz, na jakiej jesteś głębokości?

- Po prostu mnie trzymaj - szepnęła. - Trzymaj mocno.

Zwróciła latarkę do góry i uniosła głowę. To było niewygodne, maska się zsuwała, grożąc zalaniem twarzy. Pchła przycisnęła ją palcami, wpatrując się w musujący srebrny strumień bąbelków maszerujących w długiej kolumnie aż do powierzchni, która znajdowała się za daleko, by ją zobaczyć. Coś było w tej kolumnie, Pchła w to nie wątpiła. Coś ciemnego płynęło poprzez mrok i powietrze. Przeszedł ją dreszcz. Czy to są gołe stopy?

- Sierzancie, na tym koniec. Zesłaś na ponad pięćdziesiąt. Słyszysz mnie?

- Hej, Wellard - szepnęła, wpatrując się w bąbelki, które zniknęły, zmieniły się w sople światła. Nagle wszystko wyglądało, jak powinno. Woda była pusta. - Czy jest tu jeszcze ktoś?

- Jeszcze ktoś?

- Taa - syknęła, nie chcąc, by w jej głosie zabrzmiało przerażenie. Miała nadzieję, że Wellard ściszył radio. Nie chciała, by jej głos niósł się po wodzie i wszyscy nad kamieniołomem mogli ją usłyszeć. - Czy ktoś nurkuje ze mną? Widziałbyś, gdyby wskakiwał.

Chwila przerwy, wahanie. Potem Wellard zapytał ostrożnie:

- Szeffowo? Wiesz, że zesłaś za głęboko, prawda? Może trzeba posłać zmiennika.

Miał na myśli narkozę azotową. Na tej głębokości łatwo jest poddać się dezorientacji, trującym skutkom, jakie azot może wywołać przy wysokim ciśnieniu: reagowałaby i myślała tak, jakby całe popołudnie spędziła w pubie. Pchła popatrzyła na bąbelki. Tam było coś ciemnego, rozmiarów wielkiego żółwia. Ale bez skorupy. Stwór gładki i bezwłosy, zręczny i silny. Z ludzkimi stopami.

- To nie narkoza, Wellard, przysięgam. Nic mi nie jest. Powiedz mi tylko, że nikt poza mną tu nie pływa. To wszystko.

- Nikogo tam nie ma, w porządku? Zmiennik już się przygotowuje.

- Nie. - Rura zaczepiła się o półkę albo o kamień za jej plecami. Zirytowana machnęła prawą ręką, by ją uwolnić, i poczuła, jak rura lekko wyskakuje zza kamienia czy półki.

- To zbędne. Już prawie skończyłam.

Naturalnie Wellard miał rację. Jeśli to narkoza, powinna natychmiast wyjść. Potrzebowała jednak minuty, żeby się upewnić, że wszystko sprawdziła, zgięła się więc w pół, zadowolona ze sposobu, w jaki złagodziło to napięcie na masce, i skierowała latarkę przed siebie. Mniej więcej dziesięć metrów dalej znajdowało się dno ściany, krawędź

kamieniołomu. Dotarła tak daleko, jak było to możliwe, i wiedziała bez cienia wątpliwości: Lucy Mahoney tu nie ma. Doskonale. Teraz z przyjemnością wyjdzie na powierzchnię i wyśle Pearce'owi wiadomość, że się pomylił.

Gumowe uszczelki maski przywarły ciasno do jej twarzy. Zassały się.

Pchła chwyciła maskę. Usiłowała nabrać powietrza. Bez skutku. Uszczelki zassały się jeszcze mocniej i Pchła poczuła znajomy ucisk pod mostkiem. Znała go z treningów. Przez rurę nie dochodziło powietrze. Zaczęła grzebać przy masce nad prawym uchem. To żaden problem. Ekipa na powierzchni tłoczy dla niej powietrze, o to nie musi się martwić. Czasami jednak rura zapłątywała się przy dźwigni ciśnienia na masce i odcinała dopływ. Łatwo to naprawić, o ile zachowa się spokój. Tylko się nie denerwować.

Z walącym sercem odszukała dźwignię, przesunęła ją w dół i nabrała powietrza. Żebra podjęły próbę, ale się nie rozszerzyły. Pchła szybko przesunęła dźwignię.

Nic.

W górę. Znowu nic.

- Sierżancie? - W głosie Wellarda brzmiała panika.

- Co się dzieje? Co jest?

Ale nie mogła odpowiedzieć, w płucach nie było powietrza. Ramiona ją bolały, w głowie pulsowało, jakby spuchła, dwukrotnie się powiększając. Miała wrażenie, że ktoś stanął jej na piersiach. Głowa poleciała jej do tyłu, usta się otworzyły. Obmacała kamizelkę. Chciała przełączyć się na dodatkowy zbiornik powietrza.

- Sierżancie, otworzyłem wszystkie zawory, ale powietrze skądś ucieka. Masz ciśnienie?

Wiedziała, co dzieje się na powierzchni. Zmiennik niezgrabnie wkłada ekwipunek, w panice palce zaplątują mu się w maskę, o wszystkim zapomina, nogi ma jak z galarety. Nie zdąży na czas. Zostały jej sekundy, nie minuty.

W odrętwieniu znowu poszukała przełącznika, ale nie mogła go znaleźć. Głowa puchła coraz bardziej, nogi mrowiły.

- Zaczynam cię wyciągać, sierżancie, innego wyjścia nie mam.

Przestała go słuchać. Czas zwolnił i to był inny świat, odległa planeta, gdzie Wellard gorączkowo ciągnął linę. Pchła zdawała sobie sprawę, że jej bezwładne ciało podskakuje w wodzie. Poczuła, jak latarka wypada jej z palców, obja się leniwie o nogę. Nie próbowała jej złapać.

W mroku jakieś dziesięć metrów dalej pojawiło się coś, co wyglądało jak biała meduza. Nie przypominało wcześniejszej halucynacji, wydymało się, przesuwając w górę i w

dół w dziwnych spiralnych kształtach podobnych do włosów. Wisiało, jakby podtrzymywane niewidzialnymi prądami, jakby się dokądś wybierało, może na dno, ale przystanęło, żeby popatrzeć na Pchłę. Jakby było zainteresowane wydarzeniami. Zainteresowane jej walką.

Czubek meduzy się podniósł, wydłużył i zmienił w długie, przypominające czułki włosy. Pchła już wiedziała, na co patrzy.

Na mamę.

Która umarła dwa lata temu. Długie blond włosy, zawsze zwinięte w węzeł na karku, teraz w mroku unosiły się wokół jej twarzy.

- Obudź się, Pchełko. Zadbaj o siebie.

Pchła nie odpowiedziała. Nie była w stanie. W prawdziwym świecie jej ciało przekrzywiło się na bok i drgało jak ryba z pękniętym pęcherzem pławnym.

- Zadbaj o siebie.

Mama odwróciła się, jej małe białe dłonie były w wodę. Włosy płynęły za nią jasną chmurą, chude białe nogi ciągnęły się jak gałązki. Zbliżyła swoją słodką bladą twarz do twarzy Pchły, położyła jej dłonie na ramionach.

- Posłuchaj - powiedziała ostro. - Obudź się. Natychmiast. Zadbaj o siebie.

Potrząsnęła Pchłą, a kiedy ta nie zareagowała, zamknęła palce na jej dłoni i przesunęła na przełącznik.

Powietrze załało maskę. Płuca momentalnie się napełniły, głowa wyprostowała, w oczach błysnęło światło. Pchła rozpostarła ramiona i zakaszła, bo powietrze drapało ją w wyschnięte płuca. Kolejny spanikowany oddech. Poczwała, jak serce znowu jej bije, jak krew pulsuje w skroniach. I następny. Na oślep bijąc rękoma, prostowała się, a wokół niej niczym czułki dryfowały wskaźniki, zawory bezpieczeństwa. Wellard w panice przeszorował nią po dnie. Wokół niej osad kłębił się niczym dym. Wisiała bezwładnie w mlecznej wodzie i pozwalala, by Wellard obijał ją o ścianę.

Mamo?

Ale woda z szumem wirowała i słyszała tylko gorączkowy głos Wellarda wrzeszczący do radia:

- Wszystko w porządku, sierżancie? Odpowiedz, na rany boskie.

- Wszystko w porządku. - Pchła zakaszła. - Możesz przestać mnie wlec.

Gwałtownie zwolnił linę i Pchła się zatrzymała. Leżała twarzą w dół, wciąż trzymając przełącznik i wpatrując się w miejsce, gdzie stała mama. Teraz nic tam nie było. Kolejna halucynacja.

Zaczęła dygotać. Niewiele brakowało. Złamała zasady, spieprzyła procedurę

bezpieczeństwa, cały oddział słyszał, że miała narkozę głębinową. Cholera, nawet się posikała. Czują ciepłą ciecz w kombinezonie.

Ale to nie miało znaczenia. Naprawdę nie miało. Żyła. Żyła. I zamierzała żyć nadal.

3

MCIU, Wydział Kryminalny do spraw Poważnych Przestępstw z Bristolu prowadził dochodzenie w jednej z najgorszych spraw, z jakimi dotąd miał do czynienia. Ledwo kilka dni temu Misty Kitson była celebrytką kategorii B, znaną jedynie jako kolejna żona piłkarza, która napchała do nosa dość kokainy, żeby kompletnie zniszczyć sobie przegrodę. Przez wiele miesięcy reporterzy stawali na głowie, próbując zdobyć zdjęcie jej nosa. Teraz stawali na głowie, próbując odkryć, co się z nią stało w dniu, gdy wyszła z ośrodka odwykowego na drugim końcu Somerset i wszelki ślad po niej zaginął.

Przeszukano okolicę wokół ośrodka, policja sprawdziła dokładnie każdy dom, las i oborę w promieniu trzech kilometrów. Akcja nie miała precedensu: to było największe lądowe poszukiwanie w dziejach i zakończyło się fiaskiem. Nie znaleziono ciała ani najmniejszego tropu. Misty Kitson rozplynęła się w powietrzu.

Opinię publiczną w równym stopniu fascynowała zagadka i oddział prowadzący dochodzenie. Ludzie wyobrażali sobie wydział kryminalny jako elitarny zespół, grupę oddanych pracy, doświadczonych ludzi, całą swą energię i każdą myśl poświęcających śledztwu, rezygnujących z życia osobistego. Generalnie mieli rację, oficerowie przydzieleni do tej sprawy rzeczywiście w stu procentach oddani byli pracy.

To znaczy wszyscy prócz jednego. Tylko jeden miał problemy ze skupieniem uwagi na Misty. Jeden łapał się na tym, że niezależnie od tego, co powinien robić i ile czasu poświęcać na szukanie Misty Kitson, jego myśli wciąż wędrują w przeszłość, do innej sprawy, przy której pracował w ubiegłym tygodniu, choć powinien ją zostawić i zająć się nową.

Tym człowiekiem był inspektor Jack Caffery.

Inspektor Caffery był z nimi od niedawna, ale miał niemal dwudziestoletnie doświadczenie, zdobyte głównie w wydziale kryminalnym londyńskiej policji. I nigdy dotąd coś takiego mu się nie zdarzyło.

Ale z drugiej strony nigdy nie prowadził sprawy, która go przeraziła.

Nie w taki sposób jak operacja Norwegia.

O wpół do dziewiątej rano po wypadku Pchły w kamieniołomie numer osiem inspektor Caffery siedział w mrocznym gabinecie na drugim końcu miasta. Żaluzje były

opuszczone, drzwi zamknięte. Oglądał DVD.

Materiał przedstawiał dwóch mężczyzn w nieoświetlonym pokoju w zrujnowanym mieszkaniu. Obaj byli biali, przed trzydziestką. Jeden miał na głowie skórzaną maskę sado-maso i był goły do pasa. Kamera pokazywała go, gdy nieśpiesznie przygotowywał narzędzia i prezentował je do obiektywu. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Drugi, także z obnażonym torsem, nie zdecydował się na taką maskę. Był oszołomiony lekami i leżał przywiązany do ławki. Nie poruszał się, w każdym razie do chwili, gdy facet w masce przystawił mu piłę do szyi. Wtedy zaczął się ruszać, i to bardzo. Miał zaledwie dziewiętnaście lat.

Film cieszył się złą sławą w całej policji. Dziennikarze wiedzieli o jego istnieniu i daliby wszystko, by na niego zerknąć. Pokazywał śmierć Jonaha Dundasa na skutek niemal całkowitego odcięcia głowy. Caffery przybył do tamtego pomieszczenia kilka minut za późno, żeby uratować chłopaka.

Większość policjantów zaangażowanych w operację Norwegia domagała się wyłączenia dźwięku, jeśli musieli oglądać nagranie. Ale nie Caffery. Dla Caffery'ego ścieżka dźwiękowa stanowiła kolejną pomoc w szukaniu odpowiedzi.

Przeskoczył do sceny swego przybycia, kiedy mężczyzna w masce uciekł. Potem wrócił do początku, do części najbardziej go interesującej: pierwszych pięciu minut, które przywiązany do ławki Dundas spędził sam, zanim człowiek w masce zaczął odcinać mu głowę. Caffery przycisnął słuchawki do uszu i przysunął się z krzesłem do ekranu.

Nazwę „operacja Norwegia” wybrano przypadkowo. Sprawa nie miała nic wspólnego z tym krajem, za to w całości łączyła się z Afryką. Człowiek w masce, noszący ksywkę „Wujek”, działał w afrykańskiej społeczności w Bristolu. Poprzez chciwość, sadyzm i przypadek natrafił na pradawne wierzenie, zwane *muti* albo afrykańską czarną magią, zgodnie z którym pewne części ludzkiego ciała można wykorzystać do leczenia konkretnych fizycznych i duchowych dolegliwości. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w całej Europie zanotowano osiem tego rodzaju przypadków. Dla brytyjskiej policji była to ziemia nieznaną, choć zdążyli się dowiedzieć, że ludzka głowa, głowa młodego mężczyzny, zwłaszcza jeśli odcięto ją za życia ofiary, w pewnych kręgach osiąga wysoką cenę. Na tym polegało nieszczęście Dundasa.

Operację Norwegia rozbito, zanim głowa została przekazana odbiorcy. Policja aresztowała dwóch mężczyzn: zamaskowanego, który był miejscowy, i nielegalnego imigranta z Afryki, który uczył go zwyczajów i pomagał stworzyć sieć klientów. Afrykanin siedział w areszcie, wciąż usiłując przekonać policję, że nazywa się Johnny Brown i posiada brytyjski paszport. Ponieważ podczas rewizji znaleziono u niego brelok na klucze z flagą

Tanzanii i miał na sobie wyprodukowany w tym kraju T-shirt, MCIU przeczesywało materiały z Dar es-Salaam, próbując coś na niego znaleźć.

- Co jest? - Dziesięć po dziewiątej w progu stanął nadinspektor Rolf Powers, komendant wydziału. - Ciemno? Tu wygląda jak w sypialni mojego nastoletniego syna. - Zapalił jarzeniówki. - Gdzieś ty był? Odbyłem całą konferencję prasową dotyczącą sprawy Kitson bez ciebie.

Caffery zatrzymał film i przekręcił monitor do nadinspektora.

- Popatrz na to.

Powers posłuchał. Zmarszczył czoło.

- To operacja Norwegia. Zakończona. Dokumenty powinny trafić do prokuratury pod koniec miesiąca.

- Popatrz tutaj. - Caffery postukał w ekran. - To ważne.

Powers wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Był wysoki, barczysty i dobrze ubrany; w przeszłości musiał uprawiać sport. Obecny tryb życia zbierał jednak swoje żniwo, na karku i brzuchu pojawiły się fałdy. Teczkę, którą trzymał w dłoni, położył na biurku i przysunął krzesło do ekranu.

Nieruchomy kadr oprócz Dundasa przywiązanego do ławki pokazywał inną postać - odwrócona plecami do kamery pochylała się nad ofiarą. Kiedy patolodzy zbadali głowę Dundasa, stwierdzili, że brakuje kępek włosów. Z tej strony, gdzie ta osoba stała.

Powers pokręcił głową.

- To ten Tanzańczyk, Johnny Brown czy jak tam naprawdę się nazywa. Zapudłowaliśmy go.

- To nie on. Kłamie.

- Jack, ta kupa gówna zeznała to z tysiąc razy. Sprawa jasna: powiedział, że obciął Dundasowi włosy, bo chciał z nich zrobić bransoletkę voodoo. Jeśli nie on, to kto to może być, cholera? Technicy wszystko sprawdzili, przeczesali miejsce dokładnie. Nikogo nie było. Ani żadnego innego wyjścia.

Caffery wpatrywał się w kształt na ekranie. Nikt, kto widział materiał, nie stwierdził na głos rzeczy oczywistej: postać nie całkiem wyglądała na ludzką.

- Nie - powtórzył. - To nie on. Kazałem ludziom z aresztu go zmierzyć. Ma metr sześćdziesiąt trzy. Niski, ale nie aż tak. Kamera była ustawiona na wysokości półtora metra w odległości dwóch metrów od stołu. Przejrzałem plany techników. Johnny Brown stał tutaj. - Wskazał miejsce na ekranie. - Był wyższy o głowę, nawet więcej. I popatrz na ramiona. Coś tu jest nie tak, poważnie nie w porządku.

- Przebrali go, sam to przyznał. Chodziło o to, żeby przeraził ludzi i skłonił do kupowania tych kretyńskich amuletów voodoo. Swoją drogą ci ludzie mają dość okrutne i prymitywne wierzenia, co nie znaczy, że te słowa kiedykolwiek wyszły z moich ust.

Caffery wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem.

- Jak mogli kogoś tak „przebrać”? Przypatrz się.

- Protezy. Światło.

- Nie znaleźliśmy żadnych protez. A Brown nie miał przy sobie włosów Dundasa, kiedy go aresztowano, prawda?

- Mówi, że je wyrzucił. Nazwij mnie ociężałym umysłowo, nazwij mnie głupkiem czy jak mówicie na nas wy z metropolitalnej, ale kiedy na naszym zadupiu ktoś coś takiego zeznaje, uważamy, że prościej jest mu uwierzyć. Nie. - W głosie Powersa zabrzmiała stanowczość. - Nie, Jack. Przyjmijmy, że tej rozmowy nie było. Operacja Norwegia została zakończona, dobra? - Wstał. Pchnął teczkę w kierunku Caffery’ego. - Szef chce, żebyśmy temu poświęcili czas. To jest sprawa, z której powodu biorę betablokery. Otwórz.

Caffery otworzył. Teczka zawierała sześć błyszczących fotografii przedstawiających sztuki ubrania rozłożone obok taśmy mierniczej. Kobięce ubrania. Suknia. Sandałki na wysokich obcasach. Płaszcz z fioletowego aksamitu. Srebrna komórka.

- Misty Kitson?

- Oczywiście. Tak była ubrana. Rozesłaliśmy te zdjęcia na wszystkie posterunki. Każdy człowiek w każdym biurze do wieczora będzie je miał przypięte nad biurkiem, więc nawet jeśli nie czyta gazet ani nie ogląda telewizji, usłyszy o Misty Kitson. - Powers podszedł do mapy, włożył ręce do kieszeni i zaczął ją studiować. - Nie pojmuję tego, to naprawdę w głowie mi się nie mieści. Trzykilometrowy promień, największe poszukiwania, jakie w życiu widziałem, sprawdzony każdy centymetr i nic nie znaleźliśmy. Kompletnie nic... Chryste, ty mnie nie słuchasz, co?

Caffery siedział, wpatrując się w przypięte do ściany zdjęcie z sekcji Dundasa. Zastanawiał się nad sposobem usunięcia włosów.

Powers wziął fotografię z ubraniem Misty i znaczącym ruchem zakrył nim zdjęcie Dundasa.

- Jack, trzech sierżantów i czterech konstabli czeka, aż im powiesz, co mają robić. Wszyscy chcą ją znaleźć.

Caffery otworzył szufladę i wyjął z niej zdjęcia z innej sekcji, która odbyła się dwa dni temu wieczorem. Dostał je wczoraj z bazy Centrex Guardian i było na nich wszystko, czego potrzebował. Wstał i przypiął zdjęcie obok ubrania Misty Kitson.

- Ben Jakes, dwadzieścia lat. Student uniwersytetu w Bristolu. Boi się egzaminów, dziewczyna go rzuca, kończy z nożem i skrzynką napoju alkoholowego WKD Red. W okolicy Groty Elfa. Ładnie tam, widać światła Bristolu. Bardzo popularne miejsce samobójstw.

- A jaki niby to ma związek?

- Nie znaleziono jego telefonu. Został okradziony. Współlokator powiedział, że miał pieniądze, co najmniej dwadzieścia funtów, a także karty, z których nie korzystał. Miał nawet kanapki w plecaku. Wszystko zniknęło. Aha, i był nagi.

- Rozebrał się, żeby się zabić? Była pełnia?

- Nie. Złodziej zabrał też ubranie. Na początku prowadzący dochodzenie policjant uznał to za morderstwo. Przez chwilę sprawa znalazła się w kategorii „zbyt trudne dla okręgu”, została nawet oznaczona dla nas, ale potem patolog przysłał raport z sekcji. To było samobójstwo. Koroner twierdzi, że ubranie zdjęto z niego po ponad dwudziestu czterech godzinach od śmierci. Plus inny dowód: miał depresję. Nikt nie wątpił w samobójstwo, nawet jego rodzice powiedzieli, że po części się tego spodziewali. Ale ja chcę, żebyś popatrzył na to.

Powers zdjął okulary i przyjrzał się zdjęciu.

- Widzisz? Jego włosy?

- Ścięto je.

- Ogolono. Coś ci to przypomina?

Powers znowu zmarszczył czoło. Odpiął fotografię i odwrócił. Widniała tam pieczęć wydziału audiowizualnego w Portishead.

- Mówiłeś, że gdzie się to zdarzyło?

- Kamieniołom numer osiem. Niedaleko Groty Elfa.

- I włosy są tym ważnym czynnikiem? Bo to samo przytrafiło się Dundasowi?

- Zrobiła to ta sama osoba. Ślady są niemal identyczne.

- No i co?

Caffery uśmiechnął się ponuro.

- Patolog, jak to patolog, swoim zwyczajem bardzo mgliście podaje czas śmierci Jakesa. Przyznał jednak, że ten, kto się na niego napatoczył i ukradł ubranie, zrobił to minimum sześć godzin po śmierci, świadczą o tym plamy opadowe. Współlokator mówi, że Jakes wyszedł z pokoju o szóstej rano. Nie wiemy, jak się dostał nad kamieniołom, ale musiało mu to zająć co najmniej godzinę, może więcej, co daje nam siódmą, więc nasz złodziej musiał się tam pojawić o pierwszej po południu najwcześniej. Tymczasem tamtego dnia Brown był w tym miejscu - dźgnął palcem w ekran - o drugiej po południu. Widziałem

drania na własne oczy. Naprawdę potrafisz go sobie wyobrazić jadącego nad kamieniołom, golącego głowę Jakesa i wracającego na drugi koniec Bristolu w ciągu godziny?

- Rozumiem, że pory podawane przez patologa są przybliżone. Jakoś nie przypuszczam, żeby cokolwiek z tego, co mówisz, napisał w raporcie. Zawsze unikają podania dokładnego czasu śmierci.

- Masz rację. Ale nie potrzebuję jego gadaniny. Vodafone przesłał billingi Jakesa. Tamtego dnia z jego telefonu dzwoniono o ósmej wieczorem. W tym czasie Brown od pięciu godzin siedział w areszcie.

Powers podniósł żaluzje i wyrzał na zewnątrz. Odkąd sprawę Kitson przejął MCIU, przed budynkiem na stałe zainstalowało się paru dziennikarzy. Przez chwilę się im przyglądał, potem spuścił żaluzję i obrzucił przeciągłym spojrzeniem swojego inspektora.

- Jezu Chryste, czego ty ode mnie chcesz? - zapytał.

- Daj mi tydzień. Zwolnij mnie ze sprawy Kitson i przydziel mi dwóch ludzi. Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób Brown obciął Benowi Jakesowi włosy, skoro przebywał trzydzieści kilometrów dalej. Chcę wiedzieć, do czego potrzebna mu była bransoletka z włosów. I...

- I co?

- I chcę wiedzieć, jakich protez trzeba użyć, żeby człowiekowi nadać taki wygląd.

4

Caffery wyszedł z komendy o wpół do jedenastej. Skorzystał z tylnych drzwi, omijając dziennikarzy od sprawy Kitson, i wszedł prosto na niski podziemny parking. Było tu zacisznie, mimo to z pochyloną głową i podniesionym kołnierzem posuwał się szybko. Nie od razu wsiadł do swojego samochodu, nieoznakowanego mondeo, ale zatrzymał się, udami dotykając karoserii, i rozejrzał po parkingu, żeby się upewnić, czy cienie za innymi autami są płaskie i nieruchome. Po chwili kucnął i zajrzał pod mondeo. Wyprostował się, otworzył drzwi, wsiadł i zamknął je na centralny zamek.

Nie wiadomo, jak tego dokonali, jakich sztuczek użyli, ale gracze z operacji Norwegia przekonali ludzi, że widzą coś niepokojącego, czego nie potrafią wytłumaczyć. Niektórzy z pierwszych świadków nie umieli tego nazwać - opisywali tylko, co przelotnie dojrżeli: jakąś postać podobną do człowieka, ale za małą i zbyt zdeformowaną, żeby nim była. Potem pojawili się świadkowie, którzy znali nazwę pochodzącą z najmroczniejszych zakątków najczarniejszego kontynentu. To było słowo z języka zulu; Caffery nie wypowiedział go na głos w obecności nadinspektora Powersa, ponieważ samo jego brzmienie sprawiało, że włosy stawały mu dęba.

Tikoloshe.

Trzy proste sylaby, które jednak dla wierzących oznaczały rzecz bardzo potężną: deformację, niekompletność. Wszystkie afrykańskie przesady mieściły się w tym jednym stworzeniu: wielkości pawiana z ciałem małpy i twarzą człowieka. Znajomy czarnoksiężnika, pochodzi z samego serca Weldów. Trzyma się w cieniu. Obserwuje nieruchomym wzrokiem.

Caffery nie mógł zidentyfikować mglistej postaci na nagraniu jako Johnny'ego Browna, choć inne wyjaśnienie bliskie było szaleństwu - tej teorii nigdy nie ubierze w słowa, nawet przed samym sobą. Nie potrafił jednak poradzić nic na to, że stworzenie, które ścigał, w myślach nazywał tym niesamowitym zuluskim słowem: Tikoloshe.

Pochylił się, otworzył schowek i sprawdził jego zawartość. Każdy policjant działający w terenie był wyposażony w podstawowe środki samoobrony: kajdanki, gaz pieprzowy, metalową pałkę teleskopową zdolną połamać kości. Na początku tygodnia podczas „norweskich” aresztowań sam dostał taką pałkę i bolało jak jasna cholera, ale to była śmieszna ochrona przeciwko szumowinom uzbrojonym w magnum i mach 11. Pałka leżała na

brązowej kopercie z aktami. Pod nią znajdowała się owinięta w szmatkę broń.

Pięć lat temu w Londynie podczas operacji Trident pracował z nim kapuś, który skontaktował go z pewnym gościem. Facet całe życie mieszkał w Tulse Hill, ale - rzecz kompletnie niezrozumiała - mówił tak, jakby urodził się w południowej dzielnicy Los Angeles, i nigdy nie zdejmował ciemnych okularów, więc człowiek nie wiedział dokładnie, o czym tamten myśli. Kiedy Caffery do niego przyszedł, facet zaprowadził go do kuchni i pokazał dwie sztuki broni w pudełku po butach schowanym pod workiem w koszu na śmieci. Były to glock 17 i AMT 45 Hardballer z nierdzewnej stali, który tak błyszczał, jakby miał służyć w charakterze biżuterii. Dealer nie mógł uwierzyć, że Caffery z miejsca nie rzucił się na AMT, bo osobiście uważał, że towar jest super i długo u niego nie pobędzie, sąsiad na pewno go kupi, jeśli Caffery'emu zabraknie zdrowego rozsądku, żeby skorzystać z okazji. W końcu Caffery jednak wziął szpanerski AMT. Nie dlatego, że mu się podobał, ale glock był policyjną bronią służbową, a chociaż nie zamierzał z nowego nabytku korzystać, musiał brać pod uwagę każdą ewentualność. Służbowa broń wskazywałaby niewłaściwe osoby. Lepiej zostać przyłapanym z bronią używaną przez ulicę, nawet jeśli jest zenująco kiczowata.

Zwykle trzymał AMT pod workiem w kuchennym koszu na śmieci - jeśli coś u dealera z Tulse Hill wzbudziło w nim szacunek, to właśnie wybór kryjówki. Prędzej szlag go trafi, niż użyje tego cholerstwa, a zresztą nie o to chodziło. Rzecz w tym, że były okresy, kiedy potrzebował poczucia bezpieczeństwa, które broń mu dawała. Świadomości, że ją ma. Ten tydzień do takich okresów należał.

Zamknął skrytkę i przez okno ponownie spojrzął na ściany, sprawdzając cienie, zwłaszcza te na poziomie ludzkiego pasa. Nie powiedział Powersowi wszystkiego, nie wspominał, że niepokoje go nie tylko wideo, ale także wrażenie, że ktoś go obserwuje, od którego nie może się opędzić od czasu operacji Norwegia. Gdyby nie zabrzmiało to jak bredzenie obłąkanego, powiedziałby, że śledzi go Tikoloshe. Tikoloshe? Na ulicach Bristolu?

Zaczęło się w tym samochodzie. Ponad tydzień temu późnym wieczorem parkował w opustoszałym zaułku w centrum Bristolu i ktoś albo coś skoczyło na samochód i walnęło w karoserię. Caffery nie zdążył dokładnie się przyjrzeć, ale wydawało mu się, że stwór jest mały i pędzi schylony blisko ziemi. Tak to się zaczęło. Teraz wszędzie wyobrażał sobie tę przekłątą kreaturę, w cieniach pod samochodem, nawet w lustrze podczas porannego golenia.

Ponownie spojrzął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści pięć. Tylko jedna ofiara przeżyła operację Norwegia. W dniu aresztowania człowiek ten złożył chaotyczne zeznanie, teraz leżał w szpitalu Southmead i walczył o życie. Lekarze nie dopuszczali do niego nikogo, zwłaszcza policjantów, którzy mogliby go zestresować pytaniami.

Co teraz, ty ciulu? - pomyślał Caffery.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Wiedział, dokąd pojedzie. Chciał zobaczyć miejsce, w którym leżały zwłoki Bena Jakesa tej nocy, kiedy ktoś zgolił mu część włosów.

5

Co miesiąc oddział nurków wydobywa kilka rozkładających się ciał. Są niebezpieczne, stanowią zagrożenie biologiczne. Płyny produkowane po pęknięciu brzucha mogą przenosić wiele chorób krwi, a jeśli trupa zjedzą szczury, pojawia się kolejne ryzyko: rozprzestrzenianie się leptospirozy, zwanej też chorobą Weila. Czasami przy poruszaniu trup „wzdycha”, jakby ożywał, ponieważ z płuc uchodzi powietrze, przypuszczalnie pełne zarodników gruźlicy. Niemal w całej Wielkiej Brytanii zaleca się, by zwłokami w stanie zaawansowanego rozkładu zajmowały się oddziały wyszkolone do korzystania z aparatów do oddychania. Jednym słowem, nurkowie. Nawet jeśli zwłoki znajdują się na suchym lądzie.

Jednostka Pchły stosowała rygorystyczne zasady sprzątnięcia po pracy ze zwłokami i zwykle udawało im się w biurze utrzymywać przyjemny zapach. Ale kiedy dzisiaj o dziesiątej rano Pchła wypełniała formularze powypadkowe RIDDOR, zauważyła, że coś jest nie tak. Powąchała powietrze. Nieprzyjemne. Włożyła formularze do koperty, wstała i wyszła na korytarz. Znowu powąchała.

Po wczorajszym wypadku z przewodem tlenowym paramedycy ją zbadali, ale nie pozwoliła odwiedzić się do szpitala. Nic jej nie było. Czuła się dobrze. Na dowód padła na ponton i wykonała dwadzieścia pompek. Nikt i nic nie zdołałoby jej przekonać do spędzenia reszty dnia w szpitalu, co zresztą okazało się dobre, bo po dwóch godzinach jednostka dostała następne wezwanie - mieli zabrać ważące ponad sto kilogramów zwłoki pięćdziesięciosześcioletniego mężczyzny, który umarł w toalecie w bloku w Redland. Siedział tam przez osiem godzin, spodnie piżamy spuszczone miał do kostek. Toalety były najgorsze, bo nie dało się w nich poruszyć. Wyciągnięcie trupa zajęło im trzy godziny. Po powrocie do bazy odkazili kombinezony. Położyli je na podłodze i wyszorowali szczotkami na długich rączkach, splukali, zdezynfekowali, wymienili pięć filtrów fazowych w maskach, a na dokładkę spryskali całość płynem antybakteryjnym. Wszystko zgodnie z zasadami.

Ale odór pozostał.

Pchła weszła do szatni, gdzie przebierali się członkowie oddziału. Nie cieszyło jej, że wczoraj słyszeli, jak majaczy. Na razie nikt z niej nie żartował, ale byli do tego zdolni.

- Co to za smród, chłopcy?

- Twój chleb bananowy?

- Śmieszne. Odkaziliśmy kombinezony. Nie powinno tak śmierdzieć.

Wellard wzruszył ramionami. Pozostali też.

- Dobra, zabierajcie się. - Machnęła, wyganiając ich z szatni. - Wszyscy. Zróbcie to jeszcze raz. Zastosujcie janitol.

Nikt się nie poruszył. Patrzyli na nią bez słowa.

- Co jest?

- Już to zrobiliśmy, kiedy byłeś w biurze. Dwa razy.

- Dwa razy? Więc skąd jest ten cholerny smród?

- Twój chleb bananowy?

Weszła do pomieszczenia do odkażania, gdzie suszyły się kombinezony (wyglądały upiornie, jak stojący w szeregu ludzie) i powąchała. Wróciła do holu i znowu wciągnęła powietrze. Zapach był jednoznaczny. Podeszła do kosza, w którym z miejsca wypadku transportowali brudne kombinezony, wsadziła do środka głowę i kilka razy głęboko odetchnęła. Obok niej pojawił się Wellard i nie odstępował jej na krok, gdy w pojemnikach szukała worków, w które zawijali brudne buty i rękawice.

- To nie to. - Założył ręce. - Sprawdzałem. Sprzątaczką je zabrała.

Wyprostowała się.

- Poddaję się. Co tak śmierdzi?

- Nie mam pojęcia.

Westchnęła, z haka zdjęła zielony fartuch, włożyła go i zawiązała.

- A ja miałam zamiar biegać.

- Po wczorajszym nie powinnaś biegać.

- No i nie biegam, prawda? Powiedziałam, że miałam zamiar. - Wciągnęła nitrylowe rękawice. Wpompowała trochę powietrza do pojemnika ze sprayem. - Zamiast tego wyczyszczę kombinezony. Jeszcze raz. Wykonam za ciebie pracę.

- Och. Mam farta.

- Nie w tym rzecz, Wellard, to kwestia hormonów. Jestem kobietą, mam jajniki, hormony we mnie buzują. - Z szafy wyjęła parę rzeczy. Pojemnik. Rurę. - Chodź tutaj.

Spojrzał na rurę.

- Dobry Boże, szefowo, nie to miałem na myśli.

- Pomóż mi.

- Przynajmniej się pośpiesz.

- Zamontuj to - uderzyła rurą w dłoń - do zaworu. Właśnie tak, grzeczny chłopiec. Ja będę odkażała, a ty obejdiesz budynek i powąchasz wszystkie odpływy. Jak poczujesz

smród, wpuść trochę wody. Jeśli wypłynie, użyj tego.

- Sprężone powietrze? W kanalizacji? Sierzancie, w tym budynku mamy dozorcę, jestem o tym przekonany. To uroczy człowiek, na pewno ma pręty. Lepiej się nadają do dekoracji wewnątrz niż powietrze.

- Wellard?

- Tak?

- ZTK, kolego. Zrób to, kurwa.

W odtwarzaczu była płyta Arctic Monkeys. Pchła go włączyła, podkreśliła solidnie głośność i zabrała się do roboty. Szorowała i pryskała. Splukiwała wodę do spływu. Wężę powietrzne, które wczoraj pękły, leżały w żółtych nylonowych workach upchniętych pod wykafelkowaną ścianą i czekały, aż odbiorą je ludzie z laboratorium bhp. Będą się nimi zajmować przez wiele miesięcy. Poddadzą wężę licznym testom, starając się ustalić, co poszło nie tak i jakim sposobem Pchła zdołała tak po prostu zrobić dziury w obu naraz. Na moment obok nich przystanąła.

Nie mogła tego pojąć. Zawsze uważała, że są bardzo wytrzymałe, a na myśl, że nie sprawdziła ekwipunku, czuła się nieprzyjemnie i głupio. Była blisko, bardzo blisko. Wyglądało na to, że prześladowuje ją pech. Bo i wczorajszy wypadek, i we wtorek wplątała się w to piekielne aresztowanie z ludźmi z kryminalnego w ramach operacji Norwegia, co o mało nie zabiło jednego z jej podwładnych. Nie wspominając już o tym, że dzień przed aresztowaniami znowu zmuszona była kryć Thoma. Kompletnie zalany przyjechał do domu jej samochodem, wlokąc za sobą wóz patrolowy. Wobec brata zawsze była miękka, dlatego wzięła sprawę na siebie, przysięgła gliniarzowi, że to ona siedziała za kierownicą, zgodziła się nawet dmuchnąć w alkomat. Thom po raz setny uniknął poważnego ciosu, a Pchła została z dwoma pytaniami: czy brat kiedykolwiek stanie na własnych nogach i jak długo jeszcze ona będzie wyciągać go z kłopotów.

Wzięła białe gumowce, które oddział wkładał do akcji wydobywania zwłok, i po kolei wywracała na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy do chłonnej wyściółki nie dostały się jakieś płyny organiczne. Była przy ostatniej parze, kiedy w progu stanął Wellard. Pchła wytarła czoło i pokonana wypuściła but z ręki. - Poddaję się. Zrobiłam wszystko. Teraz przejrzę wasze plecaki. Będę szukała ohydnej męskiej bielizny, skarpetek, tego rodzaju rzeczy. Jakie wyniki, Dynoprętomanie?

- Rury są czyste jak śnieg. Zresztą nie ma sensu teraz się tym przejmować.

- Bo?

- Telefon dzwoni jak opętany. Za głośno puściłaś muzykę.

- Kto dzwoni?

- Twój sympatyczny konsultant do spraw poszukiwań Pearce. Mają kolejne ciało.

Bardzo przeterminowane.

- Tak?

- Tak. Myślą, że znaleźli Lucy Mahoney.

6

Przy kamieniołomie numer osiem nikogo nie było. Caffery stał koło samochodu i patrzył na puszyste obłoki i błękitne niebo odbijające się w nieruchomej tafli zimnej wody. U szczytu kamieniołomu, na płaskiej półce, której woda jeszcze nie zalała, leżały na boku dwie stare, połączone zardzewiałą liną motorówki. Na drugim końcu ogromne szare kostki kamienia wystawały z kałuż brunatnej wody. Po ścianach pięła się budleja.

Caffery zamknął samochód, mocniej otulił się kurtką i poszedł na brzeg kamieniołomu. Wokół jego odbicia woda była granatowa. Widział żółtawą mgiełkę młodych roślinek przywierających do krawędzi skał, a mniej więcej sześć metrów niżej jakiś niewyraźny, zdeformowany kształt. Może to głaz, zatopione pompy albo ściana kamieniołomu z niszami po wybranym materiale.

Afrykanie wierzyli, że Tikoloshe mieszka w rzece. Kręci się przy brzegu, wije gniazda w trzcinach i może godzinami siedzieć pod wodą. Cokolwiek widzieli świadkowie w Bristolu, jednego byli pewni: stwór wychodził z wody, z rzek i kamieniołomów, a raz nawet z pływającego portu. Przysięgali, że po prostu „wyłaniał się” na powierzchnię, jakby pod wodą spędził jakiś czas, siedząc na dnie, jak krokodyl z uciechą tarzający się w błocie. I nie miał aparatu do oddychania, w tym punkcie świadkowie jednogłośnie i stanowczo twierdzili, że ta upiorna twarz była goła. Więc jak, do diabła, bandzie z operacji Norwegia udało się ukryć te wszystkie niewyjaśnione minuty pod wodą?

Caffery wyprostował się i spojrział na wznoszące się po drugiej stronie hałdy gruzu. Słońce schowało się za chmurą i przez jakiś czas się zdawało, że coś ciężkiego wisi nad wodą, jakby samo powietrze pociemniało. Ben Jakes zabił się na tych zboczach. Kawalek starej policyjnej taśmy wciąż wisiał na krzakach i zeschniętych kwiatach w celofanie, które przynieśli koledzy chłopaka z uniwersytetu. W ciągu ostatnich czterech lat popełniono tutaj dziesięć innych samobójstw. Samobójstwo tak działa, zawsze rozprzestrzenia się jak wirus. Ktoś skacze z mostu i dość szybko jest to Most Samobójców, a ludzie, którzy wcześniej nigdy o nim nie słyszeli, jadą całą noc, by dostąpić zaszczytu skoczenia z niego. Taki był ten kamieniołom, tylko że nikt się w nim nie topił. Siadywali na krawędzi z tabletkami i brzytwami, pewnie wpatrywali się w gwiazdy.

Komórki Jakesa jeszcze nie znaleziono, ale ten sam zespół, który pracował przy

sprawie Kitson, przeanalizował sygnały i ustalił, że po jego śmierci gdzieś z tej okolicy zrealizowano dwa połączenia. Numer nie widniał w kontaktach Jakesa. Kiedy Caffery zadzwonił na niego ze służbowego aparatu, okazało się, że telefon został odłączony. To była komórka na kartę, Caffery był pewien, że już wylądowała w jakimś zsypie.

Podniósł patyk i ruszył brzegiem, bijąc w poszycie. Kamieniołom przeszukano po odkryciu ciała Jakesa, ale Caffery chciał się upewnić, że niczego nie przegapiono. Żadnej kryjówki albo dowodu, że ktoś inny był tu w dniu śmierci Jakesa, może obserwował go z krzaków. Ponownie sprawdził każdy centymetr kwadratowy, jednak po godzinie znalazł tylko leżący w zaroślach skuter.

Ktoś starannie go ukrył, Caffery musiał kucnąć i złamać gałęzie, żeby się do niego dostać. Wyciągnął pojazd na słońce i postawił, lekko nim potrząsając. Nalepka na kierownicy świadczyła o zapłaconym podatku, w baku chlupotała benzyna. Jakes na sto procent nie miał skutera. Caffery wyjął długopis z kieszeni i odsunął szczęki, by sprawdzić hamulce. Nie były zardzewiałe, więc skutera używano w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Caffery położył go na ziemi, otrzepał dłonie z kurzu i już miał wracać do samochodu, kiedy zauważył coś jeszcze.

Jakiś metr na prawo coś biało-niebieskiego utknęło w korzeniach budlei. To była taśma policyjna owinięta na gałązkach. Pociągnął i zobaczył, że na ziemi leży długi na mniej więcej trzydzieści centymetrów pas niebieskiego butylu wychodzący z tuby. Podniósł ją. W dziesięciocentymetrowych odstępach widniały na niej litery: OPP, Oddział Poszukiwań Podwodnych. Znał ten oddział i jego szefową, Pchłę Marley. Razem z nim dokonała aresztowań w operacji Norwegia. Ładna. Po przyjeździe do West Country Caffery złożył przysięgę: w Londynie zrujnował parę istnień i nie miał zamiaru robić tego ponownie, w jego życiu nie będzie żadnych poważnych związków. Nie obiecywał jednak, że przestanie zwracać uwagę na ładne kobiety.

Wyjął telefon i zadzwonił do Kingswood. Odpowiedział konstabl Turnbull, jeden z ludzi, których przydzielił mu Powers.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - oznajmił Turnbull głosem świeżym i pełnym zapachu. - Jest kilka spraw. Po pierwsze, Tanzańczyk, który siedzi w areszcie, ten, co powtarza, że się nazywa Johnny Brown. Mamy nazwisko. Clement Chipeta. Interpol miał go na celowniku w Dar es-Salaam, ale w zeszłym roku zniknął im z oczu. Chipeta wpakował się w poważne problemy nie tylko z prawem, ale też z gangiem, dla którego pracował.

- Czym się zajmowali?

- Handlem. Specjalizowali się w składnikach używanych w medycynie naturalnej,

głównie z gatunków zagrożonych, a także z ludzi. Pewnie dlatego te dranie z operacji Norwegia znalazły dla niego robotę, kiedy się tu pojawił.

- Powiadomiłeś oficerów w areszcie?

- Oczywiście.

- Dobra. - Caffery odwrócił się plecami do kamieniołomu i zatkał palcem ucho, bo sygnał był słaby. - Turnbull, zrobisz dla mnie trzy rzeczy. Sprawdź, co w bazie mamy o tym numerze. - Podał rejestrację skutera, a Turnbull wystukał ją na komputerze. - Jak to załatwisz, poszukaj w sieci pewnych informacji. Słyszałeś o nurkowaniu swobodnym?

- Swobodnym? Przepraszam, szefie, jestem z Birmingham. Nie mamy morza, rzek, jezior. Lubimy nasz beton.

- Przejrzyj sieć. Chcę wiedzieć, jak długo człowiek jest w stanie wstrzymać oddech. Jak długo może pozostać pod wodą.

- Nurkowanie swobodne. - Caffery niemal słyszał, jak tamten marszczy czoło. Zapiszczał komputer. - Już mam. Skuter został ukradziony.

- Kiedy?

- W ten weekend z podjazdu w Bradley Stoke. To tyle.

- Dobra, daj im znać, że go znalazłem. Potem pogadaj z oddziałem wsparcia. Dowiedz się, co nurkowie robili w kamieniołomie numer osiem koło Groty Elfa.

Milczenie.

- Jesteś tam, Turnbull? Zadzwoń do nich.

- Nie muszę, szefie. Sam mogę ci powiedzieć, co tam robili. Szukali osoby zaginionej. Kobiety. Wczoraj.

- Znaleźli ją?

- W kamieniołomie nie, ale ją mają. To była ta druga sprawa, o której chciałem ci powiedzieć. Są niedaleko od ciebie. Osiem minut, jeśli pojedziesz zgodnie z przepisami, jeśli nie - cztery.

7

Lucy Mahoney zaginęła trzy dni temu. Sądząc ze stanu zwłok, przez większość tego czasu była martwa. Jej ciało znaleźli turyści w Mendpis na brzegu Strawberry Lane, opuszczonych torów kolejowych, którymi w czasach wiktoriańskich wożono truskawki z pól wokół Cheddar. Okolica była śliczna, maki już kwitły, nad lnem unosiła się mgielka pyłków. Ale w zwłokach nie było nic ślicznego: poczerniały stos ubrań i skóry widoczny z odległości stu metrów, nad którym wisiała rozkołysana kolumna much.

Zmarła leżała na plecach. Miała na sobie jaskrawy sweter w paski, spódnicę i martensy w kwiatki przykryte liśćmi. Odbarwione ciało było w stanie posuniętego rozkładu, do tego stopnia, że niektóre kości je przebiły. Pchła dowodziła zespołem podczas pakowania zwłok: odpędzili muchy, ostrożnie pociągnęli, by odkleić ciało od płynów na ziemi, przetoczyli je na lniane prześcieradło i włożyli w biały worek - twarzą do góry, bo w kostnicy nie cierpieli, kiedy przysyłano im trupy leżące na brzuchu. Mahoney była dobrze zbudowana i pomimo rozkładu niełatwo było ją podnieść. Oddział pocił się w kombinezonach, Pchła widziała strumyki płynące po twarzy Wellarda.

Pchła otrzymała rekomendacje do tej pracy. Dwie. A miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Bała się strasznie, że dostała je tylko z powodu swojej płci, że to był jedyny powód, dla którego awansowała na sierżanta i dowódcę jednostki. Ten strach sprawiał, że wkładała nadmierny wysiłek w zrekompensowanie swego wzrostu i budowy. Trenowała jak szalona, do utraty przytomności, dzień w dzień przebiegała rano piętnaście kilometrów albo podnosiła ciężary wieczorami (wielki ciężar, mało powtórzeń). Pod wodą wszyscy byli równi. Na lądzie musiała pracować dwa razy więcej, by sprostać obowiązkom.

Zamknęli zwłoki w żółtym worku na materiały stanowiące zagrożenie biologiczne (rozmiar XL, ponieważ trupy niekiedy puchną, dwukrotnie zwiększając objętość) i zanieśli do oddalonego o czterysta metrów punktu zbornego, co chwila się zatrzymując i zamieniając miejscami. Sprawdzali też, czy za kordonem nie dojrzą teleobiektywów wyczekujących na okazję, by uwiecznić oddział od stóp do głów pokryty płynami ustrojowymi.

Parking przy punkcie zbornym był pełny. Stał tam prywatny ambulans koronera, obok dwaj mężczyźni w szarych garniturach palili papierosy, szefowa techników, kobieta w czerwonej bluzie z napisem Canada i džinsach, siedziała w otwartych drzwiach swojego

samochodu i piła herbatę. Pchła, dopiero kiedy wsunęła nosze do furgonetki koronera, wrzuciła respirator do małego pojemnika na kółkach i stanęła obok mercedesa sprintera, żeby Wellard polał ją środkiem dezynfekującym, zauważyła kogoś jeszcze.

Stał tuż za taśmą, w dłoni trzymał puszkę red bulla. Średniego wzrostu, szczupły. Krótko ostrzyżone ciemne włosy. Dziewięć, może dziesięć lat starszy od niej. Inspektor Jack Caffery z MCIU. Ostatni raz widziała go we wtorek, kiedy wspólnie dokonywali aresztowań. Wiedziała, że tamtego dnia coś pomiędzy nimi zaszło, i zastanawiała się, czy kiedyś o tym porozmawiają. Obserwowała go uważnie, gdy schylił się pod taśmą i po ułożonych przez techników aluminiowych płytach ruszył w jej stronę. Zaskoczyło ją, że nie kuleje.

- Dobra, Wellard, wystarczy.

Zdjęła maskę, rozpięła zamek błyskawiczny kombinezonu, wyciągnęła dłonie, tak że rękawice zostały w rękawach, zrzuciła całość i była wolna. Wepchnęła stopy w buty i nie wiążąc sznurowadeł, poczłapała przez parking. Zatrzymała się kilka metrów przed Cafferym.

- Hej - powiedział, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Wiedziała, co sobie myśli. Zmierzwione włosy, klejące się spodnie i T-shirt mokry od potu. - Co u ciebie?

- W porządku, a u ciebie?

- Też. Miło cię widzieć bez pałki w dłoni.

- Miło cię widzieć na dwóch nogach, nie na podłodze.

- Było fatalnie, nie?

- Hm, trudno to uznać za najcudowniejsze chwile w życiu. Wciąż nie wiem, jaki miecz zamierzają spuścić mi na głowę. Ciągłe dostaję ponaglenia, że mam się zgłosić na badania. Wiesz, czy nie doznałam traumy. Jeszcze nie poszłam.

- Ja też nie.

- Miałam zamiar do ciebie zadzwonić. Chciałam powiedzieć, że mi przykro.

- Z jakiego powodu?

- Twojej kostki. - Gestem wskazała jego nogę. - I mojego zachowania. Nie chciałam sprawiać ci bólu.

Spojrzał w dół i lekko poruszył nogą. Żeby powstrzymać go przed skatowaniem tej kupy gówna, którą aresztowali podczas operacji Norwegia, Pchła stalową pałką potraktowała go w kostkę. To był jedyny sposób na przywrócenie mu rozsądku.

- Myślałam, że będziesz kulał.

- Nie, nie kuleję.

- Nikomu nie powiedziałam, co zrobiłeś.

- Domyśliłem się. Przed drzwiami nie pojawili się goście w butach na gumowych

podeszwach.

- Po części żałowałam, że cię powstrzymałam. Chyba spodobałby mi się widok tego drania z rozwaloną czaszką.

- To miłe.

Wzruszyła ramionami.

- Mówię szczerze.

- Dzięki, że nic nie powiedziałaś. - Długo się jej przyglądał. A potem, kiedy już miała się odezwać, spojrzał na jej piersi. Przelotnie, ale to wystarczyło.

- Widziałam to.

- To było silniejsze ode mnie. Przepraszam.

- Jesteś wyższy stopniem. Nie powinieneś tak na mnie patrzeć, to upokarzające.

Po chwili milczenia Caffery uniósł brwi.

- Hm, czy to aluzja do sądu pracy? Molestowanie seksualne?

Pchła powstrzymała się od uśmiechu. Nagle poczuła się lekko i swobodnie, jak po przebudzeniu z długiego snu.

- Dlatego tu jesteś? Żeby się przekonać, czy złożę na ciebie skargę? To teraz w MCIU takiej próbie poddaje się ziomali?

- Ziomali? - Caffery lekko się uśmiechnął. - Nie. Przepraszam. - Wskazał ambulans koronera. Przez otwarte drzwi widać było na noszach pomarańczowy worek z ciałem Mahoney. - Jestem tu z jej powodu. Już ją przekazałaś?

- Załatwiają papierki.

- Masz dodatkowe maski?

- Jasne, zawsze biorę kilka zapasowych, żeby technicy nie rzygali. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym ją zobaczyć, zanim koroner zabierze ciało.

- Myślałam, że to sprawa okręgowej?

- Bo jest. W gruncie rzeczy mnie tu nie ma. Tylko węszę.

Pchła uniosła brwi.

- Hm. Jedno ciało. Kobieta, kompletnie ubrana. Majtki na miejscu, spódnica nie podciągnięta. Obok niej fiolka z tabletkami i list pożegnalny. Z mazi wyciągnęłam nóż, którym podcięła sobie żyły. Dla moich naiwnych uszu brzmi to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jak samobójstwo. Dzisiaj patolog nie będzie musiał ciężko pracować na chleb, możesz mi wierzyć. - Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. - Więc co tu robi wydział kryminalny? To nie wasza sprawa.

Caffery zerknął na kobietę z CSI. Pochyliła głowę i udawała, że nie słucha. Odwrócił

się do niej plecami.

- OK - mruknął cicho. - W zeszłym tygodniu popełniono samobójstwo kilka kilometrów stąd. Młody chłopak, Ben Jakes.

- Nie mój.

- Nie. Wybacz nieuprzejmość, ale dla ciebie był chyba za świeży. Znaleźli go po kilku godzinach.

- Tu ciągle ktoś popełnia samobójstwo.

- Tylko że to było inne. Ktoś po śmierci dobrał się do ciała.

- I co zrobił?

- Obciął włosy, ściślej rzecz biorąc, zgolił. Z tyłu głowy. Patolog twierdzi, że jest w tym coś rytualnego. - Caffery dopił red bulla, zgiął puszkę i włożył do kieszeni. Nawyk gliniarza: w pobliżu możliwego miejsca zbrodni człowiek takie rzeczy robi automatycznie. - Użył słowa „rytualny”. Coś ci to przypomina?

- Operację Norwegia?

- Właśnie. Dlatego zacząłem się zastanawiać. Zadawałaś sobie pytanie, czy tamtego dnia kogoś nie przegapiliśmy? Jesteś pewna, że wygarnęliśmy z tamtego mieszkania wszystkich? Że nikt nie miał szansy uciec?

Pchła pokręciła głową.

- Nie. No wiesz, na oknie była krata z siteksu. Wygięta, ale nie na tyle, żeby ktoś się przecisnął.

- A dziecko? Dałoby radę? - Dziecko? Co dziecko robiłoby w takim piekle?

- Pamiętasz to słowo? - Obejrzał się przez ramię, nachylił ku niej i szepnął: - Tikoloshe.

- Tak - odparła ostrożnie. - Jasne. I pamiętam, że przebrali kogoś, żeby śmiertelnie wystraszyć ludzi, ale myślałam, że go macie.

- Nie. Facet, którego aresztowaliśmy, był za wielki. Za wielki na Tikoloshe.

Pchła się roześmiała, ale kiedy przysłoniła oczy, żeby mu się przyjrzeć, zobaczyła, że Caffery nie żartuje. Słyszała, że niektórzy ludzie z Londynu pracujący przy sprawie *muti* zagustowali w Afryce i teraz z rodzinami wyjeżdżają na wakacje do Botswany i Ghany, a nie do Margate. Kolegom mówili, że sprawdzają możliwość przyszłego zatrudnienia w agencjach ochrony, takich jak Kroll, które zajmują się uwalnianiem zakładników, w rzeczywistości jednak zakochali się w Czarnym Lądzie. Może Caffery był do nich podobny, zaczął wierzyć w te wszystkie brednie. Miała ochotę jakoś to skomentować, ale w policji obowiązywało niepisane prawo: nie będziesz oficera wyższego stopniem stawał w sytuacji, w której wyjdzie

na głupka. Pchła zmrużyła oczy i nic nie powiedziała.

- Chciałem cię o coś zapytać. Wszyscy świadkowie mówili jedno: ten stwór wynurzał się z wody, jakby w niej siedział. Powiedz mi, jak twoim zdaniem tego dokonał.

Ręce jej opadły. Teraz wszystko było jasne. Teraz wiedziała, co jest grane. Chłopcy rozgadali, że tamtego dnia doznała objawów narkozy, i namówili Caffery'ego na tę gierkę. Ktoś inny w kamieniołomie numer osiem? Oczywiście. Afrykański potwór pływający w wodzie? Pewnie. Założyła ręce i obrzuciła inspektora uważnym spojrzeniem.

- Musisz myśleć, że jestem wręcz spektakularnie głupia.

- Co?

- Naprawdę myślisz, że jestem idiotką. Że tylko... - Urwała, dostrzegając kątem oka Wellarda. Polewał gumowce, nie patrzył na nią. Gdyby ustawili ten żart, nie spuszczałby z niej oka. Pogardliwie by się wykrzywił. A kiedy spojrzała na Caffery'ego, jego twarz także nie zdradzała rozbawienia. To nie było w jego stylu. - Och - westchnęła słabo. - Mówisz poważnie, tak?

- Tak.

- Nikt cię nie prosił, żebyś mnie podpuścił?

- Podpuścił?

- Nieważne. - Nie. Tamtego dnia zeszła na głębokość pięćdziesięciu metrów. Zbyt dużą dla człowieka bez ekwipunku. Wellard powiedział, że tafla wody była jak szkło. Miała halucynacje, rzecz normalna przy narkozie azotowej. Człowiek widzi każde gówno, które wyobraźnia potrafi stworzyć. A fakt, że Caffery nagle zmienił się w żarliwego wyznawcę, nie ma związku z tym, co widziała pod wodą. Nie ma związku z nią. CP, cudzy problem. - Dobra, to twój interes. Mój polega na dostarczeniu koronerowi ciała tak, by niczego nie brakowało.

Caffery pokiwał głową.

- Możesz mi najpierw pożyczyć tę maskę?

- I tak nic nie zobaczysz.

- Zrób mi przyjemność.

Wzruszyła ramionami, poszła do furgonetki i wzięła dwie czyste maski. Podeszli do ambulansu z ciemnymi szybami i napisem „Prywatny” na boku. Pchła pochyliła się i odpięła worek. Wyczołgało się kilka tłustych i oszołomionych much. Najbardziej nienawidziła much i ich zwyczaju składania jaj w ustach, oczach, uszach, genitaliach i nozdrzach, także w odbycie. Wszystko to stanowiło dla nich łatwą zdobycz. Lucy nie była wyjątkiem. Czerwie pożarły większość odsłoniętych fragmentów ciała, w niektórych punktach dotarły aż do zębów.

Caffery wpatrywał się w zwłoki.

- Niewiele widać. - Głos Pchły stłumiła maska. - Zgadzasz się?

Gestem dał jej znać, by zapięła worek. Poszli do furgonetki oddziału, gdzie odór nie mógł ich dosięgnąć, i zdjęli maski.

- No i co? Jaka jest twoja profesjonalna opinia?

- Moja profesjonalna opinia? - roześmiała się Pchła.

- Dzisiaj po południu będziesz się musiał wybrać do kostnicy.

- W takim razie co sądzisz prywatnie? Jestem pewien, że prywatnych opinii ci nie brakuje.

- Prywatnie? Nie rozglądałam się, kiedy zabieraliśmy ciało, ale nie wydaje mi się, żeby coś odbiegało od normy. Nie na głowie. Ale trzeba zmyć całą tę maź, żeby mieć pewność. Do naszych obowiązków nie należy zajmowanie się włosami na miejscu zbrodni, więc musisz pojechać do kostnicy, szanowny panie. - Odebrała od niego maskę i wrzuciła do furgonetki. - Po mojemu w szpitalu Royal United w Bath. Dzisiaj dyżur pełni tamtejszy patolog.

8

- Sir?

Tamtego dnia Pchła mogła powiedzieć Caffery'emu coś jeszcze. Mogła powiedzieć więcej i sprawy zupełnie inaczej by się potoczyły, gdyby nie przerwał im Stuart Pearce, krąglutki konsultant, który zlecił poszukiwania w kamieniołomie.

- Sir? Sir? Chciałbym zamienić słówko.

Oboje się odwrócili i patrzyli, jak Pearce idzie przez parking, uśmiechając się do Caffery'ego i podnosząc palec, jakby sprawa była niezwykle ważna. Kiedy zatrzymał się kilka metrów przed nimi, dyszał ciężko z wysiłku. Miał nalaną twarz, gruby, nieopalony kark i włosy zaczesane na łysinę. Zwrócił się do Caffery'ego, jakby Pchła w ogóle nie istniała.

- Prowadzi pan to śledztwo, czy tak?

- Nie, prowadzący pojechał na posterunek w Wells. To dziesięć minut drogi stąd. - Caffery chciał odejść, ale Pearce nie pozwolił się zbyć.

- Czy to Lucy Mahoney? - Wskazał ambulans koronera wyjeżdżający z parkingu.

- A kto pyta?

Pearce wygrzebał z kieszeni wizytówkę.

- Byłem konsultantem w śledztwie prowadzonym po jej zaginięciu. Dzisiaj mam wolne, ale kiedy usłyszałem, że kogoś znaleźli, uznałem, że lepiej będzie, jak tu przyjadę.

Pasuje, pomyślała Pchła. Był takim typem: oficerem świeżo wyszkolonym do nowej funkcji, pełnym entuzjazmu i potrzeby brania udziału, dlatego pojawia się w wolne dni, przypuszczalnie nie dostając za to pieniędzy. Należał do tych, którzy przypadkiem rzucają legitymację służbową na bar, kiedy chcą kogoś poderwać. Myślą, że kobiety z większą ochotą rozłożą nogi przed gliniarzem.

- Skoro zapoznał się pan z układem terenu, rozumie pan, dlaczego nie umieściłem tego miejsca w parametrach poszukiwań? W żadnym razie bym jej nie znalazł z informacjami, które miałem do dyspozycji. To było jak szukanie igły w stogu siana.

- Niech pan nie marnuje na mnie pary, kolego - powiedział Caffery. - Ja tu jestem obserwatorem. Sprawa należy do komendy okręgowej, a ja jestem z MCIU.

- MCIU?

- Wydział kryminalny.

- Jasne, wiem, co to jest MCIU. - Pearce otarł pot z czoła. - W takim razie prowadzi pan sprawę Kitson. Też byłem konsultantem, zanim przerwali ją do was.

Cholerny fan gwiazd, pomyślała Pchła. Ludzie pokroju Pearce'a uwielbiali rozgłos towarzyszący sprawie Kitson, światła reflektorów zwrócone na policję. Boże, jak ona nie znosiła tego faceta. Im więcej gadał, tym bardziej ją ignorował i tym więcej bezpieczników strzelało jej w głowie.

- Słyszałem, że złapaliście sygnał z jej telefonu ze stacji bazowej? - powiedział. - Włączyliście zespół analizujący rozmowy, tak?

- Wygląda na to, że pilnie nastawia pan ucha - odparł Caffery.

- Stacja znalazła się w wyznaczonych przeze mnie parametrach, ale okolica nie była dobra, mało masztów. - Pearce ujął się pod boki i z odchyloną głową wodził wzrokiem po drzewach, potem przez przymrużone oczy spojrzął w przeciwnym kierunku. - Teren taki jak ten byłby lepszy. Gdyby Misty Kitson doszła do tych torów, od razu byśmy ją mieli. Ale jej telefon był wyłączony, tak?

- Czyj telefon?

Pchła słyszała, jak w głos Caffery'ego wkrada się poirytowanie.

- Lucy Mahoney. Był wyłączony, tak mi powiedziano. To dziwne, gdyby ktoś mnie pytał, zwykle samobójcy korzystają z telefonów. W ostatniej chwili gdzieś dzwonią, choćby po to, żeby usłyszeć czyjś głos albo napisać esemesa, zanim wyciągną wtyczkę. Teraz rozumie pan, dlaczego moja praca jest taka trudna. Ona złamała wszystkie zasady.

- Jakie zasady?

- Wszystkie zasady wyznaczania obszaru poszukiwań. Weźmy choćby miejsce, gdzie zostawiła samochód, musiała przejść około ośmiuset metrów, żeby się tu dostać. Dlaczego nie zaparkowała bliżej?

- Błądziła? Była przygnębiona?

- Nie. Samobójcy zwykle z góry wiedzą, gdzie to zrobią. A poza tym rozmawiałem z jej byłym mężem, powiedział, że nie znała tej okolicy. Nigdy nie chodziła tu na spacer z psem, absolutnie nic jej z tym miejscem nie łączyło. Większość samobójców oddała się od drogi na mniej niż osiemset metrów, a ona wręcz przeciwnie, no nie? I idą gdzieś wysoko. Siadają w miejscu, skąd widać światła, budynki, wszystko, z czym chcą się pożegnać. Ale nie ona. Zza tej grobli kompletnie nic nie widać. Byłem tam, przyjrzałem się uważnie.

Pchła miała dość. Zrobiła krok do przodu, uniosła rękę, szeroko się uśmiechnęła.

- Cześć. - Miły, wesoły głos. Dla lepszego efektu pomachała dłonią. - Pamięta mnie pan? Sierżant Marley. Wykonuję większość zleconych przez pana poszukiwań.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

- Tak.

- Wczoraj nurkowaliśmy w kamieniołomie. Pan to przegapił.

- Sprawdziałem inne możliwe miejsca.

Odwrócił się znowu do Caffery'ego, ale Pchła, raz zacząwszy, nie miała zamiaru przestać, dopóki nie rzuci mu wszystkiego w twarz.

- Ach, w porządku. Niech się pan tym nie przejmuj. Od początku myślałam, że jej tam nie ma.

- Jasne, że się nie przejmuję - odparł cicho, wciąż patrząc na Caffery'ego. - Pani jest psychiczna.

- Przepraszam?

- Wiedziała pani, że jej nie ma w kamieniołomie. Więc musi być pani psychiczna.

Śmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

- Co pan powiedział?

- Musiałem tu przyjść w wolny dzień. Nieważne, ile krwi, potu i łez kosztuje cię robota, ile profili i map stworzysz, niektórzy i tak ci nie uwierzą. Po raz drugi podważyła pani mój autorytet.

Jasne, że wiedziała, o co mu chodzi: na początku tygodnia ona i Pearce wdali się w dyskusję (którą Wellard określił mianem „dogłębnej i szczerzej”), czy oddział powinien szukać Misty Kitson w jeziorze koło ośrodka odwykowego. Pchła nie sądziła, że znajdą tam Kitson, i powiedziała o tym Pearce'owi. Pewnie nie zrobiła tego w najbardziej sympatyczny sposób.

- Znowu Misty Kitson?

- Pani stwierdziła, że w jeziorze jej nie będzie, prawda? Cokolwiek to zniechęcające, kiedy z góry, przed przeszukaniem słyszę, że nie mam racji.

- Ale się nie pomyliłam, prawda? Nie było jej. Po jakimś czasie wyrabia się intuicja. Wykluczone, żeby Kitson utonęła w tym jeziorze. Dziewczyna taka jak ona nigdy by się nie utopiła.

- Zaraz poda mi pani wygrane numery na loterii.

- Tak, tak, tak. Cóż, nie jestem w stanie pana przekonać, więc dam sobie spokój.

Gestem dała znak Pearce'owi, żeby zrobił jej przejście, ale on się nie poruszył, nie spojrzał jej w oczy. Kiedy próbowała go okrążyć, przesunął swoją masywną postać, zagradzając jej drogę. Przez cały czas wpatrywał się w oczy Caffery'ego, a po jego twarzy błąkał się półśmiech.

Pchła stanęła.

- Wie pan co? - powiedziała spokojnie. - Minęły lata, odkąd przejmowałam się sprawami w rodzaju Kitson, bo ofiara jest celebrytką. A wie pan dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo trochę się boję, że ktoś mnie nazwie pieprzoną małą medialną. A teraz - urwała, ciężko oddychając - ustąpi mi pan miejsca, stary idioto z pożyczką? Czy mam pana popchnąć?

Nozdrza Pearce'a lekko się rozszerzyły. W pewnej chwili Pchła pomyślała, że Pearce okaże zdecydowanie i nie ustąpi. Ale w końcu zabrakło mu jaj. Potarł się po nosie i zszedł jej z drogi.

Cicho, zwycięsko chrząknęła, zarzuciła ręcznik na plecy, odwróciła się i pobiegła do furgonetki. Cholerny nowicjusz. Pewnie przeniesiono go z wydziału specjalnego. Po prostu nie miała do takich cierpliwości.

- Marley! - zawołał Caffery, ale ona tylko podniosła dłoń na pożegnanie. Jej oddział pakował ostatnie rzeczy do sprintera. Wsiadła, zapaliła silnik i wyjechała na drogę. Słońce padało na szybę, rysując wzory w kurzu. Kiedy parking zniknął ze wstecznego lusterka, pozwoliła sobie na uśmiech.

Mam cię popchnąć, ty stary idioto z pożyczką?

Dobre, dziewczyno. Podkreśliła głośność przy ostatniej piosence Arctic Monkey. Podobał jej się sposób, w jaki Caffery patrzył na jej piersi. Jakby nie miała na sobie T-shirtu. Jakby widział przez tkaninę, jakby jej piersi były okrągłe, wielkie, godne podziwu. Minęły wieki, odkąd ktoś tak na nią patrzył. Wieki. Chciałaby, żeby znowu tak było.

Roześmiała się i otworzyła okno. *Stary idioto z pożyczką*. Tak. Była z tego dumna. Naprawdę dumna.

9

Po powrocie do bazy wszyscy byli zmęczeni i rozgrzani. Wciąż nie mogli się pozbyć tego smrodu. Chociaż w nieskończoność stali pod prysznicem, wielokrotnie odkażali kombinezony i poupychali bieliznę w hermetyczne worki, zapach wciąż jakimś sposobem się utrzymywał. Pchła nie była nawet pewna, czy nie czuje go na swoim ubraniu, kiedy wsiadła do samochodu, żeby pojechać do domu. Na czerwonych światłach poruszyła T-shirtem i pochyliła głowę, by go powąchać.

Myśl, że życie kobiety zostało zredukowane do zapachu, który inni z wysiłkiem próbują zmyć, była trudna, zimna, wywołująca dotkliwe poczucie samotności. Bywały dni, zwłaszcza na początku jej pracy w jednostce, kiedy każde martwe ciało, z którym miała do czynienia, wysysało z niej żywotne siły. Przez lata nauczyła się jednak pragmatyczności i dzisiaj bez trudu odsunęła myśl o Lucy Mahoney. Za otwartym oknem samochodu migał wiejski krajobraz. Telefon leżał na głównej konsolce, numer Caffery'ego znajdował się na liście kontaktów. Może w każdej chwili do niego zadzwonić. Może po prostu wziąć telefon i zadzwonić.

Kiedy dojechała do domu, w którym się wychowała, usadowionego na wzgórzu z widokiem na odległe Bath, była głodna. Minęło wiele czasu od śniadania. Zaparkowała na zwirowanym podjeździe i wysiadła, automatycznie zamierzając schować do bagażnika worek z przyborami. Ale kiedy wsunęła kluczyk do zamka, przypomniała sobie, że kłapa się zacięła. Tak było od czterech dni, odkąd Thom pożyczył samochód w tamten wieczór, kiedy wrócił do domu pijany. Zamek wydawał dziwny elektroniczny pisk, jakby się otwierał, kiedy jednak próbowała podnieść kłapę, znowu się blokował. Włożyła kluczyk i przekreśliła. Pisk - ale podnieść nie dała rady.

Przeklinając, rzuciła worek na żwir, kucnęła i przyjrzała się zamkowi. Zobaczyła, że blokuje go kawałek materiału. Pociągnęła w przekonaniu, że jakimś sposobem przytrzasnęła dres, ale tkanina nie pasowała: ta była miękka, aksamitna, wcale nie śliska. Zaskoczona, przysiadła na piętach. Przesuwając palcami po materiale, próbowała sobie przypomnieć, co mogła włożyć do bagażnika. A potem zauważyła coś jeszcze i wszystko zaczęło się toczyć na zwolnionych obrotach.

Odór.

Wpatrywała się w zamek. Wąchała powietrze. Kiedy teraz o tym myślała, zdała sobie sprawę, że samochód śmierdział w drodze do pracy. Wczoraj też. Może smród w biurze nie był wcale winą oddziału. Może prawidłowo wyczyścili ekwipunek. Zaparkowała samochód blisko panelu klimatyzacji. Niewykluczone, że odór został wessany do budynku z bagażnika.

Cztery dni temu Thom pożyczył samochód, bo jechał na spotkanie.

Kurwa, kurwa, kurwa, Thom, tamtego wieczoru byłeś zdenerwowany. Bardzo zdenerwowany. Naprawdę chodziło tylko o picie i jadący za tobą wóz patrolowy?

Wyprostowała się, cofnęła. Rozejrzała się uważnie po ogrodzie i podjeździe. Dom rodziców stał na wzgórzu, ale sąsiedzi, Oscarowie, często obserwowali ją z okien na piętrze, z których rozciągał się widok na podjazd. Dzisiaj na szczęście nie. Z pochyloną głową podeszła do garażu i otworzyła drzwi na oścież, potem wróciła do samochodu i wsiadła. W środku odór znowu uderzył ją w nozdrza. Cholera, jak mogła przez tyle dni nic nie zauważyć?

Zawróciła samochodem pod potężną ścianą domu Oscarów i tyłem wjechała do garażu, rozrzucając wkoło żwir. Garaż przeznaczony był dla trzech aut, ale za życia rodziców nigdy w nim nie parkowano. Pod ścianami wznosiły się stosy rodzinnych rupieci: stare kosiarki, wiktoriańska żeliwna wanna, rdzewiejące sekatory, zamrażarka, zwinięty namiot, rząd starych butli nurkowych ojca w kącie. Zostało dość miejsca, by wcisnąć focusa. Spaliny wypełniły garaż, zatruty powietrze.

Zgasiła silnik, wysiadła, spuściła bramę garażu i zamknęła na zasuwę - zardzewiała, bo nikt nigdy jej nie używał. W stosie narzędzi przy bramie leżał łom. Wsunęła go ostrożnie pod zamek bagażnika i znieruchomiła; po części wcale nie chciała wiedzieć, co tam jest. Biorąc głęboki wdech przez usta, naparła na rękojeść. Kłapa poleciała w górę z szumem cuchnącego powietrza. W środku leżały napuchnięte zwłoki.

- Cholera. - Zamknęła kłapę i zrobiła krok do tyłu. Wypuściła łom, który ze szczękiem spadł na podłogę. - Cholera. - Uniosła ręce do góry, wpatrując się w bagażnik i ciężko dysząc. Do diabła, co Thom właściwie zrobił?

Zacisnęła dłonie w pięści, rozprostowała. Złapała łom i znowu otworzyła bagażnik, tym razem zachowując odpowiedni dystans.

To była kobieta. Leżała na lewej ręce, prawy łokieć zgięty pod nienaturalnym kątem zakrywał twarz. Miała na sobie płaszcz z fioletowego aksamitu i jaskrawozieloną suknię ściągniętą paskiem w talii. Cztery dni gotowania się w słońcu w zamkniętym bagażniku sprawiło, że członki stały się błyszczące od opuchlizny, w której utonęły paski srebrnych sandałów na wysokich obcasach. Pchła widziała tylko fragment twarzy, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że oczy są wylupiane, usta nabrzmięte. Cętkowane jak u ropuchy.

Zamknęła bagażnik i dygocząc na całym ciele, weszła do domu przez boczne drzwi. Zamknęła je kopniakiem i osunęła się na podłogę, plecami oparta o ścianę. Objęła się za kolana i schyliła głowę, ślepo wpatrując się w nogawki granatowych spodni. To jakieś szaleństwo. Obłąd.

Po chwili wstała i obeszała dom, gromadząc potrzebne rzeczy: brunatny papier, taśmę, maskę, niebieskie rękawice do nurkowania w zanieczyszczonej wodzie.

Po powrocie do garażu (odór był teraz nieznośny, nad bagażnikiem już krążyło kilka much) stanęła na skrzyni i papierem szczelnie okleiła okna, tak by nikt na zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Włożywszy rękawice i maskę, wróciła do bagażnika. Wzięła kilka głębokich wdechów, wytarła czoło przedramieniem i otworzyła klapę.

Zwłoki wciąż tam były. Jasne. Jakby mogły wstać i wyjść. Pchła zbliżyła się o krok. Zmusiła się do uważnego spojrzenia. Maską zwielokrotniała odgłos oddechu.

Kobieta nie sprawiała wrażenia starej, wyglądała na dwadzieścia parę lat, miała wypielęgnowane paznokcie i drogie złote koła w uszach. Zarzucona na głowę ręka sugerowała, że próbowała się zasłaniać. Lekko rozchyłony płaszcz blokował zamek. Pchła wpatrywała się w aksamitne okrycie i zastanawiała, czy nie jest ważne. Gdzie wcześniej takie widziała? Może u jednej z dziewczyn Thoma?

Uniosła łokieć kobiety, uważając, by nie naruszyć ubrania. Na tej stronie twarzy nie było obrażeń, natomiast po wewnętrznej stronie przedramienia ciągnęły się zadrapania. Przyciskając palcem maskę do nosa, pochyliła się i uważnie przyjrzała. Coś wbiło się w ciało. Coś ciemnego i twardego jak kamyczki. Albo asfalt. Na dnie jej świadomości zaczęła formować się myśl.

Ostrożnie opuściła rękę kobiety i poszła na przód samochodu. Focus należał do rodziców, ich życiowe priorytety w całości dotyczyły doświadczania świata, nie miały natomiast nic wspólnego z ładnie wyglądającymi samochodami: auto było poobijane i zniszczone. Ale kiedy teraz kucnęła przy reflektorach, była pewna, że to wgniecenie pojawiło się dopiero po tym, jak Thom pożyczył samochód.

Bacznie przyjrzała się uszkodzeniu. Widziała wiele wypadków samochodowych. W zeszłym miesiącu obudzono ją o drugiej w nocy, bo trzeba było wyciąć kobietę z wraka: trzydziestosześcioletnia matka trzylatka nabiła auto na barierę. Żyła, nie odniosła obrażeń, ze wszystkimi rozmawiała, ale utknęła w środku jak świnia nadziana na rożen. Spłonęła żywcem w pożarze, który zaczął się od silnika. Pchła musiała wyciągnąć jej pozbawione skóry zwłoki i przenieść do ambulansu koronera. Nikt nie powiedział rzeczy oczywistej, że ofiara z odsoniętym układem mięśniowym może służyć jako eksponat do nauki anatomii. Tak, Pchła

miała niejakię pojęcie, co samochód może zrobić z ludzkim ciałem. Orientowała się też, co ludzkie ciało może zrobić z samochodem.

Wyprostowała się i obesła focusa, szukając na drzwiach i progach czegoś, czego przedtem nie było. Obejrzała maskę, koła, okna, uważając, by niczego nie dotknąć. Kiedy wspięła się na palce, momentalnie zobaczyła to, czego szukała: wgnieciony fragment dachu o promieniu mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów z półksiężycem zaschłej krwi nad siedzeniem kierowcy. W jej umyśle tworzył się obraz ciała wylatującego w powietrze, przecinającego promienie księżyca, odbijającego się od dachu i spadającego na drogę, gdzie asfalt i kamyczki wbiły się w skórę. Tamtej nocy Thom był pijany.

Wróciła do bagażnika i wsunęła dłonie w kieszenie sukni kobiety - puste. W kieszeniach płaszcza także nic nie było. Jej dłoń zamknęła się na czymś wepchniętym pod biodro denatki, co przez rękawiczkę wydawało się zimne i trzeszczące. Odwracając twarz, bo za każdym razem, gdy poruszała ciało, w nozdrza uderzał ją odór rozkładu, złapała przedmiot i pociągnęła. Ku jej zaskoczeniu nie napotkała oporu, przedmiot tylko otarł się lekko o ubranie i wyskoczył z taką prędkością, że o mało się nie cofnęła.

To była torebka zdobiona wielkimi fasetowymi cekinami, które kołysały się i łapały światło. Ze wzoru i naturalnej tkaniny Pchła wywnioskowała, że torebka jest droga. Otworzyła ją i zajrzała do środka.

Były tam głównie kosmetyki. Ułożyła je ostrożnie na podłodze: tubka korektora marki Benefit z obrazkiem dziewczyny rozmawiającej przez telefon w stylu lat pięćdziesiątych, saszetka błyszczącego balsamu do ciała Hard Candy, szminka Chanel, rajstopy „Bodouir”, rzeczy, na które Pchła nigdy nie mogłaby sobie pozwolić, nawet gdyby jej na nich zależało. Na dnie leżał tampon marki Tampax owinięty w zielony plastik, do połowy zużyty listek paracetamolu, poskładane banknoty w klipsie ze strasu. Pchła przesunęła dłonią po dnie torebki. Znalazła garść drobnych, ale to wszystko. Kilka monet i kurz. Żadnego dowodu tożsamości.

Kiedy wkładała rzeczy z powrotem do torebki, nagle znieruchomiała. Klips ze strasu. Z jednej strony był gładki, z drugiej tworzył literę. Pchła nie mogła oderwać od niej wzroku. To była litera M.

M.

Zabrakło jej tchu. Usiadła na podłodze i odchyliła głowę, próbując nabrać powietrza w płuca. Już wiedziała, gdzie widziała ten płaszcz. Nie u którejś z dziewczyn Thoma, ale w pracy. Dzisiaj rano wszyscy funkcjonariusze otrzymali fotografie płaszcza, zielonej sukni i komórki. Pchła przypięła je do tablicy nad swoim biurkiem.

Wypuściła z dłoni klips, wstała i kopnięciem otworzyła drzwi do domu. Poszła do toalety, kucnęła przy sedesie i wymiotowała tak długo, aż z ust popłynął jej tylko strumyk brązowej śliny. Została chwilę w tej pozycji, jedną dłonią trzymając się deski, drugą odgarniając włosy z twarzy, wypluwając smak z ust. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w butelkę Toilet Duck stojącą za rurą.

To nie odór biednego zniekształconego ludzkiego ciała w bagażniku sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Wcale nie to. Powodem była litera M na klipsie. M jak Misty.

Misty Kitson. Zaginiona żona piłkarza.

Pchła znowu splunęła, usiadła na piętach i wytarła usta. Thom wpadł w kłopoty większe, niż mógł sobie wyobrazić.

A Pchła nie miała pojęcia, co dalej robić.

10

Kiedy Caffery przyjechał do kostnicy, szczątki Lucy Mahoney leżały już na głównym stole w kałuży jaskrawego światła. Ogromne wentylatory huczały pod sufitem, włączając do środka świeże powietrze i wysysając odór. Prześcieradło z brunatnymi plamami, w które była zawinięta, leżało na sąsiednim stole. Wiły się na nim czerwie, wchodziły jeden na drugiego.

Caffery włożył ochraniacze na buty i rękawice, po czym wszedł do sali, kucnął przy stole i przyjrzał się włosom zmarłej.

- Inspektor Caffery, tak?

Caffery uniósł głowę. Inspektor z komendy okręgowej, który wyglądał, jakby codziennie rano spędzał mnóstwo czasu przed lustrem, stał o krok od niego. Dłonie trzymał w kieszeniach i tak się odwracał, żeby nie patrzeć na ciało. To było samobójstwo, ale popełniła je kobieta, więc zgodnie z procedurą w sekcji musiał brać udział oficer w stopniu co najmniej inspektora ze względu na możliwość gwałtu lub napaści na tle seksualnym. Z twarzy tamtego Caffery wywnioskował, że nie jest uszczęśliwiony pobytem w kostnicy.

- Spotkaliśmy się na konferencji w Taunton, pamięta pan?

Caffery się wyprostował.

- Tak - skłamał. - Miło pana znowu widzieć. Jak leci?

- W porządku. - Inspektor zabrzęczał monetami w kieszeni. Wciąż nie patrzył na ciało.

- Ale wydział kryminalny? Z powodu samobójstwa? Powinienem o czymś wiedzieć?

- Nie.

- Nikt mnie nie uprzedził.

- Niech się pan tym nie przejmuje i zapomni, że mnie tu widział.

- Cześć, chłopaki. - Obaj się odwrócili. Patolog stała w drzwiach, wciągając lateksowe rękawice i mierząc ich wzrokiem. Beatrice Foxton. Caffery znał ją z Londynu, oboje byli uchodźcami z metropolitalnej. Majestatyczna i olśniewająca kobieta dobiegająca sześćdziesiątki. Beatrice paliła, piła, grała na wyścigach konnych i spędzała wędrowne wakacje w miejscach takich jak Uzbekistan. Miała idealną cerę, błękitne oczy i burzę długich, siwych kręconych włosów. - Szczęściara ze mnie. Dwóch mężczyzn. - Teatralnym gestem włożyła drugą rękawicę, naciągnęła na palce. Uśmiechnęła się lubieżnie, jakby zaraz miała jednego z nich poprosić, żeby się pochylił. - Dobra. Który pierwszy?

Caffery lekko się uśmiechnął.

- Beatrice, nic się nie zmieniałaś.

- No wiesz, Jack, obrażasz mnie. Pytałam, który z was jest ważniejszy? Widzę dwóch inspektorów, a nie wiem, z którym pracuję. Muszę zapytać.

- To on. - Caffery głową wskazał kolegę.

Beatrice obrzuciła tamtego chłodnym wzrokiem, potem uniosła brew, spoglądając na Caffery'ego. Wiedział, o czym myśli: zastanawiała się, czego do diabła MCIU chce w przypadku samobójstwa, a nie była na tyle głupia, żeby zapytać.

- Dobra, dobra, chodźcie. - Utknęła długie włosy pod chirurgiczny czepek ozdobiony sceną z kreskówki Sponge-Bob Kanciastoparty i gestem wskazała pracowników kostnicy. - Zaczynamy?

Kiedy drzwi się zamknęły, wszyscy zaczęli się tłoczyć: przedstawiciel koronera, inspektor z okręgowej, fotograf, który stał u szczytu stołu i cicho rozmawiał z jednym z techników, dwaj pracownicy kostnicy. Caffery znalazł miejsce po prawej, gdzie mógł się oprzeć o stół. W Londynie dostatecznie wiele razy brał udział w sekcji zwłok, by nauczyć się, jak przez nie przebrnąć: nie myśleć o człowieku, którym te zwłoki kiedyś były, widzieć rozkładające się mięso, a nie osobę. Resztki włosów czasami przeszkadzały, czasami przypominały, że to była osoba, ale najczęściej potrafił nawet to ignorować.

Inspektor z okręgowej znalazł miejsce koło zlewu, tak daleko od stołu, jak to możliwe, i usiłował przybrać nonszalancką minę. Wierzchem dłoni wrzucał w usta miętowe gumy do żucia i podejrzliwie zerkał na Caffery'ego. Twarz miał błyszczącą od potu.

Beatrice przysunęła mikrofon wiszący na ruchomym ramieniu nad stołem. Podała datę, czas, miejsce, nazwiska obecnych.

- Mam przed sobą szczątki kobiety, którą przypuszczalnie jest...? - Spojrzała na inspektora z okręgowej.

- Uch... Lucy Mahoney. - Inspektor oderwał oczy od zwłok, od ubrania nasiąkniętego brązowymi płynami i zmusił się do spojrzenia na Beatrice. - Tak sądzimy. Data urodzenia: zero dwa zero jeden siedemdziesiąt osiem. Zaginęła trzy dni wcześniej.

- Więc mam dokonać także identyfikacji?

- Najbliższy krewny zidentyfikował ubranie. Były mąż. Ale jej stan... - gestem wskazał to, co zostało z twarzy - ...nie pozwala na identyfikację.

- Znamy cechy charakterystyczne?

- Były mąż na razie jest dość rozdygotany. Próbujemy skontaktować się z oficerem prowadzącym śledztwo w sprawie jej zaginięcia, mamy nadzieję, że dysponuje bardziej

szczegółowym opisem. Na plus możemy zapisać, że nie trzeba czekać na kartotekę dentystyczną, ponieważ tutejszy szpital ma jej dokumentację. Dwa miesiące temu wyrwano jej zęba pod znieczuleniem. Mamy szczęście, co? W każdej chwili powinni ją dostarczyć.

- W takim razie jeśli stężenie ustąpiło... - Beatrice wyłączyła mikrofon, uniosła rękę Mahoney i zgięła. - O tak, bardzo ładnie. Jak skończymy, prześwietlę zęby, oszczędzimy biednemu byłemu traumy.

Ponownie włączyła mikrofon i odczytała wskazania elektronicznej wagi.

- Denatka w ubraniu waży pięćdziesiąt pięć kilogramów. Jak zwykle należy zastrzec, że nastąpił poważny rozkład, więc moim zdaniem szaleństwem byłoby brać to za wiarygodny wskaźnik wagi przed śmiercią. - Spojrzała na pomocników. - Fester? Lurch? - Caffery obserwował ją z półśmiechem. Nie spotkał nikogo podobnego do niej. Podczas każdej przeprowadzanej sekcji pomocników w każdej kostnicy zawsze nazywała Fester i Lurch. I zawsze uchodziło jej to na sucho. Niewiarygodne. - Przesuńcie ją trochę.

Wykonali polecenie i teraz pozostałości szyi Lucy spoczywały na wałku. Beatrice wolno okrążyła stół, mówiąc do mikrofonu. Co jakiś czas się pochylała, by sprawdzić szczegół, który zwrócił jej uwagę.

- Denatka ma na sobie długą zieloną spódnicę z aksamitu, bluzkę w kwiaty, wełniany sweter w paski, pasiaste rajstopy, sznurowane buty także zdobione wzorem. Ubranie zostało sfotografowane i opisane, dlatego teraz je zdejmę.

Bez pośpiechu przecięła najpierw spódnicę, odrywając ją w miejscach, gdzie przykleiła się do skóry, potem namokniętą bluzkę. Do ściągnięcia stanika musiała użyć haka, tak mocno wbił się w skórę. Pod ubraniem ciało Lucy było inne, wcale nie czarne i pokryte czerwiami, ale twarde i woskowe, błękitnawe. Całą odzież przekazano technikowi, który pilnował, by wszystko zostało właściwie spakowane i opisane. W kieszeni były jedynie klucze. Zmarła nie miała przy sobie torebki, pieniędzy czy kosmetyków.

- Gdzie ją znaleziono?

- Koło torów.

- W mieście?

- Na wsi.

- Miała szczęście - powiedziała Beatrice. - Ominęło ją wleczenie. Czasami przywożą ich do mnie w dwudziestu workach - lisy potrafią tak rozrzucić ciało, że można by pomyśleć, że to jakaś gra. Pamiętasz tę kobietę na polu golfowym w Beckenham? Pracowałeś przy tej sprawie, Jack, o ile mnie pamięć nie myli. Sześciu ludzi szukało jej przez cały dzień, a i tak wszystkiego nie znaleźli. Ha, lisy też muszą jeść. - Pochyliła się i zwróciła do zmarłej. -

Dobrze, kochana, teraz trochę tobą poruszam. - Chwyciła zwłoki za biodra i podniosła. Spomiędzy obwisłych, żółtawych pośladków wolno popłynęła ciecz. - Mamy tu mnóstwo artefaktów powstałych po śmierci.

Caffery zrobił krok w stronę stołu.

- Po śmierci?

- To nie jest aż tak jasne, ale popatrz tutaj. Na pośladkach są otarcia. - Palcem w rękawiczce wskazała miejsce, o którym mówiła. - Powiedziałabym, że to robota mrówek albo innych owadów.

Położyła zwłoki i dokładnie sprawdziła powierzchnię ud, brzucha i ramion, przesuując palcami po skórze. Podniosła rękę zmarłej i kucnęła, by obejrzeć pachę. Coś ją zaintrygowało. Wyregulowała ruchomą lampkę tak, by snop światła padał na zagłębienie.

Inspektor z okręgowej zbliżył się do stołu.

- O co chodzi?

- Niewielka ranka. Tutaj.

Nacisnęła bliznę i zaraz pokręciła głową.

- Operacja. Przeprowadzona nie w ostatnim okresie, ale rok, dwa lata temu. Niezbyt przydatna jako cecha charakterystyczna, ale może się pojawić w rysopisie. Jeśli nie dostaniemy kartotek dentystycznych, to coś przynajmniej będziemy mieli.

- Jaka operacja?

- Blizna jest mała i okrągła, pewnie po endoskopowym zabiegu w górnej części klatki piersiowej. Może chodziło o wycięcie nowotworu z płuc, może o biopsję. Ładna czysta blizna. Wykonana przez lepszego fachowca niż ten, który robił jej cesarkę. - Wyprostowała się i czubkiem palca przesunęła po miednicy zmarłej. - Okropność. Zastrzelić położnika. Teraz zajmiemy się innymi ranami, są ważniejsze. - Ujęła lewą dłoń Lucy, bacznie studiując wewnętrzną stronę. - Rany cięte na prawym nadgarstku. Na lewym jedno cięcie częściowo uszkodziło tętnicę promieniową, drugie przecięło tętnicę łokciową.

Rany na ręce Lucy biegły nie w poprzek, lecz wzdłuż, od dłoni do łokcia, krawędzie wyglądały jak suszone mięso i rozchylały się, odsłaniając skomplikowaną sieć naczyń krwionośnych i nerwów. Nie w poprzek. Caffery już widział takie rany, to był najskuteczniejszy sposób na odebranie sobie życia. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach, i znowu przyjrzał się włosom.

- To znaczy, że poważnie miała taki zamiar - powiedziała Beatrice. - W każdym razie na tym przegubie. Na prawym nie poszło tak rewelacyjnie, czego należało się spodziewać. Ta druga rana jest otwarta. Przecięła więzadło nadgarstka, odsłoniła więzadło poprzeczne i

zginacz palca.

- Obok ciała leżała fiolka z tabletkami - wtrącił inspektor z okręgowej. - Temazepam. I nóż introligatorski.

- Nóż pasuje. Nacisk był tak wielki, że pozostawiłby rany na palcach, gdyby to było samo ostrze...

Caffery dopiero po chwili zorientował się, że Beatrice zamilkła. Uniósł głowę i zobaczył, że się w niego wpatruje. Marszczy czoło. Odłożyła dłoń Lucy Mahoney, okrążyła stół i podeszła do niego tak blisko, żeby pozostali jej nie słyszeli.

- Jack - mruknęła - byłam wobec ciebie grzeczna, nie zadawałam żadnych pytań, nie miałam pretensji, że robisz tłok w mojej sali, ale jeśli czegoś szukasz, czemu po prostu mi nie powiesz?

Caffery zerknął na inspektora z okręgowej, po czym nachylił się ku Beatrice i cicho powiedział:

- Uczesz jej włosy, dobrze, Beatrice? Uczesz i umyj. Sprawdź, czy nie zostały obcięte.

- Obcięte? W jaki sposób? W stylu Trevora Sorbiego?

- Wyrwane, obcięte, ogolone. Wszystko, co wydaje się dziwne.

Obrzuciła go zaintrygowanym spojrzeniem, po czym zwróciła się do pomocnika:

- Fester, kochany, uczesz ją i wypłucz włosy. Zrób to dla mnie.

Pomocnik wsunął grzebień we włosy Lucy Mahoney. Znajdujące się w nich drobinki spadały na papier, który trzymał poniżej. Odłożył papier na wózek z dowodami i ujął mały wąż umocowany do stołu.

Beatrice i Caffery równocześnie się pochyłili. Po splukaniu włosy Lucy Mahoney były rudawe i wisały w długich wilgotnych strąkach. Nie zostały obcięte ani ogolone.

- Nie tego się spodziewałeś?

- Dzięki, Beatrice. - Caffery ściągnął rękawice i ruszył do drzwi. - Postaram się więcej nie psuć ci dnia.

11

Choć Pchła była drobna, wiedziała, jak korzystać z ciała. Ubrana w bojówki, czysty biały T-shirt i ciemne okulary maskujące zaczerwienione oczy była siłą, z którą należało się liczyć, gdy stała na środku podjazdu. Na jej widok taksówkarz gwałtownie zahamował. Uniosła rękę i wsunęła się na tylne siedzenie. Przez jakiś czas nikt nie wyprowadzi samochodu przed dom, pomyślała ponuro.

Popołudnie było pogodne, taksówkarz włączył klimatyzację, ale po kilkuset metrach zaczął pociągać nosem. Pchła, która siedziała nieruchomo ze stopami wbitymi w podłogę, podniosła oczy i stwierdziła, że kierowca przygląda się jej we wstecznym lusterku. Znowu pociągnął nosem, mrużąc podejrzliwie oczy i usiłując obejrzeć jej ubranie.

- Wybiera się pani w przyjemne miejsce? - zapytał spokojnie. - Miłe miejsce w ładny dzień.

- Nie. - Otworzyła okno, by wpuścić do środka powietrze. - Nie jadę w żadne miłe miejsce, tylko do brata.

Wyjęła telefon. Dzwoniła do Thoma sześć razy, za każdym odzywała się poczta głosowa. Nie miało sensu ponownie próbować. Mogłaby zatelefonować do najstarszego przyjaciela taty, Kaisera, ale on nigdy nie lubił Thoma, zresztą w ostatnich dniach za wiele rzuciła na jego barki. Upuściła komórkę na kolana i oparła się wygodnie. Powietrze wpadające przez okno było słodkie, ciepłe i pełne jaskrów, przynosiło wrażenie zachodu, morza za Bristolem i Walią. Pchła znała te drogi od zawsze. Dorastała z widokiem na siedem świętych wzgórz, na utkane pomiędzy nimi domy w stylu króla Jerzego, na oddalone Sally-in-the-Wood i dolinę Avon.

Myślała o Thomie, o tym, jak wszyscy martwili się o niego, bo był dzieckiem za chudym i za niskim na swój wiek. Łatwo łapał infekcje, późno nauczył się chodzić i zawsze jakimś sposobem znajdował najszybszą drogę do kłopotów. Rodzice musieli bardzo się starać, żeby nie stracić cierpliwości. Czasami to się im nie udawało.

Pamiętała, jak pewnego razu wróciła z zalanego słońcem ogrodu do chłodnego domu. Były ferie, rodzice nie poszli do pracy, ale w środku panowała cisza, więc się zaważała i bezszelestnie poszła na górę. Najpierw znalazła matkę siedzącą na skraju łóżka w sypialni. Ubrana w szorty i zielone sandały, wpatrywała się w lustro. Długimi białymi palcami

przyciskała do uszu słuchawki; jej postawa, napięcie widoczne w dłoniach, podwinęte palce stóp powiedziały Pchle, że nie powinna się zbliżać. Jill Marley spojrzała na córkę. Twarz miała pozbawioną emocji. Patrzyły sobie w oczy prawie przez minutę, potem Jill znowu odwróciła się do lustra.

Drzwi do pokoju Thoma po drugiej stronie korytarza były uchylone. Pchła podeszła na palcach i zajrzała do środka. Zobaczyła dziwną scenę. Ojciec klęczał na środku pokoju, ośmioletni Thom stał przed nim. Na twarzy ojca malowała się determinacja, jakby wierzył, że siłą wzroku przebije góry. Na początku Pchła myślała, że rozmawiają, później przekonała się, że to nie jest środek rozmowy, ale aktu przemocy.

David Marley wziął głęboki wdech, zamknął oczy i uderzył syna w twarz. Pchła wiedziała, że to nie był pierwszy raz tego popołudnia. Domyślała się, że trwa to od długiego czasu: ojciec patrzy na Thoma, Thom patrzy na ojca, co kilka sekund ojciec podnosi rękę i bije go. Rozumiała także, o co tu chodzi. Ojciec próbuje skłonić Thoma do reakcji. Na próżno. Mogłaby mu powiedzieć, że marnuje czas. Thom stał z rozchylonymi ustami. Nie reagował. Nie płakał. Taki po prostu był. Irytujący, zamknięty w sobie, niesamowity. Nie całkiem rzeczywisty.

A teraz tylko on został jej na całym świecie. Po śmierci rodziców tylko Thom mógł ją przekonać, że ich dzieciństwo naprawdę się zdarzyło.

Kiedy zginęli, Thom nie zgodził się na powrót do rodzinnego domu i teraz mieszkał w bliźniakach z lat trzydziestych na obrzeżach Bristolu. Wszystkie domy przy ulicy wyglądały identycznie, miały kafelki na ścianach i szybki w kształcie diamentu w oknach. Na starannie zamiecionym progu Thoma stała pusta butelka po mleku z przyklejoną karteczką. Thom od lat nie potrafił znaleźć sobie stałego zajęcia, a ostatnio całą energię poświęcał na utrzymywanie w porządku maleńkiego domu, gdy jego dziewczyna była w pracy. Thom, biedny, bezdomny Thom, fatalnie wyposażony do radzenia sobie ze światem. I taki głupi.

- Powinnaś była najpierw zadzwonić. - Uchylił drzwi na tyle, by wyjrzeć. - Powinnaś była zadzwonić. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Dzwoniłam - syknęła. - Miałaś wyłączony telefon. - Zrobiła krok do przodu, napierając na drzwi; spodziewała się, że brat ustąpi, ale się pomyliła. - Thom, wiesz, dlaczego tu jestem.

- To był wypadek - szepnął. - Wypadek.

- Wpuść mnie.

- To był wypadek, nie chciałem, żeby się tak stało. Ona po prostu wyszła spomiędzy drzew. To był prosty, szybki odcinek. Nie miałem szans.

- Musimy pogadać. Wpuść mnie.

- Mandy niedługo wróci. - Z kieszonki koszuli wyjął chusteczkę, przetarł oczy i usta. -
Będzie chciała coś zjeść...

Pchła pchnęła drzwi, weszła do środka, wyminęła brata.

- Guzik mnie obchodzi Mandy. Musimy pogadać. Chodź.

Weszła do salonu z plastikowymi kwiatami w wazonie i szklanymi ozdobami na stoliku, każdy drobiazg odkurzony i na swoim miejscu - w ekranie telewizora zobaczyła swoje odbicie. To zupełnie nie przypominało bałaganiarskiego domu rodziców. Thom nie miał w sobie nic z Marleyów.

Kiedy się upewnił, że siostra nie ma zamiaru sobie pójść, dołączył do niej.

- Usiądź - poleciła.

Posłusznie przysiadł na skraju fotela.

- No i jak? Wrobisz mnie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo jestem idiotką. Jestem miękka. I na tyle głupia, żeby się tobą przejmować, ty beużyteczny dupku.

- Należy mi się.

- To prawda. Nie masz pojęcia, jaką puszkę gówna otworzyłeś.

Poprawił się na fotelu, nie patrząc jej w oczy. Miał na sobie modne sztruksowe spodnie, kraciastą koszulę i prosty brązowy sweter. Bardzo jasne włosy, blada cera i lekko odstające uszy nadawały mu wygląd mgliście nasuwający na myśl kujona. Pchła nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógł zabić kobietę, nawet przypadkiem, i nikomu o tym słowem nie wspomnieć, że na chłodno zapakował ją do bagażnika i zawiózł do domu siostry.

- Znałeś ją?

- Mówiłem ci, wyszła mi pod koła. Zanim się zorientowałem, było po wszystkim. Spanikowałem, Pchła. Po prostu spanikowałem.

- Ale wiesz, kim ona jest?

- Oglądam wiadomości. Całymi dniami.

- Więc wiesz, że nie przestaną jej szukać. Nigdy w świecie.

- Wiem.

Pchła westchnęła.

- W głowie mi się nie mieści, że prowadzę tę rozmowę.

- Nie miałem pojęcia, zielonego pojęcia, co dalej robić.

Była przekonana, że nigdy nie pozbędzie się smaku, który teraz wypełniał jej usta. Siedziała na sofie naprzeciwko Thoma i nie odrywała od niego wzroku.

- Dobra. Sprawa wygląda tak. Jak mówiłam, nie pójde na policję.

- Nie?

- Nie, ale ty pójdziesz.

Thom usiadł głębiej. Głośno wypuścił powietrze.

- Posłuchaj. - Pchła uniosła rękę. - Przypomnę ci, jak to było, dobra? Jesteś w depresji. Od śmierci rodziców nie czujesz się dobrze. Dokumentacja lekarska to potwierdzi.

- Czuję się lepiej, odkąd jestem z Mandy. Sprawy układają się lepiej.

- Jesteś w depresji. A tamtego wieczoru pożyczyłeś mój samochód, bo miałeś wszystkiego dość. Chciałeś się przejechać, uporządkować myśli. Nie byłeś pijany, ale płakałeś - do tego się przyznasz. Byłeś w hysterii. Uderzyłeś w coś na drodze. Na początku myślałeś, że to było zwierzę, ale potem, kiedy zobaczyłeś nagłówki, zacząłeś się zastanawiać, czy...

- Chryste.

- Thom, to jedyne wyjście. Papiery masz aktualne, tak? Prawo jazdy?

- Tak.

- Moje ubezpieczenie jest w absolutnym porządku, obejmuje ewentualność, że ty prowadzisz, samochód był w doskonałym stanie, przegląd techniczny jest sprzed miesiąca. Stoimy na mocnej pozycji. Postaramy się o opinię psychiatryczną, powołamy na ograniczoną odpowiedzialność, rozpoznany stan psychiczny, czy jak to tam teraz nazywają, i w tym kraju nie znajdzie się sędzia, który automatycznie wsadzi cię do więzienia. Bardziej prawdopodobne jest to, że skierują cię na leczenie. Będą cię trzymać w tej psychiatrycznej wirówce, aż w końcu słońce wyjdzie i ktoś wyrzuci cię z systemu.

Thom chudymi dłońmi zaczął masować się po skroniach. Przez skórę przebijały się niebieskie żyły.

- Najpierw jednak musimy przewieźć ciało na miejsce.

- Boże, błagam, tylko nie to.

- Położymy je tam, gdzie doszło do wypadku. Zostawimy na kilka dni, żeby zwierzęta mogły się do niego dobrać. Musimy zniszczyć jedno dowody i stworzyć inne. W tym czasie ty poddasz się badaniom.

- Badaniom?

- Musisz mieć dokumentację psychiatryczną. Zorientujemy się, jak najlepiej to załatwić. Najpierw jednak musimy odwieźć ciało na miejsce. - Pchła wstała. - Teraz.

Pojedziemy twoim samochodem. Musisz mi pokazać, gdzie to było.

Thom się nie poruszył.

- Trzeba ją tam odwiedzić, Thom. Technicy udowodnią, że to był wypadek.

Pokręcił głową i spojrzał na dłonie, jakby znalazł w nich odpowiedź. Pchła ze znużeniem przesunęła palcami po twarzy.

- Posłuchaj mnie. Najlepiej będzie, jeśli posłuchasz mnie bardzo uważnie. Zrobiłabym dla ciebie wszystko, ponieważ jesteś moim młodszym bratem. Ale nie potrafię zastąpić cię w sprawie, którą sam musisz załatwić. - Pochyliła się ku niemu. - Musisz mnie tam zaprowadzić. Słyszałeś? Rozumiesz?

Nie odpowiedział. Z holu dobiegł szcęk otwieranych drzwi frontowych.

- Mandy - syknął. - Szybko.

Pchła westchnęła. Wstała, nie prostując założonych rąk, podczas gdy w holu krzątała się Mandy, odkładała klucze, przeglądała pocztę. Po chwili weszła do salonu. Zatrzymała się na widok Pchły i jej surowej miny.

Mandy była starsza od Thoma o kilka lat: niska, przysadzista kobieta, która ubierała się w szare lny i nosiła mnóstwo indyjskiej biżuterii. Dzisiaj miała na sobie oliwkowy żakiet i białe spodnie. Jej okrągłą twarz otaczały ścięte na krótko włosy, pofarbowane na kolor ciemnoczerwony, niemal fioletowy. Niosła na wpeł otwarty plecak, z którego wystawały papiery i teczki. Postawiła go na ziemi i wolno odpinając żakiet, wodziła wzrokiem od Pchły do Thoma.

- Dobra - powiedziała w końcu. - Przyszłam nie w porę.

Zapadło krótkie milczenie. Thom oblizwał wargi. Pomimo swej rezerwy nigdy nie należał do odważnych, a Mandy bał się śmiertelnie. O czym ona dobrze wiedziała. Dominowała nad nim, nie spuszczała go z oka, kazała gotować i sprzątać. Sporą część pieniędzy z jego spadku wydała na alternatywną grupę teatralną z Easton. Zwykle Mandy i Pchła niewiele miały sobie do powiedzenia.

- Mandy, właśnie wychodziłam. Thom, zadzwoń do mnie, jak się zastanowisz, dobrze?

Nie odrywał od niej wzroku. Skóra wokół jego ust lekko posiniała.

- Thom? - powiedziała znacząco Pchła.

Otrząsnął się z transu.

- Tak - mruknął pośpiesznie. - Zadzwonię, przysięgam.

12

W poczekalni przed kostnicą tuż koło drzwi siedział mężczyzna. Podniósł dłoń, gdy do środka wszedł Caffery.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. - Nie zatrzymując się, Caffery wyjął telefon. Chciał sprawdzić, czy Powers po raz kolejny nagabywał go w sprawie Kitson, ale też był ciekawy, czy Pchła odpowiedziała na jego telefon. Podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła. Coś w nim złagodniało. To było dobre doznanie - czyste, swobodne, takie samo, jakie czasem miał przy pierwszym drinku.

- Proszę wybaczyć, muszę z panem porozmawiać.

Caffery przystanął. Tamten wstał. Był wysoki, miał wielkie dłonie, wypolerowane buty i schludnie uczesane brązowe włosy. Zbyt brązowe. Pomógł sobie farbą.

- Są jakieś wiadomości?

- Wiadomości?

- O Lucy. Pan był w środku, prawda?

- Kim pan jest?

- Colin Mahoney. To moja żona. To znaczy była żona, ale zachowała moje nazwisko.

Mówią, że się zabiła. Tak było? Tak uważa lekarz?

- Funkcjonariusz kontaktowy wszystko panu przekaże. Myślę, że zaraz tu będzie.

- Kto taki?

- Nie przydzielono panu funkcjonariusza do spraw kontaktów z rodziną, kiedy Lucy zaginęła?

- Ach, ona. - Colin wytarł czoło. - Przepraszam, ale nie bardzo jej wierzę. Dzisiaj nawet do mnie nie zadzwoniła. A teraz Lucy tam jest, pewnie już pocięta.

- Ta funkcjonariuszka o wszystkim panu powie. Ja nie jestem upoważniony.

- Więc kim pan jest?

- Inspektor Caffery. - Machnął legitymacją. Nie dodał, że z wydziału kryminalnego.

- OK, inspektorze Caffery. Niech mi pan powie, czy ona się zabiła?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Może pan.

Caffery westchnął, chowając legitymację do kieszeni.

- To nie jest moje śledztwo, ale gdyby było, na tym etapie przypuszczalnie powiedziałbym panu to samo, co powie mój odpowiednik, kiedy stamtąd wyjdzie. To samo powtórzy funkcjonariuszka kontaktowa.

- Czyli co?

- Że do rozprawy wstępnej nie jesteśmy w stanie niczego jednoznacznie stwierdzić, ale na razie nie szukamy nikogo w związku z jej śmiercią.

Mahoney opadł na krzesło. Oparł łokcie na kolanach i pochylił głowę, wpatrując się w dywan.

- Nie wierzę w to. Po prostu w to nie wierzę.

Obserwując go, Caffery myślał o tym, co musiała przeżywać jego matka. Kiedy miał osiem lat, jego starszy brat Evan wyszedł z rodzinnego domu w południowym Londynie i ślad po nim zaginął. Nie znaleziono jego ciała. Stało się to pewnego sobotniego popołudnia ponad trzydzieści lat temu, a w tamtych czasach policja metropolitalna nie miała funkcjonariuszy do kontaktów z rodziną. Nie było nikogo, kto usiadłby koło jego mamy i powiedział: „Gdyby chciała pani o tym porozmawiać, jestem do dyspozycji. To mój numer, proszę dzwonić o każdej porze. A teraz może napije się pani herbaty, kochana?”.

- Funkcjonariuszka kontaktowa zaraz tu będzie.

- Nie, coś tu nie gra. - Mahoney podniósł głowę. Twarz miał nabiegłą krwią. - Jeśli to sobie zrobiła, co w takim razie stało się z Benjym?

- Benjym?

- Psem. Mówiłem policji, że to ważne. Od tego zacząłem. Lucy wzięła go ze sobą. Musiała mieć go w samochodzie, bo na tylnym siedzeniu znaleźli psie herbatniki. Ale Benjy nie wrócił.

- Panie Mahoney, proponuję, żeby omówił to pan ze swoją...

- Stąd wiem, że coś tu nie gra. To znaczy od samego początku coś poważnie nie grało, bo gdyby miała zamiar coś sobie zrobić, nie wzięłaby go ze sobą. Dopilnowałaby, żeby ktoś się nim zaopiekował. Więc gdzie jest Benjy?

Caffery myślał o psie. Porzuconym, zagubionym, żyjącym w lesie, czającym się w ogródkach. Dzikim wzrokiem szukającym śladów ludzkiej obecności: szop, kosiarek, rdzewiejących grillów, dziecięcych huśtawek. Myślał o wszystkich stworzeniach żyjących na obrzeżach miast i wsi. Ale to nie jego problem.

- Jestem pewien, że Benjy wróci, panie Mahoney.

- Już by to zrobił. Musiał u kogoś zostać. To sprytny psiak. Sprytny i lojalny.

- Panie Mahoney, mówiłem już, że nie prowadzę tego dochodzenia. Moje kondolencje, najszczerze kondolencje z powodu śmierci Lucy. Mam nadzieję, że Benjy wróci cały i zdrowy. Ale... - Położył dłoń na ramieniu Mahoneya, patrząc mu prosto w oczy. W tej robocie człowiek musi uważać. Nie może łamać sobie serca dla każdego, kto miał pecha i znalazł się na stole patologa. Ale może przez minutę o nim pomyśleć. Żeby zaznaczyć jego życie i swój przelotny w nim udział. Dlatego pozostał w tej pozycji przez chwilę, potem pokręcił głową i odwrócił się. - Ale o tym musi pan powiedzieć funkcjonariuszowi kontaktowemu.

Człowiek poświęca czas, by okazać szacunek. Potem musi iść dalej. Szybko.

13

O ósmej wieczorem w telefonie Pchły była tylko jedna wiadomość. Od Jacka Caffery'ego. Nie oddzwoniła, nie miała ochoty na gadanie. Kiedy ikona wiadomości pojawiła się na wyświetlaczu, wywołała pocztę głosową, żeby ją odsłuchać. Czy mogłaby zadzwonić do niego w sprawie, o której wcześniej rozmawiali? Chciałby temat rozwinąć. Oczywiście miał na myśli jej piersi. Ten temat chciałby rozwinąć. Siedziała w salonie w starym fotelu ojca z kubkiem herbaty pod ręką, zmęczona tak, że czuła ból w każdej kosteczce, i myślała, jakie to dziwne, jakie dziwne, że ledwo kilka godzin temu znajdowała się w zupełnie innym świecie. Miała inne nadzieje, inne obawy.

Thom nie zadzwonił. Wybierała jego numer osiem razy i nieodmiennie zgłaszała się pocztą głosową. Mandy pracowała na drugą zmianę i dawno poszła do biura obsługi klienta, którym kierowała. A to znaczyło co? Że Thom wciąż unika stawienia czoła problemowi.

Coś trzeba zrobić z Misty, i to szybko. W tym upale już wkrótce nie będzie można jej przenieść, ciało się rozpułynie. Pchła widziała, jak przydarzało się to zwłokom po paru dniach w upale. Misty zacznie wyciekać z samochodu. Im dłużej płyny będą się sączyć, tym trudniej będzie oderwać Misty od tapicerki bagażnika i położyć ją na poboczu. Nie mogą z tym zwlekać.

Poszła na górę, z zagraconej sypialni wyciągnęła stary wentylator podłogowy i zawlokła go do garażu. Włączyła urządzenie do prądu, zamknęła oba zamki, wzięła klucze i kurtkę. Na podjeździe parkował mały renault clio. Wynajęła go po wizycie u Thoma. Był błyszczący i niebieski, pachniał środkiem do czyszczenia tapicerki i woskiem. Tak bardzo różnił się od focusa. Prowadzenie go było niemal przyjemnością.

W biurze w Almondsbury panował spokój. Odór, z którym przez ostatnie dwa dni bawili się w chowanego, zniknął. Co za niespodzianka. Teraz unosił się tu zapach gabinetu dentystycznego. Na jej biurku leżała notka od Wellarda z informacją, że inspekcja bhp zabrała węże, odezwać się po zakończeniu badań. Czyli nie wiadomo kiedy. To oznaczało też, że nie zamierzają wypytywać jej o okoliczności wypadku, na przykład o to, na jaką głębokość zeszała. W każdy inny dzień od razu poprawiłby się jej humor.

Pracowała szybko i w milczeniu: z magazynku wzięła ochraniacze na buty, rękawice i trzy żółte kombinezony do pracy z materiałami groźnymi biologicznie. Z szafy wyjęła trzy

zwinęte pasy, dwie plastikowe płachty i garść opasek zaciskowych. Wrzuciła wszystko do torby na sprzęt i zaniósła do samochodu. Z radiem grającym na pełny regulator pojechała na obwodnicę, zatrzymując się przed różnymi sklepami spożywczymi, żeby kupić lód. W sklepie Smile w Hanham znalazła dziesięć różowych i zielonych tacek do kostek lodu w kształcie kierów, karo, pików i trefli. Kupiła wszystkie. Zapłaciła gotówką.

Thom wciąż nie odbierał telefonu.

Do domu wróciła o jedenastej. Sprawdziła, czy na żwirze nie ma odcisków stóp - z nawyku, przyzwyczajona, że Oscarowie wędrują po jej ziemi jak po własnej. Ogród Marleyów w przeszłości należał do Oscarów. Nie ukrywali, że chcą go odkupić, by odzyskać zejście do doliny. Ogród był potężny, idiotyczny i zapuszczony, o wiele za wielki, by mogła się nim zająć, a gdzieś w środku tej dziczy znajdował się poważny problem: altana zbudowana przez jakiegoś młodego pana posiadłości w dziewiętnastym wieku. Obecnie się waliła. Geodeta w żółtym kasku, który przyszedł na inspekcję, powiedział, że przeczy ona wszelkim prawom fizyki i stanowi zagrożenie. Trzeba ją wyremontować albo zburzyć. Ale Pchła nie zamierzała się poddać. Ogród był radością i dumą mamy. Niezależnie od kłopotów, jakie sprawiał, nigdy go nie sprzeda.

Odcisków stóp nie było. Dom wyglądał tak samo jak w chwili, gdy z niego wychodziła. Zaparkowała clio na podjeździe i weszła do środka. Już w holu uderzył ją odór z garażu. Na rany Chrystusa, jak mogła przez te ostatnie dni chodzić koło focusa, nawet jeździć tym cholerstwem i nic nie poczuć?

Zostawiła torby z lodem w garażu, całą resztę zaniósła do salonu i rozebrała się do bielizny. Kombinezon z tyveku był o dwie klasy grubszy od tych, których używali technicy na miejscu zbrodni, i bardzo ciepły. Wciągnęła go, upięła niesforne włosy na karku i włożyła kaptur. Trzymając się sofy, wepchnęła stopy w ustawione poprzecznie ochraniacze, tak jak robiła to z płetwami. Maskę zostawiła wiszącą pod brodą. Z kuchni wzięła butelkę wody i popijając, niezgrabnie poczłapała do garażu.

- Dobra. - Zatrzasnęła za sobą drzwi. - Teraz się tobą zajmujemy.

Zwłoki należało schłodzić. Noce wciąż były zimne, ostatnie dni także, co oznaczało, że Pchła musi spowolnić rozkład do poziomu, który nastąpiłby na dworze. Nie może zamrozić ciała, a potem go odmrozić, taki proces pozostawiłby ślady, które dobry patolog natychmiast by wyłapał, zauważyłby charakterystyczne kryształki lodu w mięśniach, zwłaszcza w sercu. Mimo to rozkład trzeba jakoś powstrzymać.

Włączyła potężną zamrażarkę w rogu, nie używaną od lat, od dnia, gdy ojciec zaprowadził rodzinę pod licznik elektryczny i kazał im ze zgrozą patrzeć, jak maleńkie

czerwone cyfry pędzą, gdy zamrażarka jest włączona, i zwalniają po jej wyłączeniu. Pożerała prąd jak szalona, więc używało się jej tylko na przyjęcia i w środku lata, kiedy mama robiła lody. Pchła napełniła tacki wodą i ułożyła na aluminiowym dnie. Zamknęła zamrażarkę, zębami otworzyła woreczki z lodem i wysypała kostki do starej żeliwnej wanny, która stała w kącie między kosiarkami i sprzętem do nurkowania.

Po otwarciu bagażnika odór był przytłaczający. Mając tylko maskę bez aparatu do oddychania, musiała się odwrócić i wziąć kilka głębokich wdechów, by powstrzymać odruch wymiotny. Kiedy mięśnie gardła się uspokoiły, zabrała się do pracy. Kombinezon przy każdym jej ruchu szeleścił jak zeschnięte liście.

Włożyła zawartość torebki Misty do zamykanego woreczka z zielonego plastiku, wymontowała półkę z focusa i ustawiła tylne oparcia w pozycji poziomej. Jedną plastikową płachtę położyła koło tylnego koła, drugą pod zderzakiem, koniec wsuwając do bagażnika i wtykając pod lewe ramię i kolano Misty. Wsiadła na tylne siedzenie i pochyłona, wetknęła dwa pasy pod ramiona i biodra zmarłej. Wyczołgała się z samochodu i stanęła przy bagażniku. Odszukała końce pasów, rzuciła je na plastikową płachtę i mocno przydeptała. Chwyliła za klamry i głęboko oddychając, zaczęła ciągnąć.

Najpierw nic się nie stało, potem z odgłosem darcia ciało oderwało się od dna bagażnika i przetoczyło na bok, tak że teraz twarz Misty opierała się o krawędź zderzaka. Pchła przesunęła jej kolana, by ciało nie spadło na podłogę. Znowu zrobiła kilka wdechów.

Potylica Misty pokryta była krwią i teraz Pchła wiedziała, co ją zabiło: potężny cios w lewą stronę głowy, kiedy ta weszła w kontakt z dachem samochodu. Pchła dostrzegła wszystkie szczegóły ucha Misty w miejscu, gdzie zostało oderwane od czaszki, fałdy, szczeliny i kanały - przed oczami przemknął jej obraz, jak wiele lat temu się formowało, zobaczyła oszałamiający pokaz slajdów prezentujących całe życie: narodziny, niemowlęctwo, wypadanie mlecznych zębów, skarpetki i podrapane kolana. Pierwsza szminka, pierwszy chłopak, pierwszy zawód miłosny. Narkotyki, alkohol, diety. Zobaczyła to tak wyraźnie, jak widziała własną przeszłość, i chociaż wiedziała, kim była Misty, chociaż zdawała sobie sprawę, że gdyby się poznały, nie miałyby sobie nic do powiedzenia, poczuła, jak ogarnia ją lodowata samotność.

Odwróciła głowę na bok, głęboko oddychając.

- Przestań - mruknęła przez zaciśnięte zęby. - Przestań. - Wyciągnęła szyję i wytarła pot ramieniem. Nigdy nie straciła panowania nad sobą przy pracy ze zwłokami i nie dopuści, by stało się to teraz.

- OK. - Spojrzała na rozbitą czaszkę Misty, na gęste jasne włosy. - Przepraszam,

przepraszam za to, co z tobą robię. Uwierz w to, bardzo proszę.

Poczekala chwilę, jakby Misty mogła odpowiedzieć, potem jęcząc z wysiłku, powoli opuściła ciało na plastik. Zwykle tego rodzaju czynności wykonywała przy pomocy trzech innych osób, ale Misty była lekka i bez trudu dawała się toczyć. Jej prawa ręka opadła, odsłaniając twarz. Pchła, opierając dłonie na kolanach, oddychała ciężko i przyglądała się zmarłej. Misty była tak napuchnięta, że własna matka by jej nie poznała, nie wspominając już o brukowcach i wielbicielach. Gdyby leżała na poboczu, ile czasu musiałyby upłynąć, żeby zwłoki osiągnęły taki stan? Więcej niż te cztery dni, które spędziła w bagażniku.

Pchła złożyła plastik, zakrywając twarz Misty. Na czubku zrobiła równą fałdę, a końce zwinęła i spięła opaskami. Z wysiłkiem, czując napięcie w plecach, zaniósła kokon do wanny i ostrożnie położyła na lodzie. Chwilę przyglądała się zamazanej postaci Misty. Z lodu już unosiła się lekka mgiełka, otulając ją całunem, wysyłając lodowate powietrze poprzez plastik do skóry, mięśni i nerwów.

- Wiem, że nie ma Boga, ale jeśli się mylę i jest gdzieś tam wysoko, to na rany Chrystusa... - Ściągnęła rękawice, rzuciła je na podłogę. Czowała, jak przygniata ją brzemień tej sprawy. - Na litość boską, niech ma cię w opiece, Misty. Niech ma cię w opiece.

Kiedy Pchła się wykąpała, umyła włosy i ubrała (czarne bojówki i służbowa czarna koszulka polo), księżyc już wzeszedł. Za oknem chmury podkradły się na szczyt Calverton Down i wolno maszerowały w stronę domu. Jedna miała kształt dłoni. Rozcapierzone pazury próbowały dostać się do ogrodu, przejść po dachu. Pchła zamknęła okno. Na zasuwkę.

W garażu pomimo pracującego wentylatora wciąż utrzymywał się odór. Wybrała rondlem wodę, dodała kostek lodu, napełniła tace w zamrażarce. Bagażnik focusa był otwarty, wewnątrz ogołoczone do pleśniejących paneli. Wcześniej piłą elektryczną pocięła półkę i tapicerkę bagażnika na kawałki, które spakowała do czarnego worka na śmieci.

Łatwo było sobie wyobrazić, jak garaż wygląda z zewnątrz: nowe papierowe zasłony na oknach i palące się godzinami światło, rzecz nietypowa. Oscarowie to zauważą. Zgasila górną lampę i poszukała latarki, by przy jej świetle przejrzeć pozostałości rodzinnego życia zgromadzone pod ścianami. Był tam stary półprzepuszczalny kombinezon ojca, neopren łuszczył się na łokciach i kolanach, był pas obciążeniowy, zbiór masek. Pierwszą i największą miłością taty było nurkowanie w najbardziej niebezpiecznych, ekstremalnych miejscach na ziemi. Swą pasją zaraził rodzinę.

Odsunęła taczki oparte o ścianę i znalazła to, czego szukała: stary kanister z olejem napędowym, poplamiony i obklejony żdźbłami trawy. Zniosła go do clio razem z pustą puszką wygrzebaną na drugim końcu garażu, gumowym węzem i workiem na śmieci.

Szponiasta chmura wciąż napierała na dom, choć jeszcze nie zaczęło padać. Pchła wyjechała z podjazdu i wybrała boczną drogę prowadzącą przez puste uliczki dzielnicy mieszkaniowej u stóp Solsbury Hill. Z obwodnicy zjechała na wąski trakt biegnący na Charmy Down Hill. Szczyt wzgórza był płaski, w czasie wojny wykorzystywano go jako nocne lądowisko dla hurricane'ów. Świadczyła o tym wieża kontrolna i inny kolor trawy w miejscu, gdzie były pasy startowe.

Wjechała na lotnisko i zaparkowała koło bunkra; samochód całkowicie zakryły ciężkie od owadów budleje i dzikie bzy. Wsiadła i chwilę stała, patrząc w kierunku zachodnim na podświetlone chmury wiszące nisko nad iglicami i tworzącymi półksiężyc kamienicami Bath. Czuła się dziwnie, mogąc podziwiać panoramę w promieniu wielu mil. Odwróciła się w stronę lotniska, porośniętego wysokimi do pasa zielskami i trawą,

poznaczonych opuszczonymi budynkami, stosami opon i zardzewiałego sprzętu rolniczego. Nie było tu żywej duszy, nawet ptaka, lisa czy kota. Jakby wkroczyła w martwą krainę.

Pierwsza w nocy. Trzeba zrobić to teraz. Otworzyła bagażnik, wyjęła worek z wyściółką bagażnika i pociętą półką, rzuciła go na ziemię i poszła po olej. Stojąc w rozkroku nad workiem, wylała na niego całą zawartość kanistra. Odkręciła zbiornik na paliwo i wetknęła do niego jeden koniec węża. Marszcząc nos i wykorzystując język jako osłonę, zacisnęła usta na drugim i zaczęła mocno, bardzo mocno ssać, aż ze zbiornika wydobyła się spieniona, oleista benzyna. Pośpiesznie się cofnęła, wsadziła wąż do puszki i trzymała go, dopóki ta się nie napełniła.

Rozstawiła szeroko stopy, żeby się nie pochłapać, i solidnie pokropiła worek benzyną. Zamknęła puszkę i schowała do bagażnika razem z kanistrem, zakręciła zbiornik na paliwo. W kieszeni bojówek miała pudełko zapalek. Zapaliła jedną i rzuciła na worek. Benzyna natychmiast zajęła się ogniem, strzelając głośno niebieskim płomieniem. Wypaliła się w sekundę, w środku pozostał tylko żar. Po chwili długa, kręta smużka dymu uniosła się ostrożnie w powietrze. Pchła odeszła na sto kroków. Stojąc przy samochodzie, obserwowała ciemny kształt worka, z którego najpierw wydobywał się dym i oleiste powietrze, a potem płomienie. Pewna, że ogień nie zgaśnie, wyjęła telefon i wybrała numer Thoma.

Po wielu sygnałach odezwała się poczta głosowa. Pchła zadzwoniła na telefon stacjonarny, przypatrując się podświetlonym przez pożar chwastom i drzewom, ale znowu nikt nie odebrał. Ponownie zadzwoniła na komórkę brata. Po czterech sygnałach usłyszała stłumiony trzask i jego oddech.

- Thom?

Milczenie. Oparła się łokciem o dach samochodu.

- Odezwij się do mnie. Jesteś tam?

Po sekundzie rozległ się jego głos stłumiony i nosowy, jakby płakał.

- Tak. Jest naprawdę późno.

- A Mandy? Jeszcze nie...

- Śpi. Nie chcę jej budzić.

- OK. Wsiadaj do samochodu i spotkajmy się. W pubie nad rzeką w Saltford.

- Nie.

- Musisz mi pokazać, gdzie to się stało.

- Nie pamiętam.

- Wręcz przeciwnie.

- Mówię poważnie. Nie pamiętam.

- W takim razie będziemy tak długo jeździć, aż sobie przypomnisz. Zobaczymy się za pół godziny.

- Nie! - syknął.

Przycisnęła palec do nosa.

- Posłuchaj, jeśli teraz się tym nie zajmimy, będzie coraz gorzej. To nas oboje wykończy.

- Nie mogę.

- To się stało w Farleigh Park, prawda? Gdzieś blisko ośrodka odwykowego?

- Nie jestem pewien.

- Musiało tak być. Nie mogła za daleko odejść.

W słuchawce zapadła cisza. Pchła odsunęła się od samochodu, kładąc dłoń na górnej części pośladka, gdzie ochraniacze czasami ją urażały.

- Thom, ta sprawa sama się nie rozwiąże, cokolwiek myślisz, na cokolwiek liczysz, sama z siebie nie przestanie istnieć. A jeśli nic nie zrobisz i odkryją, że ją potrafiłeś i wepchnąłeś do pieprzonego bagażnika... - Mówiła coraz szybciej, coraz głośniej. - O Boże, trafisz do Long Lartin, zanim się obejrzyysz. Dowiedzą się, że twoja siostra jest gliniarzem. I nawet jeśli uznają cię za niezrównoważonego, i tak wylądujesz na oddziale niebezpiecznych.

- Niebezpieczni? Czyli kto?

- Ludzie stanowiący zagrożenie publiczne, pedofile, gwałciciele, prawdziwe świry. Niedobrze. Fatalnie. A teraz wskakuj w samochód i jedź do mnie.

- Ale Mandy się dowie. Już i tak coś podejrzewa. Z twojego tonu domyśliła się, że coś jest nie tak.

- W końcu będziesz musiał jej powiedzieć.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- W takim razie ja to zrobię. Idź i obudź ją. Daj jej telefon.

- Nie! Proszę, nie rób tego! Błagam!

- Thom, zmądrzej, dobrze? Bądź rozsądny.

Nastąpiło długie milczenie. Iskry i strzępy czarnego plastiku tańczyły w powietrzu. Za nimi księżyc, gorący i biały, przeświecał słabo przez chmury. Thom wreszcie przemówił. Głos miał zduszony, przygnębiony.

- Dobra. Dobra. Powiem jej.

Pchła głośno odetchnęła.

- W porządku. Zrób to. A potem zadzwoń do mnie.

15

Księżyc szybko wschodzi w Somerset: poświata zalewa doliny i zbocza Mendips, dociera do Quantocks. Wydobywa z mroku połyskliwe okna miast na północy kraju, wdziera się do samochodu na parkingu kostnicy, w którym Jack Caffery wkłada kluczyki do stacyjki. Na południowym wschodzie odnajduje Pchłę Marley stojącą na wzgórzu i obserwującą dym, a piętnaście kilometrów na wschód od niej, w zupełnie innym otoczeniu, otula samotny szary dom. Dom otaczają leżące ugiem pola, stodoły, szopy i nieużywany basen. Promienie księżycy próbują przeniknąć przez okna parterowej dobudówki, ale nie potrafią pokonać ścian z pustaków w specjalnie zaadaptowanym pokoju.

W środku światło ma całkiem inny kolor. Niesamowicie niebieskie, sączy się z siedmiu lodówek, których drzwi są otwarte, odsłaniając zawartość: rzędy starannie opisanych pojemników po brzegi wypełnionych formaliną.

Na środku pokoju nagi mężczyzna siedzi po turecku, niemal jak w pozycji jogi. Nigdy nie zobaczy kobiecej skóry rozpiętej na warsztacie. Rozumie to, rozumie od wielu lat. Ten obraz przynależy do królestwa fantazji.

Ale jego kolekcja... Kolekcja jest rzeczywistością. Zapoczątkował ją jako drobne ustępstwo wobec fantazji, ale z czasem wykroczyła poza jej granice. Stała się czymś o wiele, wiele bardziej znaczącym - pracą jego życia. Powodem, by oddychać. Będzie ją chronił niezależnie od kosztów. Zrobi wszystko, zabije nawet.

Przed oczyma mignął mu obraz, fotograficzne ujęcie twarzy na szpitalnym łóżku w świetle jarzeniówek. Pacjentka jest pod narkozą, ale gdy łóżko skręca, coś się dzieje - coś, czego szpitalni portierzy na obu końcach korytarza nie dostrzegają. Głowa pacjentki się odchyła, przekręca nieznacznie i nagle powieki się unoszą. Pacjentka się budzi. Jest przytomna i widzi wszystko. Wszystko.

Mężczyzna chowa twarz w dłoniach i koncentruje się.

- Cii - mówi cicho. Szeptem. Jakby uspokajał dziecko.

- Cii. Wszystko w porządku. Już dobrze.

Sprawy potoczyły się źle, ale on to naprawił. Tę sprawę ma za sobą. Teraz musi zachować spokój i zaufać sobie.

- Cii...

Siedzi tak jeszcze przez chwilę.

Potem z irytacją się podnosi i obchodzi pokój, z trzaskiem zamykając drzwi lodówek.

Nienawidzi tego życia. Nienawidzi.

16

Nazajutrz rano znad Atlantyku nadciągnął front niżowy. Chmury otuliły Mendips, w miastach ulewny deszcz pozatykał studzienki, samochody wyrzucały spod kół brudną wodę. W kamieniołomie numer dwa, prawie na końcu kamieniołomów przy Grocie Elfa, panował kompletny mrok - jakby zmierzch nadszedł wcześniej niż zwykle. Pchła musiała zabrać ze sobą lampę salvo.

- Co z tobą, sierżancie? - W słuchawkach zabrzmiał donośnie głos Wellarda. - Znowu masz widownię. Chłopaki z patrolu i chyba dwóch inspektorów.

Poprawiła linę, ustaliła kierunek i zaczęła płynąć.

- Myślę, że wpadłaś im w oko, sierżancie. Albo nie, nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Mam ładniejsze oczy.

- Szarpnij linę.

- Co?

- Szarpnij, cholera.

- Dobra, dobra. - Wellard pośpiesznie pociągnął za linę, która napięła się na klatce piersiowej Pchły. - W porządku?

- W porządku.

Zapadła cisza, potem Wellard zapytał:

- Znowu hormony szaleją, sierżancie?

- Nie gadaj do mnie. Koncentruję się.

Thom nie zadzwonił. Pół nocy czekała i teraz była wkurzona. Poważnie wkurzona. Zastanawiała się, ile czasu powinna jeszcze mu dać, zanim zrezygnuje ze starań i rzuci go na pożarcie lwom. - Na pewno wszystko w porządku?

- Jasne, że tak. Bądź cicho i dodaj jeden bar.

Nurkowała po raz pierwszy od wypadku z przewodem tlenowym i inspektorzy bhp eksplodowaliby, gdyby wiedzieli, ile godzin dzisiaj spała. Ciągłe myślała o halucynacjach. Ten kamieniołom leżał na końcu końskiej podkowy i od ósemki, gdzie doznała narcozy i o mało nie utonąła, dzieliło go tylko czterysta metrów. Może są połączone tunelami. Stare szyby wentylacyjne zalano wodą, pływały w nich różne rzeczy.

Brednie. Wszystko to brednie. Narcoza. Miała halucynacje. To wszystko. Zeszła na

pięćdziesiąt metrów. Nikt nie może pływać na takiej głębokości.

- W porządku, sierzancie?

- Jezu, Wellard, tak!

- Nic cię nie martwi?

- Nie. Czekam na przyjemność przekonania się, kim jest ten facet. To wszystko. Na wyciągnięcie jego ciała. A teraz się zamkniesz?

Zlecenie nadeszło z samego rana. Trzy godziny temu w porze odwożenia dzieci do szkoły w małym miasteczku na północy Somerset uprowadzono lexusa. Z tyłu siedziała dziewięcioletnia dziewczynka w sukience i szarym sweterku, jako że uczęszczała do ekskluzywnej szkoły prywatnej. Złodziej wiózł ją przez trzydzieści kilometrów, przez cały czas do niej mówiąc, a w Wells zahamował i kazał jej wysiąść. Rozdygotana i zapłakana dziewczynka stała na poboczu ruchliwej szosy i dopiero po dziesięciu minutach pewnemu kierowcy minibusa wpadło do głowy, żeby się zatrzymać. Złodziej przejechał jeszcze osiem kilometrów do Groty Elfa, tam skręcił do opuszczonego warsztatu samochodowego, z którego runął prosto do kamieniołomu numer dwa.

Podobny *modus operandi* miało porwanie samochodu sprzed mniej więcej roku. Wtedy ofiarą była sześciolatka. Zdaniem Pchły to był ten sam sprawca i wcale nie chodziło mu o samochody, ale o dzieci. Jeśli miała rację, to nie byłby pierwszym pedofilem, który poniósł klęskę przy próbie urzeczywistnienia swoich fantazji i popełnił samobójstwo. Miała nadzieję, że okna zostawił zamknięte i że szyby nie popękały, kiedy samochód wpadł do wody. Miała nadzieję, że nie umarł od razu.

Dopłynęła do końca pierwszej dwudziestometrowej części kamieniołomu i zawróciła, żałując, że jest dzień. Samochody nocą to była bułka z masłem, często reflektory nadal się świeciły, ale w tym wypadku mimo deszczu facet pewnie nie włączył świateł. Przed zejściem do wody zespół często szukał „podstawowych wskazówek”, podpowiedzi, w którym miejscu pojazd się zanurzył, ale dzisiaj żadnych nie znaleźli, po powierzchni nie pływały plamy oleju, na brzegach nie było zadrapań. Musieli założyć, że lexus spadł ze stromej drogi na zachodnim brzegu, która prowadziła z parkingu.

Pchła zdjęła z liny ciężarek, którego używali do oznaczania wzoru poszukiwań, i upuściła. Mocniej, niż było trzeba.

- Hej, sierzancie? Miejmy nadzieję, że wyciągniesz ciało.

- Co?

- Miejmy nadzieję, że nie będzie tam nikogo, kto chciałby z tobą walczyć. Wiesz, chodzi o te zwariowane kieszenie powietrzne i tak dalej.

- Chryste, Wellard, znowu stałeś za blisko rury wydechowej? Odpuść, dobra?

Cały zespół był w biurze, kiedy przyszło zlecenie. Do kamieniołomu dotarli w niecałe półtorej godziny. Tylko że świadek, który widział wpadającego do wody lexusa, nie miał komórki. Musiał jechać siedem kilometrów do najbliższego automatu telefonicznego, więc minęły co najmniej dwie godziny. Nie ma szans, żeby drań jeszcze żył.

Popłynęła, nie patrząc za siebie. Nie myślała o metrach ciemnej wody z tyłu, nie wyobrażała ich sobie, całą uwagę skupiła na miejscu, gdzie zaczynała się mroczna otchłań. Z dna uniósł się szlam. W mroku zamajaczył ciemny kształt. Pchła pojęła, że patrzy na omszałą, bardzo starą łódź. Trzeba będzie zapytać o nią właścicieli kamieniołomu. Zajrzała do środka. Była pusta, zarośnięta zielskami. Może zostawili ją tutaj jako atrakcję dla nurków. Trzymając się burty, popłynęła zgodnie ze wskazaniem kompasu.

Zatrzymała się tuż za łodzią, poruszając lekko rękoma, by utrzymać pozycję, i wpatrując się w mrok. Mniej więcej trzy metry niżej coś utkwilo na dnie pomiędzy roślinami i gałęziami drzew. Szlam zawirował i opadł.

Przeszedł ją zimny dreszcz - czasami woda dostawała się pod kombinezon. Pomyślała, że wie, na co patrzy. Wolno podpłynęła. Obiekt uwiązał pomiędzy dwoma gałazami. Skierowała na niego lampę. Dokładnie obejrzała.

- Wellard? Wiemy, czy rodzina z lexusa... czy mieli...

Urwała. Nie. Wykluczone, że obiekt dzisiaj wyrzucono z samochodu. Rozkładał się, świadczyła o tym unosząca się nad nim mgiełka związków chemicznych. Leżał w wodzie dłużej niż kilka godzin.

- Czy co mieli, sierżancie?

- Nic. Daj mi chwilę.

Wsunęła dłonie pod obiekt i uniosła go, a kiedy zobaczyła, co jest pod spodem, wiedziała, że nie znalazł się tu przypadkiem.

- Hej - powiedziała. - Przyślij mi worek na ciało.

- Masz cel?

- Nie. - Wypuściła obiekt. Opadł na dno. Przez moment było jej niedobrze. Otoczyła ją chmura rozkładającej się materii. - Nie. Ale pogadaj z chłopcami z laboratorium, dobrze? Powiedz, że to informacja oficjalna. Nie znalazłam celu, ale potrzebuję worek na ciało. A właściwie, Wellard, przyślij mi dwa.

Minęło sporo czasu, zbyt dużo, żeby złodziej mógł przeżyć, ale przy kamieniołomie i tak czekali paramedycy i strażacy. Wałęsali się po brzegu, wpatrywali w wodę i obserwowali przyjazd rozmaitych jednostek policyjnych. Podczas gdy technicy kryminalni filmowali, a nurkowie pracowali, służby ratownicze jedna po drugiej kończyły czuwanie i ruszały do innych wezwań. Ostatni odjechali, kiedy z kamieniołomu wynurzyła się sierżant Marley z workami na ciała.

Caffery siedział w samochodzie i przez otwarte okno patrzył, jak ludzie na pontonie odbierają worki od Pchły, odłączają rurę od jej kombinezonu i narzucają na nią aluminiowy koc. Opłukali ją i pomogli zdjąć kombinezon. Kiedy technicy z CSI odjechali i została sama, usadowiona na tylnym zderzaku furgonetki, podszedł do niej z kubkiem kawy, którą wcześniej wydebił od strażaków.

Twarz miała pokrytą plamami i obrzmiałą, z nosa jej ciekło. Tępo spojrzała na kubek.

- Hej - powiedział. - Uśmiechnij się i będziesz to miała z głowy na cały dzień.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Więc przysłali kogoś z kryminalnej. Cieszę się. Nawet jeśli go tam nie ma, cieszę się, że tym razem wykazujesz zainteresowanie. Zawsze wiedziałam, że ten złodziej samochodów znowu to zrobi. - Nie przysłał mnie wydział. - Usiadł tuż obok niej i podał jej kawę. - Przyjechałem z własnej inicjatywy. Chciałem z tobą porozmawiać.

- Tak? - Nie wydawała się zainteresowana. - A o czym?

- O swobodnym nurkowaniu. Słyszałaś o tym?

- Rywalizacja w długości bezdechu. Owszem, słyszałam.

- Co wiesz na ten temat?

- Wiem, że to najszybszy sposób na odebranie sobie życia. Podobny skutek ma skok z mostu wiszącego Clifton. Tylko rzut monetą może rozstrzygnąć, który jest bardziej efektywny. Dlaczego pytasz? Dopadła cię depresja?

- Słyszałem, że można nurkować na głębokość ponad stu metrów bez aparatu do oddychania. Tak mi mówiono.

Pokręciła głową.

- Nie dam się w to wplątać. Zapominasz, że do moich obowiązków należy zeznawanie

w sędzie w charakterze eksperta. Obrona tyle razy próbowała się do mnie przymilać, że wiem, jak się nie dać nabrać.

- Śmieszne. Wcale nie próbowałem cię nabrać.

- Wręcz przeciwnie. Chcesz, żebym uwierzyła w twojego Tikoloshe. - Pomachała mu przed twarzą rękoma.

- W przerażające potwory w wodzie.

- Ja tylko chcę się dowiedzieć, czy to jest możliwe. Chcę się zorientować, do czego jest zdolny Tanzańczyk, którego trzymamy w areszcie.

- W takim razie musisz poznać fakty. Ponad sto metrów to rekord światowy, powtarzam: światowy, dla człowieka w absolutnie szczytowej kondycji fizycznej, używającego płetw i obciążonej windy, mającego zespół pomocników, wdychającego czysty tlen. Ponad sto metrów. Przeciętny człowiek nie może ot, tak skoczyć - miałby szczęście, wielkie szczęście, gdyby udało mu się zejść na dziesięć. Więc jeśli mówisz, że ktoś mógłby zanurkować na pięćdziesiąt bez...

- Nie mówiłem o pięćdziesięciu, ale o stu. Tyle wynosi rekord. Dlaczego myślałaś, że powiedziałem pięćdziesiąt?

- Niech będzie sto. Zejście na sto metrów bez płetw, bez uprzedniego połknięcia kilku butli tlenu... bądź rozsądny. Wiesz, jak zawodowcom się to udaje?

- Nie.

- Oszukują mózg. - Postukała się po głowie. - Wyłączają tę część mózgu, która przypomina im o oddychaniu. Widziałeś kiedyś faceta, który wynurza się po takim nurkowaniu? Uwierz mi, to nie jest zabawne. Zasadniczo rzecz biorąc, jest martwy. Trzeba bić go po twarzy, żeby znowu zaczął oddychać.

- A jeśli ma na sobie ubranie?

- Ubranie?

- Tak. Albo coś przywiązanego do ciała. Plastikową albo gumową protezę.

- Każda tego rodzaju rzecz byłaby poważnym utrudnieniem. Wykluczone, żeby człowiek, który nie jest światowej klasy profesjonalistą, mógł zanurkować na sto metrów.

Caffery przez chwilę milczał. Na twarzy Pchły zostały czerwone ślady po masce, oczy miała przekrwione. Ale chodziło o coś jeszcze. Coś innego niż zwykłe zmęczenie po nurkowaniu.

- Jesteś przygnębiona. Przeze mnie.

Odetchnęła.

- Nie przez ciebie.

- Więc z jakiego powodu?

- To nic takiego, naprawdę. Tylko... - Wpatrywała się w nieruchomą wodę, w której odbijało się niebo. Oboje długo milczeli. Pchła roztarła sobie ramiona, jakby zmarzła.

- Chodzi o to, co znalazłam w kamieniołomie. Trochę mną to wstrząsnęło. I tyle.

- Coś tobą wstrząsnęło? Myślałam, że jesteś z żelaza. Dlaczego dzisiaj było inaczej?

- Nie mam pojęcia. Po prostu nie spodziewałam się zwierzęcia.

- Zwierzęcia?

- Tego złodzieja samochodów tam nie ma. Bóg tylko wie, co świadek widział albo mu się wydawało, że widzi, i gdzie jest lexus, bo w tym cholernym kamieniołomie go nie ma. Ale był pies. Zabrali go technicy.

Caffery spojrział na drzewa, na świeże listki, które w ten ołowiany poranek wydawały się bezbarwne. Dzisiaj rano Turnball miał nieprzyjemny telefon od kogoś z Hintona, firmy transportującej porzucone pojazdy. Kiedy pojechali nad kamieniołom numer osiem, nie znaleźli czerwonego skutera ani żadnego innego. Kamieniołom numer osiem leżał za tymi drzewami. A zatoczka, w której zaparkowała Lucy Mahoney, znajdowała się zaledwie półtora kilometra stąd. Lucy miała ze sobą psa.

- Obroży nie było?

- Ja nie widziałam.

- Jakiej rasy był ten pies? Czy to mógł być spaniel?

- Niewykluczone, wielkość by pasowała. Ale trudno stwierdzić po tym, co mu zrobiono. Leżał w wodzie kilka dni. Po tygodniu pewnie by wypłynął. Wiesz, tworzą się gazy i ciało odrywa się od dna. Pomimo tego, jak go potraktowano, ściany żołądka zatrzymywały gazy. W końcu by wypłynął. Mimo straszego stanu.

- Straszego?

- Tak. Gdyby unosił się na powierzchni, szczury by się nim zajęły. Ale nie na tej głębokości. Tam nie ma zwierząt, które mogłyby to zrobić. Ewentualnie traszki, nic poza tym.

- O czym ty mówisz?

- W tej robocie widywałam psy i zwykle je zostawiałam, nie można wszystkich wydobyć na powierzchnię, chyba że stanowią jakiś dowód. Ale czasem trafia się przypadek, że człowiek myśli: coś tu nie gra. - Głową wskazała zespół, który pakował ekwipunek. - Widziałeś, w co włożyli psa?

- Dlaczego były dwa worki?

- Jeden na ciało.

- A drugi?

- Na skórę. Ten, kto go tu wrzucił... - Popatrzyła na tafłę pustego kamieniołomu. - Ten drań, który go tu wrzucił, najpierw biedaka obdarł ze skóry.

18

Pchła sporządziła raport, spakowała sprzęt i włożyła polar. Sprawdziła komórkę - Thom się nie odezwał. Pomogła chłopcom zamknąć furgonetkę, poklepała ją po tylnych drzwiach i patrzyła, jak odjeżdża po błocie. Było wczesne popołudnie, nad kamieniołomem przesuwały się chmury. W alejce wciąż parkowało oznakowane bmw drogówki, w środku gliniarz pił kawę z termosu. Jakies sześćset metrów nad nim na zboczu na tle chmur rysowała się sylwetka Jacka Caffery'ego. Sprawiał wrażenie, jakby patrzył ponad kamieniołomem, koncentrując się na jakimś punkcie na niebie.

- Skończyłaś? - zapytał, gdy zobaczył, jak gramoli się ku niemu po zboczu. - Ciepłej ci?

- Proszę. - Podała mu wizytówkę. - Numer do techników. W sprawie psa. Zabierają go do weterynarza, żeby sprawdzić, czy nie miał chipa. Interesuje cię to?

- Jasne. Dziękuję.

- Jack, miałam zamiar...

- Tak?

Zawahała się. Jeszcze nie rozgryzła go do końca. Nie zdecydowała, po której stronie stoi.

- Chciałam cię zapytać o sprawę Kitson.

- O sprawę Kitson? - Zmarszczył czoło. Wiedziała, że nie tego się spodziewał. - A konkretnie?

- Pytam z grzeczności. Wiesz, zastanawiałam się nad ochrzanem od Pearce'a. Zabrzmiało to tak, jakby miał pretensje, że nie wykazuję większego zainteresowania.

- Pearce? Ten stary idiota z pożyczką?

Uśmiechnęła się nieznacznie, pocierając nos.

- Wiesz, oskarżono mnie o brak profesjonalizmu, a to sprawia - wzruszyła ramionami - że człowiek zaczyna czuć się nieswojo. Rozumiesz.

- Nie popełniłaś błędu. Twój zespół przeszukał jezioro, chociaż byłaś przekonana, że jej tam nie ma. To nie twoja wina, że rozplynęła się bez śladu, jakby porwali ją kosmici.

Spadło kilka kropli deszczu i Pchła zapięła polar. Gliniarz w wozie patrolowym otworzył drzwi i wylał resztki kawy z kubka na trawę.

- Więc nic nie wiecie. Nie macie pojęcia, gdzie poszła?

- Ha. - Caffery włożył dłonie do kieszeni. Spojrzał na chmury. - Najmniejszego. Przepraszam, bo to zabrzmia cynicznie, ale guzik mnie obchodzi, co się z nią stało. Pewnie znajdzie się naćpana koką w jakimś mieszkaniu na Soho. Albo w chacie na plaży na wyspie Antigua.

Gliniarz z drogówki wysiadł z samochodu i otrzepał okruszki ze spodni. Pchła patrzyła, jak wciąga brzuch i wtyka koszulę za pasek.

- Ale to nie jest opinia oficjalna, prawda? Że twoim zdaniem żyje.

- Nic nie sądzę. Nigdy nie sądziłem. Nie pracuję przy tej sprawie.

Pchła uważnie przyglądała się gliniarzowi. Coś było w jego wyglądzie, czubku głowy, zakolach w krótko ostrzyżonych włosach. Wreszcie skojarzyła. Posterunkowy Prody. Gliniarz z drogówki, który przyjechał za Thomem i sprawdzał Pchłę na alkomacie. Ruszył ku nim po zboczu. Zrobił cztery, może pięć kroków. To wystarczyło.

- Przepraszam - mruknęła. - Zapomniałam o czymś.

Wyciągnęła kluczyki i zsunęła się po zboczu, jak najdalej od Prody'ego. Wsiadła do clio, zatrzasnęła drzwi i już miała przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy dogonił ją Caffery. Wsunął głowę przez otwarte okno.

- Nie odpowiedziałas na moje telefony.

- Byłam zajęta.

- Dzwoniłem trzy razy.

- Wiem. - Trzymała kluczyki w drżących palcach. - Byłam zajęta.

- Za bardzo zajęta, żeby odpowiedzieć na telefon?

- Tak.

- Chciałem tylko o coś cię zapytać.

- Mówiłam, byłam zajęta.

- Hej! - Nagle mocniej się pochylił. - Co z tobą? Cholera, co się dzieje?

Przestała pobrzękiwać kluczykami i spojrzała na Prody'ego. Zatrzymał się w połowie zbocza i ze zdumieniem się jej przyglądał. Położyła dłonie na kierownicy, utkwiała wzrok w przedniej szybie. Wzięła pięć głębokich wdechów.

- Przepraszam. Miałam sporo na głowie.

Po chwili milczenia Caffery westchnął i cofnął się, opierając łokieć o drzwi. Przeczesał włosy dłonią, jakby był zmęczony.

- Chryste, ja też. Przepraszam.

- Zgoda?

- Zgoda.

Uśmiechnął się. Powiódł spojrzeniem po samochodzie, kołach, tylnym siedzeniu, tapicerce, jakby zastanawiał się nad jego kupnem.

- Nowy?

- Tak.

- Bardzo ładny. Pachnie nowością.

Poczuła, jak spod pach strużka potu spływa jej na boki.

- Pachnie nowością?

- Tak. Co się stało ze starym?

- Ze starym? - Prody uniósł dłoń, uśmiechając się niepewnie, jakby chciał powiedzieć: „Cześć. Nie masz pretensji, co?”. Strumyki potu na jej plecach zlały się w jeden. - Zastanawiam się nad sprzedażą.

- Szkoda. Focus to dobry samochód, tak słyszałem. W Wielkiej Brytanii jest więcej focusów niż owiec. Coś w tym rodzaju. Co nie znaczy, że znam się na samochodach.

Znowu zaczęło padać i Prody ruszył w dół. Pchła przekreśliła kluczyk, wrzuciła wsteczny bieg. Caffery trzymał drzwi, jakby był w stanie ją powstrzymać.

- Kiedy będziesz gotowa do rozmowy, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Kiedy będę gotowa. - Zerknęła jeszcze raz na Prody'ego, zwolniła ręczny hamulec i tyłem wyjechała z parkingu. Z taką prędkością, że Caffery musiał uskoczyć, w przeciwnym wypadku zmiażdżyłaby mu stopy.

19

Caffery obserwował, jak clio przyśpiesza, spod kół wyrzucając błoto. Kiedy zniknęło mu z oczu, wrócił na zbocze.

Gliniarz z drogówki stał kilka metrów dalej, dłonie trzymał przed sobą, na twarzy miał wyraz zdziwienia.

- Może ona nie lubi, jak się przyglądamy. - Spojrzał na samochody i furgonetki, po czym wzruszył ramionami, jakby myślał, że przecież wszyscy ci dranie zjawili się, żeby popatrzeć, więc dlaczego akurat jego tak potraktowała?

- Przepraszam, usłyszałem wezwanie, a ponieważ byłem w pobliżu... Nie zdawałem sobie sprawy, że ona... - Urwał, opuszczając ręce. Całe powietrze z niego uszło. - Myślałem, że wszystko między nami w porządku. Mówię szczerze, nie podejrzewałem, że ma pretensje.

- Pretensje?

- Nie, nie takie. My właściwie się nie znamy.

- Więc o co chodzi?

- To było głupie. Złapałem ją kilka dni temu. W poniedziałek.

- Za co?

- Nadmierną prędkość.

Caffery o mało nie gwizdnął. Spodobało mu się, że sierżant Marley łamie prawo. Jakoś to do niej pasowało.

- To było o północy. Byłem na służbie w pobliżu Frome - to nie mój rejon, ale wezwano mnie do pijaka, a jak dojechałem na miejsce, sprawą zajął się ktoś inny. Kiedy wracałem do Almondsbury, minęło mnie to auto, to znaczy nie to, tylko focus.

- Focus.

- Właśnie. - Prody przyjrzał się Caffery'emu. - Właśnie. Srebrny. Zarzucało nim po całej drodze, próbował zwinąć asfalt. Włączyłem koguta i syrenę, ale tamten tylko dodał gazu, więc ruszyłem za nim. Może pan to sobie wyobrazić: dzwonię na centralę z numerem w przekonaniu, że gonię złodzieja, i zaraz go będę miał? Zanim podano mi nazwisko i zorientowałem się, że to ona, skręciła z drogi i zaparkowała przed domem. Pukam, ona otwiera drzwi i częstuje mnie jakąś słabą wymówką, że musiała się wysikać.

- Stara obrona pęcherzowa.

- Obrona pęcherzowa. Jasne, wtedy popełniłem błąd. Powinienem być dać spokój, no nie? Ale ona mnie wkurzyła, potężnie mnie wnerwiła. Więc ją przygwoździłem. Zbadałem na poziom alkoholu.

- Nie.

- Tak. Trzeba przyznać, że była trzeźwa jak niemowlę. Zamknąłem sprawę. Ale wie pan... - Gliniarz poskrobał się po głowie. - Wygląda na to, że ona nie chce, żebym ją przeproszał.

Caffery spojrział w kierunku, gdzie zniknęło clio.

- Kiedy dokładnie to było?

- W poniedziałek.

Poniedziałek, pomyślał Caffery. Czyli w wieczór, kiedy Misty Kitson uciekła z ośrodka. Tak się składa, że następnego dnia oboje z Pchłą aresztowali małego Tanzańczyka i jego chorego na umyśle szefa. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, była wtedy w dobrym stanie. Ale też przez większość czasu pilnowała się jak diabli, myślał, idąc do samochodu. Bóg tylko wie, do czego jest zdolna Pchła Marley w swoim prywatnym świecie.

Włożył kluczyk do stacyjki i chwilę siedział, zastanawiając się, co powinien zrobić. Wystarczyło popatrzeć na Pchłę, by się zorientować, że narzucanie się jej czy nawet dzwonenie do niej byłoby stratą czasu. Poczekał jeszcze moment, aż myśli mu się uporządkują, i zapalił silnik.

Nie zamierzał narzucać się jej, tylko technikom z laboratorium CSI. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o psie.

20

Beatrice Foxton mieszkała niedaleko skalistego wzgórza Glastonbury Tor, na nizinie, gdzie jeszcze trzysta lat temu rozciągało się morze. Caffery spotkał się z nią i jej psami na polu w pobliżu domu. Stali w mokrej trawie, Beatrice paliła papierosy i rzucała psom patyki. W gruncie rzeczy widok kobiety, która zarabia na życie krojeniem zwłok, z papierosem w ustach był jakoś kojący. Zadał sobie pytanie, dlaczego tak się męczy, próbując rzucić palenie.

- Dzięki, że wyszłaś.

- Nie musisz dziękować. Psy potrzebowały spaceru.

Miała dwa, wysokiego smukłego setera i powolną, dobroduszną sukę owczarka niemieckiego. Biegały w kółko, czekając na patyki.

- Suka lepiej się czuje. To pies policyjny, ale miała fatalny okres w Pilton i wysłali ją na emeryturę.

„Pilton” było miejscową nazwą festiwalu w Glastonbury. Co roku w czerwcu w suchej dolinie nad rzeką Whitelake na wschód od skalistego wzgórza wyrastało miasteczko. Tęczowe namioty pokrywały wzgórza, chorągwie na średniowiecznych zamkach trzepotały na wietrze, ludzie zjeżdżali ze wszystkich stron i przez cztery dni jedli i pili, srali i spali, tańczyli i wzajemnie się okradali, kochali się i śpiewali. Niektórzy nawet umierali.

- Jeden z punków, który kręcił się przy festiwalu, no wiesz, o kim mówię? Płaci się im za sprzątanie i przekazanie wszystkich porzuconych namiotów do sklepu dobroczywnego. No więc jeden z nich, jakiś czaruś z Newcastle, wykombinował sobie, że łatwiej znajdzie narkotyki zostawione na polu, jeśli będzie miał wyszkolonego psa. Włamał się do policyjnego wozu, w którym siedziała. Uwiązał ją na linie i przez dwa dni chodził z nią po obozie, a kiedy nic nie znalazła, rzucił się na nią i złamał jej obie tylne łapy.

- Chryste.

- Dwóch ludzi musiało go odciągać. Nie pofatygował się, żeby sprawdzić, czy jest psem wyszkolonym do szukania narkotyków. A tak się składa, że jest psem do zadań ogólnych. To zupełnie inna sprawa, inne szkolenie. Oczywiście dłużej nie mogła pracować, ale wciąż jest śliczna. Z biodrami nie ma większych problemów.

- Lubisz zwierzęta.

- Wolę je niż ludzi.

- Mnóstwo patologów tak myśli.

- No tak, na co dzień oglądamy najgorsze rzeczy, do jakich zdolna jest ludzkość.

Seter przybiegł i rzucił patyk Caffery'emu do stóp. Jack poskrobał psa po łbie, czując, jak jedwabista skóra przesuwa się po twardych kościach.

- W takim razie mam coś dla ciebie. Lucy Mahoney.

- A co dokładnie?

- Znaleźli jej psa. - Rzucił patyk, a seter za nim popędził. - Ktoś go okaleczył. Obdarł ze skóry i wrzucił do kamieniołomu.

Beatrice chwilę milczała. Rzuciła niedopałek w trawę.

- I mówisz to akurat w chwili, kiedy sądziłam, że wiem, jak nisko mogą upaść ludzie. Co to był za pies?

- Spaniel.

- Są łagodne - powiedziała z goryczą. - Bardzo łagodne.

- Byłem na sekcji Lucy Mahoney, ponieważ pracuję nad innym samobójstwem. Chłopaka, który się zabił nad kamieniołomami Groty Elfa.

- Więc teraz się przyznaje, dlaczego wczoraj wdarł się do mojej kostnicy.

- Z chłopakiem po śmierci ktoś się zabawiał. Obciął mu włosy, co pasuje do sprawy, która mnie interesuje. Jego ciało nie leżało milion kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono Lucy Mahoney. Wczoraj miałem nadzieję, że znajdę podobieństwa, że zobaczę obcięte włosy, ale się pomyliłem. W porządku, tylko że teraz wyskakuje ten jej pieprzony pies. Więc chciałem cię zapytać, czy jesteś na sto procent pewna, że po śmierci nikt się do niej nie dobrał. Że wszystko jest tak, jak powinno być. Żadnych wątpliwości?

Beatrice schyliła się po patyk, który przyniósł jej owczarek, i rzuciła. Zawirował w powietrzu, tryskając kroplami śliny i rosy. Przez chwilę obserwowała psa, potem zapaliła kolejnego papierosa.

- Mam nadzieję, że przed tą rozmową przeczytałeś mój raport, Jack. Bardzo mnie irytuje, kiedy muszę prowadzić długie rozmowy o sprawie z kimś, kto nie czytał raportu.

- Czytałem. Od deski do deski.

- Kłamiesz, nawet go nie widziałeś. Dopiero dzisiaj rano przesłałam go e-mailem do okręgowej. - Pokręciła głową. - Dobra, nie będę się czepiała. Bo chodzi o ciebie. I wyglądasz dość przyjemnie bez marynarki. - Zaciągnęła się głęboko, odchyliła głowę i wydmuchała dym prostą smugą. - Było kilka drobiazgów. Parę rzeczy wydało mi się podejrzanych. Biorąc pod uwagę kontekst, nie pasują do siebie. - Seter wrócił z wywieszonym językiem. Beatrice wyjęła mu patyk z pyska i zamasyście rzuciła. - Nie było próbnych cięć na nadgarstku.

Większość samobójców, z którymi mam do czynienia, zaczyna od drobnych. Muszą się przekonać, jak wielki jest ból, czy dadzą radę go znieść. Ona tego nie zrobiła.

- Dlaczego?

- Bóg tylko wie. Nie można niczego wnioskować na podstawie tego jednego faktu w oderwaniu od reszty. To nie jest żelazna zasada.

Caffery nie odrywał od niej wzroku. Wcześniej o tym nie mówiła. Zupełnie się tego nie spodziewał.

- Mówisz o tym, jak umarła? To znaczy nie masz stuprocentowej pewności, że to było samobójstwo?

- Raport toksykologiczny jest ciekawą lekturą.

- Benzodiazepina?

- Wybór oczywisty, bo obok ciała leżała fiołka temazepamu. Zabił ją nóż, ale kiedy wyjęłam zawartość żołądka, znalazłam siedem albo osiem częściowo rozpuszczonych tabletek temazepamu. Nic w tym dziwnego. Ludzie dość często stosują obie metody. Najpierw otumanią się alkoholem i pigułkami, potem się tną, bo chcą mieć podwójną pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ale złapałam się na tym, że wpatrując się w zawartość żołądka i fiołkę, zadawałam sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego nie wzięła wszystkich?

- W fiołce coś zostało?

- Chyba z pięć tabletek. Dlaczego ich także nie wzięła? - Beatrice z uśmiechem zaciągnęła się głęboko. - Widzisz, Jack, tak się składa, że nie jesteś jedynym detektywem w mieście. Tak się składa, że pani Foxton też potrafi myśleć. Patrzyłam na te pigułki i zastanawiałam się. Przyszło mi do głowy, że te siedem, osiem pigułek może wcale nie było dla Lucy. Niewykluczone, że były dla mnie.

- Dla ciebie?

- Zasłona dymna, fałszywy trop. Powiedziałam do siebie: pani Foxton, jeśli ta młoda dama na stole sama nie odebrała sobie życia, to co właściwie się stało? Załóżmy, że był nieznany sprawca. Jak podsunął jej lek? Na przykład w drinku? Nie mógłby podać jej w taki sposób temazepamu, bo się nie rozpuszcza bez śladu - zauważyłaby proszek na dnie szklanki. To musiałyby być coś bezbarwnego, pozbawionego smaku, uliczny narkotyk, ponieważ w każdym leku na receptę pełno jest britexu, smak czuć na milę. A kiedy tej młodej damie urywa się film, kiedy jest jak galaretki, nieznany sprawca może podać jej kilka tabletek. Patolog znajdzie je w żołądku, wyciągnie oczywisty wniosek i sprawdzi ją tylko na benzodiazepiny.

- Musiałabyś zrobić nowy test.

- Wyprzedzam cię. Poprosiłam laboratorium w Chepstow, żeby zrobili badanie na uliczne drugi: rohypnol, GHB, clonazepam i xanax, wszystko, co przyszło mi do głowy. Aktualnie śliczny rachunek idzie do okręgowej. Miałam wiele satysfakcji, wyobrażając sobie żalony wyraz twarzy inspektora, kiedy go dostanie.

- I co wyszło?

Uśmiechnęła się do niego ponuro.

- Niestety nic. Wszystkie dały odczyn negatywny. Natomiast poziom temazepamu poszybował w górę, był o wiele wyższy, niż się spodziewaliśmy po tabletkach, które miała w żołądku. Można to wyjaśnić tylko w jeden sposób: te siedem stanowiło drugą dawkę. Pierwszą przyjęła wcześniej, miały czas, żeby się rozpuścić. Znalazły się w krwiobiegu, ale już nie było ich w żołądku.

Caffery obserwował owczarka próbującego bez skutku dotrzymać kroku seterowi. Clement Chipeta może i miał sposobność zabić Lucy, ale nie jest dość wyrafinowany, żeby zrobić to w taki sposób. A potwór, Tikoloshe? Jeśli istnieje, to sprawa nie nosi jego podpisu. Ani jeden, ani drugi nie byłby w stanie przekonać zdrowej, dobrze przystosowanej białej kobiety do połknięcia tabletek.

- Nie było śladów przemocy? Dowodów, że zmuszono ją do połknięcia czegoś?

- Jasne, że nie. Myślisz, że coś takiego bym przegapiła?

- Więc jak to zrobił? - Chcesz poznać mój SDN?

- Co?

- Szalony domysł naukowy.

- Wal.

- Nie namówił jej. Nie zmusił. Ponieważ nic takiego nie miało miejsca. Ponieważ wkroczyliśmy w Krainę Fantazji, Jack, pozwoliliśmy wyobraźni swobodnie hulać. Nie było tajemniczego sprawcy ani żadnego sprytnego planu. Lucy Mahoney postanowiła się zabić. Wydrukowała list pożegnalny. Podpisała. Połknęła około dziesięciu temazepamów, wsiadła do samochodu i pojechała nad kamieniołom z psem na tylnym siedzeniu, butelką brandy i nożem koło siebie. Zaparkowała, wypuściła psa, bo tam miał więcej szans niż zamknięty w domu. Zaczynała się martwić, że lek nie działa, więc wzięła następne tabletki, te, które znalazłam w jej żołądku. Idzie, a przypuszczalnie się potyka, biedaczka, przez te osiemset metrów do torów, siada i kończy robotę, chociaż dziwię się, że na tym etapie potrafi jeszcze podnieść głowę.

- Więc to samobójstwo.

- Samobójstwo. I nie zamierzam zmieniać zdania z powodu przeczcucia. O ile potrafimy stwierdzić, nie doszło do kradzieży czy napaści seksualnej. Tylko ja patrzę na tutejszy łagodny ludek przez pryzmat swego podejrzliwego londyńskiego umysłu. Jeśli chcesz powiązać to samobójstwo z drugim, tego chłopaka nad kamieniołomem, proszę bardzo, rób, co chcesz. Ale oba ciała znaleziono daleko od siebie. Nic ich ze sobą nie łączy.

- Oprócz psa. Mój obiekt zajmował się częściami ciała. Słyszałaś o operacji Norwegia z początku tygodnia? Dlatego myślę, że potrzebował włosów od mojego samobójcy.

- Włosy to jedno, zresztą wygląda na to, że w Norwegii właśnie o to chodziło. Ale pies? Pies to inna sprawa.

Caffery nie od razu odpowiedział. Beatrice miała rację. To żalosne truchło psa na dnie kamieniołomu rzeczywiście było inne i nie bardzo pasowało do tamtej sprawy. Jeśli zrobił to Clement Chipeta albo Tikoloshe, dlaczego zostawił skórę? Weterynarz, który badał psa, powiedział, że poza futrem niczego nie brakowało, żadnej części, którą można by wykorzystać do rytuałów *muti*.

- W każdym razie - powiedział - jeśli założymy, że nie ma nikogo innego chorego na tyle, by obdrzeć psa ze skóry...

- Uwierz mi, takich jest mnóstwo. Gdyby antyspołeczne dzieciaki z osiedla Southmead znalazły błąkającego się spaniela, byłyby zdolne do czegoś takiego.

- Na myśl, że zrobił to mój obiekt, robi mi się słabo. Muszę połączyć dwa różne sposoby działania. Włosy zabrane pierwszemu samobójcy i torturowany pies w drugim przypadku. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Skomplikowane.

Psy przyniosły patyki, rzuciły je na ziemię i usiadły prosto, patrząc na Beatrice i czekając na kolejny rzut. Seter miał na pysku białe krople śliny.

- No cóż, Jacku Caffery. - Beatrice zignorowała psią prośbę. - Jeśli nie masz zamiaru mnie uwieść ani przyprzeć do drzewa jak lady Chatterley, to chyba wezmę swoich najlepszych przyjaciół i pójdę do domu.

Patrzył, jak Beatrice idzie do samochodu, rzuca koce i gwizdże na psy. Kiedy zatrzaskały tylne drzwi, zawołał:

- Beatrice?

- Co?

- Chciałbym, żebyś mówiła poważnie. Naprawdę. To o lady Chatterley.

Roześmiała się. Wiatr zwiął jej na twarz siwe włosy.

- Ja też bym chciała. Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała mieć na to energię. - Rzuciła papierosa i rozgniotła sportowym butem. - Pogadam z tym inspektorem, Jack.

Powiem mu, że mam wątpliwości dotyczące śmierci Lucy. Ale nie napiszę raportu na nowo. Nie zmienię żadnych ustaleń.

Caffery odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód, potem spojrzał na niedopałki, które zostawiła Beatrice. Znowu pomyślał, jak cudownie było stać na świeżym powietrzu i palić z drugą osobą przy boku. Chciałby mieć drugą osobę przy boku na następnym etapie. Na którym musi się dowiedzieć, czego Tikoloshe chciał od psa. I dlaczego, skoro zadał sobie trud i obdarł go ze skóry, nie wziął jej ze sobą.

21

Ian Mallows przeżył operację Norwegia. Czy raczej przeżyła większość jego ciała. Po pięciu dniach na OIOM-ie przeniesiono go do prywatnego pokoju, nie na oddział. A wszystko dlatego, że bez względu na to, co mówił mu personel, nie mógł się powstrzymać, żeby nie wrzeszczeć na innych pacjentów: „Kurwa, przestańcie się na mnie gapić!”. Oczywiście go nie słuchali. Kto by się nie gapił?

Kiedy Caffery przyszedł, Mallows był cicho. Leżał na boku, twarzą do drzwi, z prześcieradłem naciągniętym pod brodę. Pogrążony w głębokim śnie. W telewizorze na ścianie wyłączono głos.

Caffery cicho zamknął drzwi i przysunął krzesło do łóżka. Postawił na podłodze karton bensonów, zdjął kurtkę, powiesił na oparciu i przygotował się na czekanie. Oczy utkwili w ekranie, dłonie splótł na kolanach i kciukami kręcił młynka.

- Tak? Co jest? Czego chcesz?

Caffery podniósł głowę. Mallows się nie poruszył, oczy wciąż miał zamknięte, ale usta otwarte. Widać w nich było wilgotną czerwień. Włosy, które zawsze golił, zaczynały mu odrastać, pokrywając głowę niebieskoczarnym cieniem. Nad lewym uchem miał tatuaż w kształcie pajęczyny, z liniami szerokimi i zamazanymi. Więzienna robota wykonana igłą do cerowania. Mallows bez wątplenia trafił na płyciznę w basenie z genami, pomyślał Caffery - sukces nigdy nie był jego przeznaczeniem, nawet bez obrażeń, których doznał podczas operacji Norwegia, wciąż ukrytych pod pościelą.

- Wal. - Nadal nie otwierał oczu. - Mów, czego chcesz.

- Jestem z policji. - Caffery sięgnął po legitymację, ale zmienił zdanie. - Inspektor Jack Caffery. Przypomnij sobie, przecież mnie znasz. To ja cię stamtąd wyciągnąłem.

Teraz Mallows uniósł powieki, zwrócił oczy na Jacka.

- To ty byłeś z tą laską? Tą sprawną?

Caffery założył nogę na nogę, stopę opierając na kolanie.

- Do dzisiaj lekarze nie pozwalali mi się z tobą widzieć. Byłeś w stanie krytycznym. Myśleli, że cię stracą.

- Kumple dadzą mi popalić. Pozwolić, żeby uratowała cię jakaś dziwka. Wpisali mi to w papiery. - Mallows przetoczył się na plecy i usiadł, opierając się na łokciach. Caffery

przestał tupać stopą. Spod prześcieradła wyłoniły się ręce Mallowsa z bandażami wielkości arbuźów w miejscach, gdzie odcięto mu dłonie. Poruszał nimi wolno, z bólem. To było jak obserwowanie gigantycznej modliszki groteskowo krążącej po łóżku.

Mallows przyłapał wzrok Caffery'ego i roześmiał się.

- Wiem. Wygląda kurewsko, co? Lekarze mówią, że spuchły trzy razy bardziej, niż powinny.

- Wczoraj miałeś operację. - Caffery nie był w stanie oderwać oczu od tych kształtów. Jakby Mallows zamiast rąk miał wiosła. - Tak mówili.

- Nie chcieli zrobić tego wcześniej, ciągle przycinali kikuty. Kawałki skóry umierały i nie mogli nic zrobić, dopóki nie stwierdzili, że trzeba usunąć mięśnie. Nekroza, tak to nazwali. Martwe mięso.

Caffery oderwał spojrzenie od bandażu i przeniósł je na twarz Mallowsa.

- Co dalej?

- Wycięli spore kawały skóry z moich pleców i nóg i przyszyli je tutaj. - Studiował zabandażowane kikuty, obracając nimi na wszystkie strony. - Mniej więcej do północy naczynia krwionośne zaczęły wrastać w skórę. Połączą się i przy odrobinie szczęścia będę miał normalną skórę na kikutach. - Opuścił głowę na poduszkę, zapatrzył się na sufit. - Sprytne, co?

- Dobrze sobie radzisz, Ian. Naprawdę dobrze. To mnie cieszy.

Mallows chrząknął.

- Tak, ale nie przyszedłeś tylko po to, żeby poprawić mi samopoczucie, co? Czego chcesz? Już złożyłem zeznanie.

- Nie jest kompletne. Nie byłeś całkiem przytomny, kiedy je składałeś, pewne rzeczy pominąłeś. Więc skoro doszedłeś do siebie, chcemy, żebyś więcej nam powiedział. Chcemy się przekonać, co pamiętasz.

- O czym?

- Na początek o Dundasie. Tym, który zginął.

- A co dokładnie?

- Widziałeś go? Przedstawili ci go?

- Niby jak: miło cię poznać, stary? Przyjemnie dzisiaj było, no nie? Jaki kawałek ci odcinają? Wszystko już wcześniej powiedziałem. Nigdy go nie widziałem, nie miałem nawet pojęcia, że tam jest. Tam było jak w labiryncie. Człowiek nie wiedział, co się dzieje w drugim pokoju.

- Wiedziałeś, że obcięli mu włosy?

- Wiedziałem, że obcięli mu głowę. Tyle wiedziałem. W tej sytuacji chyba nie martwił się o włosy.

- Clement Chipeta, ten, który był z tobą.

- O, więc tak naprawdę się nazywa?

- Kiedy weszliśmy, czy on od jakiegoś czasu był z tobą?

- O co pytasz?

- Wychodził gdzieś? Przez ostatnie godziny był z tobą w tamtym mieszkaniu?

- Tak. Dlaczego?

- Staram się ustalić, co robił.

Mallows pokręcił głową.

- Nie. Widzisz, w tym punkcie rozmowa się kończy. Nie jestem kapusiem. Nie zakabluję kumpla. Nie zrobił mi nic złego.

- Śmieszne. Z tego co pamiętam, to on poznał cię z Wujkiem.

Mallows nie odpowiedział.

- Chronisz go, Ian. To odpowiednie słowo.

- Czyżby?

- Tak. Masz syndrom sztokholmski. Przytrafia się ludziom, którzy długo byli w niewoli - zaczynają brać stronę swoich porywaczy. Ty teraz to robisz.

- On nie był moim porywaczem. Nie chciał brać w tym udziału, zmusili go. Jest tu nielegalnie. Według mnie nie miał wyboru.

- Uprawiałeś z nim seks? I dlatego go chronisz?

- Odpierdol się.

- Clement Chipeta powiedział nam, że zbierał ludzkie włosy. - Caffery obserwował Mallowsa, czekając na jego reakcję. - Mówi, że to tradycja. Robił z nich bransoletkę. Rozmawiał z tobą o tym?

- Posłuchaj, powiedziałem ci już, że nie mam interesu w odwalaniu za ciebie roboty. Nie jestem kapusiem.

Caffery sięgnął pod krzesło i wyciągnął karton bensonów, który położył na nocnym stoliku. Mallows zmierzył papierosy wzrokiem.

- I jak niby mam je palić? Palcami u stóp?

- Będziesz potrzebował pomocy przyjaciela. Prawdę mówiąc, Ian, myślę, że będziesz potrzebował mnóstwo przyjaciół, jak stąd wyjdiesz.

- Mam przyjaciół, bo nie gadam z takimi świniami jak ty.

- Wiesz, co myślę? Myślę, że w tej ruderze, w której cię znaleźliśmy, stało się coś, o

czym nam nie powiedziałaś.

Oczy Mallowsa drgnęły. Nie patrzył na Caffery'ego, ale coś się w nich zmieniło. Nieznacznie rozszerzone źrenice i naczynka krwionośne świadczyły, że Caffery trafił w sedno.

Wziął głęboki wdech, puls mu przyśpieszył. Pochylił się i cicho powiedział:

- Mam rację, tak? Stało się tam coś, czego nie potrafisz wytłumaczyć.

Na skroni Mallowsa pulsowała żyła.

- Ian - mruknął Caffery - czy ktoś ci powiedział, ile osób wyszło z tego mieszkania? Ty to raz. - Odliczał na palcach. - Ta kupa gówna, mózg całej sprawy, którego nazywasz Wujkiem, to dwa.

- Nie słucham cię.

- Trzy to twój mały przyjaciel Clement. No i trup, Dundas. W sumie czterech... Ach, to cię dziwi, tak? Myślałaś, że powiem „pięciu”.

- Nie czuję się dobrze. Wezwij pielęgniarkę. - Mallows uniósł obie ręce, próbując nacisnąć guzik przy łóżku.

Caffery wstał, rozplątał konsolę i przesunął ją poza zasięg Mallowsa.

- Dawaj. Muszę wezwać siostrę. Chce mi się srać.

- To zwykłe wypieranie.

- Kurwa, dobrze wiem, co to jest. Nie potrzebuję wykładów o cierpieniu.

- Niczego ci nie dają?

- Dają, dożylnie.

- Jak często?

- Dwa razy na dzień.

- I to nie wystarcza?

- Co, chcesz patrzeć, jak robię kupę? To cię kręci? Śmieszne. Nigdy bym nie pomyślał, że taki jesteś. Wiesz, czym się zajmuję, no nie? Jak stąd wyjdę, mogę z kimś pogadać, jeśli chcesz. Jestem rozsądny.

Caffery założył ręce, cierpliwie na niego patrząc.

- Będziesz musiał ze mną pogadać, Ian. W końcu zaczniesz mówić.

- Odpierdol się.

Caffery z namysłem pokiwał głową.

- Wiem, gdzie są twoje dłonie.

Zapadło długie milczenie. Kiedy Mallowsa zabierano z mieszkania, wrzeszczał tylko o swoich dłoniach. Chciał je odzyskać. Teraz zwrócił zimne niebieskie oczy na Caffery'ego.

- Co?

- Powiedziałem, że wiem, gdzie są twoje dłonie. Koroner musi je zatrzymać, ale ja mogę ci powiedzieć, gdzie są.

- Gdzie?

- Najpierw ty mi powiedz, kto jeszcze był w mieszkaniu.

- Nie mówisz poważnie.

- Wręcz przeciwnie.

- Zdejmij marynarkę.

- Co?

- Chcę zobaczyć, czy masz podsłuch.

- Chryste. - Caffery zdjął marynarkę i rzucił ją na łóżko. - Zadowolony?

- Rozepnij koszulę.

Rozpiął, ściągnął z ramion i obrócił się. Mallows przyglądał mu się uważnie. Przesunął wzrokiem po gołym brzuchu. Po klatce piersiowej.

- No i? Widzisz coś, co ci się podoba?

- Nigdzie tego nie powtórzę. - Mallows mierzył go twardym wzrokiem. - Jeśli sprawa wyjdzie w sądzie, wszystkiemu zaprzeczę. Powiem, że mnie dotykałeś. Mnie, bezbronnego na szpitalnym łóżku.

- Po co była ta bransoletka, którą robił? - Caffery wciągnął koszulę i usiadł. - Do czego jej potrzebował?

- Ochrona - mruknął Mallows po długiej chwili. - Przed złymi duchami. Zastaniał się przed nimi, był przerażony.

- Przerażony? A czego się bał?

Mallows rzucił mu spojrzenie mówiące, że policja to zagadka, której nigdy, przenigdy nikt nie rozwiąże. Odrębny gatunek. A Caffery zaczął widzieć sprawę z innej perspektywy. Zobaczył nielegalnego imigranta bojącego się, że deportują go z powrotem do kraju, gdzie w mgnieniu oka obedną go ze skóry. Ogarnęło go zakłopotanie, że zrozumienie tego zajęło mu tyle czasu.

- Wróćmy do Clementa - powiedział. - Orientujesz się, czy był okrutny wobec zwierząt?

- Tam wszyscy byli okrutni. Tak ja to widziałem.

- Mówił kiedyś o potraktowaniu nożem psa albo innego zwierzęcia?

- Psa nie. Wygląda na to, że w Tanzanii nienawidzą psów. Uważają je za szkodniki, nie tknęliby ich.

- Ale gang, dla którego pracował w Tanzanii, handlował gatunkami zagrożonymi.

- Nie psami. Psy nie są zagrożone.

Co powiedziała Beatrice? *Antyspołeczne dzieciaki z osiedla Southmead byłyby do tego zdolne.* Miała rację? Pies nie miał związku z tą sprawą?

- Dlaczego zależało im na tobie, Ian? Jesteś biały.

- Nie mam pojęcia. Clement lubił białych.

- Myślał, że mamy większą moc, tak? Że nasze ciała lepiej nadają się do *muti*?

- Może.

Caffery poprawił się na krześle i udał, że zapina mankiety.

- Pytam cię, kto był w mieszkaniu, bo niektórzy moi świadkowie mówili, że widzieli coś, czego nie rozumieją.

Mallows poruszył grdyką, ale nic nie powiedział.

- Oczywiście puszczali wodze fantazji, ale mówili, że widzieli potwora. A teraz twój kumpel Chipeta twierdzi, że to był on. Przebrany.

- Tak mówi?

- Tak. Czy to prawda?

- Zapytaj go.

- Pytam ciebie. Ponownie. Czy w tamtym mieszkaniu było coś, czego nie potrafisz wyjaśnić?

Milczenie.

- Czy było tam, kiedy przyszedłeś? Uciekło?

Brak odpowiedzi.

- Widziało mnie? Śledziło?

Znowu cisza.

- Ian, obiecałeś, że mi powiesz. Taka była umowa.

Mallows spojrział na niego z furją.

- Powiedziałem wszystko, co wiem. Jak chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, idź na City Road. Znasz City Road, no nie?

- Tak.

- Możesz się tam wybrać dzisiaj wieczorem. Pogadaj z kurwami. Jest tam taka blondynka w białej kurtce. Zapytaj ją, co sądzi o potworach.

Caffery przerwał zapinanie guzików, wpatrując się w Mallowsa. Przypomniał sobie, jak parkował w zaułku przy City Road tamtego wieczoru, kiedy coś wpadło na maskę. Był wtedy z prostytutką - nie miała tego wypisanego na twarzy, ale taka była prawda. Dziewczyna

siedziała z nim w samochodzie.

- Znasz imię tej prostytutki?

- Nie. To jedna z miliona, wiesz, jak to jest.

Caffery wygrzebał z kieszeni kawałek papieru, który nosił od kilku dni. Widniał na nim numer, na który dzwoniło z komórki Bena Jakesa - aparat ciągle był wyłączony. Zatelefonował tam raz ze służbowego telefonu, ale nie próbował z prywatnego. Teraz go wyjął i wystukał numer. Ekran komórki pociemniał, po czym pojawiła się na nim migająca ikona oraz słowa: „dzwonisz na numer Keelie z City Road”. Ktoś - Tikoloshe? - zadzwonił z komórki do Keelie. Prostytutki. W głowie Caffery'ego zaczęła formować się mglista idea.

Wstał, włożył marynarkę, zapiął guziki.

- Dzięki, Ian. Życzę ci szczęścia do następnej dawki.

- Hej. - Mallows pośpiesznie usiadł na łóżku. - A ty dokąd się wybierasz? Obiecałeś, że powiesz, gdzie są moje dłonie. Muszę wiedzieć, że są w takim miejscu, gdzie ten kurewski Wujek się do nich nie dobierze. Nie chcę, żeby znowu ich dotykał.

- Są bezpieczne. - Caffery zatrzymał się w progu. - Patolog je zbadał, zrobił sekcję i teraz są pod kluczem. Czekają, aż koroner zdecyduje, co z nimi zrobić.

- Gdzie? - Mallowsowi oczy wychodziły z orbit. Przytłumione światło padające na łóżko nadawało mu wygląd postaci z jakiegoś przerażającego religijnego obrazu. Boscha albo Goi. - Obiecałeś, że powiesz.

Caffery otworzył drzwi i stojąc w progu, powiedział:

- Są tutaj. W szpitalnej kostnicy. I wiesz co? - Ironia tej sytuacji sprawiła, że pokręcił głową. - Od początku tu były. Cały czas. Sto metrów pod tobą.

Pchła siedziała w fotelu ojca z podkulonymi nogami, w dłoni trzymała szklanę tanqueray z tonikiem i oglądała telewizję. Pokazywano Farleigh Park Hall. Neoklasycyński dwór z portykiem i loggią z piaskowca został przez właścicieli wyszykowany na potrzeby programu: okna były świeżo umyte, bliźniacze fontanny z frontu działały, w pobliżu dwa pawie dziobały w trawie z roztargnieniem. Na ekranie pojawiła się dziewczyna, która schodziła po schodach. Żółte włosy miała matowe, jakby pochłaniały promienie słońca. Sandaalki, pomyślała Pchła. Tu się pomylili. Były srebrne, nie złote. Ale wszystko inne... wszystko inne było perfekcyjne. Jaskrawa zielona sukienka, aksamitny fioletowy płaszcz. Dziewczyna niosła torebkę wyszywaną cekinami, które połyskiwały przy każdym jej kroku. W torebce pewnie jest nokia z serduszkami. Każdy szczegół był ważny.

Dzisiaj o jedenastej rano, kiedy Pchła była w kamieniołomie, MCIU dokonało rekonstrukcji ostatnich godzin Misty w ośrodku odwykowym. Kamerzysta pokazał szeroki plan i dopiero wtedy widać było, jaki tłum bierze w tym udział. Prowizoryczny parking na polu zapełniały pojazdy, na wozach transmisyjnych sterczały anteny satelitarne, reporterzy przed kamerami poprawiali włosy i krawaty, techniczni się krzątali, sprawdzając trójnogi i mikrofony. Wokół grupkami stali policjanci i cicho rozmawiali. Siwowłosy mężczyzna w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym koło fontanny podejrzenie przypominał komendanta głównego.

Pchła poczuła, jak przygniata ją pesymizm. Tylko cud może sprawić, żeby policja zrezygnowała z tego śledztwa.

Wyłączyła telewizor i z drinkiem poszła do kuchni. Nie może dłużej siedzieć i czekać na telefon Thoma. Musi coś zrobić, zacząć szukać miejsca wypadku. Z informacji krążących przy „wodopoju” wynikało, że laboratorium w Chepstow bada włosy i włókna zebrane z kilku miejsc wokół ośrodka, bo szukają tropu pozwalającego ustalić, dokąd skierowała się Misty. Pchła nie dysponowała policyjnymi technikami i funduszami, miała tylko własny mózg. Musi myśleć intensywniej, szybciej i bardziej logicznie niż cała policja razem wzięta.

Zdjęła z kuchennego stołu młynek do pieprzu i gliniany kubek, w którym mama zawsze trzymała sztućce i serwetki, następnie rozłożyła na blacie papiery przyniesione z pracy: fotografie ubrania Misty i wydruki map, z których oddział korzystał podczas

przeszukiwania jeziora w Farleigh Park trzy dni temu. Usiadła tam, gdzie siadywała całe swoje życie - po lewej, pomiędzy miejscami Thoma i ojca, którzy siedzieli naprzeciwko mamy, i zaczęła się zastanawiać.

Policja wiedziała, w którym kierunku poszła Misty po opuszczeniu ośrodka. Ustalili to na podstawie sygnału z jej komórki. Pearce mówił o tym Caffery'emu, kiedy zajmowali się samobójczynią ze Strawberry Lane. Maszty przekaźnikowe zwykle miały anteny z głowicami, które obejmowały sektory tworzące 360 stopni. Sygnał z konkretnego telefonu można umiejscowić w granicach jednego z takich sektorów: niektóre maszty zaopatrzone były aż w sześć głowic, co zawężało te tak zwane „komórki” do 60 stopni i umożliwiało stwierdzenie, pod jakim kątem względem masztu znajdował się telefon, o ile odległość nie była zbyt wielka. Chyba że w grę wchodził następny maszt. W takiej sytuacji, zwłaszcza jeśli telefon był blisko któregoś z nich, istniała możliwość zredukowania terenu poszukiwań niemal do rozmiarów główki od szpilki.

Misty miała otwieraną nokię. Pchła uważnie przestudiowała fotografię. Obudowa z nierdzewnej stali i wyświetlacz LCD - w gruncie rzeczy Pchła miała podobną, tylko że Misty swoją kazała ozdobić sercem z kamieni szlachetnych. Telefonu nie było w torebce z cekinami ani w kieszeniach płaszcza, Thom także go nie zwinął, o tym Pchła była przekonana. Więc co się z nim stało?

Wyjęła laptopa z futerału, odpaliła i włączyła Google Earth. Zdjęcia satelitarne Farleigh Park Hall zrobiono w letni wieczór. Budynek i rosnące wokół drzewa rzucały ogromne cienie na trawniki. Pchła poszukała ołówka i papieru, przysunęła mapę i zaczęła ją porównywać ze zdjęciem, wodząc palcem po lesie i jeziorze. Pearce, konsultant do spraw poszukiwań, powiedział, że dostali „brzdęk” z masztu przekaźnikowego. Maszt był na zdjęciu, jego długi cień leżał na polu. Pchła naszkicowała wokół niego okrąg, podzieliła na kawałki i przestudiowała fragment południowo-wschodni. Dostrzegła w nim nieznaczny biały błysk. Powiększyła i zobaczyła biegnącą ku błyskowi kremową wstęgę szlaku. Jezioro. To, którego nie chciała przeszukiwać.

Zamknęła laptopa i usiadła wygodnie z mapą w dłoni. Telefon Misty wysłał ostatni sygnał w tej sześćdziesięciostopniowej komórce, ale w żaden sposób nie można było stwierdzić, jak blisko masztu się znajdował. To oznaczało konieczność przeszukania kilku kilometrów kwadratowych. Jeśli Misty wyłączyła telefon, mogła pójść dokądkolwiek, przemierzyć jakikolwiek dystans. Mogła wkroczyć w zupełnie inną sekcję masztu przekaźnikowego albo w zasięg zupełnie innego masztu. Mogła opuścić Farleigh Park Hall i pójść na południe albo wschód, a to dawało trzy przypuszczalne miejsca wypadku: droga

A36, A366, B3110.

Niewykluczone zresztą, że doszło do niego na jednej z wielu bocznych dróg przecinających pola w tej okolicy. Pchła poskrobała się po głowie. Trzeba by przeszukać wiele kilometrów. A jej się zdawało, że prowadzi w tym wyścigu. Sądziła, że skoro wie, że Misty zginęła na drodze, ma nad policją przewagę.

Siedziała tak z dziesięć minut, gapiąc się na mapę, podczas gdy lód topił się w szklance z ginem, kiedy nagle o czymś pomyślała. O Lucy Mahoney, o tym, jak wczoraj pakowali ją do worka i jak wyglądały jej buty.

Z szuflady wyjęła woreczek na lód, z szafy, w której trzymała służbowe wyposażenie, wzięła lateksowe rękawiczki, a z kosmetyczki pincetę.

W garażu było duszno, mimo że wentylator w kącie cicho szumiał. Teraz, kiedy ciało zostało schłodzone, a tapicerka bagażnika wyrzucona, odór zmalał do słabego zapaszku, jakby ktoś zapomniał wynieść worek ze śmieciami. Pchła włożyła rękawice i maskę, po czym podeszła do wanny. Wymieniła lód zaraz po powrocie do domu i plastikowa płachta miała barwę mleka, jakby Misty pod nią oddychała. Zarys jej postaci nie uległ zmianie: przyklejony do plastiku zielony materiał, mętny żółty krążek skóry w miejscu, gdzie nadgarstek przywarł do przykrycia, sugestia jasnych włosów.

- To ja. Znowu ja. Muszę cię przesunąć.

Złapała za dolny koniec kokonu i przeciągnęła tak, że teraz stopy Misty opierały się o krawędź wanny. Lodowata woda chlupnęła na podłogę. Pchła szybkimi ruchami odpięła opaski i odwinęła płachtę. Wewnętrzną stronę pokrywały smugi na wpół zamarznętej brei. Stopy w srebrnych sandałkach były zimne i twarde.

Pchła uniosła jedną i bacznie się przyjrzała. Wysoki obcas oklejony był źdźbłami trawy, gałązkami roślin, błotem. Bardzo, bardzo ostrożnie oderwała pincetą fragment i wrzuciła do woreczka. Oddychając przez usta, podniosła drugą stopę i także usunęła fragment. Starła się zebrać tyle różnych liści i grudek ziemi, ile się dało.

- Dziękuję, Misty. - Zamknęła przykrycie, zsunęła ciało do wanny. Chryste, to było straszne. - Więcej nie będę cię niepokoić.

Kiedy wróciła do kuchni, słońce zachodziło, rozpędzając chmury i rzucając na niebo dramatyczne snopy światła. Szafki i ściany przybrały ognistą barwę. Pchła wysypała drobinki ziemi i roślin na kuchenny ręcznik. Przyrządziła następny gin z tonikiem i z pincetą w dłoni zaczęła je porządkować.

W większości była to trawa oblepiona czerwonawą ziemią, może gliną. Pchła spojrzała na mapę. Ojciec był geologiem amatorem i do dzisiaj półki w domu wypełniały

kamienie, które zbierał przez lata. Przy śniadaniu robił jej i Thomowi wykłady: w dolinie Avon, pasie ziemi biegnącym wzdłuż rzeki, jest glina, która na wyższych terenach ustępuje miejsca wapieni oolitowemu. To mogło znaczyć, że Misty poszła na wschód, nie na południe, w kierunku rzeki. Tak czy owak Pchła nie miała pojęcia, gdzie kończy się glina, a zaczyna wapień. Rozdzieliła rośliny, odsuwając na bok trawę. W pewnej chwili na widok czegoś, co wyglądało jak pognieciony brunatny papierek, znieruchomiała, jakby odkryła złoto.

Przygryzając język ze skupieniem, rozprostowała skrawek paznokciem i pincetą. Przekonała się wtedy, że to nie jest papierek, ale dwa połączone płatki - zapewne były żółte, zanim zostały zmiażdżone i na wpół zamrożone. W środku pozostał fragment pręcika. Pchła długo przyglądała się znalezisku. Kwiatek musiał być mały, ale nie był delikatny i wydawał się za twardy na swój rozmiar. Do głowy wpadła jej myśl: może to część większego kwiatu... Zaraz potem pojawiła się odpowiedź.

Rzepak. Kwiat rzepaku.

Przyciągnęła laptopa i wpisała nazwę do Google'a. Zmora astmatyków, błogosławieństwo rolników żyjących z dotacji - w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku w Anglii był nadmiar rzepaku. Każde zbocze, każdą dolinę porastały te charakterystyczne jaskrawożółte kwiaty. O tej porze roku zaczynał kwitnąć, pola z zielonych zmieniały się w żółte. Na ekranie pojawił się płatek identyczny z tym, który leżał na stole.

Misty Kitson przeszła przez pole rzepaku, zanim znalazła się na drodze, na której potrafił ją Thom.

Pchła przełączyła się na Google Earth i powiększała, aż ekran wypełnił się przybliżonym obszarem poszukiwań. Pochyliła się, najechała kursorem na ośrodek odwykowy z ołowianym dachem i pilastrami, następnie się cofnęła, by kadr objął otaczające go wsie: domki, zabudowania gospodarcze, stacje benzynowe, pensjonaty przy głównej drodze. A także jezioro.

W czasie gdy zrobiono zdjęcie, rzepak kwitł. Jednak mimo że na zachód od kliniki ciągnęło się pole barwy ochry, nie było nic, co przypominałoby rzepak. Pchła zrobiła odjazd, aż na ekranie pojawiła się cała okolica.

W oczu natychmiast rzuciły się jej dwie plamy żółci tak jaskrawej, że zdawały się fosforyzować. Leżały wiele kilometrów od kliniki, daleko poza granicami obszaru, który policja przeszukała. Jedno pole znajdowało się niemal pięć kilometrów na południe, zachodziło na komórkę masztu przekaźnikowego. Drugie, na lewo od pierwszego, rozciągało się jeszcze dalej, zachodziło na krawędź innej komórki. Oba leżały za daleko, by ten sprytny

mały fiut konsultant umieścił je w swoich parametrach.

Włożyła szklankę do zlewu, wsunęła rękawice i pincetę do kieszeni kurtki i z szuflady wyjęła kilka woreczków. Poszła do gabinetu ojca po ciężką latarkę maglite i swój stary plecak. Wzięła gumowce, T-shirt z długimi rękawami i butelkę wody. Z pojemnika z papierami wygrzebała kilka kartoników, reklamówek z niedzielnej gazety, i schowała do kieszeni.

W progu stanęła jak wryta. Kilka kroków dalej na podjeździe zobaczyła Katherine Oscar w kurtce i skórzanej kamizelce, stroju z pewnością bardzo „wiejskim”, bo wyglądał na strasznie niewygodny. Zachodzące słońce zmieniło jej włosy w aureolę. W palcach trzymała luźno gazetę. Na jej twarzy malował się wyraz, który Pchła dobrze znała po wielu latach sąsiedowania z Oscarami. Mówił, że żaden wyczyn Marleyów nie może jej zaskoczyć.

- Phoebe! - Była poza Mandy jedyną na świecie osobą, która używała prawdziwego imienia Pchły. - Nie przestajesz mnie fascynować.

Pchła zatrzasnęła drzwi i wyszła na podjazd.

- Fascynuję cię? Dlaczego? Co znowu zrobiłam?

Katherine roześmiała się, poprawiając włosy.

- Och, no wiesz. Na przykład te twoje samochody. Jak ten tutaj. Nowy?

- Tak.

- Co to za marka? - Pochyliła się, by obejrzeć logo.

- Ach, renault! Słodki mały renault. To pewnie miejskie auto?

- Miejskie?

- Tak. Zwrotne. No wiesz.

- To nie jest land rover. O to ci chodzi.

- Nie, nie jest. A może? - Uśmiechnęła się, splotła ręce i teatralnie się rozejrzała.

Lampy w garażu były zgaszone, ale światło z holu sprawiało, że brązowy papier na oknach słabo się żarzył. - Widzę, że zasłoniłaś okna w garażu. Co ty tam robisz w takiej tajemnicy jak Sekretna Wiewiórka - roześmiała się. - Mam nadzieję, że nie kroisz trupów. Wiesz, przez tę twoją pracę moja wyobraźnia szaleje.

- Przyłapałaś mnie. Przyznaję się. Kroję trupy. Ludzi, którzy mnie irytują. Mam całą listę. Chcesz zobaczyć?

- Wy, Marleyowie, zawsze rozśmieszacie mnie do łez.

- Naszym celem jest sprawianie przyjemności.

Wymięła Katherine, celując kluczykami w clio. Drzwi się otworzyły, światła zamrugały. Położyła dłoń na klamce, zanim Katherine obiegła samochód i stanęła przed

maską.

- Przepraszam, Phoebe, znowu obie wstałyśmy lewą nogą. Wiesz, ja tylko mam nadzieję, że przemyślisz sprawę ogrodu. W gazecie piszą jasno. Popatrz, tu jest artykuł. Trwa kryzys kredytowy, ceny nieruchomości lecą na łeb na szyję. Złożyliśmy ci dobrą ofertę. Oczywiście nie wycofamy się z niej.

Ogród był utrapieniem. Najłatwiej byłoby go sprzedać - może chociaż połowę, tę z altaną - i niech Katherine się martwi. Ale potem Pchła pomyślała o mamie, która spędzała tam cały wolny czas. Rzuciła latarkę na siedzenie i wsiadła.

- Raczej nie.

Katherine przez moment się zawahała, potem podbiegła do okna od strony kierowcy. Twarz miała zaczerwienioną.

- Mój Boże, jesteś taka sama jak twoi cholerni rodzice.

Pchła zatrzasnęła drzwi. Uchyliła okno i spojrzała na stopy Karen.

- Myślę, że to koniec rozmowy. Chcesz, żebym cię podwiozła, czy wolisz iść?

Katherine chwilę milczała, potem odsunęła się od samochodu.

- Nie, dziękuję. O wiele bardziej odpowiada mi spacer.

- Świetnie - powiedziała Pchła. - W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, że cię tu zostawię, co?

Prostytutki zaczęły się po przyjeździe do Bristolu. W Londynie Caffery miał dziewczyny, które kochał, tak przynajmniej mu się wydawało. Które kochały jego. Z jedną czy dwiema nawet mieszkał w swoim małym wiktoriańskim szeregowcu kupionym od rodziców. Z tego domu wyszedł Ewan w dniu, gdy zaginął. Później jednak prawie czterdziestoletni Caffery osiągnął etap, na którym pojął, że jego jedynym talentem dotyczącym kobiet jest wiedza, jak je niszczyć. Chodził więc do takich, których nigdy więcej miał nie spotkać. Do dziewczyn w rodzaju Keelie.

Na ulicach wokół City Road panował ruch. Nie zapadł jeszcze mrok, a dziewczyny już pracowały. Bez problemu wypatrzył Keelie. Sama o to zadbała, zawsze ubierając się tak samo: w białą kurteczkę ze srebrnymi pasami na bokach. Na tym polegała uliczna taktyka, chodziło o to, by stali klienci rozpoznawali ją na odległość. To dodawało im pewności siebie. Mówiła, że się denerwowali, kiedy zmieniała strój i uczesanie, i zaczynali się zastanawiać, przed kim się ukrywa i czy przypadkiem nie obrabia klientów. Caffery nie zamierzał zaczepiać jej na otwartej przestrzeni, nie wiedział, czy Tikoloshe gdzieś tam nie czai się w mroku, postanowił więc, że poczeka w bramie sklepu Claire's Accessories, podziwiając błyskotki dla dziewcząt.

Kiedy go zauważyła, poszli do pokoju nad pubem. Oprócz kurtki miała spódniczkę mini ze spandeksu i srebrny T-shirt. Była wysoką dziewczyną z muskularnymi, pokrytymi piegami łydkami, które się nie trzęsły, kiedy przed nim wchodziła po schodach. Wyglądałaby jak trenerka hokeja, gdyby nie włosy z pasemkami barwy zimnego piwa i pięty, które wystawały z sandałków na wysokich obcasach.

Miała nowy telefon. Była dumna ze sposobu, w jaki o sobie dba: nigdy nie uprawia seksu bez zabezpieczenia, nigdy go nie pozoruje („Większość dziewczyn to robi. Mają uda mocne jak imadła. Smarują je tłuszczem i ściskają. Jak klient jest zalany, nawet się nie zorientuje”). Ale nie Keelie. Była profesjonalistką. Zawsze używała prezerwatywy. Zawsze przez komórkę podawała komuś nazwisko klienta, numer rejestracyjny jego samochodu i miejsce swojego pobytu. Zrobiła tak tamtego wieczoru, kiedy była z Cafferym w zaułku, ale teraz wątpił, czy rzeczywiście z kimś rozmawia, stojąc plecami do niego i jednym palcem unosząc brudną zasłonę, by spojrzeć na kolegów na ulicy. Pewnie żał by jej było pieniędzy na

rozmowę. Ogarnął go smutek na myśl, że ten udawany wysiłek z założenia był rozsądny. Jakby to mogło ją uratować.

- Dlaczego zmieniałaś numer telefonu?

Wrzuciła komórkę do torebki i podeszła do krzesła.

- A jak myślisz? Numer znają tylko stali klienci. - Położyła nacisk na słowo „klient”, jakby przez to mogła sprawić wrażenie, że zajmuje się prawem, szpiegostwem korporacyjnym albo projektowaniem wnętrz. - Ale czasami zaczyna im odbijać. Myślą, że prowadzę telefon erotyczny albo że fajnie jest zadzwonić do mnie o szóstej rano, kiedy żona jest pod prysznicem czy gdzieś tam. - Podniosła stopę, oparła ją na kolanie i odpięła pasek sandałka. - A czasami żona trafia na mój numer i zaczyna na mnie wrzeszczeć. Mam je zostawić? Buty?

- Nie.

Zdjęła sandałki i kopnięciem wsunęła pod krzesło, potem z torebki wyjęła papierosa. Zapaliła.

- Popatrz na czujnik dymu. - Głową wskazała sufit. Sensor otulony był fragmentem stanika. - Tak większość dziewczyn myśli o zakazie palenia w pokojach. - Wstała, zsunęła majtki i kopnęła je pod krzesło. Na metce widniał napis Ann Summers. Szacowny seks. Towar dostępny na głównej ulicy. Inaczej niż w czasach, kiedy Caffery zaczynał w Londynie - wtedy trzeba było iść aż na Berwick Street, jeśli chciało się znaleźć sklep z akcesoriami erotycznymi. - Dzisiaj jesteś moim ostatnim klientem. Poszło mi świetnie.

- Możesz je zatrzymać.

- Buty?

- Majtki.

- Co?

- Chcę pogadać.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Zapłaciłeś mi. Skoro mi zapłaciłeś, sprawa załatwiona. Jak zmienisz zdanie, sam będziesz musiał się obsłużyć.

- Zatrzymaj pieniądze.

Kilka razy się zaciągnęła, przyglądając mu się uważnie.

- Mogę tu być najwyżej kwadrans, ani minuty dłużej. Gadanie nie jest tańsze od seksu.

Zgoda?

- Chodzi o klienta.

- O, nie. Wiem, że jesteś gliniarzem, Jack.

- Od kiedy?

- Zawsze wiedziałam.

- Skąd?

- Ze sposobu, w jaki chodzisz. Jakbyś myślał, że w każdej chwili ktoś cię zaatakuje.

- I dlatego nigdy nie patrzysz mi w oczy?

- Nie. Nie patrzę ci w oczy, bo tego nie chcesz. Wiedziałam o tym w chwili, gdy cię zobaczyłam. Ten facet nie chce, żeby mu przypominać o tym, co robi, pomyślałam. Na pewno jest gliniarzem.

Caffery poprawił się na łóżku.

- Możesz mnie poczęstować papierosem?

Podawała mu paczkę. Wziął papierosa i pozwolił, by Keelie mu zapaliła. Paznokcie miała ozdobione błyszczącymi srebrnymi płatkami śniegu. Na coś takiego dziewczyna poświęca wiele godzin, a bywa, że facet nawet tego nie zauważy, bo tak mu się śpieszy, żeby zaspokoić potrzeby fiuta.

- Chcesz pogadać o tym kliencie. Mam przeczucie, że wszystko powiesz.

- Grozisz mi?

- Masz szczęście, że płacę ci za twój czas. Mógłbym zapuszkować cię na noc. Albo nakazać przeszukanie na ulicy i nikt przez cały weekend nie mógłby pracować. Byłabyś przebojem miesiąca.

Wzdychając, wstała i strzepnęła długi słupek popiołu do zlewu. Podniosła majtki i wciągnęła.

- Dobra, mów. - Usiadła na krześle, wyciągając nogi i kierując palce do środka. - O co ci chodzi?

- Słyszałaś o aresztowaniach. - Spod czerwonej kołdry wyciągnął poduszkę i położył się wygodnie, krzyżując stopy.

- W weekend. Chłopak z głową odciętą do połowy.

- Ale to nie było tutaj, tylko po drugiej stronie autostrady. W Easton.

- Jeden ze sprawców był waszym klientem. Chyba go pamiętasz. Czarny. Afrykańczyk. Bardzo, bardzo niski.

Roześmiała się.

- Chodzi ci o Chipa? Gdybyś od razu powiedział, że chcesz o nim pogadać, nie musiałbyś mi grozić. Tego rodzaju informacje są darmowe.

- Chip, powiadasz? To jego imię?

- Raczej nazwisko.

- To Clement Chipeta?

- Nie. Amos. Amos Chipeta.

Caffery znieruchomiał z papierosem w ustach.

- Amos? Jesteś pewna?

- Pieprzony świr. Totalnie mnie wkurzył.

Caffery opuścił dłoń z papierosem.

- I jak wyglądał ten Amos Chipeta? - zapytał. W ustach całkiem mu zaschło.

- Mówiłeś, że wiesz.

- Powiedziałem, że był mały. Tylko tyle wiem.

- No, to właściwie jest karzeł, ale nie taki zwyczajny, tylko dziwoląg, wiesz, jak Człowiek Słoń. Zawsze naciągał kaptur kurtki na twarz, żeby nie było widać, jak wygląda, i ciągle się tu kręcił. Obserwował nas. A potem pewnego wieczoru podszedł do mnie, bo uzbierał pieniądze. Zaproponował mi dwukrotną stawkę, ale ja odmówiłam. Nie wchodzi w grę, kurwa! Sama myśl o tym jest ohydna. Wykluczone, żebym przespała się z mutantem. Nawet za podwójną stawkę.

- Kiedy ostatni raz go widziałaś?

- Nie wiem. Ze dwa tygodnie temu. - Znowu się zaciągnęła. - Więc jak? Mówisz, że miał udział w tej sprawie w Easton?

- Może.

Keelie zadrżała.

- Obrzydliwe.

Caffery palił, rozmyślając o zgarbionej postaci na wideo z operacji Norwegia. Oto jest miejsce, gdzie mit i rzeczywistość się zlewają. Amos Chipeta. Niewykluczone, że Tikoloshe wyszedł z cienia.

- Keelie, orientujesz się, dlaczego miałby się mną interesować?

- Taa - odparła przeciągle. Taa. Jakby mówiła: Czemu zadajesz mi to kretyńskie pytanie? - Chce być taki jak ty, złotko. - Pochyliła się ku niemu z przekrzywioną głową, posyłając mu przesadnie szeroki uśmiech. - Chce być taki seksowny jak ty. Bo ty jesteś super, stary.

- Patrzę na zegar, Keelie.

Westchnęła i zgarbiła się na krześle.

- On po prostu chce dostać to co ty.

- Dlaczego ja?

- Bo byłam z tobą. Jest zazdrosny.

- Skąd o tym wiedział?

- Bo mu powiedziałam, Sherlocku.
- Przez noc masz ilu, dziesięciu mężczyzn?
- W dobrą noc. Bardzo dobrą. Raczej pięciu.
- Pięciu facetów na noc. Czy on śledzi wszystkich?
- Nie.
- Więc dlaczego wybrał akurat mnie?
- Nie wiesz?
- Nie.

Keelie wydmuchała dym. Przyglądała się Caffery'emu przez długą chwilę, niemal tak, jakby mu współczuła. Potem wstała i rzuciła niedopałek do zlewu. Rozległ się cichy syk.

- Chcesz loda?
- Czas minął. - Caffery wyciągnął do niej rękę, pokazując zegarek. - Dziewiąta.
- Mogę przedłużyć.

Spojrzał na jej profil, na opuszczone powieki. Dostrzegł w niej niezaspokojone potrzeby i przez moment chciał na nie zareagować, ale tego nie zrobił.

- W porządku. Dziękuję, Keelie. Mówię poważnie. Dzięki.
- Czyli skończyliśmy?
- Tak.

Wstał, podszedł do zlewu i odciągnął zasłonę. Było późno, ale niebo ponad budynkami miało kolor fluoryzującego błękitu. Odcień zbliżony do indygo. Latem praca tych dziewczyn była gorsza. Gorsze było to, co robili mężczyźni tacy jak on. Zimą mieszkanie w mroku, okrywanie spierzchniętej skóry i unikanie patrzenia w oczy innym było OK.

Latem wydawało się to zniewagą.

Caffery nie był pewien, czy zostanie w Bristolu. Kiedy uwolnił się od tego, co przez lata trzymało go w Londynie (Penderecki, pedofil, który zamordował jego brata Ewana), nie spoczął, tylko jak statek zrywający się z kotwicy zaczął dryfować. Sprzedał dom w Brockley i pojechał na zachód z powiększonym kontem bankowym i całkowitym brakiem ochoty na zapuszczenie korzeni. Poszedł do agencji wynajmu i nie prosząc nawet o fotografie, wpłacił depozyt na pierwszy lokal, do którego mógł się wprowadzić od razu. Okazało się, że przypadł mu mały kamienny domek z widokiem na starożytnie i samotne kręgi Priddy.

Priddy było dziwnym miejscem zabłąkanym w wilgotnym Mendips. Tę owianą legendami niezaludnioną i ponurą okolicę wypełniały kopalnie ołowiu i leje krasowe. Miejscowi przysięgali, że sam Jezus odwiedził kiedyś neolityczne kręgi. Przypłynął w niskiej łodzi z Glastonbury (wtedy cały ten teren był jeszcze morzem), stojąc dumnie na dziobie. Za sterem siedział jego wuj, Józef z Arymatei. Kto mógł temu zaprzeczyć? Dwa dni temu Caffery słyszał, jak kobieta w sklepie powiedziała: „Pewne jak to, że Bóg był w Priddy”. Dla niej było to równoznaczne ze stwierdzeniem, że papież jest katolikiem.

Caffery nie zadomowił się w chacie. Pokoje były za małe, rano musiał się schylać, żeby wyjrzeć przez okno sypialni, tak nisko osadzono je w ścianie. Słomiany dach z daleka wyglądał jak rysunek na bombonierce, ale najczęściej Caffery'ego budziły wiewiórki, które miały tam gniazda; jedna nawet wdarła się do domu i zostawiała kupy na kuchennym stole. Dom nie przywitał Caffery'ego serdecznie, więc on w rewanżu go nie lubił: większość pudeł wciąż leżała w garażu i choć minęły dwa miesiące, nie rozpakował jeszcze wszystkich ubrań. Leżały w workach w gościnnym pokoju i zbierały kurz. Może dziewczyny w rodzaju Keelie stanowiły coś więcej niż sposób na nieangażowanie się w związek. Może powstrzymywały go od przebywania tutaj. Wśród pustki, zapachów i cieni.

Wrócił do domu o dziewiątej i zaraz otworzył okna, by wywietrzyć odór wiewiórek. Wiedział, że powinien coś zjeść, zamiast tego jednak poszedł do salonu i nalał sobie glenmorangie do szklanki. Przez chwilę się jej przyglądał, potem wziął butelkę whisky i poszedł wąskimi, nierównymi schodami na górę, schylając głowę. Sufity były tu niskie, tynk stary i napuchnięty, pewnie zrobiony z końskiego włosia, i Caffery przekonał się, że lepiej nie wieszać na ścianach obrazków. Ale sypialnia była do przyjęcia. Na starej biblioteczce blisko

łóżka stał telewizor podłączony do talerza.

Caffery postawił butelkę na nocnym stoliku, rozebrał się do bielizny, włączył telewizor i położył się z rękami za głową. Pokazywano program o kobiecej drużynie piłkarskiej z Islandii. Jedna z dziewczyn miała fatalnie zoperowaną zajęczą wargę. Narodziny to loteria, pomyślał. Najdrobniejsza mutacja genu może stworzyć potwora. Islandka. Tikoloshe. Amos Chipeta.

Przeszukanie baz danych FBI i Interpolu potwierdziło, że Clement Chipeta ma brata Amosa, który w tym samym czasie wyjechał z Tanzanii, ale miejsce jego pobytu wciąż jest nieznane. Dorastał wśród namorzynów w delcie Rufii i zanim skończył dwadzieścia lat, został członkiem gangu, który zatrudniał nurków (także bez aparatów tlenowych) okradających wraki statków. Miejscowe prawo nie uwzględniało tego rodzaju spraw, a sporo się na tym zarabiał. Dla Amosa był to początek przestępczej kariery, która doprowadziła go do handlu częściami ludzkiego ciała, a w końcu do Wielkiej Brytanii. W grudniu osobnik nazwiskiem Andrew Chipeta zgłosił się do lekarza w Southall w Londynie, prosząc o skierowanie do specjalisty. Lekarz oglądał zdeformowany kręgosłup, przerośnięte żebra, szczękę jak u goryla, w myślach wyliczając rozliczne diagnozy: skolioza, kifoza, dysplazja diastroficzna, ale „Andrew” w pośpiechu uciekł, kiedy zadano mu rutynowe w przypadku każdego nowego pacjenta pytania o adres, warunki życia, wiek i kraj urodzenia.

Amos Chipeta. Więc kim lub czym był Tikoloshe? Młodym człowiekiem z poważnymi wadami wrodzonymi? Gdzieś tam egzystującym, Bóg tylko wie jak, i starającym się uzyskać pomoc w zimnym obcym kraju - wciąż jednak zdolnym do odnalezienia piękna, czystości, może nawet miłości w twarzy prostytutki z Hartcliffe, która za numerkę bierze dwadzieścia funtów? A może potworem? Półczłowiekiem kąpiącym się w błocie i brudnej wodzie, zarabiającym na życie okradaniem grobów i obcinaniem trupom włosów.

Caffery zamknął jedno oko, potem drugie; w szklance z whisky blask z ekranu załamywał się jak w pryzmacie. Wiele lat temu w Londynie (miał wtedy chyba piętnaście lat) kochał się w koleżance ze szkoły. Nie potrafił przypomnieć sobie jej imienia, pamiętał za to, jak nazywał się chłopak, który był jej ukochanym: Tom Cadwall. Pamiętał także, jak pewnego dnia wczesnym rankiem włamał się do ogrodu Cadwallów. Wdrapał się na drzewo. Wisiał na konarach jak cholerny opos. Spędził tam cały dzień w nadziei, że zobaczy, jak wygląda sypialnia Toma Cadwalla. Chciał się dowiedzieć, w czym Cadwall go przewyższa.

Caffery przysnął, tak jak leżał, z dłonią na szklance stojącej na jego piersiach. Zobaczył Toma Cadwalla. Zobaczył go stojącego w oknie sypialni wiele lat temu. Zobaczył kobietę, która weszła do pokoju, by z nim porozmawiać. Była drobna i żyłasta, z burzą

włosów wyblakłych od słońca i stoney wody. Oparła się o Toma. Powąchała jego klatkę piersiową, położyła dłoń na jego głowie, wplotła palce we włosy i zaczęła szarpać.

Caffery obudził się przestraszony. Szklanka stoczyła się na podłogę i rozbiła. Serce mu waliło, włosy na karku stały dęba. Coś go obudziło. Coś było w pokoju.

Pomału, nie poruszając reszty ciała, uwolnił jedną rękę i uniósł, tak by była gotowa do obrony. Oddychał powoli, regularnie, bo jeśli ktoś go obserwował, chciał się wydać spokojny. Powiódł wzrokiem po pokoju, szukając kryjówki tego drania. Pomyślał o pistolecie - leżał w cholernym schowku w samochodzie.

Jednym ruchem przetoczył się na plecy, złapał butelkę i trzymał przed sobą, wpatrując się w ciemność.

- Dobra. - Odetchnął głośno. - Nie wiem, czego chcesz, ale załatwmy to. Raz a dobrze.

Odpowiedział mu tylko błysk na ekranie. Reklama ubezpieczenia, buldog kiwający łbem do kamery. Na parterze szumiała lodówka. Odsunął kołdrę i lekko przejechał dłonią po prześcieradle. Było nierówne i pomarszczone. Wilgotne. Teraz wyczuwał też odór stojącej wody. Rzek i kamieniołomów. Drań leżał w jego łóżku.

Rzucił kołdrę na podłogę. Pod poduszką coś błysnęło. Nożyczki. Jego nożyczki do paznokci z szafki w łazience. Takimi samymi obcięto włosy Jake'a.

Pogładził się po głowie, tuż przy karku brakowało kosmyka. Łysy placek miał rozmiary jednopensowej monety.

Oddychał wolno, próbując się uspokoić.

Górna część okienka była uchylona. Nikt i nic nie mogło się przez nie przecisnąć. A na dole? Czy ktoś otworzył któreś drzwi i wśliznął się do środka bez jego wiedzy? I co z łazienką? Położył nożyczki na nocnym stoliku i wstał, wciąż trzymając przed sobą butelkę.

Jakiś hałas. Na dole. Ukradkowy odgłos otwieranych frontowych drzwi. Ledwo słyszalny trzask. To wystarczyło. Caffery doszedł do schodów w samą porę, by zobaczyć, jak jakiś cień, sugestia czegoś nieznacznie ciemniejszego niż otoczenie, wymknął się za próg.

Popędził na dół, biorąc po dwa stopnie naraz, otworzył drzwi i boso wybiegł na dwór. Księżyc zasłaniały chmury, a w Mendpis nie było ulicznych lamp, więc w ogrodzie panowała ciemność. Zatrzymał się na środku podjazdu i nasłuchiwał, ściskając w dłoni butelkę. W lesie po prawej upiornie zahuczały sowy, ich głos poniósł się nad okolicą. Gdzieś po drugiej stronie drzew po lewej usłyszał szum strumienia płynącego wzdłuż ogrodu i daleko, daleko na północy potworny pisk samolotu odrzutowego schodzącego na lotnisko w Bristolu. Nic poza tym. Żadnego skutera. Żadnych kroków.

Kluczyki samochodowe zostawił w salonie. Wrócił po nie. Kiedy znowu wyszedł z

domu, w ogrodzie panowała cisza. Zabrał pistolet ze schowka. Zatrzasnął drzwi. Znowu nasłuchiwał. Na końcu podjazdu dostrzegł coś, czego przedtem nie widział. Mniej więcej dziesięć metrów od domu. Błysk w ciemności. Smuga światła, tam gdzie powinna być ciemność.

Wsunął magazynek do pistoletu i z lufą skierowaną w dół (bo tylko w filmach trzyma się załadowany pistolet przed sobą, ułatwiając przeciwnikowi wytrącenie go z ręki) zrobił krok nad jakimś kształtem. To był but. Gumowy. Uniósł wzrok i znowu wpatrzył się w ciemność. Ciche drzewa. Puste ściany domu. Podniósł but i wszedł do środka.

W domu panowała ciemność. Caffery założył łańcuch na frontowe drzwi i poszedł do kuchni. Kiedy zapalił lampę, zobaczył, że dwie szafki są otwarte. Na podłodze leżała rozsypana torebka ryżu. W szafkach, gdzie przedtem mieścił się zwykły męski zbiór konserw, puszek z fasolą i zupami, rzeczy, które mógł odgrzać w pięć minut, teraz nie było nic, tylko resztki makaronu i białe ścianki. Obszedł dom, by sprawdzić, co jeszcze zniknęło. Jedzenie - do ostatniego okruszka. Odtwarzacz CD po staremu stał na kredensie, pudło z przenośnym telewizorem na podłodze.

Caffery położył but na stole obok pistoletu i usiadł, opierając się na łokciach. But był w kolorze khaki, zakurzony i bardzo duży.

Odwrócił go. Rozmiar 12.

Pierdolony mutant.

Nie będę spać z mutantem, kurwa, wykluczone.

Spojrzał na swoje dłonie. Drżały. Dość tego. Musi z kimś pogadać, sam nie da sobie z tym rady.

Na butach Misty była glina. Przymuszczalnie nie miało to większego znaczenia, ale poza tym Pchła nie miała na czym się oprzeć, dlatego wybrała pole rzepaku leżące najbliżej rzeki.

Jeśli się nie myliła, Misty po opuszczeniu ośrodka musiała skierować się na południowy wschód. Pewnie była zagubiona, zdezorientowana, przez wiele godzin w ciemnościach wędrowała po trudnym terenie. Gdy wyszła na drogę, przypuszczalnie usiłowała zawrócić do ośrodka, na zachód, o ile pozostało jej jakieś wycucie kierunku. I wtedy musiał się wydarzyć wypadek; błoto, trawa i rzepak pozostały na butach, więc była na szosie krótko. Pchła zamierzała przeszukać całą drogę od ośrodka do półtora kilometra za polem rzepaku. Jeśli nic nie znajdzie, to samo powtórzy z drugim polem.

Zostawiła samochód na parkingu przed pubem w Norton St Philip - tam mniej się będzie rzucał w oczy niż w zatoczce - i pieszo przeszła osiemset metrów ścieżką, pilnując, by światła drogi mieć z prawej. Przed dziesiątą dotarła na koniec ścieżki. Zdjęła plecak i wygrzebała kartoniki i latarkę. Gumką przymocowała kartoniki do wierzchu latarki, dodatkowym kawałkiem zasłoniła otwarty bok. Trzymając ją na długość wyciągniętej ręki, tak długo obracała i poprawiała, aż przez krawędzie przestało sączyć się światło. Snop był biały i wąski, zbyt słaby, żeby ktoś zauważył go z oddali, chyba że specjalnie by go wypatrywał. Z latarką skierowaną w dół szła wolno południową stroną ścieżki, w myślach licząc kroki. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Zwracała uwagę na drogę, kątem oka zerkając na nieliczne mijane budynki, sprawdzając, czy nie ma w nich oznak życia. Jedne stały blisko, inne daleko, tylko przez drzewa błyskały przytulnie oświetlone okna. Drogą nic nie jechało. Pchła do towarzystwa miała jedynie kilka krów na pastwisku, odgłos swoich butów na asfalcie i własny oddech.

Sto dziesięć, sto jedenaście, sto dwanaście, sto trzynaście.

Wszedł księżyc i w jego promieniach droga połyskiwała srebrno, wijąc się jak strumień. W tym świetle rośliny nie miały kolorów, pola uprawne, drzewa i trawa były szare jak cienie, które rzucały jej do stóp.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...

Zatrzymała się, włosy stanęły jej dęba. To był dźwięk, niemal całkiem zagłuszony przez szcęknięcie plecaka. Ruch w żywopłocie. Odwróciła się ostrożnie, wyciągając latarkę

jak broń, i powiodła wzrokiem po alejce. To coś było po drugiej stronie żywopłotu, jakieś dwa metry za nim. Była przekonana, choć nie wiedziała, skąd ta pewność się bierze, że ruch i hałas dobiegały z poziomu talii.

- Halo?

Głos miała głuchy, płaski w zimnym powietrzu. Utkwiła wzrok w srebrzystej plataninie żywopłotu i drzew. To mogło być jakieś zwierzę, lis albo ptak. Zwierzę, bez wątpienia. Pomyślała o kamieniołomie numer osiem. O domu, w którym była w czasie operacji Norwegia: domu z mrocznymi pokojami. Miała tam wrażenie, że gdziekolwiek szła, podążał za nią cień wysoki do pasa.

- Skończmy z tym - wycedziła. - Śpieszę się.

I znowu cisza, przerywana tylko odległym szumem silników samolotu wchodzącego w korytarz powietrzny nad Bristolem, cichutkim szelestem wiatru w krzewach po lewej. Pchła cofnęła się o kilka kroków do miejsca, skąd dobiegł odgłos, i kopnęła w żywopłot. Stopa trafiła na gałązki. Nic się nie poruszyło. Przeszła kilka metrów i ponownie kopnęła. Dwa metry dalej powtórzyła to samo. Żadnej reakcji.

Wzięła głęboki wdech, otrząsnęła się. Jack Caffery i jego fantazje zaczynają na nią wpływać. Pokazała środkowy palec, teraz porządnie wkurzona, i odwróciwszy się, podjęła poszukiwania w miejscu, w którym przerwała. Alejka prowadziła w górę zbocza, przerwy w żywopłocie umożliwiały dostęp do pól. Szła skrajem, świecąc latarką pod stopy i wypatrując anomalii. Księżyc był już wysoko na niebie; po stu metrach dotarła do zakrętu, za którym teren się wyrównał, a ścieżka zmieniła w szeroką płaską drogę z linią pośrodku. Widoczność wynosiła jakieś czterysta metrów. Kierowca mógł tutaj przyśpieszyć. Nacisnąć pedał gazu i jechać z taką prędkością, że gdyby kogoś potrącił, zabiłby go na miejscu.

Pole rozciągało się po lewej na zboczu schodzącym do drogi, kwiaty w poświęacie księżycy przybrały szary odcień, mimo to pomyłka była wykluczona. Rzepak. Po prawej na wzniesieniu kilka świateł migotało pomiędzy drzewami. Znajdowała się tam niewielka wioska, księżyc wydobywał z mroku dachówki, komin, dwa słomiane dachy. Ludzie mieszkający w tych domach nie zobaczyliby latarki, ale mogliby dostrzec Pchłę na drodze. Przesunęła się na pobocze, gdzie jak na rzymskich drogach we Francji prostym regularnym rzędem rosły topole. Trzymając się w ich cieniu, szła dalej, szurając butami po ziemi, zataczając latarką łuki, sprawdzając pnie, trawę, asfalt.

Nagle stanęła.

Mniej więcej sześćdziesiąt metrów po prawej na drodze widniały bardzo czyste, bardzo wyraźne ślady hamowania.

Wpatrywała się w nie z bijącym sercem. Były tak idealne, że miała ochotę się odwrócić i sprawdzić, czy to nie jest pułapka. Czy ktoś za nią nie stoi, uśmiechając się przebiegle na widok jej reakcji.

Zbliżyła się wolno. Ślady zakręcały łagodnie na środek drogi, jakby kierowca próbował coś wyminąć. Poszła wzdłuż nich, licząc kroki. Około dwunastu metrów od początku do końca, mniej więcej metr na pasie przeciwnym.

Z trudem łapała powietrze. Opony, które pozostawiły te ślady, nie były ani bardzo szerokie, ani bardzo wąskie, i gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że należały do samochodu rodzinnego. Może focusa. Jeśli zostawił je Thom, jechał ze wschodu. Misty szła tym samym pasem, po przeciwnej stronie drogi od pola rzepaku. Zobaczył ją z odległości ponad sześćdziesięciu metrów. Czas reakcji miał opóźniony, tamtego wieczoru wypił dwie butelki czerwonego wina. Nacisnął hamulec i potracił ją gdzieś tutaj, na linii. Misty przeleciała przez dach, a ponieważ wgniecenie było nad głową kierowcy, z tej strony spadła na ulicę i zatrzymała się na przeciwnym pasie albo na poboczu.

Pchła oświetliła asfalt - dostrzegła odłamek szkła, papierek po gumie do żucia. W miejscu, gdzie trawy z pobocza kołysały się nad drogą, do rozmiękczonego przez słońce asfaltu przykleiła się spinka do włosów. Różowa. Mogła należeć do małej dziewczynki, która płakała po jej stracie, gdy spinka wypadła przez otwarte okno samochodu. Albo do Misty Kitson.

Wyjęła z plecaka rękawiczki i woreczek do lodu. Szybko, bo w każdej chwili mógł ktoś nadjechać, przykucnęła i ostrożnie oderwała spinkę paznokciem. Teraz, kiedy widziała ją wyraźnie, uznała, że to raczej dziecięca ozdoba, mimo to wrzuciła ją do woreczka. A potem jej uwagę przykuło coś po lewej.

Jakiś metr dalej w trawie było wgłębienie. Cokolwiek tam spadło, musiało być wielkie i ciężkie. Nie tak wielkie jak jeleni, ale większe od borsuka. Połamane źdźbła trawy tworzyły niemal okrąg, jakby coś przez jakiś czas tu leżało. Nad wgłębieniem pomiędzy poboczem a polem rzepaku wznosił się niski kamienny murek. Cztery kamienie na górze zostały przesunięte, jeden niebezpiecznie wisiał nad polem. Wyglądało na to, że w każdej chwili może spaść.

Pchła kucnęła, oświetliła teren dokoła. Połamane łodygi rosnącej pod murkiem trybuli oblepiało coś ciemnego. Uważając, by nastąpić na wgłębienie, zerwała jedną i przysiadła na piętach. W świetle latarki trudno było stwierdzić, co to jest, ale kiedy odłożyła latarkę, zębami ściągnęła rękawiczkę i przesunęła palcem po łodydze, płatek ciemnej substancji spadł jej na dłoń.

Krew. Znała jej cechy i zachowanie aż za dobrze. To była zastygła krew. Tak więc to tutaj, na tym nijakim odcinku drogi Misty Kitson zakończyła życie.

Przed oczyma mignął jej obraz: Thom wyskakuje z samochodu, twarz ma ściągniętą z przerażenia. W panice, bo z całą pewnością spanikował na widok bezwładnego ciała w żywopłocie, zapłakany, wziął Misty na ręce i wrzucił ją do bagażnika. Torebka musiała leżeć gdzieś na drodze, niedaleko, cekiny błyszcząły, więc ją także podniósł...

Kucając na poboczu, w jednej dłoni trzymając łydę trybulę, w drugiej płatki krwi, z rękawiczką wiszącą w zębach, Pchła skamieniała. Po lewej wśród roślin leżał mały przedmiot, w którym metalicznie odbijał się księżyc. Gdyby to była noc bezksiężycowa, gdyby nie kucąca na tym poziomie, nie zauważyłaby go. Pośpiesznie położyła trybulę na kolanach, po omacku wygrzebała z plecaka następny woreczek. Wsypała do niego płatki krwi i złamaną na pół łydę. Na piętach przesunęła się do przodu, wciągając na powrót rękawiczkę. Ostrożnie wsunęła dłoń między trawę, korzenie bzu i głogu.

Telefon Misty.

Wyciągnęła go z poszycia i położyła sobie na ręce. Nokia, obudowa z nierdzewnej stali ozdobiona brylantami, dokładnie jak na fotografii. Ale jak się ją włącza? W telefonie Pchły trzeba nacisnąć czerwoną słuchawkę, aż wyświetlacz się rozjaśni, w tym był mały, głęboko zatopiony klawisz na czubku i jeszcze trzy na boku. Każdy z nich może włączyć telefon, który momentalnie wyśle sygnał do masztu przekaźnikowego.

Nie mogła go wyrzucić. Nie mogła tu zostawić. Bateria - trzeba wyjąć baterię. Pamiętała mgliście, że niektóre telefony wyposażone są w GPS, który działa nawet bez baterii. A może działa tylko wtedy, gdy telefon jest wyłączony? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nie. Gdyby telefon miał GPS, policja znalazłaby go dawno temu. Wyjęcie baterii niczym nie grozi. Na pewno nie.

Odwrociła telefon, paznokciem podważyła płytkę. Za lasem słyszała nadjeżdżający szybko samochód.

Złapała latarkę, wczołgała się w cień wielkiego klonu. Reflektory samochodu już oświetliły pnie drzewa na końcu ulicy. Pchła zwinęła się w kłębek, kolanami ledwo dotykając pobocza.

Światła przesunęły się po żywopłocie tuż obok niej. Schyliła mocno głowę, telefon i latarka naparty na siebie. Samochód przemknął i zniknął, w nocnej ciszy pozostał po nim tylko słabnący odgłos silnika i muzyka.

Pchła pośpiesznie uklękła i obejrzała telefon. Był ciemny i milczący, więc nie włączyła go przypadkowo. Odetchnęła przeciągle, oparła głowę o pień i wpatrywała się w

miejsce, gdzie ponad śladami opon jak piórko złapane w strumień powietrza wzbudzony samochodem pojedynczy włos błyszczał w poświacie księżyca, węzowym ruchem opadając na drogę. Biały i kręcony, podskakiwał na powietrznych prądach.

Pchła wiedziała, skąd się wziął. Należał do Misty Kitson. Nie żywej, która z szeroko otwartymi oczami szła cichą alejką, przyciskając do piersi torebkę i telefon, ale cichej, martwej. Oklejonej płynami ustrojowymi i leżącej w ukrytej wannie piętnaście kilometrów stąd.

Minęła północ. Caffery znalazł w spiżarni dwie butelki cydru, włożył kurtkę, zamknął wszystkie drzwi na klucz i wsiadł do samochodu. Z włączonym głośno radiem jechał bez planu, nie myśląc o tym, dokąd zmierza, zdając się na intuicję. Wybierał pomniejsze drogi, które opłatały Mendips i biegły na wschód niemal do Wiltshire. Przy każdym mijanym polu, na każdym zjeździe zwalniał i wyciągając szyję, zaglądał za żywoploty. Nic - żadnego ogniska, migotliwego płomienia w mroku.

Caffery po opuszczeniu Londynu wybrał Bristol z jednego powodu: chciał odnaleźć Piechura. Piechur został skazany za torturowanie pedofila nazwiskiem Craig Evans, który zabił mu córkę. To sprawiło, że Caffery czuł więź z Piechurem, bo jedno wiedział na pewno: jak żyć z żądzą zemsty płonąca w sercu. Polakowi Ivanowi Pendereckiemu, starzejącemu się pedofilowi, który mieszkał po przeciwnej stronie torów niż rodzina Cafferych, uszło na sucho zamordowanie Ewana Caffery'ego i ukrycie jego ciała. Ten fakt przez lata niszczył duszę Jacka. A potem, kiedy Penderecki umarł, duszę niszczyła mu niedokonana zemsta.

Przyjechał tutaj, żeby spotkać człowieka, który wymierzył karę, jaką on powinien był wymierzyć Pendereckiemu. Nie spodziewał się tylko dziwnej, kulawej przyjaźni wiążącej się pomiędzy nim a Piechurem.

Caffery znalazł się na bocznej drodze prowadzącej prosto przez obszar, który przeszukano w sprawie Misty Kitson. Biegła u podnóża wzniesienia koło wejścia do kliniki Farleigh Park Hall: rozległego, oświetlonego dworu z błyszczącymi kolumnami i imponującymi schodami. Zwolnił, próbując wyobrazić sobie Misty wychodzącą z budynku, skręcającą na prawo, a może na lewo? Co za ironia, pomyślał, patrząc na tablicę przy podjeździe, która rozbliżyła w świetle reflektorów. Co za ironia - Lucy Mahoney zaginęła mniej więcej w tym samym czasie co Misty, ale podczas gdy wszystkie policyjne siły, cały nowoczesny aparat MCIU skierowano do sprawy tej drugiej, pierwsza dostała tylko inspektora z obsesją na punkcie mody, który nie został nawet na sekcji, i funkcjonariusza do kontaktów z rodziną zbyt leniwego, żeby poinformować bliskich o jej odnalezieniu - dowiedzieli się dopiero wtedy, kiedy Beatrice Foxton wyjęła wszystkie wnętrza, zważyła, pokroiła, zbadała i wepchnęła z powrotem do klatki piersiowej.

Caffery jechał wolno koło pola rzepaku rozciągającego się w górę zbocza do jeziora,

które przeszukał oddział Pchły Marley. Pomiedzy drzewami migotały światła małej wioski. Teraz znalazł się poza promieniem poszukiwań. Wyjechał na szosę obrośniętą topolami jak w Europie i przyśpieszył. Na głównym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Po następnych ośmiu kilometrach po lewej zobaczył znajomą drogę. Na początku tygodnia był tu z Piechurem.

Zamknął samochód, przeskoczył przez furtkę i przyświecając sobie małą latarką na kółku z kluczami, ruszył w górę zbocza. Sinawe światło jego latarki nic nie znaczyło w gęstej ciemności. W oddali Bristol rzucał na niebo pomarańczową poświatę. Caffery zatrzymał się w miejscu, gdzie kilka dni temu obozował Piechur, zapiał kurtkę, przyklęknał na lodowatej ziemi i powąchał osmalone grudki. Dawno zdażyły wystygnąć.

- Hej - mruknął w ciemność. - Jesteś tu?

Odpowiedział mu tylko odległy szelest wiatru w gałęziach drzewa. Piechura nie było.

Caffery poszedł do samochodu, zakręcił i ruszył pełną kolein drogą. Po swoich śladach wrócił na A36, po ośmiuset metrach zjechał na wąską, krętą miedzę. We wstecznym lusterku złapał odbicie swoich oczu. Niebieskie, z ciemnymi rzęsami. Oczy jego matki. Była porządną katolicką dziewczyną z Toxteth. Nie widział jej od ponad dwudziestu lat, od dnia, gdy zrezygnowała z czekania na Ewana i wyjechała z Londynu, zostawiając przeszłość za sobą. Wyrzuciła z pamięci nawet swego młodszego syna Jacka. Nie miał pojęcia, czy matka żyje czy umarła, wiedział jednak na pewno, że jeśli umarła, złożono ją do grobu z różańcem oplatającym jej palce i nikomu nie wydało się to dziwne. Wyobraził sobie bransoletkę z ludzkich włosów do odpędzenia złych duchów. „Prymitywne wierzenia”, tak określił to Powers.

Jest wiele ścieżek prowadzących do Boga, pomyślał Caffery, przesuwając palcem po łysem placku na głowie. Cały świat rozmaitych szlaków.

Po dziesięciu minutach nacisnął hamulec. Poświata była tak słaba, że o mało jej nie przegapił. Gdzieś na polach po prawej, nad porośniętym sitowiem brzegiem rzeki płonęło ognisko. Caffery wjechał na wstecznym na cichą miedzę, poprawiając się na siedzeniu tak, by widzieć ponad żywopłotem, wykonał skręt na trzy czwarte i wjechał w pierwszą ścieżkę na pole. Samochód podskakiwał, uderzając rurą wydechową w wyboje. Wyłączywszy silnik i światła, Caffery przez chwilę patrzył na ognisko.

Piechur.

Usłyszał warkot samochodu, ale nie podniósł głowy, siedział w swobodnej pozie, skrobiąc się po tłustych włosach i wpatrując w płomienie, jakby opowiadały mu historię, nad którą się zastanawiał. Ułożony wokół dobytek oświetlał na czerwono trzaskający ogień: śpiwory, ubranie na każdą pogodę, plastikowe butelki z cydrem. Obok dwa talerze czekały na

gotującą się potrawę. Dwa, pomyślał Caffery, nie jeden. Więc się go spodziewano. Z Piechurem zawsze tak było. Nie dało się ot, tak go znaleźć: sam decydował, czy pora jest właściwa, a potem, jakby wspólnota przeżyć stanowiła o porozumieniu, wprawiał Caffery'ego w rodzaj transu. Rzucił niewidzialne lasso i ciągnął.

Caffery wysiadł, zabierając butelki cydru.

- Znalezienie mnie zabrało ci dużo czasu - powiedział Piechur. Miał dobre buty i drogie sportowe ubranie, ale można by pomyśleć, że wytarzał się w smole: był czarny od stóp do głów, jakby spał w popiele ogniska. - Szukasz mnie od dwóch godzin.

- Skąd wiesz? - zapytał Caffery, choć słowa Piechura wcale go nie zdziwiły.

Piechur nie odpowiedział. Poprawił drwa w ognisku i przysunął metalowe talerze bliżej płomieni. Caffery postawił na ziemi butelki. Piechur miał ponad dwa miliony funtów na jakimś koncie bankowym, ale pił marny cydr, najgorszy, jaki tłoczyły miejscowe wytwórnie. I nigdy, przenigdy nie spał pod dachem. Taki miał zwyczaj.

- Zaznaczyłem twoje trasy na mapie. - Caffery odwinął materac piankowy, który Piechur grzał dla niego przy ognisku. - Zaczynam dostrzegać wzór.

Piechur prychnął.

- Jasne. Odczuwasz potrzebę analizowania mnie. Jesteś policjantem.

- Mam do pomocy bazy danych. Ludzie dzwonią do nas, jeśli gdzieś cię zobaczą.

- Bo się mnie boją.

- Wiedzą, do czego jesteś zdolny.

Craig Evans, morderca córki Piechura, na koniec tortur był półżywy. Uznali go za martwego, pakując do karetki. A kiedy go pozszywali i zobaczyli, co Piechur mu usunął, prawie wszyscy prywatnie uważali, że byłoby lepiej, gdyby umarł. Bez oczu i genitaliów czekało go marne życie. Taki koniec powinien był także spotkać Pendereckiego. Ale nie spotkał, bo Penderecki sam się zabił, wieszając na krokwi w łazience. Stracona okazja dręczyła Caffery'ego nawet teraz.

- Ostatnio dałem ci cebulki krokusów. I teraz się zastanawiam, co się z nimi stanie.

- Są tutaj. - Piechur poklepał się po kieszeni na piersi. W nocnym powietrzu poniosł się szelest. - Bezpieczne.

- Kiedy je posadzisz?

Piechur podniósł na niego wzrok. Miał takie same oczy jak Caffery: ciemnoniebieskie, z czarnymi rzęsami.

- W stosownym czasie. I skąd wiesz, że paru już nie posadziłem? Więcej mnie o to nie pytaj. Jack Caffery. Policjant.

Caffery wygiął usta w ironicznym półśmiechu. Przyzwyczyił się do takiego zachowania Piechura. Zaczynał rozumieć, w czym rzecz: sprawy wyjaśnią się w swoim czasie. Piechur zajmował się jedzeniem, Caffery odkorkował cydr, nalał do dwóch cynowych kubków i ułożył się na materacu. Jego dłoń mimowolnie powędrowała do głowy, palec przesunął się po łysym placku. Wokół zapadała noc. Nad polami unosił się szum płynącej rzeki i odgłosy stygnącego silnika samochodu. Gdzieś z oddali dobiegało słabe elektroniczne buczenie jazu. Mniej więcej piętnaście metrów dalej ktoś, pewnie dzieci, zawiesił oponę na drzewie pochylonym nad rzeką. W świetle gwiazd wisiała nieruchomo, wokół roiły się duchy wszystkich dzieci, które przez lata się na niej huśtały, w powietrzu unosiły się echa krzyków i śmiechu.

- Widziałeś to, prawda? - odezwał się po chwili Caffery. - Jak ostatnio do ciebie przyszedłem. To nie był wytwór mojej wyobraźni, coś naprawdę obserwowało mnie zza drzew.

Piechur chrząknął.

- Tak. To prawda.

- Nie bałeś się.

- A czemu miałbym się bać? Nie ja byłem celem.

- A gdybyś był? Czy na moim miejscu byś się bał?

Piechur chwilę się zastanawiał. Nałożył jedzenie na talerze, posypał świeżymi ziołami zebranych w ciągu dnia, może w prywatnych ogrodach, do których się zakradał. Te potrawy przy ognisku należały do najlepszych, jakie Caffery jadł, proste, gorące. Piechur położył na talerzach widelce.

Caffery wziął swój talerz i powtórzył:

- Bałbyś się?

- Nie wiem. - Piechur usiadł i chwilę milczał, podstawiając nos pod parę z talerza, otwierając usta jak pies smakujący zapach. - A ty się boisz?

- Nie wiem, czego to... on chce. Nie wiem, do czego jest zdolny.

Piechur nabrał jedzenie na widelec i nieco rozbawiony spojrzał na Caffery'ego przebiegle.

- O co chodzi? Z czego się śmiejesz?

Tamten wycelował w niego nóż.

- Z ciebie. I z tego, że nigdy nie odpuszczasz. Traktujesz pracę jak pokutę.

- Pokutę? Za co?

- Wiesz.

- Znowu mówisz o Ewanie?

- Jasne, że mówię o twoim bracie. Wciąż pokutujesz za śmierć, która spotkała jego, a ciebie nie. Takiej pokuty zawsze od ciebie oczekiwała matka. To dla ciebie pretekst, by czepiać się śmierci.

Kilka dni temu Piechur powiedział mu, że ma szansę wyboru pomiędzy światem żywych i martwych. Może nadal ścigać Ewana, dziecko, które odeszło, i całą energię poświęcać pracy. Albo może ścigać „dziecko, które mogłoby być”. *Dziecko, które mogłoby być*. Caffery przez ostatnie dni często się nad tym zastanawiał. W jego życiu nie ma dzieci i nigdy nie będzie. Miał to wypisane w sercu. Lepiej nie mieć dzieci niż ryzykować, że się je utraci.

- Kiedy masz dziecko, pomiędzy tobą a nim istnieje łączność, której nic nigdy nie może zerwać. Aktualnie Jack Caffery połączony jest z martwym dzieckiem, a tym samym ze śmiercią. Ale ty wiesz i ja wiem, obaj to wiemy, że przy tobie może być żywe dziecko. Przestań wpatrywać się w śmierć, Jacku Caffery. - Piechur wytarł talerz palcem i starannie go oblizał. Odłożył naczynie i popatrzył najpierw na gwiazdy, a potem z namysłem na drzewa, jakby coś tam było, coś ich obu obserwowało. - Jeśli przestaniesz wpatrywać się w śmierć, śmierć przestanie posyłać za tobą swoje służki.

W pokoju panuje gorąco, więc mężczyzna jest nagi. Tak jest łatwiej. Mniej bałaganu. Stoi przy warsztacie i oprawia królika. Odrywa od ciała skórę, która w końcu trzyma się tylko przy łapach, na ogonie i na łbie. Ciężkim tasakiem ze stali damasceńskiej odcina łapy i ogon.

Zdejmowanie skóry ze zwierzęcia wymaga mniej wysiłku niż zdejmowanie skóry z człowieka. Wynika to z faktu, że zwierzęta mają pod skórą o wiele mniej tłuszczu.

Przecina królikowi kark, odsłaniając kręgi szyjne, które wyglądają jak drobne, umazane krwią zęby. Szybkim ruchem łamie kręgosłup i łeb jest wolny, potem odciąga futerko z obciążonymi końcówkami. Masuje je palcem, wewnętrzne i zewnętrzne srebrzyste powiezie ocierają się o siebie. Pochyla się i wacha, zapach przez nozdrza wędruje do gardła i tam osiada. To prosty zapach, cierpki, przypominający drewno. Zupełnie inny niż zapach ludzkiej skóry.

Mężczyzna prostuje się, unosi skórę na palcu, chwilę nią kołysze nad pojemnikiem na śmieci i upuszcza.

Ze zwierzęcą skórą zawsze tak jest. Rozczarowuje. Nawet po namoczeniu w ługu, po usunięciu sierści, wypchaniu zawsze daleko jej do doskonałości. Zresztą skóra wcale go nie interesuje. Rozkosz sprawia mu sam proces. Odrywanie skóry od mięśni.

Co najmniej raz na tydzień zdejmuje skórę ze zwierzęcia. Częściej, jeśli jest szczególnie niespokojny.

W tym tygodniu zrobił to pięć razy.

Nazajutrz wczesnym rankiem ścieżki dokoła pola rzepakowego były ciche, promienie słońca odbijały się w brylantowych kropłach rosy na trawie. Pchła zaparkowała clio na asfalcie, wysiadła i ruszyła swobodnym krokiem, mijając miejsce, gdzie zginęła Misty. Zatrzymała się sto metrów dalej i zawróciła po własnych śladach.

Była dopiero siódma rano, ale Pchła wiedziała, że dzień zapowiada się ciepły. Szron na trawie kończył się kilka centymetrów za promieniami słońca wspinającymi się na zbocze. Obserwowało ją parę krów, które ciężko dyszały, otoczone kłębamii pary. Koło samochodu Pchła na chwilę przystanąła; nasłuchiwała, żeby się upewnić, czy nic nie nadjeżdża. Na drodze panował spokój. To miejsce było nie tylko oddalone od ośrodka odwykowego, ale też znajdowało się poza zasięgiem stacji bazowej, więcej - leżało w zasięgu zupełnie innego masztu. Misty wyłączyła telefon na długo przed dojściem tutaj. Ludziom z MCIU w żadnym razie nie wpadnie do głowy, żeby tu szukać.

Ale - tu Pchła spojrzała na szczyt wzgórza - jeśli śledztwo potrwa dłużej, niewykluczone, że zwrócą uwagę na miejsca tak oddalone jak to. Może nie będą tej okolicy przeszukiwać, ale przepytają mieszkańców. Na przykład w tej wiosce. Senne dachy i kominy na krótkim rzędzie wiktoriańskich domków, pięć lub sześć starszych chat rozrzuconych powyżej. Jedne miały słomiane dachy, inne przypominały jej rodzinny dom z wilgotnymi omszałymi dachówkami. Poniżej, na zboczu blisko jednego z domów stał współczesny budynek. Nie pasował do otoczenia ze swym stromym dachem i oknami z PCW.

Na jego tyłach dostrzegła refleks.

Powoli uniosła dłoń do oczu i przypatrzyła się uważnie. Błysk się powtórzył, przelotny kwadrat białego światła. Może ktoś otworzył i zamknął okno, krzątając się po domu. Niewykluczone, że ją obserwuje.

Opuściła dłoń, postawiła kołnierz kurtki i wsiadła do samochodu. Po przejechaniu ośmiuset metrów zatrzymała się pod drzewami u stóp wioski. Po prawej znajdował się niewielki wjazd. Skręciła i zaparkowała samochód głęboko między drzewami, gdzie nikt nie mógł go dojrzeć, zamknęła i poszła w górę zbocza w kierunku domu wąską ścieżką zarośniętą pokrzywami. Po wyjściu z lasu stanęła. Stwierdziła, że stoi przy niskim ceglanyim murku otaczającym ogród domu.

Ogród, wielki i zdiczały, ciągnął się w poprzek zbocza: trawa i pierwsze mleczce przebijały się przez brunatne szkielety zeszlorocznych powojów. Na trawniku niczym macki rozpleniły się jeżyny, pośród nich w mokrej trawie usadowiły się ceramiczne ozdoby: koty i delfiny, Pegaz ze złamanym skrzydłem, osiołek obok żłóbka. Plastikowe karmniki dla ptaków w spłowiałyach sorbetowych odcieniach różu, pomarańczy i żółci wisiały na drzewach i krzewach. Pod jednym siedział żywy syjamski kot w odcieniu *crème brûlée* i sennie patrzył na Pchłę.

Dom był równie zaniedbany jak ogród. Farba na framugach okien, niegdyś ciemnoczerwona, wyblakła na słońcu i deszczu. Tu także stały zwierzęce figurki: popękane motyle z łuszczącą się farbą frunęły po ścianach, trzy betonowe koty patrzyły na siebie na kalenicy, czwarty głową w dół wczołgiwał się do komina. Wszystkie okna były zamknięte, ale Pchła już się domyślała, skąd pochodził refleks - nie z szyby. Na patio obok drzwi balkonowych stały na trójnogach teleskop i aparat fotograficzny.

Ukradkiem przeskoczyła przez murek, szybko podeszła do bocznej ściany domu, gdzie na popękany od słońca cemencie parkował stary Volkswagen, gęsto poznaczony białymi ptasimi kupami. W domu właściwie panowała cisza, ze środka dobiegał tylko stłumiony dźwięk telewizora, głos prezentera był piskliwy, naładowany energią. Pchła zrobiła krok w kierunku drzwi balkonowych i nasłuchiwała. Nie usłyszała żadnych poruszeń. Wpatrywała się w oddalony o trzydzieści centymetrów teleskop, usiłując ustalić, na co jest skierowany. Spojrzała na drogę. Ślady hamowania były stąd widoczne, rzucały się w oczy jak latarnia. Nie dało się ich przegapić.

Dosyć. Wystarczy. Ktoś mógł widzieć wypadek.

Ruszyła przez ogród. Doszła do wjazdu, usiadła na rozgrzanej masce clio, gdzie nikt z drogi ani z domu nie mógł jej zobaczyć, wyjęła komórkę i wystukała numer wydziału informacji.

Ona i Thom muszą być bardzo, bardzo ostrożni. Należy przewidzieć każde, nawet najdrobniejsze ryzyko.

Na dnie granatowego plecaka Pchła miała identyfikator z konferencji nurków, w której brała udział w zeszłym miesiącu. Teraz zawiesiła go sobie na szyi, upchnęła włosy pod baseballówką i poszła w stronę domu. Wydział informacji posiadał rejestr wszystkich adresów podlegających jurysdykcji komendy, zawierający dane dotyczące lokatorów i ich kontaktów z policją. Wynikało z niego, że właścicielką domu jest Ruth Lindermilk i w ciągu ostatnich dziesięciu lat doszło do jednego tylko incydentu wymagającego interwencji władz, napaści kobiety w średnim wieku na mężczyznę. Wiatrówkę oddano dobrowolnie, powędrowała do arsenału w komendzie głównej, nikogo nie aresztowano.

Dzwonek do drzwi nie działał, kołatki nie było, więc Pchła trzy, cztery razy uderzyła w skrzynkę na listy. Bez skutku. Zapukała ponownie, potem się cofnęła i spojrzała na okap. Z miejsca gdzie stała, mogła się przekonać, że koci ogon wystający z komina jest wyblakły i popękany.

Spojrzała na pozostałe zabudowania wioski. Jedyne z tego domu tak wyraźnie było widać drogę. W bełkocie agentów od nieruchomości brzmiałoby to tak: „Oszalamiający widok na białego konia z Westbury”. Pchła już się odwracała, żeby pójść do wiktoriańskich szeregowców, kiedy zza frontowych drzwi dobiegł dźwięk zdejmowanego łańcucha.

- Tak? O co chodzi?

Drzwi nieznacznie się uchyliły i Pchła zobaczyła podkrążone oczy pod marynarską czapkę. Należały do kobiety, świadczył o tym jej wzrost i miękkość rysów. Do czujnej, nieufnej kobiety. Była bardzo opalona i miała spłaszczony nos, jakby wydana na pastwę żywiołów prowadziła ciężkie męskie życie, po którym pozostały jej blizny.

- Dzień dobry.

Kobieta zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Kim pani jest? Świadkiem Jehowy? Lepiej niech się pani wynosi z mojej ziemi.

- Nie.

- Jeśli coś pani sprzedaje, to też może pani iść. Nie lubię pieprzonych komiwojażerów pukających do moich drzwi.

- Nie. Chcę tylko porozmawiać.

- Chyba pani żartuje. Niech się pani wynosi.

- Pani ma na imię Ruth?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Ruth Lindermilk?

- A kim pani jest?

Pchła zdjęła czapkę i poprawiła włosy, starając się wydać osobą prostą i bezpośrednią.

- Jestem Phoebe.

- Dobrze, ale co pani robi?

- Jestem z...

- Z czego?

- Zarząd Dróg. - Machnęła identyfikatorem, palcem zasłaniając słowo „policyjny”.

- Czyli z rady miejskiej?

- Tak.

W twarzy Ruth Lindermilk zaszła zmiana.

- W sprawie listów?

- Li...? Tak. Mogę wejść?

Ruth Lindermilk powiodła wzrokiem po ścieżce, jakby się obawiała, że ktoś je obserwuje.

- Jest pani sama? Nikt z panią nie przyszedł?

- Nie. Jestem sama. Mogę wejść?

Kobieta się zawahała. Raz jeszcze przyjrzała się Pchle, powiodła wzrokiem po T-shircie, bojówkach, potem z burknięciem otworzyła drzwi. Pchła weszła do środka. Pani Lindermilk zatrzasnęła drzwi i ruszyła wąskim ciemnym korytarzem. Pchła podążała ze schyloną głową za widmowo białym pomponem na czapce gospodyni, bo coś jej mówiło, że tak jak u nich w domu sufit nagle może się obniżyć. W powietrzu unosił się zapach stanowiący mieszaninę stęchłych gotowanych potraw i alkoholu. To nie była whisky, raczej coś słodsze. Może rum z dodatkami.

- Jestem jak wąż. - Pani Lindermilk przystanąła w mroku, chrapliwie oddychając. Spod drzwi na końcu korytarza sączyło się słabe światło. - Pierdolony wąż.

- Słucham?

- Wąż w terrarium. Wszyscy przychodziliby i gapili się na mnie, gdyby mogli. Gapili i pokazywali palcami. Palanty. Interesuje ich tylko utrudnianie mi życia. Pani nie zapowiedziała wizyty, więc trudno, nie może się pani skarżyć. OK?

- Dobrze.

Ruth Lindermilk otworzyła drzwi do wielkiego pokoju, w którym panował bałagan.

Na drzwiach balkonowych wisały pionowe żaluzje - ale trochę krzywe, i do środka wpadały słoneczne promienie, oświetlając stłoczone meble: krzesła, stoliki i sfatygowane fotele. Półki wypełniały czasopisma, książki w miękkich oprawach i figurynki, fatalne kopie dreздеńskich pasterek, całujące się tłuste dzieci w czepkach, konie stojące dęba, śpiące koty. Na ścianach jedna obok drugiej wisały oprawne fotografie rozmaitych kształtów i rozmiarów. W kącie migał telewizor: telezakupy. Mocno zbudowana blondynka w króciutkich szortach z trudem zachowywała równowagę na piłce lekarskiej. Przez szczelinę w żaluzjach Pchła widziała błyszczący obiektyw teleskopu na patio.

- Proszę bardzo, niech pani napasie oczy. Taka jestem i nie zamierzam za to przepraszać. - Pani Lindermilk krzątała się, zapalając lampy, zrzucając z krzesel koty. - Niech pani siada. Niech pani siada. - Wskazała sofę na drugim końcu pokoju. W świetle Pchła przekonała się, że pani Lindermilk jest korpulentna. Miała krótkie muskularne nogi wciśnięte w sandaalki na wysokich obcasach, wąskie kostki i łydki twarde jak u mężczyzny. Ubrana była w białe szorty i różowy golf z kotwicą na piersiach. Rzadkie włosy pod czapką były krótkie, ufarbowane na anemiczny odcień ochrowej czerwieni. - Niech pani zgoni koty i siada albo się męczy na stojąco. Pani wybór.

Pchła spojrzała na sofę. Dwa długowłose kocury leżały zwinięte w kłębek pomiędzy stosami przytulank, skóra, którą obity był mebel, sprawiała wrażenie suchej. Plama na środku wyglądała jak po pocie albo wodzie morskiej. Pchła odsunęła zabawki i usiadła obok kotów. Jeden mruknął i przytulił się do kolegi. Poczowała na nodze przyjemne ciepło.

- Pewnie się pani czegoś napije?

Na barku z czarnego szkła i chromu w rogu balansowały kolorowe szklanki ustawione do góry dnem obok złotego wiaderka na lód i shakerów. Pchła powiodła wzrokiem po butelkach z alkoholem.

- Tak. - Położyła czapkę na oparciu sofy. - Tego samego co pani.

Pani Lindermilk wytarła dłonie w golf i podeszła do barku. Wzięła dwie szklanki, położyła dłoń na butelce bacardi i zaraz mdło uśmiechnęła się do Pchły, jakby mówiąc: O mało mnie nie przyłapałaś. O mało. Niezupełnie.

- W takim razie cola - powiedziała. Spod barku wyjęła dwie puszkę, otworzyła i rozlała do szklanek. Jedną podała Pchle.

- Pani Lindermilk...

- Ruth, tak może się pani do mnie zwracać.

- OK, Ruth. Czy jest pan Lindermilk?

- Był. - Gospodyni ze szklanką w dłoni usadowiła się na podniszczonym fotelu obok

chwijnego stolika, na którym leżał pilot i stała popielniczka. Gołe nogi miała opalone i żylaste, poznaczone czarną siatką pajęczków. - Teraz jesteście tylko we dwoje ze Steviem.

- To pani syn?

- Tak, to on. - Głową wskazała ściany. Niektóre fotografie przedstawiały łodzie. Na kilku o wiele młodsza Ruth w zabawnej czapce stała przy sterze obok siwowłosego mężczyzny w hawajskiej koszuli. Kolejna prezentowała młodego mężczyznę w białym podkoszulku bez rękawów i baseballówce z kotwicą, który prowadził małą łódź i patrzył prosto w obiektyw. Włosy miał jasne i gęste, był bardzo opalony, ale coś w wyrazie zaciśniętych ust nie pozwalało nazwać go przystojnym.

- Ma swoją firmę. Dobrze sobie radzi ten nasz Stevie.

- Ruth, kilka lat temu wzywano tu policję. Chodziło o panią i jednego z sąsiadów?

- Do diabła, skąd pani o tym wie?

- Mam dostęp do takich informacji.

- Nie ja zaczęłam. Do tej części też ma pani dostęp, co?

- Nic o tym nie wspomniano.

- Cóż, to była jego wina. Truł wiewiórki. Wiedział, że moje koty mogą zjeść truciznę, wiedział, że to mnie wkurzy. I wkurzyło. Sam się o to prosił.

- Groziła mu pani bronią?

- Wiatrówką. Trudno ją uznać za kałasznikowa, prawda?

- Ale to jednak broń. Można nią zrobić krzywdę.

Ruth Lindermilk podniosła rękę.

- Nie. Nie skompromituje mnie pani. Wykluczone, cholera, żeby przychodziła tu pani bez zapowiedzi i próbowała podważyć moją wiarygodność.

- Dobrze, w porządku. - Pchła mówiła spokojnie. Miała ochotę spojrzeć na teleskop, ale nie odrywała wzroku od Ruth. - Nie próbuję zdyskredytować pani wiarygodności, naprawdę. Staram się wytworzyć sobie obraz pani położenia.

- A czego jeszcze pani potrzebuje? Przecież ma pani listy, które do was napisałam, no nie?

- Tak. Ja... Dużo czasu poświęca pani na obserwację drogi?

- Prawie wszystkie wieczory.

- O której kładzie się pani spać?

- Późno.

- A która godzina to według pani jest późno?

Pani Lindermilk poprawiła się na fotelu.

- Przyszła pani, żeby mi pomóc czy nie? - Wyzywająco uniosła brwi. - Hm?

Pchła patrzyła, jak gospodyni z roztargnieniem obraca szklanke. W taki sposób ludzie obracają szklanke z alkoholem. Sprawa zapowiadała się na trudną od początku do końca. Ale alkohol. Nie ulegało wątpliwości, że pani Lindermilk ma z nim problem, co może się okazać przydatne.

- Mogę spojrzeć przez aparat? - zapytała. - Przez teleskop?

Pani Lindermilk nie odpowiedziała, z namysłem przyglądała się Pchle. Znowu spojrzała na bojówki, na identyfikator zatknięty za T-shirt.

- Ruth? Mogę spojrzeć przez aparat?

Gospodyni się uśmiechnęła.

- Jasne.

Wstała i otworzyła drzwi balkonowe. Wyszły na jaskrawe słońce odbijające się od rosy na trawie i drzewach. Parę kotów podążyło za nimi i mrugając, ułożyło się na suchym patio. Pchła wspięła się na palce i przycisnęła oko do obiektywu. Skierowany był na drogę. Nie na miejsce wypadku, ale wyżej, bliżej miejsca, gdzie zostawiła samochód. Nacisnęła klawisz „szybkiego przewijania”. Było tylko około dwudziestu fotografii, przedstawiały koty, borsuka jedzącego kocią karmę, zachód słońca; wszystkie najprawdopodobniej zrobiono w ogrodzie za domem. Nie znalazła żadnego zdjęcia, na którym stałaby obok clio na drodze.

Pchła przełączyła aparat na tryb fotografowania i przesunęła się do teleskopu. On także skierowany był na drogę.

- Wie pani, jak się go używa? - zapytała Ruth Lindermilk.

- Tak. Ostrość jest tutaj, prawda?

- To dobry teleskop, nawigacyjny. Sąsiedzi nienawidzą mnie z jego powodu.

Pchła teatralnie wyregulowała teleskop. Przesunęła go, patrząc na wzgórze ponad polem rzepaku, na miedzę, na pobocze drogi. Cofnęła lekko na prawo. W trawie błysnęło coś różowego.

Podniosła głowę. Ruth Lindermilk stała na trawniku, ujmując się pod boki i uśmiechając szeroko. Miała ułamaną trójkę.

- Dobrze się patrzy?

- Tak.

- I co pani widzi?

- Tylko panią. Poniekąd.

- I coś specjalnego rzuca się pani w oczy? No, niech pani mówi.

Że jesteś kompletnie świrnięta? Że jesteś alkoholiczką?

- A co mam zauważyć?

- Że nie jestem aż tak głupia, kurwa. - Pani Lindermilk podeszła do teleskopu i odwróciła go do siebie, spuszczać wieka na soczewki. - To miała pani zauważyć.

- Ja tylko próbuję wykonywać swoją pracę, pani Lindermilk.

- Nieprawda. Wcale nie próbuje pani wykonywać swojej pracy, bo nie jest pani z pieprzonej rady miejskiej. Nie pracuje pani ani w Zarządzie Dróg, ani w radzie miejskiej.

- Wręcz przeciwnie.

- Myśli pani, że się wczoraj urodziłam? To oni panią nasłali, tak? - Odwróciła się, gestem wskazując wioskę. - Sąsiedzi się zmówili, próbują nasłać na mnie szpiega. Dalej, powiedz to. Powiedz: „Tak, oni mnie przysłali”.

- Mówiłam pani. Jestem z rady miejskiej.

- Cóż, nawet jeśli, to nie z wydziału, który chce mi pomóc. Jesteś z cholernej ochrony środowiska, tak?

- Nie.

- W takim razie opowiedz o listach, które wysyłałam. O czym był ostatni? Jaką miał datę?

- W tym tygodniu zajmuję się kilkoma podobnymi sprawami. Nie jestem w stanie zapamiętać wszystkich dat.

- W takim razie powiedz, o czym są listy.

- O drodze.

- Ale o czym dokładnie?

Pchła włożyła dłonie do kieszeni, stanęła na palcach i spojrzała na horyzont.

- Skoro faktycznie jesteś z rady, powiedz, dlaczego tak mnie ta droga interesuje.

Pchła opadła na pięty i spojrzała na Ruth Lindermilk.

- Nie wiem - przyznała. - Po prostu nie wiem.

- Cholera jasna.

- Proszę mi powiedzieć, co pani tam widziała. Tylko tyle chcę wiedzieć.

Ruth Lindermilk chwyciła trójnog, złożyła go, wsunęła pod pachę i zaniósła do pokoju.

- Wynoś się, natychmiast. Chcę zobaczyć, jak twoja dupa stąd znika.

- Niech mi pani powie, co pani obserwuje.

Ale Ruth Lindermilk weszła już do pokoju.

- Nie. Wykluczone, kurwa. A teraz spadaj, zanim wezwę policję.

Kiedy sztywny i zziębnięty Caffery obudził się w opuszczonym obozowisku, gdzie jedynym dowodem na obecność Piechura było wygasłe ognisko, najpierw pomyślał o Benjym, nieszczęsnym psie Lucy Mahoney. Śniło mu się to obdarte ze skóry zwierzę w worku na stole u weterynarza. Smród i zasnuwane bielmem oczy. Mallows powiedział, że bracia z Tanzanii nienawidzą psów, nie zbliżyliby się do nich. W Afryce psy często uważane są za szkodniki. Było mnóstwo materiałów o wykorzystywaniu zagrożonych gatunków w rytuałach *muti*, ale ani słowem nie wspomniano o psach. Więc to jednak dzieciaki obdarły ze skóry Benjy'ego? Albo Amos Chipeta? A jeśli on, to z jakiego powodu? Rolując materac i przepłukując usta wodą z butelki, Caffery doszedł do wniosku, że chce się dowiedzieć, co właściwie wydarzyło się w noc samobójstwa Lucy Mahoney.

Zadzwoił na posterunek w Wells i kiedy godzinę później tam przyjechał, w depozycie już czekał na niego urzędnik z długopisem w dłoni. Caffery podpisał odbiór pozycji numer osiem z rejestru przedmiotów znalezionych przy ofierze: trzy klucze do zamków wpuszczanych i jeden do yale. Beatrice Foxton uznała śmierć Lucy Mahoney za samobójstwo, więc technicznie rzecz biorąc, wszystkie rzeczy osobiste zinwentaryzowane podczas sekcji należały do biura koronera. Ale urzędnik się zgodził, że nikt przez kilka godzin nie zauważył ich braku. Lucy mieszkała na nowym osiedlu na granicy Westbury-Mendips. Caffery jechał wzdłuż rzędów ceglanych domów, miniaturowych frontowych trawników, pustych podjazdów, które nocą zapełnią się mazdami i tanimi peugeotami, ponieważ to osiedle przeznaczone było dla samotnych pracujących osób, nie dla rodzin. Lucy zajmowała piętrowy domek. Dwa pojemniki na śmieci i jeden do surowców wtórnych z wymalowanym numerem „32” stały przed niewielkim gankiem. Wkładając klucz do zamka, Caffery widział przez szybkę leżące na podłodze reklamówki barów z jedzeniem na wynos. Domino's, Chilli's Curry, Thai House.

Obejrzawszy się przez ramię, wszedł do środka i zapalił światło, po czym wciągnął niebieskie ochraniacze na buty i rękawiczki. Zamknął drzwi wejściowe i otworzył wewnętrzne.

W zagraconym salonie było ciemno. Nie takich sprzętów człowiek się spodziewał, patrząc na dom z zewnątrz. Nowy monitor Dell LCD, skaner i kamera cyfrowa stały na

biurku w kącie, ale wszystko inne było podniszczone i poobijane. Przetarty turecki chodnik na podłodze, rozrzucone dokoła haftowane poduszki, meble malowane w kwiaty i winorośle. Na każdym blacie tłoczyły się drewniane ozdoby, butelki z aromaterapią, figurki z malowanego papier mâché z Nepalu, wyblakła rzeźba brodzącego ptaka, która sprawiała wrażenie azjatyckiej. Na końcu salonu znajdował się mały aneks jadalny, a dalej kuchnia z ręcznie malowanymi kafelkami nad zlewem. Odciągnięte zasłony na wielkim oknie prezentowały widok na odległe pagórki, wśród których było też skaliste wzgórze Glastonbury Tor, małe pulsujący punkt na horyzoncie.

Caffery obszedł pokoje, przyglądając się rzeczom, próbując wyczuć to miejsce. Lucy była typem zbieraczki. Wyglądało na to, że kolekcjonowała przyciski do papieru. Przyciski w kwiaty. Przyciski z kształcie wulkanów wybuchających czerwoną i pomarańczową lawą. Przyciski z małymi, niemal przezroczystymi muszelkami. W domu panował porządek - przesadny porządek.

Dziwne, powiedział sobie, wodząc wzrokiem po kuchni. Podejrzenie czysto. To niby żaden punkt zaczepienia, czasami samobójcy sprzątają mieszkanie na błysk, zanim połkną proxamol, ale tutaj wydawało się to nienaturalne. Nagle wróciły do niego słowa Stuarta Pearce'a, konsultanta do spraw poszukiwań: *Samobójstwo Lucy Mahoney łamie wszystkie zasady.*

Poszedł na górę i zapalił światło. Na korytarzu było troje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki z granatowymi kafelkami, deską sedesową zdobioną muszlami i dwiema parami grubych pasiastych rajstop schnących na zasłonce. Policjanci z psem je zostawili, bo nie miały zapachu, szukali piżam, bielizny, rzeczy wyjętych z kosza na pranie. Drugie drzwi były zamknięte na klucz. Szarpnął klamką, ale nic to nie dało. Wrócił na parter i zaczął szukać kluczy w szufladach, potem w płaszczach wiszących w holu. Nic. Poszedł na piętro i położył się na chodniku z twarzą przy drzwiach. Zamknął usta i wciągnął nosem powietrze.

Perfumy. Perfumy i kadzidełka. Coś jeszcze. Może terpentyna. Pokój z pewnością otworzyli policjanci, kiedy szukali jej po zgłoszeniu zaginięcia. Ktoś musiał później przyjść i znowu go zamknąć. Pewnie były Lucy. Jej rodzice nie żyli i poza nim nikogo nie miała. Ostatnie drzwi prowadziły do sypialni. Zielone aksamitne zasłony, kryształowe i skórzane łapacze snów w oknach, wyszywane cekinami szale tancerki brzucha zarzucane na lampy - jakby ostatnio miała kochanka. Caffery podszedł do okna, przyglądając się uważnie oprawnej fotografii na parapecie: mała dziewczynka na kiermaszu, na głowie ma czarny słomiany kapeluszek z szerokim rondem, w objęciach tuli szmacianą lalkę. To pewnie Daisy, córka. Facet z depozytu w Wells powiedział, że Mahoneyowie mają córkę - mieszka gdzieś pod

Gloucester z ojcem i jego matką.

Z dołu dobiegł hałas, cichy szczeł i szuranie. Caffery złapał najcięższy przycisk do papieru, jaki wpadł mu w oko, i stanął w progu, odliczając w myślach.

Na ganku zapaliło się światło. Drzwi się otworzyły i u podnóża schodów pojawiła się twarz. To były mąż: zwichrzone włosy, garnitur, który przywodzi na myśl agenta ubezpieczeniowego. Zamrugnął na widok Caffery'ego, jego dłoni w rękawiczkach, przycisku do papieru, ochraniaczy na butach.

- Kim pan jest, bo zapomniałem?

- Inspektor Caffery - odparł, schodząc na dół. - Rozmawialiśmy wczoraj w szpitalu. Ja też nie pamiętam pańskiego nazwiska.

- Colin Mahoney.

- Co pan tu robi?

- Przyszedłem po pocztę.

- Rozwiedliście się.

- Wciąż się przyjaźniliśmy. Nie wiedziałem, że jest prawo zakazujące przyjaźni z byłym małżonkiem. Powiedzieli mi, że do rozprawy wstępnej niczego nowego się nie dowiem.

- Więc nikt się z panem nie kontaktował? Nikt z okręgowej?

- Nie, a powinni?

- Powiedzieli panu o psie?

- Tak. Podobno wpadł do kamieniołomu.

- To musiało być trudne.

- Tak. Cóż, czasami życie kopie człowieka w twarz z taką siłą, że mu zęby wypadają.

Mahoney wszedł do salonu i usiadł. Z dłońmi na kolanach rozglądał się, jakby odpowiedzi mógł mu udzielić ten zagracony pokój.

- Proszę. - Caffery podał mu rękawiczki. - Niech pan niczego nie dotyka.

Mahoney je wziął.

- Mówił pan, że w jakim wydziale pracuje?

- Nie mówiłem. W wydziale kryminalnym do spraw poważnych przestępstw.

- Kryminalnym? Tym od morderstw?

- Tak.

- W piątek powiedział pan, że nie prowadzi tej sprawy. A teraz wygląda na to, że jednak tak. - Mahoney wpatrywał się w rękawiczki. - Nie wydaje mi się, żeby Benjy wpadł do kamieniołomu. Nawet przez sekundę tak nie myślałem. Nie był głupi. Nie chcieli mi go

pokazać i to też nie było w porządku. - Spojrzał na Caffery'ego. - Więc jak? To było morderstwo? Przyszedł pan, żeby mi to powiedzieć?

- Nie. - Caffery postawił przycisk do papieru koło dwóch formularzy z przeszukania, które zostawili technicy.

- Wrywkowo sprawdzamy samobójstwa. To program, który Ministerstwo Spraw Wewnętrznych testuje w hrabstwach Avon i Somerset. Później wprowadzą go w całym kraju.

- To prawda?

Caffery patrzył Mahoneyowi w oczy.

- Więc jak?

Inspektor odchrząknął i głową wskazał rękawiczki.

- Może pan je włożyć?

- Dlaczego? W domu zrobiono rewizję. Coś się zmieniło?

- Proszę je włożyć.

Mahoney posłuchał. Caffery usiadł naprzeciwko niego.

- Panie Mahoney, mam do pana kilka pytań.

- Domyśliłem się.

- Według pana Lucy była typem samobójczyni?

- Jasne, że nie. Cały czas to powtarzam. Nie ma pan tego w notatkach?

- Mówiłem już, że sprawdzam tę sprawę. Trafiła do mnie po zamknięciu. Pierwszy raz usłyszałem o niej w piątek rano. Czy Lucy dobrze знаła okolice Strawberry Line?

- Wiedziała o niej, ale nie słyszałem, żeby tam chodziła.

- Miała przyjaciół na tamym terenie?

- Ja o żadnych nie wiem.

- A co z kamieniołomami przy Grocie Elfa? Ósemkę nazywają kamieniołomem samobójców.

- Właściwie nie wiem, dlaczego go przeszukiwaliście.

- Jej samochód znaleziono w pobliżu. Osiemset metrów dalej. Ale pan twierdzi, że nigdy nie chodziła nad kamieniołomy?

- Nie chodziła. To dziwne, że tam zaparkowała. I w żadnym razie nie zabrałaby tam Benjy'ego. Nigdy nie zabierała go nad wodę. Nie lubiła, jak był mokry.

- Miała nóż introligatorski.

- Tak mi mówili.

- Wie pan, skąd pochodził?

- Z pracowni na piętrze. Był jej potrzebny do robienia ram.

- To te zamknięte drzwi.

- Tak.

- Dlaczego są zamknięte?

Mahoney wzruszył ramionami.

- Nie znosiła, kiedy ludzie wchodzili do tego pokoju. Trzymała tam wszystkie swoje obrazy. Była na ich punkcie bardzo czuła. Ja mogłem je oglądać, ale nikogo innego nie wpuszczała. Po rewizji zamknąłem drzwi na klucz.

- Możemy tam pójść?

- Klucz jest u mojej matki. To godzina jazdy tam i z powrotem.

- Ale noża na pewno nie było?

- Tak. Sprawdziłem, kiedy ją znaleźli.

Caffery rozejrzał się po salonie. Przyciski do papieru odbijały światło. Wszystko było czyste i błyszczące.

- Ostatni raz widział pan Lucy w niedzielę?

- Byłem tu. Wypiliśmy kawę. Wyszedłem o wpół do szóstej.

- I jej zachowanie wydało się panu w porządku?

- W absolutnym porządku. Była odprężona.

- Nie mówiła, że coś ją niepokoi? Że jest przygnębiona?

- Nie.

- A jej przyjaciele mówili, że była w depresji?

- Nie. Policja przesłuchiwała wszystkich, których nazwiska miała w adresowniku, i nikt o tym nie wspomniał. Wszyscy czują to samo co ja. Wszyscy... - Urwał i Caffery dostrzegł wyraz jego oczu. Znowu zobaczył swoją matkę: krzyczącą w kuchni, czepiającą się policjanta w holu i błagającą: „Znajdź mojego syneczka, idź i znajdź go”.

Na moment przymknął powieki.

- Czysto tu. Pan posprzątał?

- Nie, ona zostawiła dom w takim stanie.

- Czy zwykle tak tu wyglądało?

- Nie, wręcz przeciwnie. Lucy miała.... - Mahoney się zawahał - ...priorytety. I jak pan widzi, miała własne gusta. Niektórych nie podzielam.

Caffery podniósł przycisk do papieru stojący na stoliku i odwrócił, z roztargnieniem mu się przyglądając. Na złotej nalepce w kształcie rombu widniał napis „The Emporium”.

- Nie znaleźliśmy jej telefonu. - Odłożył przycisk, wziął następny. Z identyczną nalepką. - Byłem w Wells i przejrzałem rzeczy, które miała przy sobie. Szukałem rachunków,

ale oficer prowadzący śledztwo powiedział, że je tu zostawił. Mówił, że to była straszna robota, bo brakowało większości wyciągów bankowych i rachunków. W gruncie rzeczy w domu nie znaleźli prawie żadnych dokumentów.

- Wiem. Powiedzieli, że Orange ma przysłać billingi.

Mahoney miał rację, ale i w tej kwestii system faworyzował ludzi w rodzaju Misty Kitson, której billingi przysłano w ciągu kilku godzin. Kiedy Caffery sprawdzał, billingów Lucy Mahoney nie było, prośba utknęła gdzieś po drodze, a po znalezieniu ciała nikt nie będzie się fatygował jej realizacją. Caffery kazał Turnbullowi wysłać kolejny nakaz, ale minie wiele dni, zanim uzyskają dostęp do billingów i zanim się dowiedzą, co naprawdę przydarzyło się Lucy Mahoney w ostatnich godzinach życia.

- Czy dokumenty przechowywała w konkretnym miejscu?

Mahoney wskazał pudło koło komputera.

- Tam.

Caffery odstawił przycisk, podszedł do biurka i otworzył pudło. Zawierało cztery rachunki telefoniczne, trzy z zeszłego roku, jeden ze stycznia tego roku, dwanaście rachunków za elektryczność, dwa potwierdzenia spłaty podatku i dziesięć wyciągów bankowych - wszystkie pochodziły sprzed ponad dwóch lat. Odwrócił się i podsunął pudło Mahoneyowi.

- Tak to wyglądało, kiedy pan pierwszy raz tu przyszedł?

- Właśnie tak.

- Wie pan, dlaczego przechowywała wyciągi z pewnych miesięcy, a z innych nie?

- Była skryta, tyle mogę powiedzieć. Kiedy policja przesłuchiwała jej przyjaciół, niczego nie potrafili o niej powiedzieć. Jak byliśmy małżeństwem, też nigdy nie wiedziałem, co naprawdę myśli.

Caffery powiódł wzrokiem po ścianach, po meblach stłoczonych w pokoju.

- Widzę, jak mieszkała, ale nie mam pojęcia, jak wyglądała. Nie ma żadnych zdjęć.

Mahoney podszedł do komputera, włączył go i wysunął spod biurka taboret.

- Proszę. Wszystko jest tutaj.

Caffery usiadł. Komputer był najnowszym przedmiotem w całym domu. Dobry sprzęt, szybki, z procesorem 2,9 giga. Caffery przejrzał pobieżnie dokumenty. Nic interesującego, ekipa dokładnie wszystko przeczesała. Otworzył pocztę: dwa nowe maile, śmieci. Przełączył na Internet Explorera i wywołał historię zapytań: kwiaty doniczkowe, *Życie w Hollyoaks*, tusz do rżęs, ćwiczenia kształtujące sylwetkę, kryształ. Nic jakoś bardzo intrygującego. Otworzył folder z wideo i na chybił trafił wybrał jedną z pozycji.

Film zaczynał się na polu. Zrobiono go latem, bo trawa była zielona, a drzewa gęsto pokryte listowiem. Wysoka, mocno zbudowana kobieta w czarnej sukni do połowy łydek stała w pewnej odległości od obiektywu. Śmiała się, próbując złapać nogi małej dziewczynki w różowych szortach, która chwiejnie stawiała na rękach. Kobieta miała bardzo krótkie rude włosy i ogorzałą twarz z wydatnymi kośćmi. Prawdziwego wysiłku wymagało połączenie jej z poczeriałym stosem na stole w kostnicy.

- Ja nakręciłem ten film. - Mahoney stanął za Cafferym. - To było trzy lata temu. Daisy postanowiła wtedy, że Nastia Liukin będzie miała rywalkę.

- Daisy? Pańska córka?

- Mieszka z moją mamą. Jest w rozpacz.

Daisy po raz kolejny próbowała stanąć na rękach. Tym razem Lucy złapała ją za nogi. Przez długą, niebezpieczną chwilę Daisy z trudem zachowywała równowagę, potem ręce się pod nią załamały. Lucy chciała ją podtrzymać, ale Daisy ze śmiechem spadła na trawę i przetoczyła się na plecy. Kamera najechała na Lucy. Ona także się śmiała, ale widząc, że jest filmowana, momentalnie spoważniała. „Och, nie!” Pokręciła głową i dłonią zasłoniła obiektyw. „Nie rób tego, proszę. Przez ciebie się rumienię. Zostaw mnie w spokoju”.

Kamera przesunęła się na trawnik, potem rozległ się odgłos wyłączenia i ekran pociemniał.

- „Nie rób, bo się rumienię”. - Mahoney wrócił na sofę.

- Tak. To cała Lucy. Wszystko wprawiało ją w zakłopotanie.

- Kochała Daisy.

- Wszyscy kochają Daisy.

Caffery otworzył następny plik, zapisany zaledwie trzy miesiące temu. Na ekranie pojawił się mały pokój, przez okno wpadało stłumione światło dnia. Kobieta stała z boku kadru, patrząc na sztalugi z płótnem. Lucy. Rude włosy, teraz o wiele dłuższe, spadały jej na plecy i była inaczej ubrana, kolorowo. Miała na sobie szafirową bluzkę, czerwoną kamizelkę i kwiecistą bandanę zawiązaną na czubku głowy. W jednej dłoni trzymała pędzel, drugą poprawiała bluzkę. Była szczuplejsza, o wiele szczuplejsza niż na poprzednim filmie. W ciągu trzech lat odzyskała wcięcie w talii.

- Kto filmował?

- Nie wiem. Pewnie jakiś przyjaciel. Mnie tu nie było.

Kamera zrobiła najazd. Lucy odwróciła się i spokojnie spojrzała w obiektyw. Nie rumieniła się, nie próbowała uciec. Uśmiechnęła się ironicznie, uniosła pędzel i z przesadnym francuskim akcentem powiedziała: „Witaj w moim atelier, maleństwo. To tutaj tworzy się

magia”.

Film się skończył i przez chwilę w pokoju panowała cisza. Caffery stukał palcem po podkładce na mysz. *To tutaj tworzy się magia.* Coś było w tych kilku scenach. Coś ważnego. Puścił film od początku, uważnie przyglądając się twarzy Lucy, sposobowi, w jaki przesuwała palcami po bluzce, świadomie dotykając brzucha. *To tutaj tworzy się magia.* Co próbujesz mi powiedzieć, Lucy? Co chcesz wyrazić?

Za plecami usłyszał hałas. Odwrócił się. Mahoney nachylał się nad stołem i uważnie w coś się wpatrywał.

- To dziwne - mruknął. - Bardzo dziwne.

Caffery odsunął krzesło.

- Co takiego?

- To.

Caffery spojrzał w kierunku wskazanym przez Mahoneya i nie zobaczył nic, co odbiegałoby od normy: formularze z przeszukań, przycisk do papieru i klucze Lucy, które wcześniej tam położył.

- Jej klucze? Pożyczyłem je z posterunku w Wells.

Mahoney wziął pęk do ręki.

- Tak je znaleźliście?

- Miała je w kieszeni.

- I były tylko te do zamków wpuszczanych i yale?

- Pasują do frontowych drzwi.

- Ale jednego brakuje. Powinien być klucz do tylnych drzwi. Zwykle wisi na gwoździu.

Caffery się odwrócił, gwoździec był pusty. Powiódł wzrokiem od frontowych do tylnych drzwi. Przeszedł go dreszcz. Jakby coś weszło do pokoju i usiadło z nimi.

- I... - zakaszłał. - I rozumiem, że pan go nie ma?

Mahoney zwrócił na niego oczy ze źrenicami skurczonymi do rozmiarów główki od szpilki.

- Nie. A skoro ja go nie mam, to kto go ma, cholera?

Na uliczkach dzielnicy mieszkaniowej wokół Hanham w porze lunchu panował spokój. Kiedy Pchła wyjechała zza zakrętu, zobaczyła, jak czarny escort Thoma rusza spod domu. Z migającymi światłami popędził do skrzyżowania, gdzie skręcił w prawo. Pchła trzymała się blisko, na siedzeniu obok szukając telefonu.

Oczywiście prowadziła Mandy. Innej możliwości nie było. Pchła wiedziała, co chłopaki z oddziału powiedziałyby o Mandy: „Hej, jedzie laska z cipą jak fiut” albo coś w tym rodzaju. Escort zatrzymał się na światłach, Pchła zaraz za nim, kciukiem wybierając numer Thoma. Obserwowała, jak Mandy się odwraca do Thoma, który grzebie w kieszeniach kurtki. Powiedział coś do niej, wyjmując telefon, ale zaraz Pchła usłyszała, jak przełącza rozmowę na pocztę głosową. Przechylił się, chowając komórkę z powrotem do kieszeni, i oparty czołem o okno, wyglądał na drogę.

Pchła nacisnęła pedał gazu, zatrąbiła, zamigła światłami. Mandy podniosła głowę: Pchła we wstecznym lusterku escorta dostrzegła jej przestraszone oczy. Wystawiła rękę przez okno, gestem dając znać, żeby Mandy zjechała na pobocze.

Przez moment oba samochody niemal stykały się zderzakami; musiało trochę potrwać, zanim Mandy pojęła, co się dzieje. Kiedy zobaczyła bramę cmentarza, skręciła w lewo i zahamowała tuż za nią. Pchła ustawiła się za escortem i wyskoczyła, podbiegając do drzwi od strony kierowcy. Gestem poleciła, żeby Mandy otworzyła okno.

Przez chwilę błada jak kreda Mandy patrzyła na nią przez szybę. Na siedzeniu obok Thom zsunął się tak, że podbródek miał oparty o pierś. Pchła nie widziała jego miny, bo zasłaniał się dłonią.

- Otwórz okno.

Mandy wykonała polecenie.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłaś. Co się dzieje?

- Musimy pogadać.

- Jadę do pracy.

- Teraz, Mandy. Natychmiast.

- Dobra - odparła Mandy ostrożnie. - Jesteś zdenerwowana.

- Wsiądź z samochodu.

Mandy wysiadła: powoli, z podniesionymi rękami, jakby Pchła celowała jej w głowę.

Thom odpiął pas i też wysiadł. Jego zarumieniona twarz pojawiła się po drugiej stronie samochodu.

- Pchła, to niepotrzebne. Ja jej powiem.

- Co mi powiesz?

- Mandy, nie słuchaj jej. Proszę. Przysięgam, że miałem ci powiedzieć.

Pchła podniosła dłoń.

- Wracaj do samochodu, Thom.

- Pozwól, żebym ja jej powiedział.

- Wsiadaj.

Wpatrywał się w siostrę; cała krew odpłynęła mu z twarzy, żyła na szyi sino pulsowała, dłonie kurczowo przywierały do dachu.

- Rób, co ci każe - odezwała się Mandy. - No, wsiadaj.

Thoma może byłoby stać na zignorowanie siostry, ale nie potrafił sprzeciwić się dziewczynie. Bez słowa zgarbił się na siedzeniu. Mandy zwróciła się do Pchły, zakładając ręce pod obfitym biustem.

- Cholera, o co chodzi?

- Był wypadek. Thom... miał wypadek.

Mandy bardzo wolno się pochyliła, żeby spojrzeć na Thoma, który znowu chował twarz w dłoniach.

- Nie wygląda, jakby miał wypadek.

- Jemu nic się nie stało.

- Więc komu?

- Pewnej kobiecie.

- Kobiecie? - Mandy pytająco uniosła brwi, jakby pomyślał, że Thom miał coś wspólnego z jakąś kobietą, był idiotyczny. Nawet podczas wypadku.

- Prowadził. Wieczorem, kilka dni temu. Był pijany, a ona weszła mu pod koła. Nie miał szans zahamować.

- Co się jej stało?

Pchła pokręciła głową. Tej informacji nie dało się przekazać łagodnie.

- Przykro mi.

Mandy przymknęła powieki.

- Zginęła? - Otworzyła oczy, nieruchomym wzrokiem patrząc na Pchłę. - Chcesz powiedzieć, że ją zabił?

- Tak.

- Kiedy?

- W poniedziałek.

- Kiedy był u ciebie?

- Tak.

- Nie mógł mieć żadnego wypadku. Cały wieczór był u ciebie. Samochód jest w porządku.

- Nie był u mnie. Okłamał cię. Nie chciał, żebyś wiedziała, że idzie na spotkanie biznesowe, bo się bał, że pomyślisz, że znowu wplątuje się w jakiś podejrzany interes, więc przyjechał do mnie i wziął mój samochód. Swój zostawił przed domem, gdybyś postanowiła podjechać i go sprawdzić.

Mandy zwróciła wzrok na groby, na plastikowe kontenery pod pompą, na jedwabne kwiaty, którym spaliny nadały szarą barwę. Widziała je, choć nie docierały do jej świadomości.

- Nie wierzę. Nikt mi o tym nie mówił.

- Bo nikt nie wiedział. Wypadku nie zgłoszono.

- Nie zgłoszono? Więc co się stało z... - Ze wstrząsem uświadomiła sobie kolejny wymiar sprawy. Oparła się łokciami o dach samochodu i ukryła twarz w dłoniach. - Mój Boże. Mój Boże. Mój Boże.

- Jest coś, co możemy zrobić.

- To będzie koniec.

- Mandy, uspokój się. Omówiliśmy to z Thomem i coś możemy zrobić. Musimy wysłać go do szpitala. Musimy przygotować obronę. Czasu jest mało.

- Przygotować obronę? Chcesz powiedzieć, że będziesz kłamała? Dlaczego? Dlaczego to robisz?

- Bo to mój brat. Jestem kurewsko na niego wściekła i najchętniej w tej chwili wydrapałabym mu oczy, ale to mój brat i go kocham.

Mandy położyła palce na gardle, jakby coś ją dusiło. Odsunęła rękaw i spojrzała na zegarek - jakby poznanie godziny mogło jakimś sposobem sprawić, że wszystko pozostanie na miejscu, że świat przestanie się kołysać. W oddali przetoczył się grzmot. Ptak, może gawron, zerwał się do lotu z rzędu cienkich cyprysów rosnących przy cmentarnym murze.

- Potrzebujemy czasu, żeby się nad tym zastanowić - odezwała się wreszcie.

- Dobrze.

- To znaczy we dwoje.

- Posiedzę w samochodzie.
- Nie. Potrzebujemy więcej czasu. Musimy wrócić do domu i się zastanowić. Przespać się z tym. Zadzwoń do ciebie.
- Kiedy?
- Jutro rano. Może raczej po południu. Rano muszę iść do pracy.
- Sprawa nie może tak długo czekać. Są pewne... zmiany. Zmiany w ciele.
- Zmiany? - Mandy pokręciła głową. - Chryste.
- Zadzwoń do mnie z samego rana.
- Przed południem.
- Jeśli do południa się nie odezwiesz, przyjadę do was. A jeśli wtedy nie zaczniemy działać, będę musiała...
- Co będziesz musiała?
- Zobaczymy się w południe.

Czwarta po południu i Ruth czuje się dobrze. W dłoni ma drinka, muzyka gra głośno. Najchętniej otworzyłaby wszystkie okna, żeby sąsiedzi wiedzieli, że jest w domu. Bo sztuczka, którą wymyślili - przysłanie tej dziwki na przeszpiegi - spłynęła po niej jak po kacze. Zupełnie. Prawdę mówiąc, zobaczyła sprawy wyraźniej. Jeśli wcześniej nie była pewna zmian, które chciała wprowadzić, teraz pozbyła się ostatnich wątpliwości. Czas najwyższy stąd się wynieść. Czas wracać tam, gdzie jej miejsce. Gdzie jest słońce. Ona, koty i może Stevie gdzieś, gdzie jest lepiej niż na tym zadupiu.

Idzie do sypialni i stawia szklankę na nocnym stoliku. Po drodze wychlapała trochę drinka, więc zdejmuje T-shirt, żeby wyczyścić plamę. Prostując się, łapie swoje odbicie w lustrze na wielkiej starej szafie. Przygląda się sobie długo, trzeźwo, rozpina szorty i zsuwa. Teraz jest w samej bieliźnie, staniku, majtkach i na wysokich obcasach. Stoi prosto i ocenia swój wygląd.

Ma świetne nogi. Zawsze miała. Krótkie, nieco muskularne, ale z ładnie ukształtowanymi kolanami i kostkami. Nogi, które dobrze wyglądają na wysokich obcasach. Nieźle cycki. Ścisną piersi i pochyla się do lustra. Posyła całusa. Przy cycuszkach skorzystała z drobnej pomocy - wschodnioeuropejskiej. Słowa właściwie były zbędne, zawsze potrafiła się porozumieć z określonym typem facetów. Trochę obietnicy, trochę podniecenia. To droga dwukierunkowa. Oni dostają, czego chcą... i ona dostaje, czego chce. Teraz zależy jej na wydostaniu się stąd. Pragnie wyjechać daleko od wścibskich sąsiadów, deszczu i wszystkich ludzi, którzy chcą zrobić krzywdę kotom truciznami i szybkimi samochodami.

Pomiędzy wioską a Trowbridge budują nowe centrum handlowe. Tego rodzaju przedsięwzięcie przyciąga wszelkiego rodzaju samotnych mężczyzn, architektów, inżynierów, inwestorów. Paru już zaczęło przychodzić do pubów w Rode. Jeden niedawno postawił jej drinka, a to krok w dobrym kierunku. Co nie znaczy, że Ruth jest naiwna: nie spotka cholernego Pierce'a Brosnana, na miłość boską. Pójdzie na kompromis.

Pije łyk rumu z colą. Odstawia szklankę i odwraca się z powrotem do lustra. Zbiera nadmiar opalonego ciała wylewający się z majtek, ugniata i patrzy, jak się marszczy, tworząc fałdy. Stevie. On jej to zrobił. Nie żeby miała do niego pretensje, ale brzuch stał się taki po Steviem. Ruth trzęsie fałdami, naciąga je na biodra i odwraca się raz w jedną, raz w drugą

stronę. Podziwia zmiany, jakie zachodzą w figurze, kiedy skóra jest mocno naciągnięta.

To drobiazg. Małeńka blizna. Po wszystkim, co przeczytała, może mówić, że to histerektomia. Gwiazda filmowa albo celebrytka w ogóle nie zwróciłaby na to uwagi. Nazwałaby to dbaniem o siebie. Nie przejmowałaby się, nie rozmyślała. Do takiej sprawy podeszłaby z nastawieniem: albo rybka, albo pipka.

Ruth wypija drinka do końca. W białiznie i na wysokich obcasach schodzi na dół i lekko się chwiejąc, staje koło barku. Wsypuje lód do szklanki, nalewa alkohol, zanoszą drinka do stolika z komputerem i po kolei otwiera szuflady. Są w nich stosy fotografii, musi w nich pogrzebać, żeby znaleźć dokumenty bankowe i wyciągi z kart kredytowych. Rzuca je na stół, siada i zaczyna porządkować.

Po chwili dociera do niej, że ma problem. Układa papiery chronologicznie i zaczyna od nowa, tym razem robi notatki, sumuje liczby. Niedobrze. Po dwóch szklankach rumu z colą wciąż nie potrafi ustalić, jak bardzo jest źle. Nalewa kolejną i siada, wspierając głowę na palcu.

Na popołudnie ma umówione spotkanie. Załatwiła je Sue. Dobra z niej dziewczyna, nie zerwała kontaktów pomimo rozwodu. Choć ma dziwną twarz, taką zapadniętą. Jakby Lindermilkowie dziedziczyli gen manty. Ale generalnie jest w porządku, postarała się, żeby ciocia Ruth dostała w klinice tę samą obniżkę na odsysanie tłuszczu co personel. Dwadzieścia pięć procent.

Ale nawet na tyle nie wystarczy. Ruth widzi to wyraźnie.

Co ma zrobić? Zaciągnąć kolejny kredyt hipoteczny na dom? To potrwa wieki, a wzięwszy pod uwagę, co się dzieje w tym kraju, nikomu takiego kredytu nie dają, nawet lekarzom i adwokatom. Podnosi głowę i łapie swoje odbicie w lustrze. Myśli o pieniądzu, o koncie w banku. I nagle wszystko jest nie tak. Nieważne, z której strony patrzy, wszystko i tak wygląda okropnie. Ona. Jej brzuch. Twarz. I jeszcze ten ułamany przedni ząb. Bóg tylko wie, ile to może kosztować. Pewnie będzie potrzebny implant.

- Kurwa - mówi do małego czarnego kotka zwiniętego u jej stóp. - Kurwa.

Idzie do barku. Znowu otwiera rum i nalewa do szklanki na dwa palce. Kilka kropel spada na blat. Spogląda na płamę. Zastanawia się, czy jej nie zlizać. Zmienia zdanie i bierze papierową serwetkę. Z hotelu Puente Romano w Marbelli. Raz cumowali w marinie w Cabopino i poszli na drinka do baru. Tamtego wieczoru Stevie ukradł ze sto serwetek. Wciąż je ma. Stevie to dobry chłopak.

Bierze komórkę i przewija numery. Zatrzymuje się na numerze Stewiego i długo się w niego wpatruje. Stevie ma biznes w Swindon, sprzedaje sprzęt AGD. Zbudował firmę od zera.

Nie spodoba mu się, że jego mamie czegoś brakuje. Kciuk Ruth wisi nad klawiszem.

- Nie - mówi do kota, odkładając telefon. - Nie będę odbierać mojemu dziecku jedzenia od ust. Nie zrobię tego. Nie jestem taką matką.

Dolewa coli do rumu i dla zabawy wrzuca do środka koktajlowy patyczek. Parę dni temu przeczytała w czasopiśmie o kobiecie, która poszła do lekarza i powiedziała, że z powodu płaskich piersi ma depresję. Depresję. Lekarz odesłał ją do specjalisty i nowe piersi zrobiono jej na koszt Narodowej Służby Zdrowia. Sama nie zapłaciła ani grosza. Dokąd zmierza ten świat?

Znowu spogląda na telefon. Na numer Steviego, na zegar. Dochodzi piąta. Stevie jest pewnie w drodze do pubu. Ruth wybiera numer, odzywa się poczta głosowa.

- Stevie, kochanie, mówi mama. Słoneczko, wpadnij do mamusi, dobrze, kochanie? Przyjdiesz, prawda? Jest pewien drobiazg, który muszę z tobą omówić.

Caffery wychylał się z okna gmachu MCIU w Kingswood, z wyrzutami sumienia paląc skręta. Patrzył, jak gość zamyka sklep z mięsem spełniającym reguły *halal*. Przebojem numer jeden wśród detektywów była historia z zeszłego roku, kiedy to dupki z chińskiego supermarketu dwa domy dalej zaczęli rzeźnikowi zazdrościć obrotów. Uznali, że powodem jest słowo *halal*. Starannie je przepisali i w witrynie wystawili tabliczkę. Oferujemy wołowinę *halal*. Oferujemy kurczaki *halal*. Oferujemy wieprzowinę *halal*. Wieprzowinę. Rzeźnika rozsierdziła ta świńska zniewaga i zaczął się mścić na Chińczykach. Przez jakiś czas przypominało to wojnę gangów. Caffery palił wolno, patrząc na rzeźnika. Sam był londyńczykiem. Nie rozumiał, dlaczego policjanci uznali sprawę za wartą wspomnienia. W Lewisham tego rodzaju rzeczy były na porządku dziennym.

Wyrzucił niedopałek przez okno i podszedł do biurka. Musiał porozmawiać z Powersem, ale nadinspektor był nieosiągalny. Wyjechał do Glyndebourne - akurat tam! - i wyłączył telefon. Odkąd zlecono im sprawę Misty Kitson, pracował szesnaście godzin na dobę, ale dzisiaj jego żona miała bilety na premierę *La Cenerentoli*, a wzięwszy pod uwagę, co musiała znosić przez lata, postanowił, że nie będzie głupi. Po porannej konferencji prasowej wsiadł do samochodu, pojechał do domu i wyjął dawno nie używany koszyk piknikowy i smoking. Ale zostawił Caffery'emu wiadomość: zdjęcia aktorki grającej Misty Kitson w rekonstrukcji przyklejone nad fotografiami z sekcji zwłok Bena Jakesa i Jonaha Dundasa.

Caffery odkleił taśmę i starannie je pozbierał. Ułożył zdjęcia w stos i wrzucił do koperty. Przez chwilę zatrzymał się na fotografii przedstawiającej płaszcz Misty. Fioletowy aksamit. Materiał z czymś mu się kojarzył. To dotyczyło samochodu, kazało mu myśleć o samochodzie i płaszczu. Samochód, płaszcz. Samochód, płaszcz. Próbował oba te obrazy nałożyć na siebie, ale za każdym razem zsuwały się i odpływały.

Rekonstrukcja na razie nie przyniosła efektów. Wbrew zapewnieniom psychiatrów w krzakach nie złapano żadnego podejrzanego z fiutem w rękę. Cały zespół świrował na myśl, jak mało mają do dyspozycji: zeznania ludzi z ośrodka dotyczące ostatniego spotkania z Misty oraz zeznanie jej chłopaka. Na pewno wiedzieli tylko to, że była impreza, bo jeden z pacjentów przeszmurował do kliniki towar. Tuż po drugiej Kitson opuściła budynek

frontowymi drzwiami. Po wyjściu poza teren ośrodka zadzwoniła do chłopaka. To była emocjonalna rozmowa: powiedziała mu, że wybiera się na spacer, bo musi pomyśleć, czuje, że nie wytrzyma w tym miejscu ani sekundy dłużej. Miała wrócić przed piątą. Chłopak już był na nią wkurzony, przyznał to w czasie przesłuchania: za pobyt w klinice płacił ciężko zarobionymi na boisku pieniędzmi. Pokłócili się, Misty przerwała rozmowę. Nie oddzwonił. Dopiero kiedy wiele godzin później zatelefonowano do niego z ośrodka, zorientował się, że dzieje się coś złego.

Zadzwoniła komórka: Powers. Caffery wrzucił fotografie do szuflady i przysunął krzesło do biurka. Czas pogadać.

- Dobry wieczór, szefie. Wciąż jesteś w Sussex?

- Nawet mi nie mów. Cholerna *Cenerentola*. Musiałem czekać na antrakt, żeby wyjąć telefon. Żona cały czas brzydko na mnie patrzy.

- Jaka pogoda?

- Nurzamy się w błocie. Żona powtarza, że Jimmy Choo nadaje się do wyrzucenia. Cholera, kto to niby jest? Słyszałeś o Jimmym Choo?

Jimmy Choo, kurewskie buty. Powers na pewno nie tego chciałby się dowiedzieć o żonie, z którą przeżył trzydzieści lat.

- Rano widziałem cię w telewizji - powiedział Caffery. - Konferencja w sprawie Kitson. Wyglądałeś na bardzo współczującego. Myślałem, że się rozplączesz.

- Dobrze było, nie? Ha, to są owoce wieloletniej pracy. Wyłapałeś kłamstwo?

- Że policja jest pewna, że ją znajdzie?

- Nie. Że do tego śledztwa rzucam wszystkie siły, jakimi dysponuję. Że cały oddział poświęca się pracy na sto procent.

- Tak. Dobra. Musimy pogadać. Złe wieści.

Nastąpiła przerwa.

- W porządku - odezwał się Powers. - Powinienem uzupełnić sobie drinka, zanim przejdiesz do rzeczy?

- Może.

- To mi się nie podoba.

- Zastanawiałem się, ile morderstw uznajemy za samobójstwa. Na samą myśl głowa zaczyna ci pękać.

- Jak przypuszczam, mówisz o Benie Jakesie. Nie popełnił samobójstwa?

- Popełnił, i w tym cały smaczek. Przypadek Jakesa to samobójstwo, które wyglądało jak morderstwo. Ale mam coś innego: morderstwo, które wygląda jak samobójstwo. Lucy

Mahoney. W piątek znaleziono ją koło Strawberry Line.

- Co mówi patolog?

- Twierdzi, że to samobójstwo, ale się myli. Szefie, w tej sprawie coś nie gra. Najpierw były mąż mówił, że nie ma psa, którego wzięła ze sobą, kiedy zaginęła, i zgadnij, co wczoraj znaleziono w kamieniołomie?

- Nie mów. Psa.

- Był okaleczony. Chłopaki z laboratorium mówiły, że wyglądało to tak, jakby ktoś próbował zrobić z niego płaszcz. A potem się okazało, że brakuje jednego klucza do domu.

- I jak ta kobieta się łączy z twoim śledztwem w sprawie operacji Norwegia?

- Nie łączy się.

- Więc po jakiego grzyba się tym przejmujesz?

- Wiesz, ten czas, który mi dałeś na uporządkowanie problemu operacji Norwegia, wolałbym poświęcić na to. Chcę pogadać z koronerem.

- Kurwa. - Powers głęboko westchnął. Caffery mógł sobie wyobrazić jego minę. Wiedział, że szef, gdyby mógł, rzuciłby się na niego. - Pozwól, że to sobie wyjaśnimy. Mówisz, że zrezygnowałeś z dalszego dochodzenia w sprawie operacji Norwegia i postanowiłeś, że zamiast wrócić do zespołu, będziesz gonił następnego królika? Nie wierzę własnym uszom. Zaczynam myśleć, że masz coś przeciwko tej Kitson. Jakbyś chciał się wymigać od tego śledztwa. Jakby wszystko inne było lepsze. Własnym uszom nie wierzę.

Caffery bębnił palcami po stole.

- Więc jak? Zgadzasz się?

- Cudownie. Bardzo śmieszne. - Powers przez chwilę regularnie oddychał. Może był u jakiegoś alternatywnego terapeuty, który go nauczył, jak oddechem pokonać stres. - Słuchaj, jeśli okręgowa chce prowadzić śledztwo w sprawie tej kobiety i psa, bo uważają, że to nie było samobójstwo, to ich broszka. Jeśli po jakimś czasie wydział rewizyjny uzna, że sprawa powinna trafić do nas, to będzie broszka rewizyjnego. Nie będę z nimi dyskutował. Bo wtedy już znajdziemy Misty Kitson. Bezpieczna i zdrowa, da się sfotografować z tym swoim łobuzem chłopakiem i strasznymi pieskami w kuchni w Chislehurst, Chingford czy gdzie tam mieszkają. Przykro mi, Jack. - Naprawdę jestem aż taki trudny?

- Nie. Musisz tylko ze mną współdziałać. Ciągnąć to ze mną. Sprawa Misty pochłaniała tak wiele zasobów, że wręcz słychać było skrzypienie tacek. Policja zaangażowała się w nią bez reszty. Bez reszty. Jej billingi nadeszły po czterdziestu ośmiu godzinach. Billingi Lucy zaginęły i nikt nawet tego nie zauważył.

- Wiesz co? - powiedział Caffery. - Masz rację. Jutro rano przyjdę wcześniej i siądę z

dziewczynami obsługującymi program HOLMES. Zorientuję się, jak wyglądają sprawy. Co ty na to?

- Dobra - odparł Powers ponuro.

- Jeśli chcesz, mogę pomóc w rozdzielaniu „akcji” na dzień. Ty sobie dłużej pośpisz.

- Wystarczy, jeśli mi powiesz, że kiedy jutro rano przyjdę do pracy, mój inspektor tam będzie. Chyba nie proszę o zbyt wiele.

- Będę - powiedział Caffery. - Miłego wieczoru. Mam nadzieję, że deszcz przestanie padać.

Rozłączył się i chwilę stał, przyglądając się sklepowi mięsnemu. Zaczynało padać. Podeszedł do biurka i w spisie numerów poszukał posterunku w Wells. Spojrzał na zegarek. Szósta trzydzieści. Było dość czasu. Chciał się przekonać, czy inspektor prowadzący sprawę Lucy Mahoney jest jeszcze na służbie, zgromadzić wszystkie zeznania świadków od dnia, gdy zaginęła, zabrać je do domu i przeczytać od deski do deski.

Piechur miał rację. To była jego wada. Nie potrafił odpuścić.

Naukowcy na całym świecie hodują skórę. Wykorzystują fragmenty usunięte podczas operacji plastycznych, rozmnażają komórki i w szalkach Petriego odżywiają je agarozą, glutaminą, hydrokortyzonem i insuliną. Dodają melanocyty, by powstał pigment, suszą wierzchnią warstwę i naświetlają ultrafioletem, by ją postarzyć. Tak wyhodowana skóra wykorzystywana jest do testowania kosmetyków lub sprzedawana przez Internet pacjentom z poważnymi oparzeniami i ranami.

Mężczyzna zamówił taką syntetyczną skórę u producenta w Ameryce. Przesłano mu ją w formowanych wtryskowo polistyrenowych blokach: pięć miękkich krążków wielkości jego dłoni, zawieszonych w odżywczym roztworze agarowym i zabezpieczonych w wysokiej jakości worku polietylenowym. Kiedy wieczór zapada nad polami otaczającymi jego dom na odludziu, mężczyzna ogląda skórę. Wącha, kładzie na dłoni, podnosi do światła. Zamykając kurczowo oczy, przyciska ją do twarzy. Zaciska zęby i czeka, aż poczuje się lepiej.

Dał się przyłapać. Znowu.

Znowu.

- Ciii. - Kołysze się nieznacznie. Pozwala, by skóra przyjęła kształt jego szczęki. Problem jest rozwiązany. Nie wątpi w to. Nie ma czym się przejmować. - Ciii.

Ściąga sztuczną skórę z twarzy. Wpatruje się w nią gniewnie. Jest pozbawiona włosów, pigmentu i komórek Langerhansa, które prawdziwej skórze umożliwiają zwalczanie infekcji, a także krwi i gruczołów potowych. Nie jest lepsza od skóry psa czy królika. Z odrazą strzepuje ją do kosza na śmieci, gdzie skóra przywiera do ścianki. Przygląda się jej, a kiedy nic nie wskazuje na to, by opadła, długim drążkiem do garbowania spycha ją na dno.

Na tym świecie nic, absolutnie nic, nie jest uczciwe.

Pub znajdował się na szczycie stromej ulicy w Clifton. Miał podłogi z czerwonej cegły, miękkie sofy, szwedzki piec na drewno i oszklone szafki z doskonałymi gatunkami win. Caffery i Colin Mahoney zamówili napoje J20, przekąskę i kanapki. Siedzieli przy jednym z ogromnych okien wykuszowych, skąd widzieli pracowników okolicznych biur śpieszących na lunch.

- Co u Daisy? - zapytał Caffery. - Jak sobie radzi?

- A jak pan sądzi? Nie ma na to słów.

- Powiedział jej pan o psie?

- Pomyślałem, że tego jej oszczędzę. - Mahoney ubrany był w szary garnitur, białą koszulę i staroświecki krawat w turecki wzór. Wyglądał na zmęczonego. - Od wczoraj nikt się do mnie nie odezwał. O niczym nie wiem. O niczym. Nie dostałem nawet kartki ani kwiatów od oficera kontaktowego.

- Ci oficerowie. Boją się zaangażowania.

- Spodziewałem się, że przynajmniej ktoś zadzwoni i powie, że zmieniono klasyfikację sprawy. Wie pan, uznano ją za morderstwo.

- Tak, tak. - Caffery poklepał się po kieszeni, wyczuł opakowanie z tytoniem i pomyślał, czy nie wyjść na dwór zapalić. Rano był w biurze, załatwił dzienne „akcje” dla Powersa. Tak jak obiecał. W porze lunchu miał prawo robić, co chciał. - Pracuję nad tym. Naprawdę. Rozmawiałem z patologiem.

- No i?

- Ma problem ze zmianą klasyfikacji. Twardo obstaje przy swoim. Jedyne wątpliwy element to temazepam. Jeśli ma jakieś zastrzeżenia, to tylko w tej sprawie. Kiedy Lucy umarła, miała w organizmie pełno benzodiazepiny.

- Lekarz jej powtarzał, że się uzależni, że zamiast leków powinna napić się ginu z tonikiem. Ale ona wiedziała, jak go podejść. Tabletki wysypywały się z szafki w łazience. Bałem się ze względu na Daisy. Więc jak? Dostanę odpowiedź? Traktujecie tę sprawę jak morderstwo?

- Oficjalnie nie, ale przyjmijmy, że obaj w oparciu o takie założenie pracujemy.

- Dla mnie to nie jest założenie, tylko fakt.

- W takim razie wkraczamy na terytorium powieści kryminalnej. Podejrzani i motywy. Mahoney uniósł ręce na znak, że nic nie przychodzi mu do głowy.

- Myślmy, że ktoś skorzystał z brakującego klucza i wszedł do jej domu. Może po całej sprawie, tak? Żeby posprzątać. A może zależało mu na czymś innym? Sprawdził pan, czy czegoś nie brakuje?

- Niczego, o ile potrafię stwierdzić. Tylko noża i klucza.

- Ten, kto go ma, nadal może swobodnie wchodzić do domu.

- Nie może. Zmieniłem zamek. Zrobiłem to sam, dzisiaj rano.

Na przekąskę podano ciepły i lśniący od oliwy chleb z kawałkami sera haloumi i kminkiem naciskającym na skórkę jak maleńkie czarne naczynia krwionośne. Jedli, spoglądając na wiszący most. W rzece o czekoladowej barwie odbijało się słońce.

- Spędziłem noc na czytaniu zeznań, które złożyli świadkowie po zgłoszeniu jej zaginięcia - powiedział Caffery. - Niech mi pan opowie, jak to się stało. Zaginęła o wpół do szóstej w niedzielę?

- Wtedy ostatni raz ją widziałem.

- I w poniedziałek zadzwonił pan na policję?

- Tak.

- Prawie dwadzieścia cztery godziny później. Dlaczego pan z tym czekał?

- Uważałem, że to nie byłoby właściwe. Zmieniłem zdanie, kiedy nie przyszła odebrać Daisy ze szkoły.

- Właściwe? Ale ona zaginęła.

- Nie wiedziałem o tym. Nie wtedy. Po prostu nie odbierała moich telefonów. Jeśli zdecydowała się spędzić noc poza domem, to nie była moja sprawa. Już nie.

- Od jak dawna jesteście rozwiedzeni?

- Od roku. W separacji od dwóch lat.

- I od początku utrzymywaliście bliskie kontakty?

- Na początku nie. Daisy zamieszkała ze mną u mojej matki, tak od razu ustaliliśmy, i na początku Lucy odwiedzała ją, kiedy byłem w pracy. Przez rok jej nie widziałem, udawało się nam wzajemnie unikać. Potem atmosfera trochę złagodniała, mniej więcej w czasie, gdy rozwód został sfinalizowany. Rozwiązaliśmy pewne stare spory, ze względu na Daisy zaczęliśmy od nowa rozmawiać. Lucy się wtedy zmieniła. Widział pan to na filmie, prawda?

- A dlaczego się rozstaliście? W jakich okolicznościach?

- Odszedłem. Wyczerpały się rzeczy, które nam obojgu sprawiały przyjemność. Oddaliliśmy się od siebie.

- Oddalenie. To brzmi jak wymówka, którą ludzie podają, kiedy nie chcą mówić o czymś innym.

Mahoney uśmiechnął się nerwowo.

- Nie wiem, ale pan tak ze mną rozmawia, jakby mnie pan przesłuchiwał.

- Nie. Staram się wyrobić sobie pogląd. W tym, co mi pan powie, może być klucz do sprawy. Nawet jeśli pan nie jest tego świadomy. Czy Lucy kogoś miała? Była atrakcyjną kobietą.

Mahoney położył na kolanach poskładaną serwetkę. Zamówili już resztę posiłku, ale on wziął kartę dań i zaczął ją studiować.

- Colin? Pytałem, czy Lucy miała chłopaka.

Mahoney zakaszłał.

- Tak sobie myślę, że powinienem być wybrać kanapkę z pieczoną wieprzowiną. Latem w środy pieką świnie na ulicy dla ludzi wychodzących z pracy. Całą świnie nabitą na ruszt. Sprzedają kawałki na serwetkach. Dobrze smakuje z jabłkowym sosem Somerset.

Caffery usiadł wygodnie, obserwując Mahoneya. Znowu pomyślał o matce, zastanawiał się, jak teraz wygląda, czy cierpi, czy teraz ból jest fizyczny, pochodzi ze stawów zmęczonych zginaniem, z mięśni wyczerpanych ciężką pracą, czy też wciąż dręczy ją ból po utracie Ewana. Zadawał sobie pytanie, czy czas w jakiś sposób zmienił ten ból, złagodził go.

- Colin? To pan ją zostawił. Dlaczego odpowiedź jest dla pana taka trudna?

- Czy to ważne dlaczego?

- Staram się działać z panem, nie przeciwko panu. Miała kogoś?

Mahoney potarł oczy, odłożył kartę.

- Powinien pan to wiedzieć. Ta informacja jest w zeznaniach jej przyjaciół.

- Chcę usłyszeć to od pana.

- Tak. Miała chłopaka. W porządku?

- Nazwisko?

- Nie znam. Przyjaciele też nie podali. Nie wiedzą, prawda?

- Dziwne... że nie powiedziała przyjaciołom, jak się nazywa jej chłopak.

- Nie takie znowu dziwne. Była najbardziej skrytą osobą, jaką w życiu spotkałem.

Chroniła go. Był żonaty.

- Hm, to interesujące.

- Niezupełnie. Łączył ich... luźny związek. Lubiła go, ale nie traktowała poważnie. Och, niech się pan nie przejmuje, myślałem o tym, zastanawiałem się, czy miał coś wspólnego z jej... Wie pan.

- I?

Mahoney pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Nie bała się go.

- Gość wciąż mnie interesuje.

- Przychodzi mi na myśl coś bardziej interesującego.

Caffery uniósł brew.

- Pieniądze.

- Pieniądze? - powtórzył Caffery, pochylając się nad stołem. - No, chwycił mnie pan za jaja. Słucham.

Mahoney się nie uśmiechnął.

- Kiedy się rozstaliśmy, dałem Lucy pieniądze, niezbyt dużo, tyle by wystarczyło na depozyt na dom i trochę zostało. Pracowała w Filton w firmie produkującej ozdoby choinkowe. Projektowała dla nich, zajmowała się biurem, takie rzeczy. Ale pewnego dnia oznajmiła, że rzuciła tę pracę. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale jak teraz patrzę z perspektywy, widzę, że nie zmieniła stylu życia. Wciąż w każdy weekend chodziła na zakupy i wracała do domu obciążona różnymi drobiazgami, przyciskami do papieru. Prawdziwy chomik. Cóż, widział pan jej dom.

- Zaciągnęła kredyt?

- Pod zastaw czego? W tamtej okolicy ceny nieruchomości nie podskoczyły gwałtownie, zresztą i tak hipotekę miała obciążoną w dziewięćdziesięciu procentach. Mimo to w zeszłym roku cztery razy była na wakacjach.

- Może zapłacił jej chłopak?

- Nie. Nie dawał jej pieniędzy, to informacja z pierwszej ręki. Jego żona od razu by się zorientowała. I nie wyjeżdżał z Lucy za granicę. Albo jechała sama (wiem, bo ją odwoziłem na lotnisko), albo z Daisy. A potem... - Mahoney z wewnętrznej kieszeni wyjął poskładaną kartkę i przesunął ją po stole do Caffery'ego. - ...to. Przyszło z dzisiejszą pocztą.

Caffery rozłożył kartkę. Zawierała szczegółowe dane z agencji handlu nieruchomościami: kamienny dom z białymi oknami i powojnikiem pnącym się wokół drzwi.

- Brakuje tylko białego płotu.

- Niech pan spojrzy na cenę - powiedział Mahoney.

- Sześćset tysięcy.

- Jej domek jest wart prawie dwieście, ale ma hipotekę obciążoną na jakieś sto czterdzieści.

Caffery odwrócił kartkę na drugą stronę. Nic.

- Goland i Bulley. - Mahoney głową wskazał okno.
- Tam, po drugiej stronie ulicy. Co pan myśli?
- Myślę... - Caffery odłożył list i dał znak kelnerce. - Myślę, że te kanapki weźmiemy ze sobą.

Dziewczyna w agencji przypominała Keelie. Czy raczej tak mogłaby wyglądać Keelie, gdyby w którymś momencie jako nastolatka nie poznała rozkoszy kokainy. Ta tutaj miała potężne ramiona pływaczki, a jej ciało wydawało się zbyt opalone i muskularne na granatowy kostium, w który je wcisnęła.

- Pani Mahoney? - Wystukała numer referencyjny z listy. - Oczywiście niewiele mogę wam powiedzieć o naszej korespondencji, jest poufna. Mogę natomiast powiedzieć, czy była klientką.

Caffery położył na stole legitymację.

Dziewczyna spojrzała.

- Policja?

- Policja.

Nerwowo śmiech. A potem w ten rozdygotany, charakterystyczny dla uczciwych ludzi sposób zaczęła wyrzucać z siebie strumień słów.

- Cóż, oczywiście dobrze ją pamiętam. Zależało jej na domu... cena od pięciuset do ośmiuset tysięcy. Jest taka nieruchomość na sprzedaż, spotkanie wyznaczyliśmy na... - przebiegała wzrokiem ekran. - Na jutro.

- Może to pani odwołać.

- Rozumiem.

Caffery był pewien, że dziewczyna nie rozumie. Zupełnie nic nie rozumie.

- Cóż, jeśli... - Odwróciła do niego monitor. - Czy jeszcze w czymś mogę panom pomóc?

Obaj mężczyźni nachylili się nad ekranem. Wypełniały go maile. Nic odbiegającego od normy: prośby Lucy o informacje o nieruchomości. Odpowiedzi agenta.

- Kiedy wysłała ten?

- W zeszłą niedzielę.

W dniu, kiedy zaginęła. Umawiała się na oglądanie domu w dniu, w którym planowała się zabić?

- Przyszliśmy do państwa pierwsi? Nikt z policji nie pytał o panią Mahoney?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie mieli powodu tu przychodzić - odezwał się cicho Mahoney - bo tych maili nie było w poczcie. Widziałbym je, poświęciłem wiele godzin na przeglądanie jej skrzynki. Musiała je usunąć.

Caffery nie odpowiedział. Myślał o historii odwiedzanych przez Lucy stron internetowych. *Życie w Hollyoaks*. Rośliny doniczkowe. Ćwiczenia kształtujące figurę. Kiedy się teraz nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że te hasła nigdy nie pasowały do jego wyobrażenia o Lucy. Tak jakby ktoś wymyślił je dla kobiety, o której niewiele wiedział. Bo chciał ukryć fakt, że pamięć podręczna została opróżniona.

I nagle to do niego dotarło. Myśl kompletna i pewna, jak to często bywa z myślami. List pożegnalny, który znaleziono przy Lucy, nie został napisany ręcznie, tylko wydrukowany z komputera. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zadać pytanie, dlaczego tego listu nie było w pamięci.

- Chodźmy. - Caffery odsunął krzesło i wstał. - Jeszcze raz rzucimy okiem na komputer Lucy.

Mandy zadzwoniła do Pchły dokładnie o dwunastej. Przeprowadzili z Thomem długą rozmowę. Byli teraz spokojniejsi. Po pracy spotkają się z nią w Keynsham, żeby omówić „dalsze kroki”.

- Gdzie jesteś? - zapytała Mandy. - Marnie cię słyszę.

- Przed biurami rady okręgu.

- Gdzie?

- W Trowbridge.

- Co tam robisz?

- Załatwiam ważną sprawę. Musimy się nad tym zastanowić. Wyjaśnię później.

Pchła szybko znalazła wydział, którego szukała: na końcu korytarza z prefabrykatów z brudnymi oknami i ognioodpornym dywanem. Naczelnik był zabiegany i lekkomyślny: nie tracił czasu na pytanie o nakaz - wystarczyło machnięcie legitymacją, żeby zaprowadził ją do biurka, przy którym jak myślał, przechowywana jest korespondencja od Ruth Lindermilk.

Urzędniczka była pełną życia blondynką po pięćdziesiątce ze sztuczną opalenizną i mnóstwem złotej biżuterii. Energicznie przedzierała się przez listy, które po brzegi wypełniały trzy plastikowe pojemniki.

- Nazywamy to rogiem CSD - powiedziała. - Pracują na rogu CSD, cudownie, nie?

- CSD?

- Chronić swoją dupę. Dostaję wszystko, co inne wydziały najchętniej wyrzuciłyby do śmieci. Wie pani, skargi starszych pań na zamknięcie miejscowej poczty, informacje o latających spodkach nad Salisbury Plain, którymi rada miejska powinna się zająć. - Wskazała stos. - Na te wysłałam już odpowiedzi. Nie spodziewam się nowych wiadomości, ale muszę przez jakiś czas na wszelki wypadek je zachować. - Przyciągnęła jeden z pojemników. - Mówiła pani, że list wysłano w zeszłym tygodniu?

- Tak mi się wydaje.

- Nazwisko?

- Ruth Lindermilk.

Usta urzędniczki wygięły się w uśmiešku.

- Lindermilk?

- Tak.

- Znam to nazwisko. Zapada w pamięć. - Wzięła dwa stosy listów związanych gumkami i odłożyła na bok. Trzeci szybko przejrzała i wyjęła list na firmowym papierze, przypięty spinaczem do kwiecistej kartki z notatnika. - To odpowiedź, którą wszystkim wysyłamy. Standardowa, rozumie pani, „rozpatrujemy skargę”. Bla, bla, bla. - Przełożyła odpowiedź na spód, wygładziła dłonią i przebiegła wzrokiem po liście. - Tak, to ona. Donosicielka Ruth, tak ją nazywam, bo ciągle próbuje wpakować w kłopoty kierowców. - Podała Pchle list. - Ma obsesję na punkcie dzikich zwierząt, karmi jeże i borsuki, a jeśli ktoś na drodze potrąci choćby stonogę, donosicielka Ruth natychmiast rusza do akcji. Myśli, że powinniśmy interweniować w sprawie każdej rozjechanej żaby, myszy i robaka.

Pchła usiadła na niskim plastikowym krześle. List napisany był ręcznie, papier zdobiła obwódka z różami i jaskółkami. Datowano go na 18 maja. Poprzedniego wieczoru zginęła Misty.

Do wszystkich zainteresowanych Od mojego ostatniego listu z 3 stycznia nie odezwaliście się do mnie ani słówkiem, a w tym czasie doszło do czterech kolejnych wypadków. Wydaje mi się, że absolutnie nic nie zrobiono. Wczoraj wieczorem był naprawdę poważny wypadek, kierowca potrącił jelenia. Ignorujecie mnie na własną zgubę.

Data	Godzina	Wypadek	Marka samochodu i rejestracja	Inne uwagi
15 stycznia	22.06	Potrącony borsuk. Poczłgał się na pobocze ze złamaną miednicą. Potem umarł tam w	Czarny albo niebieski vauxhall.	Nie zatrzymał się.
22 stycznia	12.00 południe	Potrącony i zabity królik.	Srebrny land rover, NO7XWT.	KIEROWCA WIEDZIAŁ!!! (Zatrzymał się i patrzył na martwego królika, więc DOBRZE wiedział, co zrobił).

3 marca	19.45	Potrącono borsuka. Umarł na miejscu.	Nie wiem na pewno. Ciemny samochód. Pierwsze litery rejestracji S58.	Kierowca nie zadał sobie trudu, żeby się zatrzymać.
17 maja	23.11	Potrącony jeleń (?) albo inne wielkie zwierzę. Odczołgało się.	Srebrny ford focus. Ostatnie litery rejestracji: GBR.	Kierowca wiedział.

Jak wiele razy powtarzałam, jestem zdania, że wszystkich tych kierowców trzeba wyłapać i walnąć w najbardziej bolesne miejsca. Gdyby były ofiary z ludzi, na pewno już dawno byście sprawę rozwiązali. Policja od razu zaczęłaby szukać sprawcy, który zbiegł z miejsca. Mam dowody. Mogę przedstawić je w sądzie, jeśli dacie radę tam dotrzeć.

Po raz kolejny nalegam, żeby złapać tych złoczyńców i dotkliwie ukarać. TO TYLKO KWESTIA CZASU, KIEDY NASTĘPNY Z MOICH KOTÓW ZOSTANIE ZABITY. Ta troska spędza mi sen z oczu i skraca życie. Za to też odpowiecie przed sądem.

Ruth Lindermilk

Sekretarka wstała i pochyłona nad szafką z dokumentami, wyciągała papiery z najniższej półki. Pchła patrzyła na nią, ale w gruncie rzeczy jej nie widziała. 17 maja, dziesięć po jedenastej. Srebrny ford focus z literami GBR na końcu rejestracji. „Jeleń” potrącony na drodze u stóp wioski.

- Są następne. - Sekretarka wróciła do biurka i rzuciła listy obok stosów poczty przychodzącej. - Wszystkie napisała Ruth Lindermilk.

Pchła przejrzała je, daty sięgały do 2001 roku. Napisano je tą samą gorączkową ręką, zawierały te same tabelki, w które Ruth starannie wpisywała daty, godziny, numery rejestracji.

- Przysyła nam listy od lat. Ma obsesję.

Pchła ułożyła listy w stos i pchnęła w stronę sekretarki.

- Ma pani rację. Kompletna wariatka. To rzuca się w oczy.

Sekretarka wzięła stos i wrzuciła do szafki na dokumenty. Korzystając z okazji, Pchła poskładała majowy list Ruth i wsunęła do tylnej kieszeni dzinsów. Z pojemnika na biurku wzięła inny list i przełożyła odpowiedź na spód, tak by wyglądał jak tamten, po czym zwróciła się do sekretarki:

- Bardzo pani dziękuję. - Wepchnęła list na dno stosu; dotarcie do niego zajmie

sekretarce kilka dni. - Bardzo mi pani pomogła.

W domu Lucy Caffery spojrzął na ciche schody.

- Pewnie nie ma pan klucza do pracowni?

- Nie spodziewałem się, że tu przyjdziemy. Następnym razem niech mnie pan uprzedzi.

Weszli do salonu. Caffery włożył rękawiczki, włączył komputer i wywołał foldery w pamięci podręcznej, w których powinny znajdować się wszystkie pliki *cookies*. Było ich tylko dziesięć. Przez chwilę z twarzą blisko ekranu wpatrywał się w puste białe miejsca. Kosz także był pusty. Czasami to, czego nie ma, bywa najważniejszym dowodem, tak powiedział mu kiedyś instruktor na szkoleniu z technik śledczych. Nie to, co widzisz, ale to, czego nie widzisz.

Mahoney w kuchni wyłożył na talerz kanapki, które kupili w sklepie, i przyniósł do salonu. Postawił talerz na stole, sam stanął za Cafferym i patrzył na ekran. Caffery wiedział, że powinien poczekać, przekazać komputer informatykom z Portishead, ale chciał zrobić to teraz. Przewiął listę darmowych stron, wybrał program odzyskiwania danych o nazwie Restoration i załadował go z szybkiej europejskiej witryny.

- Co pan robi?

- O ile nie użyto programu czyszczącego w rodzaju Killdisc, pliki wciąż są na twardym dysku. Powinny być, chyba że usunięto partycje i utworzono na ich miejscu nowe.

Jedząc kanapki, czekali, aż program się załaduje. Caffery nacisnął „konfiguruj” i kiedy program się rozpakował, wybrał dysk C do przeszukania, odznaczył opcję „włącz klasterzy zajęte przez inne pliki”, zaprogramował wyświetlenie daty utworzenia pliku i uruchomił. Liczby w rubryce „pliki odnalezione” sunęły z oszałamiającą szybkością. W kilka sekund okno wypełniło się folderami, plikami z najróżniejszymi rozszerzeniami: doc, xls, ppt. Jeden z pierwszych na liście utworzono 6 maja o wpół do dziesiątej wieczorem. W zeszłą niedzielę. W dniu zaginięcia Lucy. Nosił tytuł „Żegnajcie”.

Caffery otworzył go i natychmiast wypuścił powietrze z płuc. List pożegnalny. Czytał go kilka razy na posterunku w Wells i nie było w nim nic niezwykłego: te same przygnębiające zdania, z którymi zetknął się wiele razy - cierpienie tak wielkie, że odbiera siły, nie warto żyć, nie ma nikogo, kto rozumie. Inni zabijali się z tchórzostwa albo z udręki

życia ze świadomością swoich uczynków. Ludzie w rodzaju Pendereckiego. Caffery jednak nigdy nie słyszał, żeby ktoś napisał list pożegnalny, wydrukował go i usunął.

- Ona tego nie napisała - powiedział Maloney. - Wykluczone. To nie jest język Lucy.

- Ale ktoś to zrobił. Napisał i usunął. Gdyby list tu był, policyjny informatyk by go znalazł. - Caffery przewinał listę. - Ten ktoś wykasował wszystkie maile do agencji nieruchomości, a inne zostawił. Ukrywa tylko pewne rzeczy.

Mahoney wskazał folder w połowie listy.

- Czy to ważne?

- Wyciągi z NatWest. - Caffery przeniósł plik do oryginalnej lokalizacji i otworzył. Zawierał dwadzieścia cztery dokumenty jpeg z tytułami będącymi nazwami miesięcy. Pierwszy, datowany na styczeń dwa lata temu, był zeskanowanym wyciągiem bankowym. Caffery cicho gwizdnął.

- Brakujące wyciągi.

- Skanowała je na komputer, żeby oszczędzić miejsca?

- Na to wygląda.

Caffery otworzył najnowszy, z kwietnia. Przez chwilę obaj z Mahoneyem bez słowa wpatrywali się w ekran.

Lucy Mahoney umarła z hipoteką obciążoną na zaledwie siedem tysięcy funtów. Na koncie oszczędnościowym miała sto dziewięćdziesiąt tysięcy.

- Jezu - mruknął Mahoney. - Cholera, co ona knuła?

- Wszystkich wpłat dokonywano w gotówce. - Caffery sprawdził pozostałe miesiące. - Dwa tysiące tu, osiem tysięcy w grudniu.

- Jezu.

- I niech pan patrzy. - Caffery postukał w ekran. - Tutaj to się zaczęło. Prawie dwa lata temu.

Obaj gapili się na wyciąg. Dwadzieścia sześć miesięcy temu Lucy otrzymywała regularnie pensje z wytwórni ozdób choinkowych. Potem w maju, kiedy ona i Mahoney się rozstali, dokonała jednej wypłaty w wysokości siedmiu tysięcy stu dwudziestu jeden funtów. To był czek, ale nie podano informacji o beneficjencie. Dwa tygodnie później rozpoczęły się regularne wpłaty gotówkowe.

- Orientuje się pan, na co poszło te siedem kawałków?

Mahoney pokręcił głową. Wziął talerz ze znużeniem, jakby wyczerpał wszelkie możliwości racjonalnego rozumowania. Poczłapał do kuchni, zostawiając Caffery'ego przeglądającego wyciągi bankowe. Pieniądzy było mnóstwo. Jeśli nie od bogatego

przyjaciela, jeśli nie pracowała i nie zaciągnęła kredytu, to skąd do diabła się brały?

- Szantaż. - Mahoney wrócił z kuchni. Podał Caffery'emu kubek z parującą kawą. W jego oczach malował się twardy, zimny wyraz. - Szantaż, prawda?

- Sam nie wiem - odparł Caffery. - To jedna możliwość.

- To jedyne wyjaśnienie. Kogoś szantażowała. Miał tego dość i postanowił sprawę zakończyć.

Caffery wziął kubek.

- Coś panu powiem, będziemy działać powoli i rozsądnie. Zaczniemy od zmiany klasyfikacji sprawy.

Caffery jechał wolno w kierunku Kingswood i zastanawiał się, jak skłonić Powersa do autoryzowania nakazu na czek, bez którego bank nie udzieli potrzebnych informacji. To potrwa wiele dni, ale czek był ważny. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Colin ma rację: Lucy kogoś szantażowała. A te siedem kawałków było elementem zasadniczym. Kupiła coś, coś drogiego i kogoś przy tym poznała, a potem zaczęła szantażować. Kimkolwiek był, miał tego dość. Może zaczęła stawiać zbyt wysokie żądania. Zabił ją i ciężko się napracował, by ukryć ślad w postaci dokumentów. Caffery nie wątpił, że tak to się odbyło.

Mahoney powiedział, że Lucy nie czuła zagrożenia ze strony swojego chłopaka. Caffery w to wierzył. Ale facet stanowił klucz do całej sprawy. Nie dlatego, że zabił Lucy, niekoniecznie z tego powodu, ale jakimś sposobem stanowił klucz. Może nawet o tym nie wiedział.

Caffery nadepnął na hamulec. Jadąca za nim ciężarówka musiała ostro skręcić, żeby nie uderzyć w tył jego wozu. Kierowca głośno zatęchł. Caffery zjechał do krawężnika i zahamował przy wiacie na przystanku autobusowym. Odpinając pasy, odwrócił się i popatrzył przez tylne okno. Po drugiej stronie ulicy na dachu sklepu elektrycznego zamontowany był szyld. Musiał przejeżdżać obok niego ze sto razy i nigdy go nie zauważył. Teraz pewne sprawy zaczęły wskakiwać na miejsce. Szyld miał kształt owalu ułożonego na boku. Na złotym tle widniał czarny napis: EMPORIUM. Caffery poczekał, aż światło dla pieszych za jego plecami zmieni się na czerwone, skręcił na przeciwny pas i wjechał w uliczkę za sklepem.

Wyrosło tu coś w rodzaju nieplanowanego osiedla przemysłowego. Najróżniejsze firmy mieściły się w budynkach chaotycznie rozrzuconych wokół centralnego parkingu, który w przeszłości pewnie był wiejskim podwórzem. Siedziba Emporium wyglądała na dawne zabudowanie gospodarcze. Niskie i długie jak hangar, ze światłem i świeżym powietrzem wpadającym z obu końców, przypominało złomowisko pod blaszanym dachem. Wszędzie wznosiły się stosy używanych przedmiotów, między którymi wiły się wąskie ścieżki.

W środku budynku stała klientka i z pochyloną głową rozplątywała kryształowe sople żyrandola. Była ubrana w ściągniętą paskiem suknię w ludowe wzory. Miała bardzo jasną

cerę i gładko uczesane ciemne włosy związane wzorzystym szalem. Z profilu była piękna, nie zwykła, ale kiedy Caffery podszedł bliżej, zobaczył, że ciemne cienie na powiekach i śliwkowa szminka są rozmazane. Kobieta nie zwróciła na niego uwagi.

Wyminął stos starych okien, komplet koni z karuzeli, zwisający z sufitu galion ze statku. Przeszedł obok części prasy do cydru, zniszczonego pasa roboczego z nożami i niskiej dębowej ławki garbarskiej wypolerowanej przez lata użytkowania. Biuro znajdowało się w boksie ze szkła i drewna w odległym kącie. W środku każdą półkę i blat wypełniały najróżniejsze przedmioty: stare gilzy, zakurzone żyrandole, spękany manekin Betty Boop z lat trzydziestych, poźółkły weselny tort w kształcie kościoła z miniaturową parą młodą w drzwiach. Przyciski do papieru utknięto w wolne miejsca - przez chwilę Caffery krążył po boksie w przekonaniu, że jest sam. Potem zauważył, że w kącie nad otwartą szufladą pochyła się mężczyzna. Pozostawał w takim bezruchu, że początkowo Caffery wziął go za jedną z cyrkowych figur.

- Dzień dobry.

- Słucham. - Mężczyzna zamknął szufladę i wyprostował się. - Czym mogę służyć?

- Kim pan jest?

- James Pooley. A kto pyta?

Caffery wyjął legitymację.

- Ma pan wolną chwilę?

Pooley zamknął szafkę, zbliżył się i spojrzał na legitymację. Był szczupły i mgliście kobiecy. Miał na sobie drogi golf i rozpiętą marynarkę z cienkiej skóry z podwiniętymi mankietami, a na dłoniach więcej biżuterii, niż wypadałoby mężczyźnie. Gęste włosy spadały mu na podniesiony kołnierz kurtki.

- Ojej - uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. - Czy to znaczy, że znowu mnie na czymś przyłapano? Przypadkiem załadowałem wirusa? W zakamarkach czai się kilka niekoszernych towarów? - Gestem pokazał stosy towarów na sali. - W dzisiejszych czasach nie jest łatwo, paserzy są coraz lepsi, coraz bardziej wyrafinowani. Niektórzy tak się znają na robocie, że trudno ich odróżnić od pracowników domu aukcyjnego Christie.

- Chodzi o klientkę.

- Dobra. - Pooley przyjrzał się Caffery'emu. - Dobra. Może usiądziemy?

Caffery usiadł naprzeciwko właściciela na starym biurowym krześle, którego podłokietniki były cienkie i gładkie od wieloletniego użytkowania. Wyjął z kieszeni informację o zaginięciu, którą rozłożył na biurku. Pooley studiował fotografię, niemal dotykając jej nosem. Zapadło bardzo długie milczenie, w czasie którego Caffery widział wyłącznie

wypielegnowane włosy właściciela. W końcu Pooley podniósł głowę.

- Tak. Znam ją. To Lucy Mahoney. Jest moją klientką.

- Była.

- Była? - Pooley nerwowo się roześmiał. - Ten czas przeszły nie brzmi zbyt przyjemnie. Nie lubię go używać, kiedy rozmawiam o klientach.

- Nie żyje.

- Nie żyje? Jak to się stało?

- Jeszcze nie wiemy.

Nastąpiła przerwa, po której twarz Pooleya jakby zaczęła się zapadać.

- Dobry Boże, dobry Boże. - Pokręcił głową. - Co za tragedia. Co za strata. Była młoda.

- Bardzo.

- To straszne. Niech mi pan powie, jak radzi sobie jej rodzina?

- Mniej więcej tak, jak można się spodziewać. Miała córkę.

- Tak, oczywiście. Cóż, jeśli coś możemy zrobić, to znaczy my z Emporium, przekazać kondolencje... Była cenną klientką. - Spuścił wzrok na swoje dłonie oparte na stole, wziął zabłąkaną recepturkę i wrzucił do kubka. Miał bardzo jasne rzęsy, niemal niewidoczne, gładką skórę i ładne, wypielegnowane dłonie. - Przypuszczam... uważacie pewnie, że to było morderstwo na tle seksualnym?

- Słucham?

- Morderstwo na tle seksualnym. Sądzę, że taki miało charakter.

Caffery założył ręce, mierząc wzrokiem Pooleya.

- To jakieś żarty?

- Nie. Dobry Boże, nie. Chodzi o to... - Urwał, przekrzywił głowę. - Wie pan o niej sporo? Czy nie?

- Czy wiem? Nie.

Pooley spojrzął na inspektora, który siedział wygodnie, jakby zakładał, że nieprędko stąd wyjdzie, przeniósł wzrok na ciemnowłosą kobietę z szalem, która wciąż majstrowała przy żyrandolu, potem z przelotnym uśmiechem wstał i podszedł do szklanej szafki na drugim końcu biura. Wyjął szkatułkę wykładaną aksamitem i postawił na stole. Caffery nachylił się nad nią.

W zielonym aksamicie ułożono kilka zaokrąglonych przedmiotów z nierdzewnej stali. Minęło kilka sekund, nim do Caffery'ego dotarło, na co patrzy. Erotyczne zabawki. Pięknie rzeźbione. Penisy. Zatyczki analne. Klamerki na sutki. Z kości słoniowej, jadeitu, szkła. Bicz

z ludzkich włosów z połączoną rękojeścią. Na niektórych widniały chińskie napisy. Ceny na metkach zaczynały się od trzycyfrowych.

- Kupowała u was takie rzeczy?

- Tak.

- Od jak dawna przychodziła?

- Od półtora roku? Może dłużej, nie wiem na pewno.

Lucy, pomyślał Caffery, nie jesteś taką dziewczyną, za jaką cię brałem. Oto inna strona twojej natury. Lubiłaś erotyczne zabawy? Może wtedy ktoś podał ci tabletki. Czy powiedział, że dzięki nim seks będzie lepszy?

- Czy zawsze przychodziła sama?

- Tak mi się wydaje.

- Nigdy nie sprawiała wrażenia niespokojnej?

- Nie.

- Nie wspominała, że coś jej grozi?

Dopiero po chwili Pooley ostrożnie odpowiedział:

- Kupowała ode mnie różne rzeczy. Nie sądzę, by przychodziła z zamiarem zwierzenia się z sekretów. Nasza znajomość ograniczała się do wymiany uprzejmości. Wiedziałem, co kolekcjonowała, i czasami kupowałem rzeczy z myślą o niej, ale nasz związek był czysto estetyczny.

Caffery spojrział na bicz z ludzkich włosów. Na zatyczkę analną.

- Estetyczny?

Pooley zmarszczył nos, jakby Caffery brzydko pachniał.

- Podzielałem jej gust kolekcjonerski, panie Caffery. - Zamknął puzderko. - A jej gust w sypialni? Pan wybaczy, była klientką.

- Kupowała u pana także przyciski do papieru.

- To była druga dziedzina, którą się interesowała. - Wrócił do szafki, odłożył puzderko na miejsce i wyjął dwa przyciski, oba w kolorze głębokiego lazuru, które położył sobie na dłoni jak dwie dorodne śliwki. - Śliczne, prawda? Wypatrzyłem je w sklepie w Andover - w tych parafialnych sklepikach najczęściej w ogóle nie wiedzą, co mają. To francuska robota, z fabryki w Clichy. Dość stare. Wziąłem je dla niej. Pomyślałem, że zwłaszcza kolor jej się spodoba.

- Postawił je na biurku, potem przygryzając język, znowu podszedł do szafki, delikatnie przesunął dłonią po zgromadzonych tam przedmiotach i kilka wybrał. - Te rzeczy też przeznaczyłem dla niej.

Postawił na biurku trzy przyciski, dwa wypełnione jaskrawymi odcieniami czerwieni i pomarańczy, trzeci biały, z czubkiem na szczycie, jakby szkło sięgało do nieba.

- Szczerze mówiąc, nie podobają mi się, są zbyt nowoczesne, ale myślę, że pani Mahoney przypadłyby do gustu. Miałem zamiar zaproponować jej kupno. Widzi pan? Można je tak ustawić, na przykład na parapecie. - Usiadł i zetknął dłonie, tworząc z nich wysoki, wąski kształt. - Na przykład jeśli chce się zwrócić uwagę na coś za oknem.

- A te przedmioty, które od pana kupowała. - Caffery zastanawiał się, z jakiego powodu środkowy przycisk sprawia, że w głowie mu pulsuje. - Ma pan pokwitowania sprzedaży?

- Pokwitowania sprzedaży. Tak, ja... - Pooley urwał. Opanował się i spokojnie uśmiechnął. - Większość rachunków trzymam w domu. Czy to bardzo pilne? Mogę je panu przynieść.

Caffery sięgnął do kieszeni po portfel; wolno, bo się zastanawiał, czy jeszcze o coś powinien zapytać. Ale w chwili, gdy odpowiedź już zaczęła się formować w jego myślach, zadzwoniła komórka. Wyjął ją, na wyświetlaczu migał numer Beatrice Foxton.

- Co robisz? - Jej głos odbijał się echem. Caffery domyślił się, że Beatrice jest w kostnicy. - Gdzie jesteś?

- W Brislington. - Caffery wstał. Wygrzebał wizytówkę i położył przed Pooleyem. - Niech pan do mnie zadzwoni - powiedział do niego cicho, po czym zapytał: - A dlaczego, Beatrice? Gdzie mam przyjechać?

- Do szpitala Southmead. Najlepiej natychmiast.

Pomocnicy Fester i Lurch zajmowali się ciałem, kiedy przyjechał Caffery. Zostawił kurtkę w biurze i wciągnął białe ochraniacze na buty. Beatrice wyszła mu na spotkanie z maską wiszącą na szyi i menzurką w dłoni.

- Witaj, Jack. - Potrząsnęła menzurką przed jego twarzą. Poczul ostry odór wymiocin.

- Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

- Dzięki. - Odwrócił głowę, poszukał w kieszeniach gumy airways i z ukosa zerknął na menzurkę. - Treść żołądka?

- Coca-cola, sałatka, kawałki czegoś, co według mnie było pizzą, kawa oraz osiem na wspólnie strawionych pigułek temazepamu. Jak u Lucy Mahoney.

- O Chryste - mruknął tępo Caffery, zasłaniając dłonią menzurkę i odpychając ją od twarzy. - Nie to chciałem usłyszeć. - Ponad ramieniem Beatrice zerknął do sali, gdzie Lurch w masce i żółtym jak słońce fartuchu zszywał długie nacięcie w kształcie Y. - Co masz?

- Samobójstwo, a raczej śmierć, która ma wyglądać jak samobójstwo. Wejdz.

Wrzucając w usta dwie gumy, Caffery poszedł za nią. Kobieta leżąca na stole sekcyjnym za życia była pulchna, miała jasną skórę i włosy łonowe oraz jaskółkę wytatuowaną na prawej piersi. Twarzy i włosów nie było widać. Drugi pomocnik stał przy głowie i obiema dłońmi w rękawiczkach delikatnie naciągał skalp na czaszkę. Beatrice zrobiła cięcie na potylicy, po czym zsunęła skórę i włosy na twarz, zbierając je w fałdy pod brodą. Po skończonej autopsji zadaniem Lurcha było naciągnąć ją z powrotem i wygładzić, tak by zmarłą mogli obejrzeć bliscy. Za nim mężczyzna w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym stał z komórką przyklejoną do ucha. Inspektor z okręgu, pomyślał Caffery.

- Umarła niedawno? - Caffery obszedł stół, przyglądając się uważnie ciału i ciemnym głębokim szwom. Cięcie w kształcie Y naruszyło pępek, który teraz przymocowany był do lewej fałdy żołądka, więc Lurch małą chrząstkę przyszył do prawej. - Jeszcze nie nastąpiło stężenie.

- Myślimy, że to się stało wczoraj wieczorem przed północą. Nazywa się Susan Hopkins.

Beatrice wyciągnęła rękę do technika, który podał jej stos fotografii. Przekazała je

Caffery'emu. Przedstawiły Susan Hopkins w dżinsach z paskiem i bluzce w czarno-białe kwiaty, leżącą na podłodze garażu w kałuży ciemnej krwi. Była młoda, całkiem ładna, z płaską twarzą i małym noskiem. Jasne włosy obcięte były na krótko. Fryzura wygodna, nie modna.

- Była pielęgniarką w prywatnej klinice pod Yate. Miała poranny dyżur, o siódmej umówiła się na drinka z przyjacielem, bo chcieli uczcić fakt, że po trzytygodniowej rozłące zszedł z platformy w Aberdeen. Nie przyszła na spotkanie. Dzisiaj rano policja znalazła ją w jej garażu. Nie ma śladu napaści seksualnej ani kradzieży, bielizna nienaruszona. Rodzice, biedni dranie, są na wakacjach w Chorwacji. Próbują się z nimi skontaktować.

- I ty nie jesteś przekonana, że sama to zrobiła, ponieważ...?

Beatrice zerknęła na inspektora, by się upewnić, że nie słucha.

- Leżała - mruknęła. - Na plecach, tak jak teraz ją widzisz. Tak samo jak Mahoney.

- I?

- Większość samobójców siedzi albo zajmuje pozycję półleżącą. Nigdy tego nie widziałeś? Jeśli ekipa przyjeżdża, zanim ustąpi stężenie, gimnastykują się tak, jakby próbowali upchnąć fotel na stoliku, ciągle gdzieś wystają nogi. Ale nie, nie łamię kości, żeby położyć ich płasko, na wypadek gdybyś słyszał co innego. Mam inne metody.

- Więc się położyła, żeby umrzeć. To podejrzane?

- W porządku, w porządku - westchnęła Beatrice. - Daj starej kobiecie szansę. Oczywiście jeśli przywożą mi samobójcę leżącego płasko na plecach, z rękami przy bokach, to nic nie znaczy. Trochę odbiega od normy, i tyle. Ale gdy ten element umieścisz w większym kontekście... sama nie wiem. Może po prostu zaczynam się nudzić z prostaczkami mieszkającymi w tej dzicz. Wypatruję morderców na każdym kroku, co?

Podniosła prawą rękę Susan i pokazała Jackowi wewnętrzną stronę przegubu. Znaczyło ją niezgrabne podłużne nacięcie, takie samo jak u Mahoney.

- Żadnych próbnych nacięć?

- Jak u Mahoney. Obie od razu przeszły do rzeczy. Podobnie jak z pozycją leżącą. Traktujesz te sprawy oddzielnie i nic to nie znaczy. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze masz?

- Wybrała taki sam sposób jak Mahoney. Benzodiazepiny i nóż. I tak samo jak u Mahoney tabletki są tylko w połowie strawione.

- I dokąd nas to prowadzi?

Beatrice czubkiem palca potarła czoło.

- Ty mi powiedz. Lucy Mahoney miała receptę na temazepam z powodu operacji, ale

Hopkins... - Spojrzała na Caffery'ego. - Na razie nikt nie potrafi ustalić, w jaki sposób te tabletki wpadły jej w ręce.

Caffery spojrział na nacięcie na przegubie ofiary. Pod skórą widział układ ręki: szarobrunatne ścięgna, śliskie błony mięśni.

- Sam nie wiem. Wydaje mi się, że trochę przesadzasz.

Beatrice odsunęła z czoła pasmo siwych włosów i teatralnie westchnęła.

- Wiesz, nie spodziewałam się, że z tego powodu mi się oświadczysz, ale muszę przyznać, że oczekiwałam innej reakcji, Jack. Miałam nadzieję na coś w rodzaju uznania. Kiwnięcie głowy. Może uśmiech, że zadałam sobie trud, żeby do ciebie zadzwonić.

Caffery spojrział na inspektora, który ze schyloną głową wciąż mamrotał do telefonu, palcem zatykając drugie ucho, żeby nie słyszeć szumu klimatyzacji.

- Chodzi o to, że jeśli masz rację - mruknął, nachylając się do niej - to mogę tylko powiedzieć: niech Bóg ma mnie w opiece.

- A ja mogę tylko powiedzieć, że słyszę, jak Bóg już do ciebie cwałuje, ponieważ mam rację. Nie wiesz jeszcze o wszystkim.

Caffery spojrział jej w oczy.

- Tak - potwierdziła, unosząc brwi. - O, tak.

Gestem dała znak Festerowi i Lurchowi. Podobnie jak Mahoney, Hopkins była dużą dziewczyną - musieli obrócić ją we dwóch. A kiedy ją obrócili, Caffery przestał żuć. Stał nieruchomo z rękoma w kieszeniach.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? - powiedziała Beatrice. - Rozumiesz, dlaczego sądzę, że nie popełniła samobójstwa?

Hopkins miała obtarte pięty, w ranki wbiły się maleńkie odłamki czarnego żwiru.

- Wleczono ją? Mówisz, że zawleczono ją do garażu?

Beatrice roześmiała się cicho i ponuro.

- W końcu - mruknęła. - W końcu śpiewamy na tę samą nutę.

Pchła zaparkowała w cieniu drzew, tak by samochodu nie było widać z drogi, i poszła do domu Ruth Lindermilk. Upał dnia powoli słabł. We wsi panował spokój, ciszę przerywało tylko wściekłe ujadanie psa w jednej z chat. Pchła nie poszła ścieżką do drzwi. Za furką skręciła za dom, gdzie zbocze ostro opadało ku szosie.

Ruth stała odwrócona plecami jakieś trzy metry dalej. Bez kapelusza, w krótkiej białej sukience i dżinsowej kurtce sypała ziarno do karmnika.

- Dzień dobry.

Ruth na widok Pchły postawiła pojemnik z ziarnem na ziemi i ruszyła w stronę domu.

- Ruth, proszę.

- Spadaj, kurna. Idę po broń.

- Nie masz broni. Policja ci ją zabrała.

- Załatwiłam sobie następną. Idę po nią.

- Chryste, Ruth, to nie jest pieprzone *The Beverly Hill-billies*.

Kobieta stanęła jak wryta i wolno odwróciła się do Pchły. Bez nakrycia głowy wyglądała starzej. Fatalnie ufarbowane włosy miała krótkie, siwiejące. Makijaż popękał w kącikach oczu. Pociła się i ciężko oddychała.

- Kurwa, masz tupet, pokazując się tutaj.

- Przepraszam za ostatni raz, ale sąsiedzi wcale mnie nie przysłali. Przynajmniej w to musisz uwierzyć. Ruth pokręciła głową.

- Więc kim jesteś? Te bojówki i czapka. Nikt ci nigdy nie powiedział, że to strój dla chłopców? Wyglądasz jak włóczęga.

- Jestem prywatnym detektywem.

- Prywatnym...? Więc czemu mi powiedziałaś, że jesteś z Zarządu Dróg?

- To była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy.

- Od razu powinnam się była domyślić, że nie jesteś z rady miejskiej. Z rady nikt nigdy do mnie nie przychodzi. Ha, gdybym brała zasiłek, byłoby inaczej, gdybym żyła na ich garnuszku, od razu by tu przygnali... - Urwała. - Prywatny detektyw? Czego ode mnie chcesz?

- Możemy porozmawiać? W domu? Nie chcemy przecież urządzać przedstawienia dla sąsiadów, prawda?

Usta Ruth drgnęły. Jej mały lisi mózg rozpracowywał sytuację. Zerknęła na drogę, na pozostałe domy. Podpuchnięte oczy miała szare i twarde. Bezwzględne.

- Masz pięć minut. Potem dzwonię na policję.

Weszły do salonu. Z otwartymi drzwiami balkonowymi wydawał się większy i pachniał płynem do czyszczenia i przypaloną grzanką. Pchła zgoniła koty i usiadła na sofie.

- Będę całkowicie szczerą.

- To nie leży w twoim charakterze.

- Będę całkowicie szczerą. Chociaż nie powinnam, mówię ci prawdę. Mam kłopoty.

- I co z tego? Gównu mnie to obchodzi i grubo się mylisz, jeśli uważasz inaczej.

- Ta sprawa to moja ostatnia szansa. Jak nie zrobię tego dobrze, wylecę z roboty. Dlatego cię okłamałam. Byłam zdesperowana.

- Zdesperowana? - Ruth oblizała wargi. - Straszne. Więc jak? Został ci ostatni milion, co? - To trudna sprawa. Mąż mojej klientki ma romans. W zeszłym tygodniu wrócił do domu pijany. Miał wypadek, kratownica jest wgnieciona. Powiedział mojej klientce, że był służbowo w Bristolu i ktoś potrącił samochód na parkingu.

- I co?

- Moja klientka mu nie uwierzyła. Uważa, że był u dziewczyny w Tellisford. Jeśli faktycznie tam był, musiał tą drogą wracać do domu. Uważam, że cokolwiek stało się z jego samochodem, wydarzyło się tutaj. Na szosie są ślady hamowania. Kiedy wczoraj je oglądałam, zobaczyłam twój teleskop. Dlatego przyszłam. - Spokojnie patrzyła Ruth w oczy.

- Wypadek miał miejsce w zeszły poniedziałek przed północą. Wiesz coś o tym?

- Jasne, że wiem. Potrącił jelenia.

- Skąd wiesz, że to był jeleni?

- Domyśliłam się z hałasu.

- Więc nie widziałaś wypadku?

- Słyszałam, to wystarczyło. Jeleń musiał się zwlec na pobocze, bo kiedy później zeszłam z aparatem, już go nie było. Pewnie biedak umarł na polu... - Urwała, przyglądając się Pchle podejrzliwie. I zaraz się uśmiechnęła. Pijackim, szczerbatym uśmiechem. - Znowu to robisz, bierzesz mnie za idiotkę.

Pchła nie odrywała od niej wzroku.

- Będziesz ze mną rozmawiała czy nie?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co mi dasz w zamian.

- Nie wiem, co mogłabym ci dać. Co masz na myśli?

- A jak sądzisz?

- Pewnie pieniądze, ale na twoim miejscu nie liczyłabym na nic. Płacenie za informacje jest niezgodne z etyką.

- Etyką? Czyją etyką?

- Moją. Mojej firmy. Mojej klientki.

- Och, jestem pewna, że dacie radę coś wysupłać. Dziesięć kawałków, tyle chcę. To nie jest tak dużo, w każdym razie nie dla was.

- Zdziwiłabys się, ile to dla mnie dużo.

- W porządku. - Ruth podeszła do barku i wzięła szklanę z drinkiem. Uniosła ją w stronę Pchły. - Jeśli cię to interesuje, to zainteresuje też kogoś innego.

Pchła wstała.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie mam pieniędzy. Idę do domu.

Ruth wzruszyła ramionami. Odstawiła szklanę i podeszła do stolika z komputerem. Z górnej szuflady wyjęła przezroczystą kopertę z fotografiami.

- Mój dowód. - Pokazała Pchle czarno-białą odbitkę.

- Nie udało mi się sfotografować całej rejestracji, tylko trzy ostatnie litery. W przeciwnym razie zadzwoniłabym na policję.

Pchła patrzyła na zdjęcie z sercem walącym wolno i mocno. Zrobiono je z patio, przedstawiało szosę w nocy. Podwójne ślady opon biegły na środek, na ich końcu parkował samochód z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Przy bagażniku stał mężczyzna, jakby właśnie zatrzasnął klapę. Był odwrócony plecami do obiektywu, a chociaż znajdował się za daleko, by stwierdzić, jak wygląda, jeśli znało się Thoma, od razu się wiedziało, że to on.

W tym oświetleniu cyfry na rejestracji były nieczytelne, natomiast litery wyraźne: GBR. Tuż nad tablicą rejestracyjną wystawało coś ciemnego. Plamę można było dostrzec tylko z bliska, ale Pchła ją zobaczyła. I od razu wiedziała, że to fragment aksamitnego płaszcza. *Już wrzucił ją do bagażnika i miał zamiar odjechać... Więc przyszedł za późno. Słyszałaś hałas, ale nie zdawałaś sobie sprawy, że potracono człowieka. Nie widziałaś, jak wkłada Misty do bagażnika. Dlatego pomyślałaś, że to był jeleni...*

Wyciągnęła rękę po zdjęcie, ale Ruth była szybka. Wsunęła je do koperty, schowała do sekretarzyka w kącie i zamknęła go na klucz. Z chytrym uśmiechem odwróciła się do Pchły.

- O, nie - powiedziała. - To byłoby za proste, no nie?

- Pożycz mi to zdjęcie, Ruth. Będzie dowodem, że mąż mojej klientki tu był.
- Nie. - Ruth wsunęła klucz za stanik. Mrugnęła znacząco. - Nie wchodzi w grę.
- Zrobię odbitkę, to potrwa kilka minut. Zamknę sprawę i zostawię cię w spokoju.
- Cena właśnie podskoczyła. Piętnaście tysięcy. Tyle cię to będzie kosztowało.

Pchła otworzyła usta. Zamknęła. Czego właściwie dowodzi to zdjęcie? Że Thom się zatrzymał. Że wysiadł z samochodu sprawdzić, co potrafił. Będą musieli włączyć ten element do jego historii. Położą Misty w głębi pola, na tyle daleko, by wiarygodne było przypuszczenie, że siła zderzenia wyrzuciła ją poza żywopłot, i Thom nie był w stanie zobaczyć jej z drogi. Powie, że myślał, że to jeleni, który powlókł się między drzewa. Tak jak twierdziła Ruth.

- Nie sądzę. - Pchła spojrzała na zegarek: wpół do siódmej. Za czterdzieści pięć minut spotyka się z Mandy i Thomem w Keynsham. - Przykro mi, ale to raczej wykluczone.

Nowoczesny pub zbudowano w miejscu, gdzie w przeszłości stał dom robotnika pracującego przy służbie w Keynsham. Pchła, Thom i Mandy zeszli na chybotałe moło dla wędkarzy, gdzie szum jazu głużył ich głosy. Zamówili wysokie szklanki gęstego cydru, ale żadne nie miało ochoty na picie. Thom postawił swoją szklankę na słupku i stał z założonymi rękoma, wpatrując się w palec u nogi, którym wykonywał kółka, jakby coś pisał. Unikał wzroku obu kobiet.

Pchła stała bok Mandy, ponuro przyglądając się rzece. Kiedyś wyciągnęła z niej ciało. Siedemdziesięcioletni mężczyzna z rakiem gardła. Pod nieobecność żony przebywającej w Somerfields za pomocą młotka i wałka odłupał siedem cegieł z ogrodowego muru, zapakował je do plecaka, który kłódką przypiął do piersi, i przyjechał tutaj. Wszedł do rzeki na oczach gości weselnych z pubu na drugim brzegu. Wir wciągnął go i trzymał. Wydobycie ciała zajęło oddziałowi sześć godzin, a kiedy położyli je na brzegu, twarz, której części usunięto mu podczas leczenia, od częstych uderzeń w jaz wyglądała jak surowy hamburger.

- Musimy ułożyć plan. - Mandy miała na sobie czarną lnianą sukienkę do połowy łydki i spłowiałe niebieskie buty marki Birkenstock. Jej ciężkie ramiona poznaczone były czerwonymi piegami. - Dla dobra wszystkich musimy mieć plan. Trzeba ustalić rozwiązanie najlepsze dla nas wszystkich. Pchła spojrzała na pub. Na tarasie stało kilka osób, jedne w garniturach, inne w szortach i T-shirtach. Nie zwracali uwagi na nią i jej towarzyszy. Przynęła się do Mandy i zniżając głos, powiedziała:

- Posłuchaj, to będzie łatwiejsze, niż myślisz. Aktualnie cały system badań kryminalistycznych podlega ogromnym wstrząsom i większość ekip śledczych nie dostaje wysokich budżetów. Sekcja zwłok wykaże, że potracił ją samochód. Po zeznaniach Thoma nie będą chcieli bliżej się temu przyglądać. Nie będzie uzasadnienia do dodatkowych testów.

- Jakich?

- Które wykazałyby, że ciało przez cały ten czas nie przebywało na otwartym powietrzu. To jedyny trefny punkt. Gdyby stwierdzili, że wepchnięto ją do bagażnika...

- Przemyślałaś wszystko dokładnie.

- Samochód musi wyglądać bez zarzutu, bo zbadają miejsce zderzenia. Spaliłam tapicerkę bagażnika, a ty będziesz musiała gdzieś pojechać, może do Londynu, żeby kupić

nową. Zapłacisz gotówką. Ja zajmę się jej ubraniem, usunę włókna z bagażnika. Pozostaje tylko ciało.

Mandy się wzdrygnęła.

- Tak.

- W bagażniku rozkład miał inny przebieg niż na świeżym powietrzu. Gdyby leżała na poboczu, zajęłyby się nią zwierzęta. Szczury, myszy, lisy. Nie są wybredne w kwestii mięsa, które się im trafia.

- Jezu Chryste - mruknął Thom. - To koszmar.

Mandy posłała mu ostre spojrzenie.

- Cicho bądź.

- Dlatego to jest najważniejszy element. Musimy ukryć ją w takim miejscu, w którym z wielkim prawdopodobieństwem mogła wylądować, ale gdzie nie będzie jej widać z drogi. Musi poleżeć tam przez noc albo dłużej, na tyle długo, żeby zwierzęta zdążyły wykonać swoją robotę. Rozwlec fragmenty. Zniszczyć pewne dowody, nadać sprawie pozory wiarygodności. - Upiła łyk i wytarła usta wierzchem dłoni.

- I tu sprawa się komplikuje.

- Co?

- Miejsce jest dość opuszczone, ale ktoś ma dobry widok na drogę. Bardzo dobry. I tu zaczyna się twoja rola. Poproszę cię, żebyś zajęła tę osobę.

- I jak mam to zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Lubisz zwierzęta, prawda? Może jej powiesz, że zaginął ci kot i przeszukujesz okolicę.

- Nie jestem aktorką.

- To może okazać się niepotrzebne. Ta kobieta jest alkoholiczką. Jeśli wybierzemy odpowiednią porę, nie będziesz musiała bardzo się wysilać, żeby ją przekonać. - Pchła znowu napiła się cydru, odstawiła szklanę i z kieszeni wyjęła gumę do żucia. Musi uważać z alkoholem, wstawienie się to ostatnie, czego teraz potrzebuje. - Zaczynamy dzisiaj wieczorem.

Mandy i Thom bez słowa się w nią wpatrywali.

- Wiem, wiem, ale trzeba to zrobić. Potem wszyscy poczujemy się lepiej.

- OK. - Mandy podrapała się po głowie. - Ostatnia sprawa.

- Czyli?

- Jeszcze raz mi opowiedz, co naprawdę się zdarzyło tamtego wieczoru. Bo wtedy mówiłaś, że Thom jest w ogrodzie za domem. Dzwoniłam trzy razy i za każdym razem

powtarzałaś, że jest w ogrodzie.

- Już o tym mówiliśmy.

- Chcę uporządkować myśli.

Pchła westchnęła.

- Dobra. Jak mówiłam, kryłam go. Spotkał się z jakimiś ludźmi w sprawie importowania żyrandoli z Czech, prawda, Thom? Myślał, że się wściekniesz, jak się dowiesz. Więc kłamaliśmy. Po prostu.

- Tylko że jak do ciebie dzwoniłam, ciągle mnie zapewniałaś, że jest w ogrodzie. Szczepił drzewa czy coś w tym rodzaju.

- Mandy - powiedziała cierpliwie Pchła. - Skup się. Czytaj mi z ust. Kła-ma-łam. Thom wyszedł. Podczas spotkania pił i wrócił pijany. No, Thom, dajże spokój. Nie wytłumaczyłaś jej tego? Ona mnie nie słucha.

- Ja... - zaczęła niepewnie. - Ja... nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu wytłumacz, na litość boską. Marnujemy czas.

Spojrzał na Mandy i odwrócił wzrok. Miał dokładnie ten sam wyraz twarzy jak w dzieciństwie, kiedy ojciec próbował coś z niego wydusić.

- Ja... nie pamiętam - wymamrotał. - Wiesz, wszystko jest zamglone.

- Zamglone? Zamglone? Obudź się, Thom. To poważna sprawa.

Mandy podniosła rękę.

- Uspokójmy się. Phoebe, my tylko próbujemy ustalić, co naprawdę się stało.

- Naprawdę? Powiedziałaś ci, co naprawdę się stało.

- Tak, ale rozumiesz, o co nam chodzi? Tak samo mówiłaś w noc wypadku. Zapewniałaś, że mówisz prawdę. A tak nie było. Wtedy kłamałaś, więc skąd mam wiedzieć, czy nie kłamiesz teraz?

- Kurwa, nie kłamię, Mandy.

- Nie musisz krzyczeć.

- Ja nie kłamię. Cholera, po co miałabym kłamać?

Rysy Mandy wygładziły się.

- Żeby ratować siebie? Na przykład?

Pchła przysłoniła oczy przed światłem padającym z pubu i przyjrzała się Mandy uważnie.

- Żartujesz?

- To ty prowadziłaś samochód, prawda?

- Co takiego?!

- Powiedziałaś, że to ty prowadziłaś samochód. Przysięgłaś temu gliniarzowi, że to ty.

- Przysięgłam, bo chroniałam Thoma. Był kompletnie zalany.

- Kto tak twierdzi?

Pchła głośno wypuściła powietrze z płuc.

- Kurwa, to jakiś obłąd. Obłąd. Nie wierzę, że to mówisz.

- Byłaś tamtej nocy bardzo spięta, wiesz, że to ci się zdarza. Denerwowałaś się pracą, rodzicami. - Mandy mówiła zbolalym tonem, bez zrozumienia, jakby to była rzecz, której nie pojmuje, ale gotowa jest wykazać się elastycznością wobec uczynków innych ludzi. - Prowadziłaś w nerwach i do domu przyjechał za tobą policjant. Kazał ci dmuchnąć w alkomat. Na pewno to zarejestrował.

- Powiedz, że nie mówisz poważnie. Powiedz, że nie próbujesz zwalić tego na mnie.

Mandy milczała.

Pchła przeciągle, niedowierzająco gwizdnęła.

- Ty pierdolona suko.

- Uważaj, co mówisz.

- Jasne. - Pchła odstawiła szklanekę na molo. - Idziemy na policję.

Mandy się nie poruszyła.

- Nie sądzę. To twoje słowo przeciwko słowu Thoma, mojemu i tego gliniarza.

- To się nie uda, Mandy. Wystąpisz przeciwko mnie, moja droga, i po tobie. Mam dowód, że nie prowadziłaś.

- Czyżby?

- Fotografię. Pokazuje, jak Thom potracił Misty.

Mandy westchnęła.

- Co z tobą jest, Phoebe, że wszystko, co mówisz, brzmi tak niewiarygodnie? Gdzie jest to zdjęcie? Możemy je obejrzeć?

- Istnieje.

- To je nam pokaż. - Ono istnieje, Mandy. Lepiej w to uwierz.

Mandy uśmiechnęła się i uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

- Jestem pewna, że istnieje, może w twojej wyobraźni. Ale nie musisz niczego wymyślać, bo my nic nikomu nie powiemy. Z naszej strony nie musisz się niczego obawiać. Będziemy cię chronić. Nie piśniemy ani słówka.

Pchła strząsnęła jej rękę.

- Nie dotykaj mnie, kurwa.

Poszła do samochodu. Usiadła, nie otwierając okien. Włączyła album Snow Patrol na cały regulator, stukając do rytmu w deskę rozdzielczą. Z tarasu pubu parę osób patrzyło na małe clio. Na molo Mandy i Thom stali ramię w ramię. Ich twarze kryły się w cieniu, ale Pchła widziała, że nie rozmawiają. Po prostu w milczeniu ją obserwowali.

Pomyślała o Ruth Lindermilk. Przypomniała sobie klucz wsuwany za stanik. Wyobraziła sobie, jak tamta by zareagowała, gdyby poznała rzeczywisty powód, dla którego to zdjęcie jest takie ważne. Ruth Lindermilk nie należała do kobiet, które pozwoliłyby się zastraszyć policji i posłusznie przedstawić posiadany przez siebie dowód. Zwłaszcza gdyby chodziło o pomoc Pchle. Ruth prędzej by to zdjęcie zniszczyła.

Thom i Mandy. Wciąż tam są. Gapią się na nią jak manekiny. Pchła zaczęła stukać mocniej.

Funkcjonariusz Prody zezna, że jechał za nią, nie za Thomem. Wielokrotnie się zarzekała, że to ona prowadziła focusa. Pearce: o nim Pchła wołała nie myśleć. Powie wszystkim, że sierżant Marley z wielkim przekonaniem wygłaszała teorie, gdzie należy szukać Misty, a gdzie nie - jezioro na sto procent wykluczyła. Jakby wiedziała. Niewyparzona gęba. Powiedziała tak tylko dlatego, że wydawało jej się mało prawdopodobne, żeby dziewczyna tak zadbana jak Misty popełniła samobójstwo przez utonięcie. To była głupia myśl - pierwsza, jaka przyszła jej do głowy.

Spojrzała na molo.

Thom: Wszystko było zamglone.

Mandy: Będziemy cię chronić.

Wyłączyła muzykę. Wysiadła i wróciła na pomost.

- Pchła. - Mandy ostrzegawczo wyciągnęła rękę. - Porozmawiajmy o tym i...

Za późno. Pchła rzuciła się na Thoma. Złapała go za ramiona, pchnęła na słup.

- Powiedz prawdę! - krzyknęła.

- Puszczaj!

Szarpnęła go i znowu pchnęła. Machnął rękami. Szklanka przewróciła się i potłukła.

- Natychmiast!

Thom bez tchu zsunął się po słupie do pozycji siedzącej. Ludzie na tarasie ze zdumieniem odwrócili się do nich. Pchła złapała brata pod pachy i pociągnęła, po czym rzuciła go na brzuch i z całej siły stanęła mu na pośladkach. Chwyciła za włosy.

- Weź na siebie odpowiedzialność!

- Przestań! - Mandy próbowała oderwać jej ręce.

- Przestań!

Pchła nie słuchała. Widziała ojca, który wieki temu bił Thoma po twarzy. Widziała kompletny brak emocji u brata. Kompletny brak reakcji.

- Powiedz prawdę! - krzyknęła.

Na ośle próbował ją złapać.

- Zostaw mnie w spokoju.

Wbił paznokcie w jej dłonie zaciśnięte na jego włosach.

Pchła zacisnęła zęby. Pochyliła się i gwałtownie uniosła mu głowę.

- Mów prawdę, kurwa...

Thom rzucał się na boki, wyginając kościste stawy, wreszcie udało mu się przekreślić na plecy. Pchła chciała uderzyć jego głową o pomost, ale ją powstrzymał, łapiąc za przeguby. Kiedy się wrywała, raz, drugi, trzeci, błyskawicznie podniósł kolano, w końcu trafił ją w lędźwie. Teraz obok kucą Mandy. Nie krzyczała. Była cicho. Twarz miała skupioną, mięsistymi rękami szarpała Pchłę.

- Nie dotykaj mnie, suko. - Pchła dźgnęła w tył łokciem. Chybiła. Nadwreżyła sobie mięsień w ramieniu. - Spadaj.

Z rozwianymi włosami przeniosła ciężar ciała na bok i z powrotem, usiłując uwolnić się z uścisku Mandy. Ale Mandy była dwa razy większa i silniejsza niż Pchła, trzymała ją pod pachy, twarz kryjąc na jej ramieniu. Potoczyły się po pomoście. Pchła poczuła, jak odłamek szkła przebija jej policzek.

- Puszczaj, Mandy - syknęła, usiłując się uwolnić. - Bo cię zabiję.

- Złap ją za ręce! - wrzasnął nagle Thom. - Złap ją!

Pchła wierzgała na ośle, mimo to ostre paznokcie wbiły się jej w nadgarstki. Poczuela, jak odrywa się od pomostu. On też był silny. Silniejszy, niż mogłaby podejrzewać. Krew płynęła jej po podbródku. Mgliste postaci krzyczących ludzi wychodziły z pubu.

- Zabiję cię.

Kopnięcie. Albo cios. W żołądek, wysoko, pod mostkiem. Nie widziała, które z nich to zrobiło, ale całe powietrze z niej uszło. Załatwili ją na szaro. Mandy cofnęła ręce i Pchła spadła na pomost. Leżała bez ruchu. Policjantka wyszkolona do tłumienia rozruchów leżała na pomoście z zakrwawioną twarzą i myślała tylko o tym, jak wziąć następny wdech.

- Phoebe - szepnęła Mandy z ustami tuż przy jej twarzy. Pchła czuła ostry zapach jej potu, słodki aromat proszku do prania. - Phoebe, Thom i ja bardzo cię kochamy. Bardzo. Dlatego ci pomożemy. Pomożemy ci rozwiązać twoje kłopoty, problemy i razem, razem znajdziemy sposób, żeby nie oddać cię w ręce policji.

Caffery złamał wszystkie zasady, zabierając na wieczorne spotkanie oddziału alkohol. Upił połowę puszkę coli, po czym uzupełnił zawartość z butelki Bella, którą miał w szafce z dokumentami. Wybrał Bella, ponieważ w porównaniu z dobrą słodową whisky, na przykład Glenmorangie, nie znosił jego smaku. Chodziło o to, by powstrzymać się od opróżnienia całej butelki. Czasami sztuczka działała, czasami nie.

Na każdym znanym mu posterunku codzienne zebranie z przełożonym śledczych nazywano „modłami”. Niektórzy szefowie wyznaczali modły raz dziennie, by omówić postępy, inni dwa razy, rano i wieczorem. A byli też tacy, którzy zwoływali podwładnych, jak tylko wiatr zmieniał kierunek. Do tych ostatnich należał Powers. Był prawdziwym koszmarem.

Dzisiejsze modły dotyczyły głównie billingów Kitson oraz tego, jak wypadł Powers w telewizji na konferencji prasowej. Caffery stał pod ścianą, popijając whisky z colą, i myślał nie o Kitson, ale o Susan Hopkins. Uznał, że Susan Hopkins i Lucy Mahoney prawdopodobnie się nie znały. W adresowniku i dokumentach Hopkins nie było wzmianki o Mahoney i vice versa. Rodzina i przyjaciele Hopkins nie słyszeli o Lucy Mahoney, chociaż chłopakowi z platformy wiertniczej wydawało się, że to nazwisko gwiazdy porno, jeśli Caffery chce znać prawdę. A jednak coś te kobiety łączyło. Caffery był przekonany, że gdzieś tam jest wspólne ogniwo. A to oznaczało nieprzyjemną prawdę, którą odczuwał jak otwierającą się przed nim mroczną i bezdenną otchłań: sprawcą nie był Amos Chipeta, ale ktoś inny. Ktoś zimny i przebiegły, kto potrafi morderstwu nadać pozory samobójstwa. Kto miał powód, żeby psa obdrzeć ze skóry.

- Coś cichy dzisiaj byłeś. - Po naradzie Powers dogonił Caffery'ego na korytarzu. - Jeszcze nie widziałem, żebyś był taki cichy.

Caffery stanął w drzwiach swojego gabinetu. W dłoni wciąż miał puszkę coli. Nie próbował jej ukryć, wiedział, co Powers trzyma w swojej szafce z dokumentami.

- Niewiele miałem do powiedzenia.

- Rano nie było cię na posterunku. Miałem nadzieję, że będziesz.

- Byłem. Rozdzieliłem akcje, tak jak obiecałem. Potem wyszedłem na lunch.

Powers z namysłem spojrzął na puszkę, potem na twarz Caffery'ego.

- Jack, pozwól, że coś ci powiem. Piję na służbie. To prawda. Dopóki solidnie wykonuję swoją pracę i drogówka z Almondsbury nie łapie mnie na jeździe niewłaściwym pasem na M4, to bez znaczenia. Przez dwadzieścia lat nikt słowem o tym nie wspomniał. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo solidnie wykonuję swoją pracę i nie narażam się ludziom. Nie narażam się ludziom i robię, co do mnie należy, więc nie znajdują sposobu, żeby zrobić mi krzywdę. Ale gdybym to robił, gdybym należał do ludzi, którzy innych irytują, którzy nie działają ręką w rękę z innymi... wystawiłbym się na odstrzał. Od razu zaczęliby o tym mówić. Gównu na grzance.

Caffery obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Otworzył drzwi swojego pokoju i wszedł. Postawił puszkę, usiadł, rozpiął marynarkę i ułożył ją luźno na brzuchu. Kiwnął palcem na Powersa. Jakby dopraszał się o nokaut.

- Więc mów, skoro musisz.

Powers zmierzył go ostrożnym wzrokiem, potem z ociąganiem wszedł. Zamknął drzwi i usiadł.

- Słyszałem, że byłeś na lunchu w Clifton.

- Wieści się roznoszą.

- Turnbull jest lojalny.

- To miłe. A ja myślałem, że między nami dzieje się coś wyjątkowego.

- Słyszałem też, że byłeś na sekcji zwłok.

- Tak.

Powers miał lekko zdziwioną minę.

- Rozumiesz, Jack, mam problemy ze zrozumieniem, co wyższy rangą oficer z wydziału kryminalnego do spraw groźnych przestępstw robi na rutynowej sekcji zwłok, kiedy powinien z resztą oddziału pracować nad sprawą Kitson. Okręgowa uznała to za samobójstwo.

- Ale patolog ma inne zdanie. Myśli, że to morderstwo. A ja myślę, że ma związek z innym „samobójstwem”, o którym ci mówiłem. Lucy Mahoney. Chcę, żeby obiema tymi sprawami jako łączącymi się morderstwami zajął się nasz wydział.

- Co ty knujesz?

- One się łączą. Lucy Mahoney wcale nie popełniła samobójstwa i patolog zaczyna podzielać moje zdanie. Chcę, żebyśmy się tym zajęli, a na początek potrzebny jest mi twój podpis na nakazie. Muszę mieć dostęp do bankowych rejestrów Mahoney.

Powers westchnął i przesunął dłonią po głowie. Nie wyglądał na szczęśliwego, wręcz przeciwnie. Ale nie śpieszył się z reakcją, znowu zastosował technikę oddychania. Opanował się i kiedy przemówił, głos miał spokojniejszy.

- Dochodzenie w sprawie Kitson trwa już prawie tydzień. Rekonstrukcja nic nie dała, morale oddziału leci na łeb na szyję. - Głową wskazał salę odpraw. - Wyczuwam to. A ty, Jack, ty wiele dla nich znaczysz. Podziwiają cię. Może się do tego nie przyznają, ale wszyscy wiedzą, co zrobiłeś w Londynie, jesteś dla nich jak chłopak z plakatu. Jeden z naszych szkoleniowców zrobił całą prezentację o twojej sprawie pedofila z Brixton. Wiedziałeś o tym?

- Wspaniale - mruknął Caffery. - Cudownie.

- Ale to, że prowadziłeś sławne śledztwo, jeszcze nie znaczy, cholera, że możesz robić, co chcesz. Wyruszyłeś w pogoń za norweskim cieniem, częstując mnie zwykłą buntowniczą gadką, ale zrezygnowałeś i gonisz za następnym króliczkiem. To znaczy, że jest coś, co cię powstrzymuje od współdziałania z nami w sprawie Kitson. No, spójrz mi w oczy. Powiedz, o co chodzi.

Caffery zrobił, o co go proszono. Spojrzał Powersowi w oczy. Skupił się na tym, żeby nie mrugać, i powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Chodzi o to, że nikt nie może zobaczyć, że pracuję przy tej sprawie.

- Co? - Powers zmrużył oczy. Badawczo przyjrzał się Caffery'emu. - Chcesz powiedzieć, że masz informatora?

- Tak. - To było kłamstwo, ale dzięki niemu Powers może da mu spokój przez dzień albo dwa. - Właśnie to chcę powiedzieć.

- Jesteś tu od pięciu minut i już masz informatora? W takiej sprawie? Nie. Ściemniasz, Jack. Robisz sobie jaja.

- Posłuchaj, z ośrodkiem związana jest cała banda dilerów. Tak jest w każdym ośrodku odwykowym. Miejscowi gangsterzy stają na głowie, żeby zaspokoić potrzeby pacjentów. W przypadku Farleigh Hall są to gangsterzy z Bath i Trowbridge.

- Kitson była umówiona z dilerem?

- A ta rozmowa z jej chłopakiem? Według ciebie o co jej chodziło, kiedy powiedziała, że potrzebuje czasu „na zastanowienie się”?

- Że potrzebuje czasu na zastanowienie się?

- Nie sądzisz, że to wygląda na wymówkę? On zapytał: „Dokąd idziesz?”, a ona odpowiedziała: „Powłóczyć się po okolicy”. Ty to kupujesz? W najwyższych obcasach znanych ludzkości - Jimmy Choo byłby pod wrażeniem - ona idzie się powłóczyć? Pooglądać krowie placki? I jak to możliwe, że tak dokładnie wiedziała, kiedy wróci?

- Chciała wrócić na określoną porę? Nie wiem. Na przykład na kolację.

- Albo wiedziała, że sprawa zajmie jej akurat tyle czasu.

Powers przeciągle gwizdnął.

- Wiedziałem, że coś ukrywasz. Wiedziałem, że trzymasz coś w rękawie.

- Jedno to mieć informatora, drugie - skłonić go, żeby stanął przed sądem, wszyscy o tym wiemy. Dlatego czekam. Potrzebuję kolejnego elementu układanki. Nie mogę publicznie brać w tym udziału.

- Zamknięty gnojek z ciebie, Jack. Co mam z tobą zrobić?

- Pozwól mi przejąć oba te samobójstwa jako morderstwa. - Caffery opróżnił puszkę, zgniótł ją i wrzucił do kosza. - Jeśli chodzi o Kitson, potrzebuję czasu, niech sprawy toczą się własnym torem. Na razie zajmę się morderstwami Hopkins i Mahoney. Kitson będę trzymał na małym ogniu, a jak coś dostanę, natychmiast do ciebie przyjdę. Co myślisz? Poluzuj mi smycz i daj popracować, dobra?

Powers długo patrzył mu w oczy. Potem westchnął, z rezygnacją podnosząc rękę.

- Codziennie masz składać mi raport na temat tego informatora. W czwartek chcę wiedzieć, co jest grane, zgoda?

- W czwartek?

- Tak jest.

- Dobra, umowa stoi. I jeszcze jedno. Tym razem nie przydzielisz mi Turnbulla.

Skończyłem z nim.

- Tym razem nie przydzielę ci Turnbulla.

- Świetnie. A kogo dostanę?

Patrząc mu w oczy, Powers monotonicznie powtórzył:

- Tym razem nie dostaniesz Turnbulla.

Nazajutrz rano o wpół do dziesiątej w biurze w Almondsbury dziewięcioro członków oddziału nurków siedziało w półokręgu i patrzyło, jak instruktor przeprowadza reanimację na manekinie. Pchła i jej oddział co roku musieli powtarzać szkolenia w zakresie pierwszej pomocy, ponieważ umiejętności słabły, a zalecenia ulegały zmianie. Na przykład obecnie nie należy wykonywać piętnastu ucisków na dwa oddechy, wyjaśnił instruktor, ale trzydzieści.

Pchła zajmowała miejsce na końcu podkowy. Siedziała wyprostowana i sztywna, z założonymi rękami. Kolano mimowolnie jej podskakiwało. Oczy miała utkwione w instruktora, ale go nie widziała. Wypiła cztery filiżanki kawy i połknęła 500 mg cuprofeny - dość, by natychmiast nabawić się wrzodów, ale tylko nabawiła się tików. Wciąż bolała ją twarz i głowa - miała wrażenie, jakby ktoś wepchnął jej do czaszki pięść.

- Szefowo? Szefowo? - Siedzący obok Wellard pochylił się ku niej zaniepokojony.

- Co? - Teraz oddział nie obserwował instruktora, tylko patrzył na nią. - O co chodzi?

- Telefon. Wiesz, w twojej kieszeni.

Wtedy to do niej dotarło. Jej komórka dzwoniła, a ona nawet tego nie zauważyła. Wyłowiła ją z kieszeni. Na wyświetlaczu migał napis „Numer prywatny”. Czyli rozmowa służbowa. Uniosła rękę do instruktora i wyszła z sali.

- Słucham, sierżant Marley. Czym mogę służyć?

To był konsultant do spraw poszukiwań. Nie Stuart Pearce, ale zaangażowany konsultant z MCIU.

- Chcę porozmawiać z panią o Misty Kitson.

- Chwileczkę. - Pchła poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Przez chwilę drapała się po głowie, czekając, aż serce przestanie jej walić. - OK. Chce pan pogadać o Misty Kitson. Słucham.

- Szef przydzielił nam więcej pieniędzy. Poszerzam parametry poszukiwań. Ma pani przed sobą mapę?

- Patrę na nią.

- Promień wynosił trzy kilometry, teraz będzie wynosił sześć. Nie chodzi o przeszukiwanie terenu, ale przesłuchania okolicznych mieszkańców. Pani oddział czasami to dla nas robi, prawda?

Pchła patrzyła na mapę. Nie potrzebowała kompasu ani linijek, żeby wiedzieć, dokąd sięgnie sześciokilometrowy promień. Obejmie wioskę Ruth, leżącą prawie w środku nowego promienia.

- Jest pani tam?

- Tak.

- Mówiłem, że pani oddział zwykle bierze udział w przepytywaniu mieszkańców. Chciałem zaproponować, żebyście wzięli południowo-wschodni kwadrat. Resztą zajmą się ludzie z Taunton.

Południowo-wschodni. Wioska Ruth.

- Kiedy zaczynamy?

- Jutro?

- Mój oddział ma opóźnienia.

- W takim razie zaczniemy po południu. Powiedzmy o drugiej.

- O drugiej?

- To jakiś problem?

- Nie. Dlaczego miałby być?

- Ma pani dziwny głos.

- Wszystko u mnie w porządku, dziękuję. W najlepszym porządku. W takim razie do jutra.

Rozłączyła się i opadła na krzesło z głową w dłoniach, wpatrując się w splecione wzory na tanim laminacie, z którego zrobiono blat biurka. Sprytnie, bardzo sprytnie świat zastawił na nią pułapkę. Jej własny brat Thom tańczący na pomoście z okrzykiem: „Złap ją!”.

Złap ją. Kurwa, to niewiarygodne.

Podniosła słuchawkę służbowego telefonu i zaczęła bawić się klawiszami. W przeciwieństwie do komórki ten telefon przy rozmowach wychodzących automatycznie ukrywał numer, więc Thom może odebrać, zamiast przełączyć się na pocztę głosową. Poza tym tutaj była też funkcja nagrywania rozmów. Nacisnęła klawisz nagrywania i wybrała numer.

Odpowiedział po czterech sygnałach.

- Halo?

- Thom, proszę, nie rozłączaj się.

Nastąpiła przerwa, potem ciche szuranie. I nic.

- Jesteś tam?

Znowu szuranie, jakby poruszał się z telefonem, zakłócając nieco sygnał.

- Jesteś tam, Thom? Słyszysz mnie?

- Tak, słyszę. - To była Mandy, nie Thom. - Słyszę, co mówisz, Phoebe.

- Oddaj telefon Thomowi. Rozmawiałam z nim.

- Ha, teraz rozmawiasz ze mną.

- Ale ja cię nie lubię, Mandy.

- Z wzajemnością.

- Oddaj telefon mojemu bratu.

- Jest bardzo zdenerwowany, Phoebe, i na razie nie chce z tobą rozmawiać. Nie pozwolę, żebyś go dręczyła. Dlaczego dzwonisz?

Dobrze wiesz, dlaczego dzwonię. Ty pierdolona suko.

- Chcę wyjaśnić tę sprawę.

- Cóż, Phoebe, ja wiem, że coś się z tobą dzieje - odparła kojącem głosem Mandy. - A ty wiesz, jak bardzo nam obojgu na tobie zależy. Obojgu. Strasznie nam na tobie zależy i zrobimy wszystko, żeby ci pomóc w rozwiązaniu problemów, ale uważam, że na razie wszystkim nam dobrze zrobi, jeśli zachowamy dystans.

Pchła spojrzała na czerwoną diodę migającą na telefonie.

- Chcę uporządkować tę sprawę z ciałem Misty.

- Phoebe, ja... - Milczenie. Na linii coś zasyczało. Światelko migало. Włączało się, wyłączało, włączało, wyłączało.

Powiedz to, ty suko. No dalej, powiedz.

Ale kiedy Mandy znowu się odezwała, mówiła teatralnym szeptem, jakby chciała podkreślić każde słowo.

- Sprawę z czym? Z kim? Chodzi ci o tę zaginioną dziewczynę? A co ona ma wspólnego z tobą?

Pchła oparła się o krzesło, ze znużeniem pocierając twarz.

- Wciąż mówisz o tym wieczorze, kiedy miałaś problemy, Phoebe? Wciąż do tego wracasz?

- Mówię o wieczorze, kiedy ty miałaś problemy. Pamiętasz? Billing z twojego domowego telefonu to potwierdzi. Ciągłe do mnie dzwoniłaś.

- Wiesz co? Masz rację. Dzwoniłam, teraz sobie przypominam. Pamiętam, że rozmawiałam z Thomem. Pamiętam, jaki był przerażony, bo coś ci się stało. Wyszłaś z domu, jeździłaś po okolicy.

- Mandy, lepiej mi uwierz, że to zdjęcie istnieje. I dowodzi, że to Thom ją potracił. Thom potracił Misty Kitson moim samochodem.

Mandy westchnęła.

- Chciałabym, żebyś poszukała profesjonalnej pomocy, Phoebe.

- To zdjęcie naprawdę istnieje.

- Więc przynieś je do nas. Jesteśmy w domu. Będziesz u nas za pół godziny. Wiesz co, nastawię czajnik.

- Ta rozmowa prowadzi donikąd.

- W takim razie skończę twoje męki i powiem ci, jak to załatwimy. Nie tylko dasz sobie spokój z tą sprawą, przestaniesz snuć te krzywdzące fantazje o swoim młodszym bracie, ale przedstawiś plan zatuszowania tego, co zrobiłaś, cokolwiek to jest...

- Co zrobił Thom...

- Co ty zrobiłaś. Masz czas do jutra do północy. To termin ostateczny.

- Termin ostateczny? Spadłaś z księżycy?

- Przecież pierdolony termin ostateczny to dla ciebie chleb powszedni, prawda, sierzanie? Cała twoja praca na tym polega, no nie? Z wywiązywania się z terminów? Jutro o północy. U nas. - Mandy chrapliwie oddychała. - Masz przyjść i powiedzieć, że rozwiązałaś swój problem. Chcę usłyszeć, że wszystko załatwione, w przeciwnym razie będę musiała pójść na policję.

- Nie mów nic więcej. Nie będę z tobą rozmawiała.

- W porządku.

W słuchawce znowu rozległo się to szuranie, potem zapadła cisza. Dopiero po chwili Pchła pojęła, że Mandy się rozłączyła. Nacisnęła odtwarzanie i nachyliła się do głośnika. „*Chcę uporządkować tę sprawę z ciałem Misty*”. „*Sprawę z czym? Z kim?*”

Mandy była sprytna. Cholernie sprytna z niej suka.

Ktoś zapukał do drzwi. Wellard. Zaniepokojony.

- Dobrze się czujesz?

Pośpiesznie skasowała rozmowę z pamięci telefonu i okręciła się na krześle.

- A dlaczego miałabym się źle czuć?

Wzruszył ramionami.

- Chodzi o... sama wiesz.

Ostrożnie dotknęła policzka.

- O to?

- Tak.

- To drobiazg. Zacięłam się przy goleniu.

Próbował się uśmiechnąć. Bez powodzenia.

- Nie przyniosłaś chleba bananowego. Pomyślałem, że czymś cię wkurzyliśmy.

Długo mu się przyglądała. Kochany Wellard. Kochani chłopcy, którzy z nią pracowali i nigdy nie kwestionowali jej słów. Porządni, uczciwi ludzie.

Wstała, w szufladzie poszukała okularów przeciwsłonecznych i kluczyków.

- Zastąp mnie, dobra? Wychodzę na godzinę, może dwie.

- Gdzie się wybierasz?

- Idę do banku, Wellard. Muszę się zobaczyć z pewnym człowiekiem w sprawie psa.

Mahoney zgodził się przynieść klucz do pracowni Lucy. Powiedział, że przyjazd na miejsce zajmie mu dwie godziny, więc nie ma potrzeby przychodzić wcześniej. Caffery nie był zdziwiony, kiedy zastał go w domu dziesięć minut przed czasem.

Spotkali się we frontowych drzwiach. Nie tracili czasu na grzeczności.

- Pracownia jest otwarta?

- Tak.

Mahoney poprowadził Caffery'ego po schodach, stawiając ciężko kroki. Zatrzymał się przed drzwiami.

- Zostawiłem wszystko bez zmian. Niczego nie ruszałem.

- Jestem tego pewien.

- Rzeczy, które tam są, wybierała Lucy. Taki miała gust. Widzisz?

Mahoney przekręcił klucz w zamku i otworzył. Nie patrzył Caffery'emu w oczy, kiedy ten go mijał. Caffery wszedł i z założonymi rękami stanął w kącie.

Pokój był duży, pewnie według projektanta miał pełnić funkcję głównej sypialni. Caffery rozpoznał miejsce, w którym nakręcono drugi film z Lucy. Ściany pomalowano metalizującą farbą, wszędzie wisały płótna. Lucy podzieliła pomieszczenie na dwie części malowanym orientalnym parawanem. Część przy drzwiach była zagracona: ze dwadzieścia obrazów stało opartych o ścianę, cztery następne znajdowały się na sztalugach przy oknie. Caffery przeszedł do drugiej części i przez chwilę się rozglądał.

Pooley miał rację. Upodobania Lucy były niezwykle. Na środku stała figura nagiej kobiety z brązu wielkości naturalnej. Kobieta wypinała pośladki, odsłaniając każdą fałdkę ciała pomiędzy nogami. Za nią ustawiono mniejsze drewniane rzeźby, wzorowane na *Kamasutrze* albo innym tego rodzaju dziele. Na ścianie wisało kilka męskich i kobiecych aktów pojedynczych i grupowych. Wyglądały na amatorskie, więc pewnie malowała je Lucy. Na stoliku w kącie leżało pudełko takie jak to, które Caffery widział w Emporium. Na aksamicie spoczywały kryształowe penisy i cynowe klamry na sutki. Tak jak mówił Pooley.

Caffery milczał. Spokojnie wrócił za parawan do części z pozostałymi obrazami. Nie patrzył na Mahoneya, ale na pędzle moczące się w terpentynie. Z roztargnieniem przesunął je opuszkami palców, jakby o niczym konkretnym nie myślał, potem podszedł do obrazów.

Głównie przedstawiały niebo z chmurami, ptakami i latawcem. Wszystkie w odcieniu błękitu, który z czymś mu się kojarzył. Jedna z jego dziewczyn w Londynie była artystką i o kolorach mówiła, używając terminów w rodzaju „nasycony” i „czysty”, a odcienie plasowała na niebieskim lub czerwonym końcu spektrum. Nigdy do końca jej nie rozumiał i nie potrafił opisać tego błękitu. Ani wyjaśnić, dlaczego wydawał mu się znajomy.

- Wszystkie są w tym samym kolorze - powiedział spokojnie.

- Uwielbiała go. - Mahoney wciąż nie patrzył mu w oczy. Spoglądał na swoje stopy. - Sama go mieszała. Mówiła, że to jej podpis.

Caffery przez moment stał nieruchomo pomiędzy obrazami i studiował szary garnitur Mahoneya.

- Colin, jakoś cię o to nie pytałem. Czym się zajmujesz? Jaki masz zawód?

- Ja? Jestem licencjonowanym doradcą finansowym.

- Coś jak agent ubezpieczeniowy?

- Doradzam w kwestii odpowiedzialności kontraktowej.

- Więc jesteś agentem ubezpieczeniowym?

- W obecnych czasach wolimy się nazywać konsultantami do spraw odpowiedzialności. Albo agentami od zarządzania ryzykiem.

- Ale jesteś agentem ubezpieczeniowym.

Mahoney spojrział na niego, potem wyciągnął jedno z malowideł i uniósł. Obraz był mały, miał około sześćdziesięciu centymetrów kwadratowych i przedstawiał twarz dziewczynki. W blond włosach miała wstążkę w tym samym odcieniu niebieskiego.

- To pierwszy portret Daisy, jaki namalowała.

- Ładny. - Caffery wyciągnął fotografię Susan Hopkins i podsunął Mahoneyowi pod oczy. - Wiesz, kto to jest?

Tamten odwrócił się od fotografii, jakby brzydko pachniała.

- Nie ma potrzeby tak wtykać mi jej pod nos.

- Pytałem, czy wiesz, kto to jest?

- Nie, nigdy jej nie widziałem.

- Nazwisko „Susan Hopkins” wydaje ci się znajome?

- Pytałeś mnie o to przez telefon, pamiętasz? Mówiłem, że nie.

- Teraz to sprawa poważna. Bardzo poważna. Przyjrzyj się.

Mahoney odstawił obraz, wziął zdjęcie i chwilę mu się przyglądał. Kręcąc głową, oddał je Caffery'emu.

- Nie, naprawdę jej nie znam. O co chodzi?

Caffery schował fotografię do kieszeni.

- Klasyfikacja sprawy uległa zmianie. Rozmawiałem z przyjaciółmi Lucy. Wiem, co mówili o jej przeszłości. O tobie.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Co niby mówili?

- Że jesteś sztywny, jakbyś kij połknął. Że to ty ją zostawiłeś. Nie dlatego, że przestałeś ją kochać, ale dlatego, że nie potrafiłeś sobie dać rady z tym, co robiła. Z jej kolekcją, z obrazami, które malowała. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- To mi się wydawało niestosowne.

- Niestosowne? Niestosowne? Przestań używać tego określenia, ty żałosny dupku. Nie wiesz, jakie to może być ważne?

- Ważne? Przecież to było tylko jej hobby, przedmioty, które zbierała. Szczerze mówiąc, to kłopotliwe.

- Mogła być prostytutką. Masz pojęcie, jak często dziwki padają ofiarą morderstw? Mahoney poczerwieniał jak burak.

- Nie była prostytutką. Nie była taka. To tylko jej hobby.

Caffery oparł dłonie na parapecie i chwilę stał, próbując nad sobą zapanować. Za oknem chmury i mgła wirowały wokół podnóża Glastonbury Tor, samotnej wyspy na suchych równinach Somerset, która na horyzoncie wyglądała jak odwrócony do góry nogami pudding.

- Masz rację, nie była dziwką. Ale nie w tym rzecz. Powinieneś był mi powiedzieć. Mogła wplątać się w związek z kimś, kogo potem zaczęła szantażować. - Caffery dłonią wskazał parawan. - Czy z tego powodu postarałeś się o opiekę nad Daisy? Wykorzystałeś to wszystko przeciwko Lucy? Bo wiesz, jak na ciebie patrzę, bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak z twoich ust wychodzą słowa w rodzaju: „poważna obraza moralności, wysoki sędzie”. To do ciebie pasuje.

- Nie bądź śmieszny. Nigdy nie było najmniejszych wątpliwości, z kim zamieszka Daisy. Najmniejszych.

- Wydaje się dziwne, że matka nie dostała opieki.

- To wcale nie jest dziwne. Ja jestem ojcem Daisy. Pozwalałem Lucy widywać się z nią, ale nie miała żadnych praw. Nie adoptowała Daisy. Lucy w tej sprawie zachowała się bardzo rozsądnie.

Caffery obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Co powiedziałeś?

- Lucy w tej sprawie zachowała się bardzo rozsądnie.

- Nie, wcześniej. Że nie adoptowała Daisy.
- Bo nie adoptowała. W każdym razie nie oficjalnie.
- Nie była jej matką biologiczną?
- Była jej macochą. Prawdziwa matka Daisy umarła.

Caffery wpatrywał się w niego surowo.

- Nikt nie wspominał, że Lucy była macochą.
- Nie obnosiliśmy się z tym. Przede wszystkim ze względu na Daisy. Zawsze myślała o Lucy jako o swojej mamie.

- Więc co się stało... - Zawahał się, myśląc o brzydkiej bliźnie po fatalnie wykonanym cesarskim cięciu. Czegoś tu brakowało. - Co się stało z dzieckiem Lucy?

- Dzieckiem Lucy? Nie miała dziecka.
- Jesteś pewien?
- Na sto procent. Nie miała dzieci. Nie chciała mieć.
- I nie poroniła?
- Nie. Mówiłem, że nie było żadnych dzieci poza Daisy.

Caffery otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Z twarzy Mahoneya czytał wyraźnie, że facet nie miał pojęcia o dziecku. Wrócił do okna. Szczypiąc się w nos i wpatrując w skaliste wzgórze, porządkował myśli. Skoro blizna po cesarce nie była pozostałością po narodzinach Daisy, to Lucy musiała mieć dziecko po rozstaniu z Mahoneyem. Było inne dziecko, ale Mahoney nie ma o nim pojęcia.

- Kiedy się rozeszliście... - odezwał się wreszcie - Lucy nie była w ciąży, prawda?
- W ciąży? Dobry Boże, co ty mówisz?
- Nie „mówię”, tylko się zastanawiam. To wszystko. Powiedziałaś, że po rozstaniu długo się z nią nie widziałeś? Prawie rok?

Mahoney przycisnął kciukiem kącik prawego, potem lewego oka.

- Nie mam pojęcia, co próbujesz mi powiedzieć.

Caffery milczał. Patrzył na Glastonbury Tor, pozwalając błędzić myślom. Nie był pewien. Nie był pewien, czy to właściwa droga, ale to było coś. Coś wielkiego. Lucy miała dziecko, o którym nikt nie wiedział, ani przyjaciele, ani były mąż. Miała dziecko. Dziecko zniknęło. I istniała możliwość, że ono było powodem, dla którego kogoś szantażowała.

Teraz pozostało tylko ustalić, z kim się spotykała po rozstaniu z Mahoneyem.

Bank dochrapał się siedziby w zabytkowym budynku w stylu króla Jerzego w centrum Bath. Boksy z mrożonego szkła i płyt pilśniowych tłoczyły się pod ścianami, od ich szczytu do sufitu pozostawało prawie dwa i pół metra. O jedenastej rano urzędnik znalazł wolny boks dla Pchły. Usiedli po obu stronach nowoczesnego biurka, rozdzieleni monitorem. Podczas wypełniania formularzy prowadzili niezobowiązującą pogawędkę.

- Więc jest pani z policji? - Spojrzał na odznakę na jej koszulce polo. - Poszukiwania podwodne? Co to jest? Coś w rodzaju straży przybrzeżnej?

- Niezupełnie. - Pchła już dawno się przekonała, że są tylko dwie reakcje na informację o jej pracy. Pierwsza to fascynacja granicząca z chorobliwą ciekawością, druga to wstręt. Zwykle ludzie najpierw patrzyli na jej ręce i ubranie. W pewnych krajach prace związane ze śmiercią, jak przedsiębiorca pogrzebowy czy rzeźnik, czynią człowieka niedotykalnym. Jakby śmierć do nich przywarła.

- Po co to jest? - zapytała.

- Hm? A, to. Guzik alarmowy.

- Na wypadek?

- Wie pani. - Urzędnik poprawił krawat. - Czasami klienci się denerwują.

- Bo?

- Bo nie wiedzą, czy damy im kredyt czy nie.

- Myśli pan, że mnie się to może przydarzyć?

Odkaszlnął i postukał w klawisze, wpatrując się w ekran. Wstał i wziął częściowo wypełniony formularz.

- Wybacz pani, że na chwilę panią zostawię. Muszę zamienić słowo z szefem.

Po jego wyjściu Pchła przeniosła się na drugą stronę biurka, żeby zerknąć na monitor. Wylogował się. Na wygaszaczu migał niebieski napis „Tylko 8% rocznej stopy oprocentowania”. Kiedy Pchła poruszyła myszą, pojawiła się ramka logowania. Zaczęła krążyć po sali, zerkając na broszury, na życie, które można kupić za tę jedynie ośmioprocentową roczną stopę. Głowa wciąż ją bolała, pod plastrem na policzku swędziało. Zbliżyła się do drzwi z mrożonego szkła, za którymi zniknął urzędnik, i patrzyła na ludzi na chodniku. Sprawa zajmowała mu dużo czasu. Wróciła na krzesło, starając się nie kręcić.

Mocno przycisnęła palce do skroni, by utrzymać ból w ryzach.

- Witam.

Urzędnik stał w progu. Uśmiechnął się do niej, zamknął drzwi. Teraz nie był taki serdeczny. Położył formularz na biurku, usiadł wygodnie i zalogował się. Komputer ożył, rzucając światło na jego twarz. Urzędnik zaczął wpisywać liczby.

- Będzie mnie pan tortuował?

Uniósł na nią wzrok.

- Słucham?

- Proszę, niech pan mnie nie dręczy. Jeśli odpowiedź jest odmowna, niech pan to powie. Dostanę kredyt?

- Oczywiście, że tak.

- Oczywiście?

- Wie pani, wbrew powszechnej opinii wciąż udzielamy kredytów. Pani ma solidne zabezpieczenie w postaci nieruchomości, dobrą pracę, jest pani naszą klientką od dwunastu lat. Od początku nie było najmniejszych wątpliwości, że go pani dostanie.

- Chce pan powiedzieć, że od początku pan o tym wiedział?

Mrużąc oczy, przyjrzał się jej znad okularów, jakby wcześniej porządnie tego nie zrobił, potem wrócił do komputera: nacisnął klawisz, wyjął arkusz z drukarki. Długopisem zaznaczył kilka miejsc i przesunął go w stronę Pchły.

- Proszę podpisać tu i tu.

Podpisała, oddała mu arkusz.

- To takie proste. - Zakręcił pióro. - Pieniądze będą do pani dyspozycji za dwadzieścia cztery godziny.

- Dwadzieścia cztery...

- Tak.

- Ale to dopiero jutro.

Urzędnik spojrzał na zegarek.

- Jutro w porze lunchu.

- To fatalnie. Mnie gotówka potrzebna jest natychmiast... OK, niech mi pan udzieli innego kredytu. Żebym mogła wziąć pieniądze od razu. Formularz wypełnimy szybko.

- W naszej ofercie nie mamy takiego kredytu.

- Musicie mieć. Niech pan przejrzy wszystkie produkty. Oprocentowanie nie ma znaczenia. Jak pan powiedział, jestem waszą klientką od dwunastu lat. Mam dobre zabezpieczenie. Musi być kredyt, który... - Urwała. Urzędnik wpatrywał się w nią znacząco,

wodząc wzrokiem od rany na policzku do policyjnej odznaki w dłoni. Pchła uświadomiła sobie, że na wpół stoi, trzymając się oparcia krzesła. Urzędnik uniósł brwi, zerknął na klawisz alarmowy.

- Tylko pytam. - Westchnęła i usiadła. Zmusiła się do znużonego uśmiechu. - Tylko pytam.

- No więc? - Steve Lindermilk siedzi na sofie. Drzwi balkonowe są otwarte. Jest pogodnie popołudnie, w ogrodzie kwitną różowe azalie. Przy jego łokciu stoi nietknięty rum z colą. - W jakiej sprawie chciałaś się ze mną widzieć?

Ruth uśmiecha się do syna, który ma na sobie dżinsy, sportowe buty i koszulkę Umbro z lamówką na rękawach. Odziedziczył jej mocne nogi i nos. Niewiele w nim z Lindermilków, nie ma płaskiej twarzy jak Sue.

- Był pewien problem, kochanie, ale został rozwiązany. Po prostu chciałam się z tobą zobaczyć. - Unosi w jego stronę szklankę. Jak w czasie jego chrztu albo innego ważnego wydarzenia chce wznieść toast na cześć swego cudownego syna. Dzisiaj po południu czuje się wspaniale: ledwo godzinę temu rozłączyła się z tą małą, prywatnym detektywem. Mała zdobyła pieniądze, dostarczy je jutro po południu.

- Chciałam zobaczyć się ze swoim uroczym synem. Cudownym, uroczym synem.

Steve posyła jej słaby uśmiech. Zakłada nogę na nogę, prostuje obie. Patrzy na szklankę w jej dłoni. Patrzy na wielobarwnego kota, który na grzbiecie leży u jej stóp.

- Widzę, że masz nowego kota.

- Dwa, kochanie.

Steve wzdycha.

- Dwa następne?

- Nie bądź taki. Groziło im schronisko. Co miałam zrobić?

- Zawsze możesz odmówić.

- Może ty potrafisz zdobyć się na okrucieństwo, Steve, ale ja nie. Nigdy. - Stuka palcem w szklankę. - Nie zaczniesz mówić jak tamci, prawda? Nie chcesz chyba być jednym z tych, co mnie prześladowają?

- Mamo, to można w prosty sposób zakończyć. Schowaj teleskop. To ich wkurza.

- Nie. Nie schowam teleskopu. Wiedzą, że ich obserwuję, więc może zaczną wolniej jeździć.

- Daj mi teleskop. Przechowam go w bezpiecznym miejscu.

- Nie ma żadnej wartości, Stevie.

- Nie interesuje mnie jego wartość, tylko to, co myślą ludzie. I na litość boską, mamo,

prześtań robić zdjęcia. Nie chcemy powtórki z ostatniego razu. - Wodzi wzrokiem po fotografiach mew, kotów i nurzyków. Delfinów. Pięknych stworzeń żyjących na tej planecie. Wstaje i idzie do komputera. Przegląda zdjęcia, które matka z samego rana robi sąsiadom jadącym do pracy. - Popatrz na to. Myślą, że ich szpiegujesz.

- Bo szpieguję. Muszę. Próbuję chronić niewinnych, Stevie. Stworzenia, które nigdy nikomu nie zrobiły krzywdy. Po której ty właściwie stronie stoisz?

- Po twojej, jasne, że po twojej. To się nigdy nie zmieni, mammo. Ale dom nie wygląda normalnie. Im więcej zdjęć robisz, im więcej śmieci gromadzisz, tym bardziej ludzie są przekonani, że jesteś stuknięta. Zrób to dla mnie, mammo, prześtań fotografować. Schowaj teleskop. I trzeba zdjąć te kamienne koty z dachu. Są żenujące.

- Lubię je.

- Ty tak, ale reszta wioski nie. Twój dom wygląda jak chatka z piernika Jasia i tej pieprzonej Małgosi. Prześtań robić zdjęcia i pozbać się tych, które już zrobiłaś.

Ruth stuka się po zębie. Tym ułamanym. Z namysłem patrzy na syna.

- Mnie też się wstydzisz, Stevie? Wstydzisz się.

Steve odsuwa swojego drinka. Minę ma zakłopotaną.

- Jasne, że nie - mamrocze.

- Coś nie tak z twoim drinkiem, słoneczko? Nie chcesz się napić?

- Nie, przyjechałem samochodem.

- Jeden mały drink nie zaszkodzi. Jak twojego wujka zatrzymała policja, miał w sobie trzy kufle piwa i pół butelki wina, a i tak wynik wyszedł mu negatywny.

- Dzięki, mammo, ale nie.

- Dobry chłopiec z ciebie, Stevie. Dobry chłopiec.

- Taa.

Ruth obgryza paznokcie. Patrzy na telewizor. *EastEnders*. Ścisza głos. Drinki ją rozgrzewają. Ciekawe, jak ta mała tak szybko znalazła pieniądze, myśli. Żadnych gier, pełna suma. Zastanawia się, kim jest klientka, bo wyczuwa większe zyski z tego konkretnego słoika miodu. Jutro ma spotkanie z konsultantem. Z samego rana. Jak w klinice zażądają, żeby z góry opłaciła operację, weźmie piętnaście kawałków od tej małej i będzie zadowolona. Jeśli konsultant zgodzi się poczekać, Ruth zyska czas na zmianę reguł. Odmówi przyjęcia piętnastu tysięcy, kiedy w porze lunchu przyjdzie ta mała. Poprosi o więcej.

Przygląda się obgryzionym paznokciom. Na jednym odpycha skórkę i wyciąga rękę, by przyrzeć się refleksom światła na lakierze.

- Stevie? Wiesz, dlaczego cię tu dzisiaj zaprosiłam?

- Od razu wiedziałem, że nie chodziło tylko o to, że chciałaś się ze mną zobaczyć.

- Masz rację. Zaprosiłam cię, bo chcę ci dać miły prezent. - Uśmiecha się do niego z fałszywą skromnością.

- Naprawdę piękny, Stevie. Już niedługo dam ci... porsche. Zaraz, ile kosztuje porsche? Może coś... - Ruth mruga.

- Ile kosztuje porsche? - Nie mam pojęcia. Pewnie z osiemdziesiąt kawałków. Jeśli jest nowe.

- Więc jakieś auto w rodzaju porsche, tak samo dobre. Czarne, z przyciemnionymi szybami, wiem, że takie ci się podobają.

- Nie. Nie trzeba, mam. Oszczędzasz, więc wydaj te pieniądze na siebie.

Ruth się pochyła i lekko wbija mu paznokcie w ramię.

- Moja sytuacja finansowa jest bardzo dobra. Zobaczysz, Stevie, już niedługo zobaczysz i będziesz ze mnie bardzo, bardzo dumny.

Wieczór był chłodny, bez śladu wcześniejszego upału. Pchła w termoaktywnej koszulce Powerlite i szortach biegła zwykłą dwugodzinną trasą wiodącą drogami, które leniwie wiły się przez wzgórza na północ od Bath. Dawniej, przed wypadkiem rodziców, Pchła miała chłopaków. Wielu. Z jednym, byłym żołnierzem piechoty morskiej, instruktorem w Quantico, biegali razem. Nauczył ją techniki Fartlek, którą stosowała do dzisiaj: dwukilometrowy sprint, pięciominutowy chód, następnie bieg długimi susami, co trzysta metrów przeplatany sześćdziesięciometrowym sprintem. Co dziesięć sprintów sprawdzała puls: średnio 173. O wiele wyższy niż zwykle. Ale dzisiaj właśnie tego potrzebowała.

Po półtorej godziny obliczyła, że dwadzieścia razy przekroczyła próg tworzenia się kwasu mlekowego. Powinna zwolnić tempo i do domu wrócić truchtem. Ale tego nie zrobiła. Zmuszała się do wysiłku, aż wreszcie słońce zaszło za Bristolem, cienie na polach się wydłużyły, nogi zaczęły jej dygotać. W końcu się uspokoiła i pozostało w niej tylko jedno uczucie, ślady smutku, słaby ból w okolicy płuc, który przypominał jej o bracie.

Na ostatnim odcinku, wąskiej, prostej, obrośniętej drzewami drodze z małym przełazem i pastwiskiem dla koni po prawej, wydało się jej, że widzi coś przed drzwiami domu. Coś małego jak zwierzę, może wielki pies stojący na tylnych łapach i oglądający się na nią. Zwolniła do truchtu. Przymrużyła oczy. Cokolwiek to było, zniknęło. Pewnie cienie spletały jej psikusa. Nic tam nie było, tylko długi prosty pień eukaliptusa Oscarów na skraju jej podjazdu.

Okrażyła podwórze, wypatrując rzeczy odbiegających od normy. Nikogo nie było, w ogrodzie panowała cisza. Gęstniejący zmierzch rozpraszało tylko żółtawe światło z usytuowanych wysoko okien sąsiadów.

Włożyła klucz do zamka, ale zaraz znieruchomiła, zastanawiając się gorączkowo. Czuła, jak po ciele pot płynie jej strumieniami. Wyjęła klucz i poszła do oddalonego o dwa metry miejsca przy murze, gdzie ciężkimi wachlarzami zwisały gałęzie wistarii.

Przez lata rodzina miała zwyczaj zostawiać zapasowy klucz na gwoździu pod wistarią. Na sytuacje kryzysowe. Klucz zakrywała gruba łądyga, więc nawet w zimie dostrzegali go wyłącznie wtajemniczeni. Pchła odsunęła liście i przyjrzała się uważnie. Wyglądał jak zwykle, nie wątpiła w to. Wszystko było w porządku.

Wolno się odwróciła, obserwując bezruch drzew, zimne koło wschodzącego księżyca, misterne filigrany gałązek przypominające dekoracje na Halloween. Pomyślała o ludzkich stopach znikających w bąbelkach nad jej głową. O Cafferym: *Zastanawiałaś się, czy tamtego dnia czegoś nie przegapiliśmy?*

Po akcji w operacji Norwegia Wellard się skarżył, że wychodząc z budynku, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. „Obserwuje”, to było właściwe słowo. Wszyscy tak się czuli. A wieczorem, kiedy było po wszystkim i Pchła wróciła do domu, ogarnęło ją przelotne wrażenie, że coś było nie tak z aresztowaniem.

Zdjęła klucz z gwoździa, schowała do kieszeni i weszła do domu. W zimnym pustym holu o lampę pod sufitem objęła się ćma.

- Halo? - powiedziała Pchła. - Halo?

Zapaliła światła we wszystkich pomieszczeniach na parterze, poszła do garażu i długo stała, wpatrując się w kształt w wannie, w miejsca, gdzie plastik wystawał ponad krawędzie. Była tu przed biegiem. Wylała wodę i uzupełniła lód. Od tamtej pory nic nie zostało ruszone. Nic.

Wróciła do kuchni i powiodła wzrokiem po stojących na półkach garnkach i patelniach matki, po starym sejfie ojca, którego nikt nie potrafił otworzyć i tylko Bóg wiedział, co zawiera. Wyjęła klucz z kieszeni i położyła na kominku. Tylko dwóch ludzi wiedziało o gwoździu pod wistarią. Jednym był Kaiser, przyjaciel ojca, a drugim... Cóż, drugim był Thom.

W jednym z pokoi na piętrze coś cicho zatrzeszczało. Pchła utkwiała załzawione oczy w suficie. Ciepła woda codziennie zaczynała płynąć o szóstej po południu. Czasami rury żyły własnym życiem. Sprawiały, że stary dom skrzypiał i narzekał.

Poszła do holu. Księżyc już wzeszedł, jego promienie wpadały przez szybki w drzwiach, nadając przedmiotom metaliczne, rozmazane kontury: chodnikowi, wypolerowanemu deskom podłogowym, stojakowi na parasole i staremu lustru w rzeźbionych ramach u stóp schodów. Jej gumowce stały cierpliwie przy tylnych drzwiach, jakby ktoś przed chwilą je zdjął. Sprawiały wrażenie oddalonych o milion kilometrów. Jakby hol ukradkiem się wydłużył, kiedy była w kuchni.

W stojaku na parasole nie było parasoli, ale pełno drobiazgów: bumerang, stara smycz psa, który dawno zdechł, bambusowa laska z ukrytym ostrzem, którą ojciec przywiózł z Polski wiele lat temu. Nie spuszczać wzroku z klatki schodowej, Pchła podeszła do stojaka, bezszelestnie wyjęła laskę i wysunęła ostrze. Trzymając ją przed sobą, ruszyła po skrzypiących schodach.

Na podeście było ciemno. Poszła korytarzem z nierówną podłogą i niskim sufitem. Sprawdzala pokoje zgodnie z procedurą, którą wpojono im na szkoleniu: jej pokój, pokój rodziców (pościel leżała w stosach na podłodze, bo Pchła nie miała serca, żeby ją schować). Pokój, w którym ojciec tamtego dnia bił Thoma po twarzy. Dwa gościnne pokoje na końcu. Pusto. Nie było nikogo poza nią i pompą do ciepłej wody.

Usiadła na najwyższym stopniu, wyłowiła telefon z kieszeni i wybrała numer Jacka Caffery'ego.

- Prowadzę - powiedział. - Przełączę cię na głośnik. - Zapadła cisza, po niej trzask. Pchła usłyszała stłumione dudnienie i wibracje silnika pędzącego w noc z prędkością stu kilometrów na godzinę. - Czemu dzwonisz?

- Znalazłeś go?

- Kogo?

Pchła roztarła nogi, próbując usunąć gęsią skórę.

- Tego stwora, którego szukałeś, Tikoloshe.

- Myślałaś, że zwariowałem, ale nie. W mieszkaniu tamtego dnia jednak ktoś był. I uciekł. Nazywa się Amos Chipeta. Jest nielegalnym imigrantem.

- Ile ma lat? Bo nie może być dorosły. Dorosły w żadnym razie nie przecisnąłby się przez to okno.

- Ale komuś z wadami wrodzonymi mogło się udać. Słyszałaś o dysplazji kostnej?

Pchła masowała skronie, przed oczyma przesuwaly się jej obrazy. W książce o afrykańskich przesadach, którą czytała w czasie operacji Norwegia, była ilustracja przedstawiająca Tikoloshe, a kiedy w umyśle nałożyła na nią fotografie, które widywała w podręcznikach medycznych, zaczynała rozumieć, o czym mówi Caffery.

- Nie - mruknęła. - Ale chyba mogę to sobie wyobrazić.

- To ci się spodoba. Pamiętasz, jak pytałem o nurkowanie swobodne? Amos Chipeta od tego zaczął, nurkował do wraków statków. Skończył na wplątaniu się w *muti* i awansował, ucząc naszych zbirów, jak rozczłonkowały trupy. Przyjemne CV.

- Jezu - bąknęła, myśląc o stopach w wodzie. Z takim cynizmem podchodziła do tych pięćdziesięciu metrów, a niektórzy najlepsi nurkowie swobodni zaczynali od wraków. Potem pomyślała o zapasowym kluczu na kominku. Amos Chipeta uczył ludzi z operacji Norwegia rozczłonkowały trupy. Co zrobiliby z tym, który jest w garażu?

- Próbujecie go znaleźć? Gdzie teraz jest?

- Nie wiemy - odparł Caffery po krótkiej chwili.

- Chcesz powiedzieć, że jest na wolności?

- Tak. Gdzieś się ukrywa. Pewnie mieszka po piwnicach. Nie wiemy.

- Czy on... Mówiąc o krojeniu trupów, nie chcesz chyba powiedzieć, że wciąż jest niebezpieczny?

- Niebezpieczny? - Znowu krótka przerwa, w czasie której Pchła słyszała tylko niskie warczenie samochodu toczącego się przez noc. - Tego też nie wiem. Ale myślę... - Caffery umilkł.

- Tak? - szepnęła. Ręce miała lodowate. - Myślisz...?

- Glastonbury Tor - powiedział. - To cholerne wzgórze.

- Co?

- Nic - mruknął Caffery. - Nic.

Zanim zdążyła się odezwać, przerwał połączenie. Została z telefonem w dłoni, w którym gaśł wyświetlacz, z hałasem silnika wibrującym jej w uszach.

Długo siedziała, czując przenikliwie zimno w całym ciele. Nielegalny imigrant? Na wolności? Ukradkiem przedzierający się przez lasy i żywopłoty?

Wstała, zbierając siły, by ponownie pójść do garażu i sprawdzić ciało Misty Kitson.

I wtedy ktoś zapukał do tylnych drzwi.

Kilka ostatnich spotkań Caffery'ego z Pchlą nie ograniczało się do wymiany ciosów, ale też trudno nazwać je serdecznymi. Dlatego niespodzianką, kłopotliwą niespodzianką był jej głos w słuchawce. W innych okolicznościach może skorzystałby z okazji i spróbował się dowiedzieć, dlaczego Pchła zachowuje się tak cholernie dziwnie, ale potem obraz skalistego wzgórza stanął mu przed oczyma i wybuch jaskrawego białego światła całkiem go rozproszył. Był wtedy na szybkim pasie M5, na ogonie siedział mu rajdowiec w golfie GTi. Rozłączył się i gwałtownie zwolnił, na co rajdowiec pokazał mu środkowy palec.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Połowę wieczoru Caffery spędził, próbując dociec, z kim Lucy się spotykała - kto był ojcem dziecka i co z tym dzieckiem się stało. Dostał nakaz na bank, ważny na jutro rano, i od pierwszego brzasku będzie na nowo przesłuchiwał przyjaciół Lucy i jej lekarza, wystąpi też o drugi, podpisany przez magistrat nakaz udostępnienia archiwów wszystkich miejskich oddziałów położniczych z ostatnich dwudziestu miesięcy. Zrobił wszystko, co w jego mocy. O wpół do jedenastej pokonany, z wrażeniem, że zabrnął w ślepią uliczkę, wyszedł z pracy.

Wypuścił z dłoni telefon i zjechał na środkowy pas, ignorując audi i obraźliwe gesty. Glastonbury Tor. Od paru dni kształt tego skalistego wzgórza przypominającego wysoki pudding krążył mu na granicy świadomości. Ale dopiero teraz wszystko zaczynało nabierać sensu. Wyrównał samochód na pasie, utrzymując wskaźnik prędkości na stu kilometrach i kurczowo ściskając kierownicę. Oczyma wyobraźni widział Jamesa Pooleya, właściciela sklepu z używanymi rzeczami, który patrząc na przyciski do papieru, dłonie ułożył w kształt wzgórza.

Można je tak ustawić, na przykład na parapecie, powiedział. Na przykład jeśli chcemy zwrócić uwagę na widok za oknem.

To dlatego Pooley nie miał pokwitowań sprzedaży. Lucy mu nie płaciła. A pozostałe przyciski, które pokazał Caffery'emu, były w tym samym odcieniu błękitu co jej obrazy. Skąd Pooley by wiedział, że Lucy lubi ten kolor, gdyby nie był w jej pracowni i nie widział obrazów? Skąd by wiedział, że z okna miała widok na wzgórze? Zwłaszcza że chroniła pracownię przed intruzami. Czy to są rzeczy, które naturalnie wypływają podczas zwykłej rozmowy? Caffery sądził, że nie. Myślał, że to Pooley nakręcił filmik z Lucy w pracowni.

Zadzwoił do szefa techników przeszukujących mieszkanie Susan Hopkins, ale telefon był wyłączony, więc Caffery zostawił wiadomość: „Zastanawiam się, czy w mieszkaniu Hopkins były jakieś antyki albo przyciski do papieru. Czy natknąłeś się na etykietkę z nazwą »Emporium«? Oddzwoń, jak tylko będziesz mógł. Nawet jeśli odsłuchasz wiadomość o drugiej nad ranem”.

Następnie zadzwonił do wydziału informacji i poprosił o sprawdzenie Jamesa Pooleya, ale facet był czysty. W okolicy mieszkało trzech mężczyzn o tym nazwisku, dwóch w Wiltshire, jeden w Somerset. Do każdego Caffery miał co najmniej półtorej godziny jazdy. Kiedy się zastanawiał, od którego zacząć, zorientował się, że mija zjazd do Brislington. Włączył lewy kierunkowskaz i skręcił z autostrady. Wjechał na most i trzymając mocno kierownicę, skierował samochód na pustą drogę.

Bramy małego centrum handlowo-usługowego strzegł ochroniarz, który smacznie spał w swojej budce z egzemplarzem „Mirror” rozłożonym na brzuchu i kubkiem zimnej kawy z żółtym kożuchem mleka na stoliku. Caffery musiał mocno walić w ścianę, żeby go obudzić. Facet na pewno nie stawał na głowie, żeby utrzymać tę robotę, bo nawet słowem nie protestował, a chociaż widział legitymację i orientował się, że to jakaś sprawa policyjna, wpuściwszy Caffery’ego, natychmiast wrócił do przerwanej drzemki.

Pierwszą rzeczą, którą Caffery zauważył na końcu parkingu, były otwarte przesuwne drzwi Emporium. Dziwna rzecz o tej porze, nawet z ochroniarzem pilnującym terenu. Caffery wyłączył silnik i uchylił okno. Nie paliły się żadne lampy, tylko mlecza poświata Bristolu odbijała się od chmur i otulała wszystko szarością. Caffery dostrzegł widmowe zarysy najróżniejszych przedmiotów ustawionych pod ścianą. W odległości sześciu metrów parkowały dwa samochody, zwrócone do niego przodem. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do informacji i nie sprawdzić numerów rejestracyjnych, ale z Emporium dobiegł go dźwięk, od którego włosy stanęły mu dęba.

Pochylił się i otworzył skrytkę. Broń od pasera leżała utknięta za mapą i dwoma opakowaniami tytoniu. Nie może jej użyć. Przez chwilę wpatrywał się w tytoń, potem zamknął skrytkę i upewnił się, że w kieszeni ma pałkę i gaz pieprzowy. Wysiadł z samochodu, bezszelestnie zamknął drzwi, po czym szybko i cicho podszedł do budynku. Zatrzymał się nieco z boku, żeby ze środka nikt go nie widział. Odgłos był tu mocniejszy i chociaż Caffery wykrzywił twarz w skupieniu, nie potrafił go zidentyfikować. To mogło być zwierzę, jęki rannego lisa. Albo popłakujące dziecko.

Otworzył usta, żeby się odezwać, bo tak to powinno się robić. Należy ostrzec ludzi, że do środka wchodzi policja. Dać im szansę. Na co? Żeby nie spanikowali? Nie strzelali? A

może po prostu uciekli? Odsunął marynarkę z radia przypiętego do kieszeni na piersi, aby w razie potrzeby móc nacisnąć czerwony klawisz alarmowy, po czym wsunął się do pomieszczenia.

Sufit był wyżej, niż zapamiętał. W półmroku wyczuwał ogromne łuki nad głową. Słaba poświata miasta wpadała za jego plecami, przed nim sine światło komputera albo faksu sączyło się przez zakurzone szyby biura. Przypomniawszy sobie klientkę rozplątującą żyrandol i przystanął obok niskiej dębowej ławki. Jedną ręką opierając się o nią, drugą trzymając na gazie, skupił się na odgłosie, który zdawał się dobiegać zewsząd i znikąd, jakby rykoszetem odbijał się od krokwi. Co to jest? Czuł gęsią skórę, bo jednego był pewien. Odgłos wydawała istota żywa.

W powietrzu unosił się też zapach, stary i bez nazwy, ale znajomy. Odczekał sekundę, próbując go umiejscowić, i uświadomił sobie, że pochodzi z ławki. Wolno się odwrócił, po części nie chcąc wiedzieć, o co właściwie się opierał. Podniósł dłonie. Potarł palce. Były czymś pokryte. Przysunął je do nosa i powąchał. Zapach sprawił, że zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. To był tłuszcz. Zwierzęcy tłuszcz.

Pamiętał tę ławkę z wczorajszej wizyty. Zniszczona, z pionowym ostrzem, wysoka na jakiś metr dwadzieścia, z pierścieniami u szczytu. Służyła garbarzom do „łamania” zwierzęcej skóry. Nadawania jej miękkości. Siadali okrakiem i przesuwali skórą po ostrzu. Skóra mogła pochodzić od zwierząt tak wielkich jak jeleń albo łoś. Albo małych jak pies.

Odgłos ucichł.

Caffery spojrział w ciemność, palcami muskając pałkę. Miał ochotę powiedzieć: *Wyjdźmy na zewnątrz. Wyjdźmy tam, gdzie jest trochę światła, gdzie stoi mój samochód i gdzie wiem, że to gówniane radio będzie działało.* Zamiast tego jednak spokojnym i cichym głosem oznajmił:

- Musimy pogadać. Proponuję, żebyśmy zapalili światła.

Milczenie. Pomiędzy krokwiami przeleciało stadko nietoperzy, Caffery słyszał ich popiskiwanie wydawane na niskiej częstotliwości.

- Jesteś tam?

Pomyślał o szalonej klientce bez końca porządkującej wiszące sople żyrandola. Przypomniawszy sobie wyraz porażki w jej oczach. Pomyślał o broni w skrytce.

- Pytałem: jesteś tam?

Za jego plecami rozległ się szczeł i głośny trzask. Okręcił się na pięcie i zobaczył, jak zasuwały się drzwi, zostawiając go w mroku w towarzystwie sinej poświaty komputera i własnego walącego serca.

Wyciągnął gaz. Sztywno trzymał go przed sobą. Dobrze, że pistolet leży w skrytce, bo mógłby go użyć.

- Nie pogrywaj ze mną, kurwa - powiedział. - Mówię poważnie. Nie pogrywaj.

Na oślepie zataczał łuki pojemnikiem z gazem, gotów go użyć, jeśli coś się na niego rzuci. Skóra go mrowiła, nasłuchiwał uważnie, by wyłapać najcichszy odgłos, najdrobniejsze poruszenie powietrza.

- Idę - powiedział. - Zbliżam się do drzwi.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Stopą zahaczył o jakiś przedmiot. Kiedy cofnął nogę, uświadomił sobie, że coś stoi kilkadziesiąt centymetrów na lewo i obserwuje go. Nie odwrócił się w tę stronę, ale patrzył przez siebie, kątem oka usiłując przyjrzeć się kształtowi.

Twarz, blada owalna twarz wpatrywała się w niego nieruchomo z mroku. Oddalona o prawie metr. Ktoś wysoki. Wysoki i wielki.

- Mogę zrobić ci krzywdę - mruknął. - Ja jestem wyszkolony, a ty nie. Mogę zrobić ci krzywdę, więc się odsuń.

Twarz się nie poruszyła, oczy nie drgnęły.

- Cofnij się, powiedziałem.

Wciąż nic. Z bijącym sercem Caffery w myślach planował akcję, uwzględniając odległości i skutki, jakie wywoła użycie gazu - nie tylko u tego świra, ale też w jego układzie oddechowym.

Raz, dwa, trzy, policzył w myślach. Raz, dwa, trzy - i można ruszać.

- Cofnij się! - Lewą ręką zasłonił twarz, prawą wyciągnął przed siebie. Najpierw chroń swoje oczy. - Powiedziałem, cofnij się, ty fiucie. Kurwa, cofnij się.

Trzy sekundy rozpylania, potem zwolnił dyszę i opuścił rękę, niezgrabnie się cofając i coś potracając. Łzawiły mu oczy, więc je zmrużył. Kształt się nie poruszył. Caffery wolno podniósł rękę. Serce biło mu wolno i mocno. Postać wciąż tam była. Nieruchoma, gładka twarz, po której wolno spływał gaz i zbierał się na brodzie w strumyk spadający w nicość. Oczy otwarte i szklane, żadnego kaszlu czy wymiotów, których Caffery się spodziewał.

- Cholera. - Caffery opuścił głowę. Splunął na podłogę.

- Cholera.

To była figura z wesołego miasteczka z obojętną twarzą lalki. Ciężko oddychając, Caffery odwrócił się do drzwi. Do diabła, gdzie jest Pooley? Którędy się wymknął? Za którym stosem mebli się ukrywa? Drzwi, pomyślał Caffery. Zaczynaj od drzwi. Zrobił krok do przodu, uderzył w coś klatką piersiową. Poczuł, jak przedramię zamyka mu się na gardle, jak dłoń na lędźwiach odbiera mu możliwość ruchu i ściąga na ziemię.

Przy tylnych drzwiach stała Katherine Oscar. Już miała ponownie zapukać.

- Na litość boską. - Pchła wypuściła szablę, która ze szczękiem spadła na podłogę, i oparła się o ścianę, przyciskając dłoń do czoła. - Na litość boską, więcej tego nie rób.

Katherine bacznie się przyjrzała znużonej twarzy Pchły, jej zmierzwionym włosom strąkami spadającym na ramiona.

- Wielkie nieba, co się stało?

- Jestem wykończona. - Pchła pokręciła głową. - To był długi dzień.

Katherine odpowiedziała przelotnym uśmiechem, jakby jej nie słyszała. Najwyraźniej przyjemność sprawiało jej przyłapywanie Pchły w najgorszych momentach: brudne włosy, niemodne płaszcze, brak zaproszeń do Ascot czy Cheltenham. Za to Katherine dawała punkty.

- Co u ciebie, Phoebe? Jak na ciebie wpływa ta twoja straszna praca?

Nie czekając na odpowiedź, zrobiła krok i wyciągnęła szyję, zaglądając do holu. Pchła przesunęła się, by jej to uniemożliwić. Katherine zawsze usiłowała wejść do domu i rzucić okiem na antyki, które - była o tym przekonana - Marleyowie zebrali podczas swoich podróży. W pokojach na piętrze leżało parę rzeczy, afrykańskie maski, rosyjskie lalki, pudelka z muszlami, które ojciec wyłowił w Palau, laska z ukrytym ostrzem. Poza tym jednak Katherine się myliła: nie było nic naprawdę cennego. Zapadło milczenie. Katherine się cofnęła, najwyraźniej uświadamiając sobie znaczenie gestu Pchły.

- Tak mi przykro. Bardzo przykro, zachowuję się niegrzecznie. Mama zawsze powtarzała, że brak mi manier.

- Jak długo tu stałaś?

- Jak długo? Tylko minutkę. Dlaczego?

- I na pewno nie zaglądałaś przez okno?

- Co za idiotyczny pomysł. Oczywiście, że nie.

- No tak. - Pchła położyła dłoń na klamce, dając znać, że rozmowę uważa za zakończoną. - W takim razie życzę dobrej nocy.

- Był dzisiaj człowiek z elektrowni - powiedziała Katherine. - Pokazałam mu, gdzie jest twój licznik.

Pchła zmarszczyła czoło. Licznik był w szopie na początku podjazdu.

- Wszłaś do mojej szopy?

- Tak.

- Nie mówiłam, że wolno ci tam wchodzić.

- Ciebie nie było. Ten biedak strasznie długo dzwonił do drzwi.

- Mogłam telefonicznie podać odczyt.

- Ja tylko chciałam pomóc.

- Następnym razem daj sobie spokój. Sama się tym zajmę. - Pchła uprzejmie skłoniła głowę i zaczęła zamykać drzwi. - Dobranoc, Katherine.

- Powiedział, że musiałaś włączyć mnóstwo urządzeń elektrycznych. O wiele więcej niż zwykle.

Pchła znieruchomiła w uchylonych drzwiach. Rzeźbiona twarz Katherine przez szybki w drzwiach wyglądała jak zdobiona koncentrycznymi kręgami. Po chwili milczenia Pchła znowu otworzyła drzwi. Zdawała sobie sprawę, że rysy ma skamieniałe, bo krew przestała krążyć pod skórą, która z zimna zsiniała.

- Słucham?

- Mówił... - Katherine obejrzała się przez ramię na pusty żwirowy podjazd, na ozdobne krzaki rzucające nierówne cienie na trawę, jakby także podejrzewała, że ktoś ją śledzi.

- Mówił, że jakieś urządzenie zżera prąd. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. - Jej wzrok zawędrował na garaż z oknami zasłoniętymi brązowym papierem. - Mówił, że powinnaś to sprawdzić.

Pchła zamknęła oczy i wolno je otworzyła. Wróciło lodowate uczucie strachu. Gnieździło się gdzieś w trzewiach.

- Co ty sugerujesz? - zapytała wolno.

- Nic. Przyszłam tylko, żeby ci o tym powiedzieć. I zapytać, czy zastanawiałaś się...

- Nie - odparła Pchła zimno. - Nie zastanawiałam się. Nie zmieniałam zdania i nie zmienię. A teraz dobranoc.

Katherine nabrała powietrza, żeby odpowiedzieć, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. Wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i z wdziękiem odeszła, unosząc drobną dłoń i przebierając palcami.

Pchła z progu odprowadzała ją wzrokiem. Kiedy Katherine zniknęła za rogiem, zamknęła drzwi na klucz i poszła do garażu. Wszystko wyglądało jak wcześniej. Sprawdziła papier na oknach i zasuwę na drzwiach. Upewniła się, że nie ruszono ciała Misty. Gdy nabrała przekonania, że nikogo tu nie było i nikt niczego nie mógł zobaczyć z zewnątrz, wróciła do

domu i zamknęła drzwi na klucz.

W salonie wzięła karafkę ze starego dębowego sekretarzyka ojca. To porto stało w karafce pięć lat. Na szyjce zebrał się cukier, a kiedy wyjęła korek, bogaty bożonarodzeniowy aromat niemal ją zalał razem ze wszystkimi wspomnieniami o ojcu: jak wracał z uniwersytetu w płaszczu pachnącym deszczem i dymem papierosowym z dworcowego peronu, jak wstawił się w drugi dzień świąt, jak z uśmiechem drzemał na sofie. Albo jak w starej sztruksowej koszuli stał w swoim gabinecie w suchy sobotni poranek, przez zsunięte na czubek nosa okulary z namaszczeniem przeglądał kamienie i od czasu do czasu wołał w stronę kuchni: „Jill, ten granit jest z okna krasowego w Telford czy z Castleton?”

Znalazła kryształową szklanekę, nalała do pełna i wypła jednym haustem. Nalała ponownie i znów wypła. Usiadła na podłodze, obejmując się rękami.

Gdyby była kimś w rodzaju Tanzańczyka, o którym mówił Caffery, tego Amosa Chipety, ciało Misty wcale by jej nie ruszało. Wiedziałyby, co z nim zrobić - to byłaby dla niej zwykła rzecz. Ale ta sytuacja nie była zwykła. I Pchła nie potrafiła odnosić się do niej z opanowaniem, rozsądkiem czy dystansem. Już nie. Nie od dnia, kiedy zdradził ją Thom.

Spojrzała na zegar. Jedenasta wieczorem. Za trzynaście godzin dostanie pieniądze. Będzie miała fotografię Thoma.

A co wtedy zrobi, tego nikt nie wie.

- Kurwa, o mało cię nie zabiłem! - Pooley z furią trząsał Cafferym, któremu krew z powrotem nabiegała do mózgu, a twarz się napinała. Leżeli obaj na podłodze, tam gdzie upadli, z głowami opartymi o kufer. Pooley trzymał Caffery'ego za kołnierz, chuchając mu nieświeżym oddechem w nos. - Słyszysz? Mogłem cię zabić!

Caffery czuł przenikliwy ból w miejscu, gdzie Pooley złapał go za jaja. Ledwo mógł złapać powietrze, ale po omacku poszukał pałki i już miał jej użyć, kiedy Pooley rzucił go na kufer, a potem odczołgał się kawałek i usiadł zgarbiony, plecami opierając się o wiktoriańskie witrażowe drzwi. Caffery zwinięty w kłębek dyszał.

- Co ty tu robisz? - Pooley splunął na ziemię. - Jak przeszedłeś przez ochronę?

Caffery wsunął pałkę do kieszeni i dał sobie chwilę na odzyskanie sił. Powoli usiadł, rozpinając koszulę i poluzniając krawat. Na szyi, w miejscach, gdzie materiał wbił mu się w ciało, miał obtarcia. Przy przełykaniu bolała go grdyka.

- Tak. - Głową wskazał legitymację, która wypadła mu z kieszeni na piersi i leżała jakiś metr dalej na gładkiej cementowej podłodze. - Mój bilet do wolności. - Przełknął znowu, potarł dłonią szyję. - Czemu zachowałeś się jak straż obywatelska?

- Wziąłem cię za rabusia. W zeszłym tygodniu było włamanie.

- A co z tą... tą ławką tortur? Co z nią robiłeś?

Pooley spojrzał w kierunku wskazanym przez Caffery'ego.

- Pytasz o stół do garbowania?

- Skąd go masz?

Pooley uniósł dłonie, jakby to nie miało znaczenia.

- Z garbarni. Dlaczego? - Lekko poruszył głową i w sieniej poświacie komputera Caffery zobaczył, że twarz ma mokrą. Płakał. To był ten okropny odgłos przypominający skomlenie zwierzęcia.

Caffery przyciągnął legitymację, włożył do kieszeni.

- Dlaczego płaczesz? Z powodu Lucy? Wiesz więcej, niż powiedziałaś, prawda?

Pooley kręcił głową.

- Chryste, och, Chryste.

- Mam rację. Tak?

- Tęsknię za nią... Tak bardzo za nią tęsknię... Nie postąpiłem wobec niej jak należy. Gdybym odszedł, Jane by się załamała.

- Jane? Twoja żona?

- Widziałeś ją.

- Twoją żonę? Wczoraj? To była ta kobieta z żyrandolem?

- Nie czuje się dobrze.

Caffery wypuścił powietrze nosem. Masz rację, cholera, nie czuje się dobrze, pomyślał. Poszukał w kieszeniach woreczka z tytoniem, który wszędzie ze sobą nosił. Do dupy z gumą nicorette, są w życiu takie chwile, kiedy musisz odrzucić dobre intencje i starym sposobem wprowadzić nikotynę do organizmu.

- Od jak dawna spotykałeś się z Lucy?

- Od dwóch lat. Odkąd go zostawiła. Tego drania Colina.

Caffery zrolował papierosa, czubkiem języka przesuwając po kleju na końcu gilzy. - Jak często się widywaliście?

- Raz albo dwa razy w tygodniu.

- Kiedy nie było twojej żony?

- W dni, kiedy odwiedza swoją rodzinę.

- A zabawki erotyczne?

- To kwestia czysto estetyczna.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Lucy uważała, że są ładne, to wszystko. Ale Colin, jej były, nie potrafił sobie z tym poradzić.

- Wiem. - Caffery zakręcił koniec papierosa. Poszukał w kieszeni zapalniczki. - Byłeś tylko ty? W życiu Lucy?

Pooley zadarł brodę i twardo spojrzał mu w oczy.

- Nie musisz tak na mnie patrzeć. Widujesz kobietę raz, dwa razy w tygodniu, nie możesz oczekiwać, że będzie na ciebie czekała, kiedy ty jesteś w domu i bawisz się w szczęśliwą rodzinę. - Caffery zapalił papierosa i przyglądał się Pooleyowi, mrużąc oczy przed dymem. - Po prostu chcę się upewnić, że byłeś ojcem dziecka.

- Dzie... - Pooley szarpnął głową ze zdumienia. - Jakiego dziecka?

- Nie udawaj. W ostatnich dwóch latach Lucy Mahoney miała dziecko. Co się z nim stało?

Pooley bezwładnie opuścił ręce.

- Nie - mruknął głosem trochę przerażonym, trochę zaskoczonym. - Nie. Coś

pomyliłeś. Nie było żadnego dziecka.

Caffery nie odrywał od niego wzroku. Facet udawał głupka.

- Nie kupuję tego. Nie da się magiczną sztuczką usunąć dziecka, choćbyś nie wiem jak próbował.

- Nie próbuję - odparł Pooley. - Mówię poważnie. Nie wiem, o kim mówisz, ale Lucy, moja Lucy, nigdy nie miała dziecka.

Wezwanie nadeszło tuż przed porannym pacierzem. Pielęgniarka, która pracowała z Susan Hopkins w klinice Rothersfield, noc spędziła u chłopaka i miała wyłączoną komórkę. O śmierci koleżanki dowiedziała się dopiero rano, kiedy przyszła do pracy. Zadzwoiła na 999, ponieważ sądziła, że wie o czymś, o czym nie wie policja, jako że nie miał o tym pojęcia żaden z członków personelu, których wczoraj przesłuchiowano. Dyżurny funkcjonariusz powiedział, żeby poczekała, ktoś zaraz do niej przyjedzie.

Beatrice Foxton mieszkała kilka kilometrów od kliniki. Kiedy Caffery zadzwonił i powiedział, że muszą porozmawiać, odparła, że to pora spaceru z psami. Klinikę otaczały pola, więc zaproponował, żeby się spotkali tam, zanim pójdzie porozmawiać z pielęgniarką.

Stali w porannym słońcu i patrzyli na psy, które biegały wokół długimi susami. Caffery znowu palił. Ramiona miał przygarbione, mięśnie szyi i barków napięte.

- Lucy Mahoney.

- O co chodzi? - Beatrice miała na sobie bluzkę z białego lnu, spodnie i płócienne espadryle. Dziwaczne uzupełnienie stanowiła zniszczona rękawica ogrodowa na prawej dłoni, którą rzucała psom tenisową piłkę.

- Miała liposukcję. - Caffery spojrział na podjazd kliniki, na starannie przystrzyżone trawniki, na żywopłoty z bukszpanu, kolumnadę, drogie samochody na parkingu. To tutaj trafiło siedem tysięcy z konta Lucy. James Pooley nie chciał mówić o operacji. Powiedział, że Lucy ukrywała ją przed ludźmi, a on nie widzi powodu, dla którego nadal nie miałby chronić jej prywatności. Podał jednak nazwę szpitala. Klinika Rothersfield. Ta sama, w której pracowała Hopkins. Cokolwiek połączyło obie kobiety, zdarzyło się tutaj. Caffery na razie nie wiedział, co to było. - Odsysanie tłuszczu. Dwa lata temu, tak mówi jej facet.

- Wiem.

Caffery westchnął.

- Tak podejrzewałem.

- Blizna wyglądała jak po cesarce, pamiętasz? Po twoim wyjściu otworzyłam ją i macica była nietknięta. Żadnej ciąży.

- Żadnej?

- Nigdy nie rodziła, nigdy nie była w ciąży. Cięcie było powierzchowne, nie naruszyło

organów wewnętrznych.

- Powiedziałaś, że fatalnie wygląda. Co miałaś na myśli?

- Nie chodzi o to, że było niechlujne, umiejętności chirurga nie podlegają kwestii. Znakomite umiejętności. Ale odniosłam wrażenie, że wykonał cięcie zbyt nisko, niżej niż potrzeba. Wyciął jej połowę wzgórka łonowego. Poza tym miała sympatektomię, sądząc po stanie blizny pewnie w tym samym czasie.

- Co miała?

- Przecięto jej zwój w układzie współczulnym, który kontroluje rumienienie się i pocenie twarzy. Pamiętasz te ślady pod pachami?

Przypomniał sobie. Dwie maleńkie blizny pod pachami.

- Zwykle takie blizny pozostają po biopsji płuc wspomaganą endoskopowo. Do klatki piersiowej wsuwa się cienką rurkę, przez którą wpychane jest ostrze. Ale w tym przypadku chirurgowi nie chodziło o płuca, tylko o nerwy. Wiele osób poddaje się temu zabiegowi i zwykle kończy się to fatalnie, trzeba go odwrócić, co także się nie udaje. Chirurdzy w Stanach zaczynają to sobie uświadamiać, obecnie zaciskają nerw na wypadek, gdyby pacjent zmienił zdanie. Zostaliśmy trochę w tyle.

Caffery zobaczył twarz Lucy na filmie - *Witaj w moim atelier* - przypomniał sobie jej palce muskające brzuch, policzki bez śladu rumieńca. Tej różnicy nie spowodowała przemiana duchowa czy większa pewność siebie, ale operacja. Jakimś sposobem to przegapił. Zaciągnął się mocno papierosem. Wszystko, absolutnie wszystko, co jak sądził, wiedział o Lucy Mahoney, było fałszem.

- Dlaczego nie...

Beatrice ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Ja wiem, co ty powiesz, ty wiesz, co ja odpowiem...

- Że wszystko jest w twoim raporcie? Że powinienem był go przeczytać?

- A przeczytałeś?

- Od kilku dni o niczym innym nie rozmawiamy. Musiał być moment, kiedy przyszło ci na myśl, żeby coś powiedzieć.

- Pytałam, czy przeczytałeś mój raport.

- Mogłaś mi powiedzieć. To wszystko. Napomknąć.

- Mogłam ci powiedzieć o wielu rzeczach. - Rzuciła piłeczkę seterowi. Pies skoczył w trawę, podnosząc zad jak koń. - Mogłam ci powiedzieć, że w wieku, nie wiem, chyba dwunastu lat złamała sobie żebra. Albo że miała fatalne zęby, cztery koronki i pięć wypełnień kanałowych. Mogłam ci podać kolor jej lakieru do paznokci i markę stanika. Żadna z tych

rzeczy nie wydawała się istotna, więc umieściłam je w raporcie i nie rozmawiałam z tobą o nich. Operacja kosmetyczna sprzed dwóch lat bez związku z przyczyną śmierci nie jest elementem wymagającym szczególnego podkreślenia. Moim obowiązkiem jest ustalenie przyczyny śmierci, a nie analiza zachowań denatki za życia, w dodatku na dwa lata przed zgonem. - Gwizdnęła na psa, wzywając go do powrotu. - Obawiam się, że ta część...

Caffery westchnął.

- Taa, taa. Wiem. - Zgasił papierosa i schował do kieszeni opakowanie tytoniu.

Ta część należała do jego obowiązków.

- Cięcie wykonam tutaj, w miejscu blizny po cesarskim cięciu, a następnie tę część odsunę.

Ruth siedzi na łóżku. Ma na sobie stanik i majtki. Nie zdjęła butów na wysokim obcasie, dlatego delikatnie opiera stopy, żeby nie rozdrzeć papierowego ręcznika i nie zostawić śladu na skórzanym obiciu. Pokój jest dobrze oświetlony, przestronny, z drewnianą boazerią, na której wiszą oprawne w ramki dyplomy chirurga. Za oknem ogrodnik kosi trawę. Klinika bez dwóch zdań należy do ośrodków z najwyższej półki. To nie jest miejsce, gdzie proszą o zapłatę z góry.

- Musimy odsłonić te mięśnie. - Chirurg unosi fałdę na brzuchu. - Potem je ściągnę, o, w taki sposób. Usunę część tłuszczu i skóry. Po operacji będzie miała pani dreny, po jednym z każdej strony, ale tylko przez czterdzieści osiem godzin. Niekiedy po liposukcji ten mięsień, mięsień prosty może trochę dokuczać - przesuwa palcem po jej brzuchu.

- Mogą też pojawić się nudności, dlatego podczas znieczulenia zrobię pani zastrzyk, OK?

- OK.

- Wie pani, że operacja wiąże się z pewnym dyskomfortem?

Pewien dyskomfort? W klinice Rothersfield z pięknie zaprojektowanymi ogrodami i boyami w ładnych czapkach? Z telewizją satelitarną w każdym pokoju i koktajlami z szampanem, kiedy pacjentka nie czuje się dobrze? Ruth sobie z tym poradzi. Wkłada T-shirt i obserwuje, jak lekarz wyciska żel na dłonie, wyciera je w nakrochmalony ręcznik i wraca do ogromnego biurka z obitym skórą blatem. Nie jest przystojny. Właściwie nie. Cokolwiek niechlujny. Za to z pewnością ma kasy jak lodu. Ruth akurat taki typ jest potrzebny.

Chirurg otwiera jej teczkę i gryzmoli kilka słów drapiącym piórem marki Montblanc. Na szkicu sylwetki kreśli kółka na brzuchu. Wyciąga arkusz różowego papieru i zaczyna wypełniać rubryki.

- Pali pani?

Ruth wkłada spódnice.

- Nie.

- Pije pani?

- Tylko jeśli pan też się napije.

Chirurg posyła jej zboląły uśmiech.

- Ile jednostek wypija pani tygodniowo?

- Nie wiem. Piję w towarzystwie.

- Powiedzmy dziesięć do dwudziestu jeden drinków tygodniowo?

- W sumie tyle wyjdzie.

- Mieszka pani sama?

- To brzmi tak, jakby proponował mi pan randkę.

- Pytanie jest ważne. Musimy wiedzieć, czy ktoś będzie się panią opiekował po wyjściu z kliniki.

- Tak. To znaczy mieszkam sama. Ale mogę poprosić syna. Z przyjemnością się mną zaopiekuje. - Ruth zapina bluzkę. Ten facet może i jest nadziany, ale nie ma za grosz poczucia humoru. Ruth schodzi ze stołu, siada naprzeciwko i zakłada nogę na nogę, napinając mięśnie, by łydki ładnie wyglądały. Palce opiera na kolanie. - Moja... hm... siostrzenica tu pracuje. Poleciała mi pana.

- Naprawdę? - Chirurg nawet nie podnosi głowy. - To miło z jej strony.

- Jesteśmy ze sobą blisko. O wszystkim mi mówi. Zwierza mi się.

- Zwierza?

Lekarz wciąż pisze. Wciąż nie jest zainteresowany.

- Mówiła, że jej zdaniem jest pan jednym z najlepszych chirurgów w klinice.

Teraz podnosi głowę.

- Dziękuję. Zawsze przyjemnie to słyszeć.

- Wydaje mi się, że rozmawiała z panem o...

- O upuście?

Ruth z ulgą oddycha.

- Właśnie, o upuście. Więc rozmawiała.

- Tak. Marsha się tym zajmie. To moja sekretarka. Wyznaczy pani wizytę i wszystko wyjaśni. Mam wolne terminy pod koniec czerwca.

Ruth mruży oczy.

- Kiedy mam zapłacić?

- Marsha wyśle pani rachunek.

Serce mocniej jej bije. Wystawianie rachunków trwa wiele dni. Tygodni. Będzie miała czas na wydojenie małej panny detektyw.

- Kiedy?

Chirurg patrzy na nią.

- Proszę się tym nie przejmować - odpowiada. - Będziemy w kontakcie.

Klinika Rothersfield z poczekalnią wyłożoną dębową boazerią, marmurowymi schodami i pokojami, z których przez przesuwne drzwi wychodzi się na rozległe trawniki, właściwie niewiele się różni od ośrodka Farleigh Park Hall, pomyślał Caffery. Ale na tym podobieństwa się kończą. Tutaj jest portier, pięciodaniowe posiłki wybierane z ręcznie pisanego menu i nikt nie oczekuje, że w ramach terapii pacjenci będą czyścili ubikacje. Na podjeździe szoferzy w mercedesach i bentleyach czekają, aż ich bogaci pracodawcy dojdą do siebie po liftingu twarzy.

Pielęgniarka Darcy Lytton czekała na niego w małym biurze na tyłach budynku z widokiem na ogród w stylu elżbietańskim, po którym spacerowało kilku pacjentów we frotowych szlafrokach. Jeszcze się nie przebrała i rzeczywiście wyglądała jak dziewczyna, która noc spędziła z chłopakiem: miała na sobie niechlujne obcisłe dżinsy, wysadzany ćwiekami pasek i czarny T-shirt z napisem: „Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabiła” na piersiach. Rozmazany makijaż też był wczorajszy. Siedziała z dłońmi wepchniętymi między kolana, przygryzając wargę. Widać było, że płakała.

- Co się stało? - Wstała, gdy Caffery wszedł do pokoju.

- Czy ona popełniła samobójstwo? Zostawiła list?

- Pani Darcy?

- Tak.

- Jestem Jack Caffery.

Uścisnęła mu rękę. Dłoń miała wilgotną i zimną.

- Napisała, dlaczego to zrobiła?

- Proszę usiąść.

Posłuchała. Caffery usiadł obok niej, lekko rozstawiając stopy, niemal dotykając ją kolanem. Pochylił głowę, żeby widzieć jej twarz.

- To dla pani wielki cios, prawda?

- Nie tego się spodziewałam, kiedy dzisiaj przyszedłam do pracy.

- Jest pani w stanie rozmawiać?

- Już sporo powiedziałam, powiedziałam im, jak... - Zwróciła wzrok na Caffery'ego. -

Ciągle myślę, że coś powinnam była zrobić.

Położył jej dłoń na ramieniu. Głupio postąpił, bo ściśle rzecz biorąc, nie powinien nawet przychodzić tu w pojedynkę. Nigdy nie wiadomo, do jakich oskarżeń są zdolni ludzie. Wschodnioeuropejskie dziewczyny w Dover nabrały zwyczaju wyczekiwania, aż znajdą się sam na sam z gliniarzem, wpychały sobie dłonie w majtki i zanim się biedak zorientował, wycierały palce w jego rękę. A potem wrzeszczały, że je napadł - i kto mógł temu zaprzeczyć, skoro badanie DNA było jednoznaczne? W dzisiejszych czasach uczono gliniarzy, żeby chodzili parami. Ale ta dziewczyna sprawiała wrażenie, że brakuje jej sił, żeby pójść do toalety, a co dopiero przypuścić atak.

- Ja też jestem z policji - powiedział. - Ale pytania, które pani zadam, pewnie będą się różniły od tych, które zadawali pani przez telefon. W porządku?

- Co było w liście? - Darcy przycisnęła do nosa zwiniętą w kulkę chusteczkę. - W liście pożegnalnym?

- Była nieszczęśliwa. Czowała się opuszczona.

- Nie opuszczona. Nie wierzę w to. Miała mnóstwo przyjaciół. Jej rodzice są wspaniali, naprawdę rewelacyjni, wie pan, jak na rodziców. I Paul przyjeżdża. Tylko o tym mówiła. Przygotowywała się przez cały tydzień.

- Dobrze ją pani znała?

- Od wielu lat wszystko robiłyśmy razem. Potem się ścięłyśmy, to było jakieś pół roku temu, i od tego czasu właściwie schodziłyśmy sobie z drogi, ale nie na poważnie, rozumie pan. Utrzymywałyśmy luźne stosunki, żeby nie musieć rozmawiać o tamtej kłótni. Ale w pracy wszystko było między nami w porządku, żartowałyśmy i plotkowałyśmy.

- Dyżurny mówi, że ostatni raz widziała ją pani wczoraj w porze lunchu.

- Tak, w szatni. Ja się przebierałam, przygotowywałam do randki. Ona szła do toalety. Stałam przed lustrem i zobaczyłam, jak wychodzi z kabiny i myje ręce... dlatego jestem taka...

- Przygryzła wargę. - Dlatego jestem taka rozbita, bo myślę, że chciała mi coś powiedzieć, ale się śpieszyłam i nie słuchałam. Później postanowiłam do niej zadzwonić, tylko że telefon miała wyłączony. Nie zostawiłam wiadomości.

- Kiedy ją znaleziono, telefon był wyłączony. Usunięto rejestr. Czy miała zwyczaj to robić?

- Nie sędzę. Jedno wiem na pewno: nigdy nie wyłączała komórki. Nigdy.

- Niech mi pani jeszcze raz powie, co się stało w szatni.

- Chodziło o jej twarz. Ona... - Darcy urwała, zastanawiała się, jak to wyjaśnić. - Wie pan, jak wygląda człowiek, który przed chwilą coś zobaczył, ale nie potrafi uwierzyć własnym oczom? Ma taką minę, jakby nie był pewien, czy potraktować to jak żart czy wręcz

przeciwnie. - Znowu wytarła oczy. - Śpieszyłam się, więc spojrzałam w lustro i pytam: „Co jest, Suse?”, na co ona pokręciła głową i mówi: „Znasz pielęgniarki z pooperacyjnego?”. Ja na to: „Nie, a dlaczego pytasz?”. „Bo moim zdaniem wszystkie są tępe, nie widzą, co się dzieje pod ich nosem”, tak mi odpowiedziała.

Caffery uniósł brwi. Darcy pokiwała głową.

- Wiem. Ja też jestem tępa, bo słuchałam tylko półtuchem. Myślałam, że Suse ma ochotę obgadać inne pielęgniarki, ale potem ona mówi: „Chyba wariuję. Wydaje mi się, że przed chwilą widziałam, jak jeden z chirurgów coś kradnie”.

- Co kradnie?

- Nie mówiła. Nie sędzę, żeby chodziło o pieniądze albo cenne rzeczy, bo słowo „kradnie” wypowiedziała dziwnym tonem, jakby to nie było właściwe określenie. Jakby nic bliższego nie przyszło jej do głowy. A teraz, jak się nad tym zastanawiam, jestem przekonana, że cokolwiek chciała mi powiedzieć, było naprawdę dziwne. Miała to wypisane na twarzy. Jakby zobaczyła coś naprawdę strasznego.

- Skąd przyszła?

- Z sali operacyjnej.

- Mówiła, który chirurg operował?

- Nie. Wydaje mi się, że wczoraj pracowała z kilkoma.

Nastąpiło krótkie milczenie. Darcy spojrzała na Caffery’ego, nie rozumiejąc znaczenia swoich słów.

- Boże, tak mi przykro. Niewiele pomogłam, prawda?

- Niech pani nie będzie przykro - odparł Caffery. Musiał się powstrzymać, żeby znowu nie poklepać jej po ramieniu. - Wręcz przeciwnie, bardzo pani pomogła.

Dyrektorka kliniki nie miała pojęcia, co Susan Hopkins rozumiała przez „kradzież”. W sali pooperacyjnej pacjentom nie wolno mieć rzeczy wartościowych, wszystkie w chwili przyjęcia chowano w centralnym sejfie. Za pokwitowaniem. Na dowód pokazała Caffery’emu rejestr. Dzień nie układał się tak, jak sobie zaplanowała, i Caffery mógłby jej współczuć, choć nie sądził, że to usprawiedliwia arogancję. Usta zaciskała jak wielbłąd dupę podczas burzy piaskowej. A kiedy ją zapytał o nazwiska chirurgów, z którymi wczoraj pracowała Susan Hopkins, poszła na całość. Oznajmiła, że klinika tylko wynajmuje pomieszczenia i sprzęt chirurgom. Z przyjemnością poda mu nazwiska trzech lekarzy, do których wczoraj przydzielona została Susan Hopkins, ale nie poinformuje o szczegółach operacji i w żadnym razie nie udostępni danych pacjentów. Proszę bardzo, Caffery może spróbować szczęścia z sekretarkami chirurgów, ale sekretarki medyczne znane są z konserwatywnych zasad w tym względzie i osobiście nie wróży mu powodzenia, jeśli nie będzie miał nakazu, zakończyła wyniośle.

Okazało się jednak, że nie miała racji. Sekretarka prowadząca dokumentację dwóch chirurgów, Davidsona i Hunta, miała słodką buzię. Znała Susan Hopkins i słyszała o jej śmierci. Cała klinika tylko o tym mówiła.

- Chciałbym przejrzeć dokumentację.

- Nie powinnam panu nic mówić. - Niespokojnie stała w progu biura, jakby chroniła skarb. - Pan o tym wie, prawda? Powinnam poczekać na nakaz.

- Susan nie popełniła samobójstwa. Czy ten szczegół do pani dotarł?

- Niektórzy tak mówili.

- Niewykluczone, że jej śmierć łączy się z innymi sprawami. Rozumie pani, co to znaczy?

Nie odpowiedziała. Krew odpłynęła jej z twarzy, nawet usta pobieleły.

- Seryjny zabójca - syknął, pochylając się ku niej. Srebrna kula. Najbardziej przerażające słowa, jakie może usłyszeć kobieta. - Istnieje prawdopodobieństwo, że mówimy o seryjnym zabójcy.

Sekretarka przygryzła wargę. Rozejrzała się po korytarzu, żeby się upewnić, czy nikt ich nie obserwuje.

- O Chryste. - Cofnęła się, by go wpuścić. - Mogą mnie za to wylać. Szybko. Niech pan zamknie drzwi. Mamy problemy z serwerem. Informatycy mieli przyjść rano, ale... Ach, jest. Czego mam szukać?

- Pacjentów obu chirurgów w pierwszych dniach maja dwa lata temu. - Caffery stanął obok niej i patrzył na ekran.

- Konkretnie chodzi o odsysanie tłuszczu z brzucha i sympatektomię podczas jednej operacji.

- Zachowujemy dane przez pięć lat. Nigdy nie wiadomo, jakie zarzuty ludzie upichcą. Bardzo o to dbam. Proszę.

- Przestała przewijać pliki. - Pan Davidson wykonał liposukcję piątego, i to wszystko. Później to były głównie operacje nosa. Pan Hunt czwartego wykonał trzy operacje korekcyjne, usuwanie blizn to jedna z jego specjalności. Wie pan, do niego przychodzą ludzie z tym, co inni lekarze sfuszerowali. Pan Hunt jest dobry. Naprawdę dobry. Nie wykonywał sympatektomii.

- A kto robił liposukcję?

- Pan Davidson. Paul.

- Nazwisko pacjentki?

- Karen Cooper.

- Żadna z pacjentek nie nazywała się Mahoney?

- Nie. - Dziewczyna spojrzała na ekran. - To wszystko. Nazwiska mogą być fałszywe, ludzie się wstydzą i na to nic nie możemy poradzić, ale operacje są prawdziwe. W ciągu tych trzech dni była tylko jedna liposukcja i żadnego zabiegu na układzie współczulnym. Ani u pana Hunta, ani u pana Davidsona. Nie przypominam sobie, żeby któryś z nich kiedykolwiek taką operację wykonywał. Przykro mi.

Caffery wstał i położył na biurku wizytówkę.

- Gdzie siedzi sekretarka pana Gerbera?

- Na końcu korytarza. Pracują tam trzy sekretarki, panu potrzebna jest Marsha. Wystarczy, że pójdzie pan za zimnym powietrzem.

- Zimnym powietrzem?

- Jestem wredna. Mówię tylko, że życzę szczęścia, kiedy w królestwie Marshy bez nakazu poprosi pan o dokumentację jej chirurga. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Mało elastyczna?

- Do głowy przychodzą słowa w rodzaju „woda” i „kamień”. Albo „Cruella”.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Caffery.

W biurze były trzy stanowiska pracy, ale jako że trwała przerwa na kawę, tylko jedno zajęte. Przez Marszę. Niezlomną Marszę. Wysoką i majestatyczną z idealnie czarnymi włosami równo spadającymi na ramiona, dość pomarańczową cerą i owalnymi, podkreślonymi czarną kreską oczami. Jeśli wiedziała o ksywce „Cruella”, to robiła wszystko, by na nią zasłużyć. Miała na sobie długą wąską spódnicę, wysokie szpilki i fioletową bluzkę z bufiastymi rękawami. Usta pociągnęła ciemną szminką przywodzącą na myśl atak serca. Z pewnością nie należała do osób, które pozwalają sobą rządzić.

- Cześć. - Caffery rozejrzał się, znalazł krzesło i usiadł. Dłoń trzymał w kieszeni, palcami przesuwając po klawiszach komórki. - Pani jest sekretarką pana Gerbera?

- Kto pyta?

Dobry początek, Cruello. Wolną dłonią wyłowił wizytówkę i położył na biurku.

- Pan Gerber jest w klinice?

- Nie.

Marsha studiowała wizytówkę. Monitor odwrócony był tyłem do wszystkiego: okna, drzwi, koleżanek. Marsha dopilnowała, żeby nikt nie mógł wsunąć się za nią i zerknąć na ekran.

- Ma dzisiaj dyżur?

- Nie. Już skończył. Będzie w piątek. O co chodzi, jeśli wolno spytać?

Caffery nacisnął klawisz komórki. Rozległ się sygnał.

- Przepraszam. - Wstał, podszedł do drzwi, wyciągnął telefon, wciąż trzymając palec na klawiszu, spojrzął na wyświetlacz i cofnął palec. Sygnał umilkł.

- Halo?

Marsha obserwowała go z kamienną twarzą zza biurka.

- Muszę odebrać - powiedział cicho. - Zaraz wracam. Wyszedł, mamrocząc do słuchawki. Zatrzymał się na końcu korytarza poza zasięgiem słuchu osób siedzących w biurach. Wybrał numer recepcji.

- Tu kurier UPS. Mam przesyłkę dla pana Gerbera. Czy to dobry numer?

- Tak.

- Zjeżdżam z A432. Będę u was za kilka minut.

- Proszę skrócić w drugi zjazd po prawej. Jest tam nasza tablica.

- Mam mało czasu. Muszę zaraz jechać dalej. Mogłaby pani kogoś poprosić, żeby poczekał na mnie na podjeździe?

- Nie wiem. Zaczyna wam to wchodzić w nawyk.

- Taa, przepraszam.

- Nie zawsze mogę to zrobić.

- Ratuje mnie pani.

- Ho, ho, to dopiero zachęta. - Recepcjonistka westchnęła. - Może się pan na mnie zdać. Poproszę jego sekretarkę. Ale tylko tym razem.

- Grzeczna dziewczynka.

Zanim wrócił do biura, recepcjonistka już zadzwoniła. Marsha stała, odkładając słuchawkę.

- Muszę wyjść. To nie potrwa długo.

- Nie ma sprawy. - Caffery usiadł. - Poczekam. Spojrzała na niego, na krzesło, na którym siedział. Na komputer. Pochyliła się i z wielkim opanowaniem, wielkim rozmysłem się wylogowała. Zdejmując torebkę z krzesła, posłała Caffery'emu wymuszony uśmiech. W odpowiedzi także się uśmiechnął i podniósł rękę. Jeśli nie można zaufać gliniarzowi, to komu? Tak zawsze powtarzała matka, doprowadzając ojca do śmiechu.

Kiedy wyszła, stanął przy oknie i czekał, aż zobaczy ją na podjeździe. Kroczyła z zadartą wysoko brodą. Napięta i opanowana, z założonymi rękami, patrzyła prosto przed siebie. Trzydziestodwuletnie doświadczenie nauczyło go, że dziewczyny, które ubierają się i zachowują jak Marsha, w sypialni są zupełnie inne. Faceci snuli fantazje o pejcach, skórze, dominacji, ale takie jak ona zawsze pragnęły w łóżku więcej łagodności niż te, które nosiły sweterki z angory. Poza sypialnią jednak Marsha i jej podobne bywały prawdziwymi drapieżcami. Załatwiła go na szaro tym wylogowaniem. Cholera, będzie musiał się postarać o pieprzony nakaz. Czysta strata czasu.

Spojrzał na komputer. Nie, pomyślał. Nie ma szans, żeby dostał się do plików. Najmniejszych. Z drugiej strony niegrzecznie byłoby nie spróbować. Usiadł na krześle Marshy, wpatrując się w ekran. Dwie wolne rubryki: NAZWISKO UŻYTKOWNIKA i HASŁO. Wąskie gardło: w filmach bohater trafia przy trzeciej próbie. Przeszukał biurko, szukając podpowiedzi. Nic. Przesunął rękoma po komputerze, otworzył szuflady i pomacał, czy nie przyklejono do nich karteczek. Też nic. Odwrócił tabliczkę z nazwiskiem Marshy ku sobie. Marsha Wingett. W rubryce NAZWISKO wpisał „m. wingett”. Kurwa, a co tam?, pomyślał i w rubryce hasło wpisał „Cruella”. Nacisnął „enter”. Na ekranie zaświeciła się

wiadomość: „Ojej! Zapomniałeś hasła?”.

Usunął Cruellę. Wpisał „Cruellai”. Nacisnął „enter”.

„Ojej! Zapomniałeś hasła?”

Jakby ktoś specjalnie mu przeszkadzał. Caffery wiedział, że nie ma za wiele czasu. Marsha nie będzie wiecznie czekała na podjeździe na nieistniejącą przesyłkę. „Zimna suka”?

„Ojej! Zapomniałeś hasła?”

- Pięć osiem siedem QU zero.

W progę stała kobieta, obojętnie mu się przyglądając. Piaskowe włosy związane na karku, torebka na ramieniu oraz - kto by w to uwierzył? - sweterek z różowej angory. W dłoni trzymała kubek kawy ze Starbucksa, kluczyki wisiały jej na palcu.

- Przepraszam?

- Powiedziałam: „pięć osiem siedem QU zero”.

- Jej hasło?

- Tak.

Wpisał sekwencję cyfr i liter. Nacisnął enter. „Zapomniałeś hasła?”

Spojrzał na kobietę, kobieta spojrzała na niego.

- No i? - Czekał, aż kobieta się odezwie.

Mruknęła niecierpliwie, podeszła do niego i przyjrzała się ekranowi. W uszach miała kolczyki z białymi perłami.

- Błąd w nazwisku użytkownika. Po inicjale nie ma kropki.

- Powinienem był wiedzieć.

- Racja.

- Serwer zachowuje się jak muł. Działa w ślimaczym tempie.

Spojrzała na niego, jakby na jej oczach zmienił barwę.

- Wiem. To ja zgłosiłam wam usterkę.

Caffery zamknął oczy. Otworzył. Jakie były szanse?

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Kiedy zajmie się pan moim komputerem?

- Za dwadzieścia minut. Jak skończę z tym.

Podeszła do stolika na drugim końcu pokoju, postawiła kawę, zdjęła sweterek i starannie powiesiła na oparciu krzesła. Dziecięcy róż. To jedna z tych, które przejdą po tobie w ostrych szpilkach, pomyślał Caffery, usuwając kropkę. Nacisnął „enter” i ekran ożył. Dzisiejsze konsultacje Gerbera.

Tamta sekretarka używała identycznego systemu, więc wiedział, jak się w nim

poruszać, chociaż baza pracowała powoli, serwer miał dane z szybkością konia pociągowego. Wrócił do informacji sprzed dwóch lat i znalazł interesujące go dni. Nazwisko Lucy Mahoney było jak cios. 4 maja o dziesiątej rano doktor Georges Gerber wykonał u niej liposukcję i sympatektomię.

Georges Gerber.

Strzał w dziesiątkę. Mam cię, draniu.

Zamknął bazę, wylogował się i wstał w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się Marsha.

- Witam.

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Wychodzi pan?

- Muszę porozmawiać z panem Gerberem.

- Nie ma go. - Spojrzała ponad jego ramieniem na krzesło, na którym wcześniej siedział. - Wydaje mi się, że już panu o tym mówiłam.

- Wie pani, gdzie teraz jest?

- W domu? - Minęła go i przez chwilę stała, znowu wpatrując się w krzesło. Powiesiła torebkę na oparciu i usiadła - ostrożnie, jakby się bała, że krzesło ją oparzy albo się pod nią załamie. - Pewnie w domu, nie wiem. Kilka minut temu dzwoniłam do niego, ale nie odebrał.

- Dziękuję, Marsha. Bardzo mi pani pomogła.

Był w proggu, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Czekał z dłonią na klamce. Wolno się odwrócił. Dziewczyna w różowej angorze przerwała pracę i obserwowała ich ponad monitorem.

- Tak?

- Widziałam się z innymi sekretarkami. Mówiły, że przegląda pan dokumentację pacjentów.

- Tak jest.

- Baza danych działa wolno, ale działa. - Przyciągnęła ku sobie klawiaturę. Zalogowała się. - Jeśli pan chce, możemy przejrzeć dane pacjentów pana Gerbera.

Caffery patrzył na jej czarne włosy, małe ciemne oczy. Przez sekundę chciało mu się śmiać. Marsha, pomyślał, niech cię Bóg błogosławi, wszystko cofam. Jesteś aniołem, Samarytanką. I pewnie tygrysyką w łóżku.

- Dziękuję, ale rozmawiam z panem Gerberem osobiście.

- W takim razie wydrukuję panu jego adres.

Kiedy po skończonym odcinku *Home and Away* Ruth nalewa sobie trzeci rum z colą, ktoś puka do drzwi. Patrzy na zegar. Dopiero pierwsza po południu. Mała panna detektyw powiedziała, że będzie później. Ruth irytuje się na myśl, że mogła już przyjść. Próbuje wykombinować, jak podejść do tematu, jak zażądać wyższej sumy. Może przez rum jeszcze nie uporządkowała tej sprawy w głowie i to ją też denerwuje.

Pukanie się powtarza. Zirytowana odstawia drinka, idzie do holu i zakłada łańcuch na drzwiach.

- Kto tam?

Ale kiedy wygląda, widzi, że na progu stoi Gerber, chirurg z kliniki. Ostatnia osoba, której by się spodziewała. Ma na sobie dziwny strój, coś jak bluza z dżinsu, ale w dłoni trzyma butelkę szampana i uśmiecha się nieśmiało.

- Ruth?

- Tak?

- Przepraszam.

- Za co?

- Nie powinienem tu być.

- Dlaczego nie?

- To niezgodne z etyką. Gdybym nosił kapelusz - śmieje się smętnie - teraz trzymałbym go w ręce.

Zaintrygowana Ruth otwiera szerzej drzwi. Gerber wygląda dziwnie w promieniach słońca. Ma delikatne kości, mały nos i szopę przeplecionych siwizną sztywnych włosów, które nerwowo przeczesuje palcami. - Kiedy pytałem, czy mieszkasz sama, Ruth, wykroczyłem poza swoje uprawnienia. To należy do obowiązków personelu.

- Hę?

Gerber przygryza wargę i patrzy na drogę. Kiedy zwraca wzrok na Ruth, coś do niej dociera. Myśli o mercedesach i astonach martinach na służbowym parkingu kliniki. Myśli o wizytach w pubie, kiedy przy stoliku wyczekuje, aż ktoś się do niej odezwie. A potem wspomina, jak siedząc naprzeciwko chirurga, założyła nogi.

- Na imię mam Georges.

- Witaj, Georges.

- Mogę wejść? Nie zostanę długo, jeśli nie będziesz chciała.

Ruth wpuszcza go do środka. Georges rozgląda się, idąc korytarzem. Ruth podąża za nim, na moment przystając przed lustrem, by zetrzeć grudki tuszu z kącików oczu. Pośpiesznie wyjmuje z ust gumę, którą żuła, i odkłada do popielniczki, po czym przytyka dłoń do warg i sprawdza swój oddech.

Kiedy wchodzi do salonu, Georges stoi na środku.

- Ładny dom.

Ruth poprawia ramiączko stanika i upewnia się, że piersi ładnie sterczą. Że rzucają się w oczy.

- Napijesz się czegoś?

- Byłoby miło, jeśli to nie jest problem. Co ty pijesz?

- Ja... - Wskazuje szklanekę na barku. - Rum z colą, ale mogę poczęstować cię czymś innym.

- Rum z colą. - Georges się uśmiecha. W gruncie rzeczy wcale nie jest taki brzydki, wymaga tylko pewnej pielęgnacji. - Doskonale.

Chirurg siada na sofie, równo ustawiając stopy, i patrzy, jak Ruth przyrządza drinka. Kiedy kobieta się odwraca, widzi, że Georges oburącz trzyma butelkę szampana.

- Chyba trzeba go schłodzić.

- O tak. - Veuve Clicquot. Stevie go uwielbia. Ruth stawia szklanekę na stoliku i bierze butelkę. Jest ciepława. Idzie do kuchni, wkłada szampan do zamrażarki, obkłada woreczkami z lodem. Kiedy wraca do salonu, Georges stoi przy barku i ogląda fotografie. W środku wisi zrobione w Grecji zdjęcie delfina. Ruth staje obok Georges'a.

- Śliczne zwierzę. - Bierze swoją szklaneczkę i upija łyk. - Zgadzasz się?

Gerber odwraca się i patrzy na nią.

- Na myśl przychodzą mi śliczniejsze istoty.

Ruth ma ochotę zachichotać, ale się powstrzymuje. Georges nie należy do typu mężczyzn, którzy lubią chichotanie. Jest poważny. Ma klasę. Ruth z uśmiechem wskazuje inną fotkę.

- Mój były mąż. A to mój syn. Mieszka niedaleko. Od czasu do czasu do mnie wpada. Poza tym jestem sama, jak ci mówiłam.

- Przepraszam, że cię wypytywałem. Przepraszam za dzisiejszą wizytę. Sprawiałś, że się zdenerwowałem, to wszystko. - Siada na sofie. - Wszystko zepsułem.

- Nieprawda. Byłeś uroczy, po prostu uroczy.

Gerber dłonią wskazuje ścianę.

- Opowiedz mi o delfinach. Jak rozumiem, sporo żeglowałaś.

Usatysfakcjonowana jego zainteresowaniem, Ruth siada na fotelu i wygładza spódnicę. Opowiada o zwierzętach, o delfinach w Grecji, o nurzykach, które widziała lecące nad portem pod Sitges. Gerber pozwala jej mówić. Zadaje mnóstwo pytań: jak to jest mieszkać na łodzi? Czuje się szczęśliwsza na suchym lądzie? Czy koty wolą być w domu? Jego zdaniem to miłe, że Ruth hoduje tak wiele zwierząt. Ruth dochodzi do wniosku, że Georges jest uroczy. Pozory mylą.

- Skończyłaś swojego drinka.

Ruth zerka na szklankę i rzeczywiście, jest pusta. Długo rozmawiali. Georges swojego drinka nie tknął. Kręci się, spogląda w stronę kuchni.

- A co z szampanem? Myślisz, że już się ochłodził?

Ruth idzie do kuchni. Z lodówki wyjmuje butelkę, z szafki dwa kryształowe kieliszki, które Stevie ukradł w restauracji na Sardynii. Odkorkowując szampana, czuje przelotny zawrót głowy. Odstawia butelkę i opiera się o blat, by odzyskać równowagę. To do niej niepodobne. Zwykle się nie zdarza, żeby kilka rumów z colą ścięło ją z nóg. Odkręca kurek, nabiera wody w dłonie i pije, wyciera usta ścierką do naczyń i wraca do szampana. Kiedy chce postawić otwartą butelkę obok kieliszków na tacy, znowu coś się z nią dzieje. Butelka łąduje z trzaskiem na blacie i w ciągu kilku sekund Gerber jest przy niej.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze - uśmiecha się Ruth. - Wspaniale. Tylko trochę...

Wyciąga dłoń. Gerber bierze ją pod ramię i prowadzi do salonu. Pomaga usiąść w fotelu.

- Słabo ci?

- Dziwnie się czuję.

- Wiem dlaczego. Kiedy w czasie wizyty zmierzyłem ci ciśnienie krwi, pomyślałem, że powinno być niższe.

- Moje ciśnienie... Co mówiłeś?

- Nie ruszaj się. Mam przy sobie lek.

- Lek? Nie mam problemów z ciśnieniem. Lekarz mówi, że jest dobre jak na mój wiek.

Spuszcza wzrok. Gerber wyjmuje z kieszeni brązową buteleczkę i wytrząsa z niej na dłoń tabletki, które wydają się wielkie i bardzo białe.

- Na co są?

- Obniżą ci ciśnienie. Od razu poczujesz się lepiej.
- Głową wskazuje komputer. - Jakie masz hasło?
- Hasło? - Ruth przyciska palec do głowy. Pokój sprawia wrażenie mniejszego niż zwykle. - Po co ci...

- Muszę sprawdzić dawkowanie. Jakie jest hasło?
- Stevie2i.
- Ile ważysz?
- Ile... Nie wiem.

Gerber idzie do komputera i Ruth słyszy stukanie w klawisze. Głowę ma zbyt ciężką, żeby na niego spojrzeć. Opiera ją na dłoni i przez moment wyobraża sobie, że jest z kamienia i przy najlżejszym ruchu pęknie. Gerber wraca, wsypując jej na dłoń garść tabletek.

- Aż tyle?
- To lek homeopatyczny.

Homeopatyczny. Słyszała o tym. Wkłada tabletki do ust i bierze od Gerbera szklanekę z colą. Tabletki są gorzkie, drapią ją w gardło, ale przełyka je na dwa razy.

- Powinnaś wybrać się na przejażdżkę. Zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdzie jest twój samochód?

- Na zewnątrz - mamrocze Ruth. Ma wrażenie, że usta wypełnia jej kurz. - Na zewnątrz... - Odchyła głowę, próbując skupić na nim wzrok. - Obok patia.

Usiłuje wstać, ale nie potrafi. To jednak jej nie martwi, wręcz przeciwnie, mniej nie mogłaby się przejmować. Stopy ma daleko, bardzo daleko. Nogi zmieniły się w migotliwe słupy światła. Spogląda na buty i myśli: Jakie są piękne. Czerwone i błyszczące jak rubiny. Dzięki ci, Boże, za te śliczne buty.

- Klucze.

Gerber jest obok niej. Potrząsa nią. Ruth podnosi ciężkie powieki.

- Gdzie są klucze?
- Chyba muszę coś zjeść.
- Nie. Powiedz mi, gdzie są klucze.
- Wiszą w holu. - Klucze do drzwi frontowych też?
- Tak. Ale po co ci moje klucze?

Zamiast jego odpowiedzi słyszy odległy świergot ptaków. Kiedy szuka go wzrokiem, pojmuje, że wyszedł. Opada z powrotem na fotel. Oczy uciekają jej w głąb czaszki. Widzi konstelacje światła. Widzi skaczące delfiny i rubinowe buty.

- Nie ma to jak w domu - mruczy z uśmiechem. - Nie ma jak w domu.

Unosi się ku gwiazdom. Obok jest Stevie, trzyma ją za rękę.

Mamo, lepiej będzie, jak wstaniesz. No, wstań.

Witaj, Stevie, kochanie. Jesteś dobrym chłopcem. Bardzo dobrym.

Słuchaj, wstawaj z tego kurewskiego fotela. Suka.

Stevie, co ty mówisz?

Przestań o nim gadać i...

Ruth otwiera oczy. Światło jest zbyt jaskrawe. Georges z uśmiechem nachyla się nad nią.

- Wstań z fotela - mówi zachęcająco. - No, wstań.

Ruth z wysiłkiem się podnosi. On ma rękawiczki, myśli.

Wcześniej tego nie zauważyła. Ma lateksowe rękawiczki. Ale z drugiej strony cały dzisiejszy dzień jest dziwny, naprawdę dziwny, jak sen.

Gerber chwytą ją pod ramię i Ruth daje się prowadzić w stronę drzwi.

Wiele lat temu instruktor powiedział Caffery'emu, że jeśli kiedykolwiek na paradzie poczuje się słabo, powinien spojrzeć na zieleń: drzewo, trawnik - kolory oddziałują na mózg, powstrzymują go od zablokowania się i złożenia broni - więc kiedy wysiadł z samochodu na cichej wiejskiej drodze przed domem Georges'a Gerbera, przez chwilę stał ze wzrokiem utkwionym w porośniętą trawą brzeg. Był otępiały z braku snu. Musiał oczyścić myśli.

Darcy powiedziała, że Susan Hopkins przyłapała Gerbera na kradzieży. Lucy go szantażowała: może groziła, że pozwie do izby lekarskiej z powodu liposukcji. Może także była świadkiem kradzieży czy jakiegoś dziwnego zdarzenia w sali pooperacyjnej. Dwa lata trwało, zanim uznał, że ma dość szantażu, i zabił Lucy. Z Susan Hopkins sprawy potoczyły się szybciej. Może doprowadziła do konfrontacji, a może zabicie Lucy go podkreśliło i zdecydował się zrobić to ponownie w tak krótkim odstępie czasu.

Jeden z pierwszych motyli fruwał samotnie nad trawnikiem i żywopłotem otaczającym dom, zwabiony błękitem nieużywanego basenu. Basen był bardzo czysty, bez śladu szlamu na ścianach. Caffery stanął na palcach i rozejrzał się. Około sześciu metrów dalej wznosił się charakterystyczny piaszkowy wzgórek i kłapa szamba. Sam dom stał na prawo: kwadratowy i szary, oddalony od drogi. Cała działka była schludna, dobrze utrzymana. Schludna, ale coś tu nie gra, pomyślał Caffery, opadając na pięty. Na przekór porządkowi coś było nie tak.

Polizał dłoń, przyglądał włosy, zapiął marynarkę. Do domu prowadziło dwoje drzwi. Caffery najpierw zadzwonił do pomalowanych na niebiesko frontowych. Nikt nie otworzył, więc poszedł do drugich, znajdujących się w niskiej, usytuowanej pod kątem dobudówce z zamkniętymi okiennicami, wąskim portykiem i małym gankiem ze staroświecką wycieraczką po lewej. Zadzwonił. Czekał, przyglądał się przykręconej do frontowych drzwi miedzianej tabliczce z napisem: Dr Georges Gerber, chirurg plastyczny.

Brak odpowiedzi. Poszedł wzdłuż bocznej ściany do domu, zaglądając do okien. Na końcu się zatrzymał. Okiennice były zamknięte. Wyjął z kieszeni szwajcarski wojskowy nóż i podważył zasuwę. Otworzył okiennicę.

Jakieś dziesięć centymetrów od okna zbudowano ścianę z pustaków. Caffery przycisnął nos do szyby. Ściana na wysokość i długość ciągnęła się poza zasięg jego wzroku. Z prawej zobaczył wentylację w postaci sześciu pustaków perforowanych.

Cudownie, uśmiechnął się Caffery, wspaniale, panie Gerber, czuję zapach pańskiej krwi.

W południowo-wschodnim Londynie z prawem do zatrzymania i przeszukania wiązały się długie, skomplikowane kwestie. Kiedy Caffery był konstablem, jego szef wobec problemu zastosował technikę chowania głowy w piasek i rzucił większość swoich ludzi do wyrabiania wyników w innego rodzaju przestępstwach. Włamania i bezprawne wtargnięcia spadły na Caffery'ego. W ciągu dwóch miesięcy sporo się nauczył o sprytnych sposobach wchodzenia do cudzych domów.

Pojechał do oddalonej o dziesięć kilometrów wioski i w sklepie żelaznym zaopatrzył się w potrzebne rzeczy. Resztę Gerber wielkodusznie sam mu zapewnił, zostawiając otwartą szopę z narzędziami koło basenu. Czy ludzie nie wiedzą, że trzeba zamykać szopy? Jeszcze to do nich nie dotarło? Hej, Georges, pomyślał, trudno pojąć taki beztroski stosunek do bezpieczeństwa. Zaniósł drabinę i wiertarkę za dom, gdzie nikt nie mógł zobaczyć go z drogi. Usłyszy samochód z wielu kilometrów. Jeśli ktoś się pojawi, będzie miał czas ukryć narzędzia.

Cokolwiek Gerber robił w tym specjalnym pomieszczeniu, z pewnością klucza nie nosił z innymi ani nie chciał, żeby policja tam wpadła, gdyby włączył się alarm. Co oznaczało, że systemu prawdopodobnie nie podłączono do centrali i umieszczono tylko po to, żeby wprowadzić w błąd ewentualnych intruzów. Mimo to Caffery przeciął kabel telefoniczny w punkcie oddalonym od domu o dziesięć metrów. Oparł drabinę o ścianę, umocował dziewięćmilimetrowe wiertło na wiertarce, wspiął się na wysokość skrzynki z alarmem i wywiercił dziurę w literze T w nazwie firmy, dokładnie w miejscu, gdzie farba była najciemniejsza, co gwarantowało, że z daleka nikt otworu nie zobaczy. Potrząsnął pojemnikiem z pianką montażową, wsunął dyszę w otwór i napełniał skrzynkę, aż przednia ścianka wydała cichy odgłos i lekko się wybrzuszyła. Czarną taśmą zakleił lampę stroboskopową, zszedł i odniósł drabinę do szopy.

W domu i wokół niego panowała cisza. Przez cały czas, który Caffery tu spędził, drogą nie przejechał żaden samochód osobowy, ciężarówka ani motocykl. Mogły się tu dziać różne rzeczy i nikt by o nich nie wiedział. Na lewo od drzwi frontowych znajdowało się okienko z mrożonego szkła, które wyglądało jak okno toalety. Okleił je taśmą i rozbił rękojeścią wiertarki. Wsunął do środka rękę i otworzył zasuwę. Wspiął się do środka,

zeskoczył na pokrywę sedesu i wyszedł na korytarz.

Gdzieś tutaj powinna być skrzynka alarmu. Kiedy alarm się włączy, hałas zwali go z nóg. Zostało mu jakieś dziesięć sekund.

Wszedł do pomieszczenia, które wyglądało na gabinet: ściany wykładane dębową boazerią, puszyste dywany i zasłony związane sznurkami. Meble były klasyczne, choć niezbyt eleganckie: bogato zdobione mahoniowe biurko z blatem z zielonej skóry, sofa w stylu królowej Anny, wielkie olejne pejzaże na ścianach. Okna wychodziły na basen. Skrzynki z alarmem nie było. Caffery szedł dalej, minął małą kuchnię, garderobę z ustawionymi w szereg gumowcami i płaszczami marki Barbour na wieszakach. Znalazł się na drugim korytarzu, gdzie słońce padało na kosztowną podłogę z orzecha. Minęło ponad dziesięć sekund, a alarm nie zadziałał. Teraz jednak widział skrzynkę na końcu korytarza, przymocowaną nad solidnymi dębowymi drzwiami zamkniętymi na kłódkę.

Na alarmie nie migało światelko, sygnałów dźwiękowych też nie było. Z sufitu mrugały do niego czujniki na podczerwień, po obu stronach drzwi umieszczono dwa sensory kontaktowe. Caffery pojął, że sygnału nie było, ponieważ wcale nie chodziło o ochronę przed intruzami domu, tylko przybudówki.

Caffery podszedł do skrzynki. Przeciął snopy podczerwieni i lampa momentalnie zaczęła mrugać. Obwód drukowany zwykle znajdował się za baterią, najlepiej zniszczyć jedno i drugie. Przytknął wiertarkę do skrzynki, skrecone opiłki dryfowały w powietrzu, gdy wiertło przebijało się przez ściankę. Wiertarka podskakiwała mu w dłoniach, szczękając o metal. Zawył alarm, na dwie sekundy kompletnie ogłuszył Caffery'ego, wreszcie wiertło trafiło na obwód. Jeszcze jeden sygnał i zapadła cisza, choć Caffery'emu nadal dzwoniło w uszach.

Poruszył łańcuchem i nacisnął klamkę. Na drzwiach oprócz kłódki były cztery zamki. Wrócił do gabinetu i sprawdził szuflady w biurku. Górna była zamknięta na klucz, więc znowu skorzystał z wiertarki. Nie przejmował się, co powie Powers na ewentualne roszczenia Gerbera, już wkroczył w świat kłopotów dyscyplinarnych, uszkadzając alarm. Skoro się powiedziało A...

Klucze były w szufladzie, pasowały do zamków. Kolejna lekcja skutecznej ochrony mienia, panie Gerber. Z kłódką nie było problemów, półminutowy strumień środka do zamrażania rur, łom przyłożony pod odpowiednim kątem i rozpadła się na cztery części. Caffery otworzył drzwi.

Kiedy wszedł do mrocznego pokoju, w nozdrza uderzył go zapach, który znał z kostnicy i firm pogrzebowych. Gardło mu się ścisnęło. Formalina. Na wszelki wypadek

przekręcił klucz w zamku. W półmroku dostrzegał kształty: po lewej rząd wysokich do sufitu zamrażarek, po prawej masywny warsztat jak w staroświeckim szkolnym laboratorium. Na końcu pokoju były lekko uchylone drzwi. Caffery podszedł do nich i wyjrzał - prowadziły na kręte schody. Nasłuchiwał, ale z góry nie dobiegał żaden odgłos, więc te drzwi też zamknął na klucz i zapalił górną lampę.

To była jarzeniówka, zbyt jaskrawa na pomieszczenie tej wielkości, jakby do wykonywanej tu pracy potrzebne było dobre światło. Lodówki stały po prawej ręce Caffery'ego, na ścianie przed nim wisiały różne medyczne schematy, wszystkie związane ze skórą: gruczoły potowe zaznaczone na czerwono w bezpłciowych czarno-szarych zarysach ludzkiej sylwetki, skóra rozwieszona na haku i odsłaniająca wewnętrzne warstwy, tłuszcz, cebulki włosowe i naczynia krwionośne.

Ale dopiero to, co kątem oka dostrzegł na warsztacie, naprawdę podniosło mu adrenalinę.

Leżały na nim ułożone w wyraźnym porządku narzędzia i haki, jakby na coś czekały. W niektórych rozpoznawał garbarskie noże do zdejmowania skóry i usuwania resztek mięśni, innych nigdy dotąd nie widział. Wyglądały na specjalistyczne instrumenty chirurgiczne. Na środku warsztatu znajdował się szereg bloków z klamrami. Na czymś takim rozciąga się zwierzęcą skórę.

Zwierzęcą skórę.

Obdarty ze skóry pies z całą pewnością nie był robotą Amosa Chipety.

Depczę ci po piętach, przyjacielu. Czuję twój zapach. Jestem już blisko.

Otworzył lodówkę. Rozległo się delikatne syczenie zimnego powietrza. Caffery zajrzał do środka. Każdą półkę wypełniały pojemniki w rodzaju tych, w które mama pakowała dla niego i Ewana śniadania do szkoły. Wszystkie były opisane; przez przezroczyste ścianki Caffery widział, jak ciecz w środku lekko się kołysze.

Wyciągnął jeden pojemnik. Był zimny, nieco lepki, pachnący formaliną. Na wieczku widniało przyklejone zdjęcie młodej kobiety. Na początku Caffery myślał, że jest martwa. Z zamkniętymi oczami leżała na plecach (obiektyw skierowany był z góry, w taki sposób czasami fotografuje się zwłoki w kostnicy), na ustach i nosie miała maskę. Poza bandażem na piersiach i zwiniętą w kłęb kwiecistą bawełną na kolanach była naga. Przyjrzał się uważnie i stwierdził, że kolor skóry nie wskazuje na śmierć. Przeniósł wzrok na bawełnę: koszula używana na sali operacyjnej. Szpitalne łóżko. Kobieta nie była martwa, tylko pod narkozą. Może już odzyskiwała przytomność, bo nie miała maski krtaniowej.

Pod zdjęciem widniał drukowany tekst: „Nazwisko: Pauline Weir. Data urodzenia:

4.5.81. Data operacji: 15.7.08. Operacja: zmniejszenie piersi”. Pod tekstem widniał zarys kobiecej sylwetki, podobny do tych na ścianie. Czerwonym długopisem zaznaczono dwa półokręgi pod piersiami.

Caffery zaniósł pojemnik na stół i ostrożnie go otworzył. Siedem lub osiem skrawków skóry pływało w przezroczystej brązowej cieczy. Jak eksponat w muzeum medycyny.

Nałożył wieko, wrócił do lodówki i wyjął inny pojemnik. I znowu na wieku fotografia kobiety na łóżku, nagiej z wyjątkiem koszuli ściągniętej do kolan i bandaża na brzuchu. Żaden anestezjolog nie zostawi nieprzytomnej pacjentki, ale okres rekonwalescencji nadzoruje tylko do pewnego momentu, potem zastępują go odpowiednio przeszkolone pielęgniarki, które można przekonać, by opuściły salę. Jeśli takie polecenie wyda im chirurg. Czy to miała na myśli Susan Hopkins, kiedy powiedziała: *Wszystkie są tępe, te z pooperacyjnego, skoro nie widzą, co się wyprawia pod ich nosem?*

Otworzył pojemnik. W środku był pojedynczy owalny skrawek skóry, zbiełały i pomarszczony od formaliny. Odstawił pojemnik na miejsce i przeglądał rząd po rzędzie, aż trafił na literę M. Mahoney Lucy. Kiedy go otworzył, zobaczył ostatni fragment układanki.

Fragment Lucy Mahoney, który nie trafił na stół sekcyjny. Kawatek jej wzgórka łonowego, wciąż z włosami.

Przez wiele, wiele lat to był sekret Gerbera.

Przez wiele lat dzięki sprytnym posunięciom i sposobom, których nikt nigdy nie odkrył, Gerber kradł skórę operowanym przez siebie kobietom.

Caffery usłyszał nadjeżdżający samochód. Schował pojemniki i bezszelestnie opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi. Kopnięciem odsunął opilkę i wychodził z frontowych drzwi, kiedy nieskazitelny niebieski mercedes skręcił na podjazd. Model 500 AMG ze wszystkimi udogodnieniami.

Nie miał pojęcia, czy kierowca widział go w drzwiach, więc odsunął się od budynku i stanął w słońcu. Mercedes zahamował. Po chwili drzwi się otworzyły i wysiadł drobny, siwiejący mężczyzna. Miał koło pięćdziesiątki i nierzucający się w oczy wygląd. Wyjątek stanowiła jego dziwna bluza. Dżinsowa, z karczkiem, wyglądała na strój, który w latach siedemdziesiątych nosili artyści. Jej przód znaczyły wilgotne plamy.

- Georges Gerber?

Mężczyzna spojrział na drogę, potem na Caffery'ego.

- A kto pyta?

Caffery pokazał odznakę.

- Inspektor Jack Caffery.

Gerber zamknął oczy i zaraz je otworzył, jakby robił Jackowi zdjęcie. Nagle jego twarz pojaśniała.

- Gdzie moje maniery? - Białą jak kreda dłonią odgarnął włosy z twarzy. - Proszę wejść. - Zamknął samochód, wyjął klucz i otworzył frontowe drzwi na oścież. Uśmiechnął się. - Zaparzę kawy.

Caffery schował legitymację i za gospodarzem poszedł do gabinetu. Gerber krzątał się przy ekspresie, Caffery stało bok fotela i lekko się kołysał, żeby mieć na oku trzy rzeczy: Gerbera, który wepchnął do ekspresu dwie saszetki i teraz napełniał filiżanki, oraz dwoje drzwi, frontowe i prowadzące do pokoju z lodówkami, gdzie leżała rozbita kłódka.

- Więc tak - powiedział Gerber uprzejmie, odwracając się do gościa - łatwo mnie pan znalazł. Długo pan tu jest?

- Przed chwilą przyjechałem. - Caffery uśmiechnął się do niego chłodno. - Dlaczego pan pyta?

- Z uprzejmości - odparł Gerber lekko. - Nawiązuję rozmowę.

Położył podstawkę na małym stoliku obok fotela i postawił na niej filiżankę. Kiedy się

wyprostował, Caffery zauważył, że Gerber się poci. Nie nadmiernie, po prostu czoło pokrywała mu słaba warstewka wilgoci.

- Mój ojciec służył w policji. Był głównym inspektorem w Hampshire.

- Naprawdę?

Dlaczego jeszcze mnie nie zapytałeś o powód mojej wizyty? Kiedy zamierzasz to zrobić?

- Czuję, że z policją łączy mnie pewne podobieństwo. - Gerber przysunął stolik do sofy i postawił na nim swoją filiżankę. Wrócił do ekspresu i chwilę stał odwrócony plecami do Caffery'ego, otwierając opakowanie herbatników. Z królewskim herbem. Wysypał je na talerz. - Naprawiam błędy. No, wie pan. Sprawiam, że świat staje się lepszy. Herbatnika?

- Nie, dziękuję.

- Proszę się napić.

- Jak będę miał ochotę.

Caffery w żadnym razie nie zamierzał nic jeść ani pić w tym domu. Toksykologia nie wykazała żadnych innych środków odurzających, ponieważ Gerber jako lekarz miał dostęp do temazepamu w postaci płynnej. Mógł dolać go kobietom do drinka, niczego by nie zauważyły. Wiedząc, że Lucy Mahoney nie przepisano temazepamu w postaci płynnej, a lek wyjdzie na badaniu toksykologicznym i może wskazywać na morderstwo popełnione być może przez jakiegoś lekarza, później nakarmił ją tabletkami, by uzasadnić obecność tego środka we krwi.

- Czy z kawą jest coś nie w porządku?

- Niech pan mi to powie, panie Gerber. Jest z nią coś nie w porządku?

Gerber znieruchomiał, po czym szybko odwrócił się do Caffery'ego. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz. Plamy na bluzie wciąż były wilgotne. Gdyby to była woda, pomyślał Caffery, już by wyschła.

- Przepraszam - mruknął Gerber. - To jakaś zagadka?

- Nie, pytam pana wprost. Czy w mojej kawie coś jest? Na przykład płynna benzodiazepina.

- Co? - Gerber położył dłoń na czole. - Wielkie nieba, to takie dezorientujące. Wprawia mnie pan w konsternację.

- Nie przyjechałem przed chwilą, Georges. Jestem tu od długiego czasu. Zdążyłem obejrzeć twój pokój. Wiem, co robisz.

Gerber upuścił herbatniki. Rozsypały się po stoliku, część spadła na podłogę. Stał ze zwieszonymi bezwładnie rękoma, nie próbując ich pozbierać.

- Istnieje wyjaśnienie - powiedział sztywno. - Mogę wyjaśnić wszystko, co pan widział.

- Ja też to mogę wyjaśnić. Lucy Mahoney cię przyłapała, tak? Zobaczyła, co robisz, co jej zabrałeś. A może przypomniała sobie, że ją fotografowałeś? Tak to było?

- Snuje pan jakąś fantazję. Jeśli pozwoli pan wyjaśnić...

- Szantażowała cię. A potem co się stało? Podejrzewam, że zażądała za wiele. Chciała kupić dom, jej wymagania rosły. Nie miałeś wyjścia. Jesteś złodziejem. Sądząc z tego, co widziałem, od lat kradniesz skórę jak seryjny morderca, który zabiera część ciała ofiar. Te kobiety były twoimi ofiarami.

- Ofiary? - Gerber spojrział na Caffery'ego. - To brutalne określenie. Żadnej z nich nie skrzywdziłem. Po moich operacjach czuły się lepiej.

- Są ofiarami. Nie wyraziły zgody.

- Skóra to część dzieła mojego życia. Stu-studiuję skórę. Próbuję stworzyć skórę syntetyczną.

- Co takiego? - roześmiał się Caffery. - Och, to jest świetne, doktorze Frankenstein.

- To prawda. Niech pan jeszcze raz zajrzy do tego pokoju. Zobacz pan pudła od innych producentów.

- Nie jestem głupi, szanowny panie Gerber. Na podstawie swojej ograniczonej wiedzy powiedziałbym raczej, że to, co robisz, nie ma nic wspólnego z produkcją skóry syntetycznej, za to wiele z seksem.

Twarz Gerbera przez moment była wyprana z emocji. Zamrugął.

- Powiedziałbym, że jakkolwiek może to wyglądać z wierzchu, tego rodzaju zachowanie zawsze ma podłoże seksualne. Jaki masz problem, Georges? Nie staje ci? A może jak miałeś sześć lat, matka zmuszała cię, żebyś ją kapał?

Gerber mrugnął raz, drugi, trzeci.

- Fotografowałeś te kobiety nagie. Bóg tylko wie, co jeszcze z nimi robiłeś, kiedy były na wpół przytomne. I zabierałeś trofea na pamiątkę. Patrzyłem na te... na te okazy i nie potrafiłem opędzić się od pytania: czy gdybym je zbadał, znalazłbym na nich twoje nasienie?

Gerber przestał mrugać. Otwierał i zamykał lewą dłoń, jakby chciał czegoś dotknąć. Podszedł do stołu, na którym zostawił filiżankę.

- Nic dziwnego, że pan nie pije. Stolik stoi za daleko.

- Stoi tam, gdzie trzeba. - Proszę. - Gerber się pochylił. - Pozwoli pan, że go przesunę.

- Powiedziałem, że nie trzeba...

Caffery poczuł bolesne uderzenie w łydkę. Stracił równowagę, z krzykiem potoczył

się po sofie. Niezgrabnie wstał, przewracając fotel, i odwrócił się do Gerbera, który wciąż się pochylał i z lekko przekrzywioną głową go obserwował. W dłoni trzymał coś w rodzaju dłuta lub przebijaka, narzędzie używane do wyprawiania skóry. Przywierał do niego strzep spodni Caffery'ego. Sofę znaczyły długie smugi krwi.

- Dlaczego nie wypiełeś kawy, zasrańcu?

- Hej - wydyszał Caffery, macając się po nodze. Trafił na poszarpany materiał i coś jeszcze, rozdarty mięsień łydki.

- Nie masz pojęcia, jaki jesteś popierdolony.

Wolną ręką złapał krzesło i zrobił niepewny krok do przodu, próbując zamierzyć się na Gerbera, ale ten przesunął się w bok zręcznie jak tancerz i uderzył przebijakiem w skroń Caffery'ego. Ból sprawił, że pociemniało mu w oczach. Padł na brzuch, łapiąc się po drodze różnych przedmiotów, widząc, jak nogi sofy zbliżają się ku niemu.

Co się stało z sofą? pomyślał mglście, zderzając się z podłogą. Dlaczego sofa jest na tym kurewskim suficie?

Bank kazał Pchle czekać. Dochodziła druga, kiedy pojechała do Ruth z pieniędzmi w kopercie schowanej w skrytce. Było pochmurno, słońce ledwo przedzierało się przez chmury, ale ciepło, więc otworzyła okna w clio. Aromat rozkwitających na żywopłocie kwiatów wypełnił samochód.

Na skrzyżowaniu z A36 parkował lexus jednego z oddziałów z Taunton, obok stał stary peugeot. Pchła spuściła osłonę przeciwsłoneczną i spokojnie je minęła, patrząc przed siebie. Miała dzisiaj zwolnienie lekarskie i nie powinna tu być. Wellard dowodził, dostał instrukcje: niezależnie od poleceń inspektora miał trzymać oddział na północy obszaru poszukiwań, południową część zostawiając na koniec. Do piątej po południu. Do tego czasu Pchła będzie miała fotografię i znajdzie sposób, jak wyprowadzić Ruth z domu.

Na następnym zakręcie jadący z naprzeciwka motocykl zamigał światłem; motocyklista kciukiem pokazał drogę za sobą i dłonią przejechał po gardle. Dawał jej znać, że coś się stało, doszło do wypadku. Za zakrętem zwolniła. Jakies trzysta metrów dalej wóz patrolowy blokował jeden pas, przed nim stał policjant w odblaskowej kamizelce.

Zdjęła nogę z gazu, samochód po chwili się zatrzymał. Za bmw drogówki zobaczyła sprintera swojego oddziału i ambulans koronera. Cholera jasna, co oni tu robią? Wellard obiecał. Siedziała bez ruchu, obserwowana przez policjanta. Zanim zdążyła się pozbierać i zawrócić, zza sprintera ktoś wyjrzał i popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem. Wellard. Unosił brwi na jej widok.

Fatalnie. Nie da rady się wycofać. Zjechała na pobocze.

- Cześć. - Wellard z uśmiechem oparł się łokciem o dach. - Pracoholiczka, co, sierzancie? Przyjechałaś, choć jesteś na chorobowym?

Wyłączyła silnik ze wzrokiem utkwionym w kierownicę.

- Chyba wam powiedziałam, że tę część macie załatwić na końcu.

- Wypadła inna robota. Oficer dyżurny chciał, żeby ktoś jak najszybciej tu przyjechał. Inspektor nie miał nic przeciwko, nie myślałem, że ty...

- OK. OK. - Pchła patrzyła ponad jego ramieniem. W małej niszy za ekranem parkował samochód, który kiedyś widziała przed domem Ruth. Teraz dostrzegała tylko dach.

- Widzę, że są chłopcy z CSI. Co się stało?

- Samobójstwo.

- Przeterminowane? Dlatego was wezwali?

- Nie, całkiem świeże. Ciało jeszcze ciepłe. Jak mówiłem, przyjęliśmy wezwanie tylko dlatego, że byliśmy w tej okolicy.

Wypłowiąły od słońca dach samochodu pokrywały ptasie odchody. Na ten widok poczuła, jak serce ściska jej łód.

- To ten samochód, tak?

- Tak.

- Volkswagen?

Wellard zamrugął.

- Volkswagen? Tak, rzeczywiście. Poznałaś z tej odległości?

Pchła przycisnęła palce do skroni.

- Sierżancie, dobrze się czujesz?

- Tak... dobrze.

Wysiadła z auta, zostawiając kluczyki w stacyjce, i ruszyła na sztywnych nogach. Automatycznym gestem machnęła odznaką policjantowi przed taśmą, schyliła się pod nią i minęła furgonetkę. Dwaj ludzie z biura koronera swoim zwyczajem stali w środku kordonu, palili i cicho rozmawiali. Przeszła obok nich bez słowa.

Od razu zobaczyła worek na ciało i stojące obok pomarańczowe nosze. Jej ludzie zaglądali do otwartego samochodu. Widząc ją, podnieśli głowy. Uśmiechnęli się. Coś zawołali na powitanie, może żart. Nie słyszała ich. Patrzyła w punkt, gdzie pomiędzy ich nogami dostrzegła kobiecą łydkę, stopę w zielonych szpilekach, zadrapanie na kostce, rąbek krótkiej czarnej sukienki. Ramę okna od strony kierowcy porastał mech.

Odwróciła się, przyciskając dłonie do pośladków. Uniosła twarz do nieba i nabrała powietrza w płuca. Wypuściła je. Słońce przebiło się przez chmury w ostatniej próbie ogrzania świata, ale go nie widziała. Nie widziała, jak promienie wydobywają różne odcienie zieleni w świeżych pączkach na drzewach, jak oświetlają odległe wzgórza.

W ten pogodny majowy dzień czuła tylko, że niebo może ją zadusić. Niebo, świat i wszyscy ludzie mogą zepchnąć ją tak nisko, że w końcu po prostu przestanie oddychać.

Pewnie wczoraj wieczorem przesadziłem ze szkocką, pomyślał Caffery. W głowie potwornie mu dudniło, każdy ruch powodował, że fale ciśnienia galopowały z jednego ucha do drugiego. Przekonany, że coś przykrywa mu twarz, bo światło było tak słabe, przesunął dłonią po policzkach, ale nic nie znalazł. Pomacał przed sobą, spodziewając się trafić na pościel, uderzył jednak w coś twardego i szorstkiego. Za sobą trafił na tę samą solidną barierę.

Cieężko dyszał. Nie leżał w łóżku, ale w jakiejś ciasnej przestrzeni, piwniczce albo skrzyni o rozmiarach dwa i pół na dwa i pół. Skądś dobiegały echa i stęchły, nieprzyjemny odór. Mniej więcej trzy metry nad sobą widział zamgloną kulę światła.

Myśl. Zastanów się.

Wróciły niewyraźne obrazy: przebijak garbarza, krew na sofie. Caffery dotknął twarzy. Zasnęta krew na górnej wardze, obolały nos i guz na szczęce. Przesunął rękami po ciele. Miał na sobie garnitur, ale nogi pokrywała twarda skorupa. Pod kolanem ciało było spuchnięte i gorące w dotyku. Niżej trafił na ranę, w której materiał mieszał się z mięśniami.

Cholera, cholera, cholera. Spuścił głowę, ciężko oddychając. Przebijak. Gerber mierzący go spokojnym wzrokiem. Talerz z herbatnikami. Cios w skroń. Krew na sofie.

Pomacał się po torsie. Radio zniknęło. Telefon także. Telefon, pałka, portfel, gaz pieprzowy, szwajcarski nóż, kajdanki. Został mu tylko zegarek. Wyteżył wzrok: wpół do trzeciej po południu. Jest tu od trzech godzin. Wziąwszy pod uwagę, jak nieregularnie pojawiał się na posterunku, do wieczora nikogo jego nieobecność nie zastanowi.

Ustały zawroty głowy i zamazane światło zaczęło wydobywać kształty i perspektywę. Nasłuchiwał, co się dzieje na zewnątrz. Na początku była to wyłącznie cisza, przerywana jego oddechem. Potem usłyszał świergot ptaka i odległy warkot traktora. Znowu powąchał. Intensywny stary zapach, niemal słodki w porównaniu z wonią krwi i potu.

I już wiedział, gdzie jest.

W szambie przy domu Gerbera.

Krzywiąc się z bólu, podniósł się na łokciach i rozejrzał. Szambo było puste, pewnie od lat go nie używano, ale pozostały ślady przypominające o funkcji, jaką dawniej pełniło. Wyraźnie to czuł. Zamglone światło nad głową było światłem dnia sączącym się przez szpary

w pokrywie, do której prowadziła drabina umocowana na ścianie. Po prawej pod kątem prostym do sufitu wisiała wielka rura służąca do transportu nieczystości do przydomowej oczyszczalni. Na wysokości głowy gruba niemal na trzydzieści centymetrów żółtawa warstwa tłuszczu pokrywała ściany. Caffery leżał przez kilka minut, ignorując dudnienie w głowie i mierząc wzrokiem pokrywę, jakby to był przeciwnik.

Policzył do trzech i wstał. Nie obciążając prawej nogi, chwiejnie dowlókł się do drabiny i wspiął po kilku stopniach. Zawinał zdrową nogę o szczebel, wytarł usta wierzchem dłoni i zaciskając zęby, uderzył oburącz w wieko. Cicho skrzypnęło. Cisza. Caffery ponowił próbę. Nic. Za trzecim razem też nic nie osiągnął.

Przywarł do drabiny, ciężko dysząc. W większości przypadków tego rodzaju pokrywy rdzewiały i do ich otwarcia potrzebny był młot, ale ta stanowiła jedyne wejście do szamba. Tylko przez nią Gerber mógł go wrzucić do środka, więc niedawno musiał ją otworzyć. Caffery obmacał pokrywę dokładnie, próbując odkryć sekret. Znalazł trójkątny kawałek metalu z wierzchołkiem wbitym w sam środek zamka. Takie pokrywy zamykały się na zatrzask, zwykle mechanizm znajdował się od wewnątrz, ale Gerber pokrywę odwrócił i zamknął z góry. Drań. Nikt ze środka nie da rady otworzyć zamka bez narzędzi.

Wyplątał nogę i zszedł na dół. Nierówną podłogę, zrobioną z mieszaniny kamieni i podsypki, pokrywała stwardniała warstwa tłuszczu i papieru toaletowego. Mchy i zielska sprawiły, że była gładka w dotyku. Przesuwając po niej palcami, natrafił na dwa zardzewiałe bolce, opakowanie z żywności, które pewnie wrzucił tu wiatr, i długą wąską rurkę. Z twardego plastiku albo szkła akrylowego. Była grubsza niż igła, ale cieńsza od łądygi róży.

Rurka ze szkła akrylowego?

Znalazł drugą, potem trzecią, wszystkie w miejscu, gdzie wcześniej leżał. Pobrzękiwały jak dzwonki wiatrowe. Usiadł i zgiął przegub, oświetlając je stłumioną zieloną poświatą zegarka. Końce rurek były ciemne i lepkie od krwi. Odwracał je tam i z powrotem, usiłując odgadnąć ich funkcję. Krew była świeża i lepka. Jego krew. To musi być jego krew. Ale dlaczego?

Ułożył rurki pod ścianą, żeby bez trudu je znaleźć, wstał i z całej siły uderzył w rurę. Płatki rdzy z cichym szelestem poleciały na ziemię, stary metal skrzypnął, ale rura była solidna. Osadzono ją w zaprawie i nic poza młotem nie mogło jej poruszyć. Odwrócił się do drabiny i szarpnął. Też bez skutku. Drabina z założenia miała utrzymać ciężar człowieka i w żaden sposób nie dał rady jej ruszyć. Kopnął w nią z nagłym gniewem. Poczł, jak rana się otwiera, krew zaczyna na nowo płynąć.

Pochylił się i przycisnął dłoń do rany. Ból był tak wielki, że w ustach poczuł

metaliczny smak, ale uparcie odchyłał głowę. Nie mógł sobie pozwolić na utratę przytomności.

Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, przyjrzał się nodze. Długi do kostki pas skóry oderwał się od ciała. Wciąż trzymał się na łydce, wisząc jak kawałek kory, wywrócony wnętrzem do góry. Okruchy cegieł, drewna i rzeczy, o których Caffery wołał nie myśleć, przywarły do rany. Krew płynęła, mocząc mu skarpetkę.

Oderwał kawałek spodni i za pomocą zębów przedał go na dwie części. Niezgrabnie przykleił skórę do rany i wygładził. Brud trzeba będzie oczyścić później, na razie to wystarczy, żeby powstrzymać krwotok. Owinął materiał wokół łydki, przycisnął ją mocno do podłogi i krzywiąc się z bólu, zrobił solidny węzeł. Czuł, jak przez kilka sekund krew wciąż tryska, sącząc mu się między palcami. Potem zwolniła i tylko wsiąkała w krawędzie materiału.

Pomyślał o plamach na fartuchu Gerbera. Lucy i Susan mocno krwawiły. Zastanawiał się, jakie były ich ostatnie myśli. Przypomniawszy sobie ich nadgarstki. Sposób, w jaki Gerber je przeciął. Z góry na dół. Nie od lewej do prawej.

I wtedy zrozumiał. Wypuszczając powietrze z płuc, zgarbił się pod ścianą. Pojął, po co były rurki ze szkła akrylowego. Źle. Fatalnie.

Gerber z pewnością niedługo wróci.

Oddział Pchły był wyszkolony w technikach wkraczania. Elegancka nazwa na tradycyjną umiejętność wywalania drzwi kopniakiem, tylko że kiedy robili to policjanci, dysponowali odpowiednim wyposażeniem i błogosławieństwem prawa. Co roku brali udział w jednodniowym treningu, ostatni odbył się miesiąc temu i Pchła wiedziała, że zestaw narzędzi do włamywania (który Wellard nazywał „workiem z jajami”) wciąż jest w ich biurze.

Pojechała szybko do biura drogami, na które drogówka nie marnowała czasu, złapała zestaw i ciężką butlę palnika termicznego do przecinania metalu, wrzuciła wszystko do bagażnika i pojechała w kierunku Farleigh Park Hall. Nie miała wiele czasu.

Była na siebie wkurzona. Objawem kompletnego skretynienia było zwrócenie się bezpośrednio do Ruth Lindermilk. Nie powinna była obchodzić się z nią jak z jajkiem, ale potraktować jak obiekt, przy pierwszej sposobności kopniakiem wywalić drzwi i złapać fotografię Thoma. Czas przeciekał jej przez palce. A przez cały ten okres Misty się rozkładała.

Pchła zaparkowała, starannie obliczając odległość od miejsca znalezienia zwłok. Policja wciąż tam może być. Zarzuciwszy torbę na ramię, ruszyła przez zarośla.

Jak zawsze panowała tu cisza, przez co wioska sprawiała wrażenie opuszczonej. Tylko dwa samochody zaparkowane przy drodze świadczyły, że są tu jacyś ludzie. Ktoś gdzieś oglądał transmisję sportową - przez otwarte okno słyszała wiwatujący tłum. Przy domu Ruth przez chwilę zaglądała przez ogrodzenie, żeby się upewnić, że nikt nie patrzy, potem poszła na tyły budynku i zabrała się do pracy.

Najpierw sprawdziła drzwi i okna: nie miało sensu wystawiać ciężkiej artylerii, jeśli Ruth po prostu nie przekreśliła klucza w zamku. Niestety, wszystko pozamykane na głucho, czego przy paranoi Ruth można się było spodziewać. W oknach na parterze znajdowały się małe, łatwe do pokonania lufciki. Pchła podeszła do kuchennego okna. Jeśli dobrze pamiętała, pod nim był zlew i zmywarka do naczyń. Wielki zlew. Powinien utrzymać jej ciężar.

Wciągnęła rękawiczki i zaczęła grzebać w zestawie, szukając małego punktaka centrującego, którego użycie nie wymagało wysiłku. Nazywali go kluczem Glasgow. Pchła postukała nim leciutko o szybę. Ostry trzask i na szkle zygzakiem pojawiła się pajęczyna. Trzask nie był głośny, mimo to Pchła wstrzymała oddech i obejrzała się przez ramię. W

ogrodzie panował bezruch - ani powiewu wiatru, ani odgłosów poruszających się zwierząt, tylko odległe mruczenie telewizora.

Przygryzając język, wyciągnęła kawałki szkła, oczyściła ramę ścierką. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to krew, dowód, który połączyłby ją z włamaniem. Kiedy usunęła szkło, naciągnęła na dłoń rękaw bluzy i wsunęła rękę do środka, szukając zasuwy. Znalazła, szarpnęła, ale zasuwa była zamknięta na klucz, więc poszukała po drugiej stronie: też zamknięta, też bez klucza. Cofnęła się, przeklinając pod nosem. W takim razie trzeba użyć łomu. Poszło jak po maśle. Łom wpasował się idealnie pod zamki. Pierwszy odpadł po dwóch, trzech podważeniach, drugi od razu. Na parapet posypały się drzazgi.

Bardzo ostrożnie otworzyła okno i włożyła do środka zestaw z narzędziami. Zastłony jak zwykle były zaciągnięte, mrok rozpraszało tylko zielone światełko na bojlerze i niebieski płomyk kontrolny. Pchła czuła zapach kotów i jedzenia - to chyba lasagne, pewnie Ruth jadła ją wczoraj wieczorem. Czy wkładając danie do mikrofalówki, wiedziała, że to jej ostatni posiłek w życiu? Samobójstwo do niej nie pasowało. Zupełnie nie pasowało. Wczoraj przez telefon Ruth wydawała się w dobrym nastroju. Wręcz szczęśliwa.

Nie teraz. Nie myśl o tym teraz. Spuściła rękawy i podciągnęła się na okno. Ręce jej drżały. Mimo że ćwiczyła (w wolnych chwilach podnosiła ciężary na siłowni w pracy), w najlepszych okresach nie miała silnych rąk. Ostatnio było jeszcze gorzej, bo na siłownię brakowało czasu i za mało jadła. Musiała się namęczyć, żeby dźwignąć swoje ciało na parapet.

Wpadła do mrocznej kuchni, przewracając butelkę płynu do zmywania. Wylądowała pośród brudnych naczyń w zlewie - coś z trzaskiem pękło pod jej ciężarem. Zeskoczyła na podłogę i stwierdziła, że spodnie ma kompletnie mokre. Woda namoczyła błoto na butach, które przywarło do kafelek, zostawiając idealny odcisk. Rozmazała go piętą, wyczyściła z grubsza ręcznikiem. W szafce pod zlewem znalazła woreczki do lodu (powinna była pomyśleć o nich wcześniej) i włożyła na buty.

Salon wyglądał upiornie. Tylko światło sączące się z rozbitego okna wydobywało z mroku należące do Ruth książki i fotografie, stosy papierów i puste naczynia. Na stoliku stała wysoka szklanka z colą i otwarta butelka szampana. W każdym kącie połyskiwały kocie oczy.

Pchła podeszła do sekretarzyka, do którego Ruth schowała fotografię, i spróbowała otworzyć szufladę. Zamknięta i nigdzie śladu klucza. Poszukała go w małym kubku z papier mâché, przebierając palcami wśród spinaczy. W pośpiechu kilka upuściła. Zostawiła je tam, gdzie leżały - to nie miało znaczenia, włamania w żaden sposób nie można było ukryć. W zestawie znalazła niewielki lewarek, który wsunęła w szczelinę w szufladzie. Z fotografii na

ścianie Ruth Lindermilk i jej syn przyglądali się jej obojętnie. Ktoś mówi: „Zrobię zdjęcie”, i ty się zgadzasz, pomyślała Pchła. Zgadzasz się, czy ci na tym zależy czy nie, i zanim się zorientujesz, ta chwila, ta nieprzemyślana, nieplanowana, niekontrolowana chwila staje się jedynym sposobem na zaznaczenie twojej obecności w życiu. Bo ty jesteś martwy.

Odwróciła się od fotek i jednym pchnięciem wyłamała zamek. Zapadł się z głośnym trzaskiem. Pchła upuściła lewarek, który ze szczękiem poleciał na podłogę, i otworzyła szufladę.

Była pusta.

Wpatrywała się w nią z głupią miną.

- Cholera, Ruth. Cholera!

Zdenerwowane koty pochowały się za meblami. Pchła wyrzuciła szufladę na podłogę i stojąc na środku pokoju z wyciągniętymi rękoma, wodziła wzrokiem po rzędach książek. Jeśli Ruth nie zostawiła zdjęcia w szufladzie, to gdzie je schowała?

- Daj spokój, Ruth. Do diabła, co z nim zrobiłaś? O czym myślałaś?

Pchła pamiętała, że Ruth wzięła zdjęcia ze stolika z komputerem. Otworzyła górną szufladę, przerzuciła zawartość. Były tam tylko wycinki z czasopism i stare katalogi odzieżowe. Odsunęła sofę, zmiotła na ziemię całą półkę byle jak poukładanych romansów i literatury dla kobiet, po czym przykucnąwszy, potrząsała większe tomy i rzucała je na bok. To samo zrobiła z drugą półką. Po pięciu minutach wszystkie były puste, a Pchła stała wśród książek sięgających jej do połowy łydek.

Zdjęcia nie było.

Poszerzyła obszar poszukiwań. Dom był mały; na parterze znalazła tylko pudełko po herbacie pełne oprawnych fotografii: były wśród nich ślubne zdjęcia państwa Lindermilków i czarno-białe fotki niemowlęcia, ale tej, której Pchła szukała, nie było. Pobiegła na piętro, biorąc po dwa stopnie naraz. Na wąskim korytarzu stała komoda. Otworzyła ją i wyrzuciła z niej całą zawartość: ubrania, czapki, szale. Nic. Spocona, przejrzała każdy pokój, grzebiąc w szufladach łóżek, pod poduszkami, nawet w kieszeniach płaszczy wiszących w szafach. Kiedy wysypała zawartość czterech toreb na zakupy na łóżko, pewien przedmiot zwrócił jej uwagę.

Wisił nad łóżkiem i od samego początku powinien być celem jej poszukiwań. Miał sepiowy kolor i rozmiar winylowej płyty długogrającej. Mały sejf zamontowany na ścianie.

- Och, Ruth - mruknęła. - Nie zrobiłaś tego, prawda?

Odpowiedź nadeszła momentalnie: Oczywiście, że to zrobiła, schowała zdjęcie do sejfu. Wiedziała, jak cenne jest dla ciebie, podejrzewała, że możesz podjąć taką próbę.

Wyprostowała się, szarpnęła drzwiczki sejfu. Były zamknięte, a żadne narzędzie z „worka z jajami” takiego zamka nie otworzy. Pomóc mógłby tylko palnik, ale zostawiła go w samochodzie. Pchła pokręciła tarczą, potem sfrustrowana walnęła w nią łomem.

Nagle znieruchomiała. Sprzed frontowych drzwi dobiegał jakiś hałas.

Ktoś otworzył furtkę.

Bezszelestnie podeszła do schodów i wyjrzała nad balustradą.

Minęła jedna sekunda, potem druga.

Ten ktoś musiał być na patio. Pchła pozbierała narzędzia z blatu, pośpiesznie je licząc: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Wrzuciła wszystkie do torby, zapięła zamek, przerzuciła przez ramię i ruszyła w stronę holu.

Ktoś włożył klucz w zamek frontowych drzwi. Rozległ się metaliczny szczęk, a potem szelest owiewki przesuwającej się po wycieracze.

Pchła wróciła do kuchni i przez chwilę stała, zastanawiając się nad sytuacją. Naprzeciw niej za zasłonami było wyłamane okno. Nie. Wdrapanie się na parapet i zeskoczenie na drugą stronę zajęłoby zbyt wiele czasu. Drzwi w holu się zamknęły. Pchła wepchnęła torbę do piekarnika, potem zbliżyła się do wysokiej lodówki. Odwróciła głowę na bok, uniosła dłonie i wepchnęła się w lukę pomiędzy lodówką a ścianą. Zgięła nieco ręce w łokciach, żeby nie było ich widać, i stała, drżąc na całym ciele i oddychając płytko przez usta, bo żebra miała ściśnięte.

Do kuchni ktoś wszedł. Mężczyzna - słyszała jego oddech, kiedy przyglądał się bałaganowi. Krążył po pomieszczeniu, miażdżąc szkło. Kiedy przystanął metr od niej, zobaczyła jego stopę w czystym białym bucie z napisem „Nike”. Przez długą chwilę słuchała jego oddechu, szybkiego, ciężkiego, jakby widok go zafascynował. Albo zdenerwował.

Wyszedł z kuchni. Słyszała, jak w salonie przedziera się przez bałagan na podłodze. Wrócił do holu; w chwili gdy się zorientowała, że mężczyzna jest przy frontowych drzwiach, wysunęła się zza lodówki, wyjęła torbę z piekarnika i bezszelestnie zamknęła drzwiczki. Omijając potłuczone szkło, postawiła torbę na blacie i sama się na niego wspięła.

Kroki ucichły. Usłyszał jej ruchy.

- Halo?

Rozsunęła zasłony i wyrzuciła torbę za okno.

- Halo? Kto tu jest?

Spojrzała na torbę. Spojrzała w kierunku holu. Wzięła głęboki wdech. I skoczyła.

Caffery zmienił pozycję. Było mu zimno, bolały go wszystkie kości. Zrezygnował z szukania sposobu wyjścia. Ile minie czasu, nim Turnbull albo Powers zauważą, że zaginął, a nie jak zwykle gdzieś się pałęta, nikogo nie informując o miejscu pobytu? Ile minie czasu, zanim trop doprowadzi ich do Beatrice Foxton, jedynej osoby poza dyżurnym funkcjonariuszem, która wiedziała, że dzisiaj rano był w klinice Rothersfield? Dzień? Może dłużej, bo przecież na jego komórkę nie można liczyć. A kiedy tu przyjadą, samochodu nie będzie. Gerber zabrał kluczyki i na pewno gdzieś go przestawi. Co oznacza, że przypuszczalnie znalazł też broń.

Ale nie miał zamiaru jej użyć. Caffery wiedział, że Gerber jest na to za sprytny, wiedział, że tamten chce, by umierał wolno. Może powodem był instynkt samozachowawczy: mógłby argumentować, że Caffery wpadł do szamba i wykrwawił się na śmierć. Albo sadyzm: potrzeba wyobrażenia sobie długiej agonii w lodowatej i mrocznej dziurze. Gerber był lekarzem, wiedział, że naczynia krwionośne się zasklepią, krew skrzepnie i w ranie rozpocznie się proces gojenia. Dlatego umieścił rurki ze szkła akrylowego w żyłach, żeby krew płynęła. Chciał, żeby Caffery się wykrwawił.

Caffery miał szczęście, rurki wypadły, ale Gerber w końcu wróci. Żeby sprawdzić.

Nad głową usłyszał hałas. Kroki. Odgłos ciężaru opierającego się o pokrywę. Zesztywniał. Siłą powstrzymał impuls każący mu wrzeszczeć na tego popierdolonego drania. Wiedział, co musi zrobić: przekonać Gerbera, że jest martwy. Wstał i przeniósł się pod ścianę z drabiną, oddychając płytko i cicho.

Zapadła długa cisza. Może sobie wyobraził ten odgłos. Już miał usiąść z powrotem, kiedy znowu usłyszał kroki. Szczęk. Metaliczne uderzenie. Ktoś sprawdzał zamek na pokrywie.

Caffery chwycił drabinę i ruszył w górę. Zatrzymał się, gdy jego głowę od pokrywy dzieliło kilka centymetrów. Wcisnął zranioną nogę za szczebel i stał, zaciskając zęby. Przygotowany. Nie będzie czekał na przyjscie tego drania na dnie zbiornika - dla Gerbera to byłaby bułka z masłem. Caffery ma tylko jedną jedyną szansę i musi ją wykorzystać. Jeśli wybierze odpowiedni moment, będzie mógł rzucić w Gerbera pokrywą. Zaskoczy go.

Zamek pokrywy otworzył się ze szczękiem. Caffery dygotał, zwisając jak nietoperz. Dłonie mocno zaciskał przed twarzą. Adrenalina krążyła mu w całym ciele. Był gotowy.

Przyjdź, dostaniesz za swoje. No, przychodź.

Ale nic się nie stało. Nikt nie przyszedł. Pokrywa ani drgnęła.

Nastąpiła cisza, po niej kroki. Gerber się oddalał. Otworzył zamek, ale nie uniósł pokrywy. Caffery rozluźnił szczękę, wciąż oddychając wolno i regularnie, w myślach odtwarzając ruchy Gerbera. Co on knuje?

I znowu cisza. Caffery policzył do stu, nie przestając nasłuchiwać. Bezruch panował wokół domu, nad basenem, na drodze. Znowu policzył do stu i dopiero wtedy rozluźnił żebra.

Z drabiny zeskoczył na zdrową nogę. Spojrzał na zegarek. Spojrzał na pokrywę.

Co on robi? Co chce, żebym ja zrobił?

Może Gerber zmienił zdanie i nie wykończy go, bo wie, w jakiej kupie gówna się znajdzie, jeśli do swojej listy doda zabójstwo gliniarza. Może czeka przy włazie, żeby przeprosić Caffery'ego. Nie. Oczywiście, że nie. Caffery wiedział, co się dzieje: Gerber chce go wywabić. Czeka na niego z bronią w ręku.

Jeśli tak miało być, to tak będzie. Po prostu.

Począł, aż wskazówka sekundowa pięć razy okrąży tarczę zegarka, i wrócił na drabinę. Nabrał powietrza i z całej siły uderzył w pokrywę.

Odpadła i potoczyła się z ogłuszającym szczękiem. Do środka wpadło światło. Zapierając się zdrową nogą, jedną ręką kurczowo ścisnął drabinę, drugą wyciągał, gotów odeprzeć ewentualny atak.

Wysoko nad nim było błękitne niebo bez jednej chmurki. Czekał, obliczał w myślach. Basen był oddalony o jakieś sto metrów. O ile dobrze pamiętał, przy głębokim końcu jest pompownia, a tuż obok szopa z drabiną. Coś na pewno w niej znajdzie, piłę, może siekierę.

Minęły trzy minuty. Odbił się na zdrowej nodze i niezgrabnie wyskoczył z włazu, po czym błyskawicznie potoczył się w bok. Niezgrabnie przemierzył trawnik, za pompownią kucnął, przyciskając oburącz ranę, żeby znowu się nie otworzyła i nie zaczęła krwawić.

Było gorąco jak w sierpniu: drzewa, krzaki, nawet trawa ani drgnęły, ich zarysy w upale wydawały się nieco zamglone. Kiedy ból minął, Caffery ostrożnie się podniósł i rozejrzał. Na podjeździe w pełnym słońcu parkował samochód Gerbera. Tak jak się spodziewał, jego auta tam nie było. Stał w miejscu niewidocznym dla kogoś patrzącego z progu domu, chociaż stąd od razu rzucał się w oczy: okryty brezentem, z maską skierowaną na wrota zrujnowanej stodoły jakieś sto metrów dalej.

Caffery pośpiesznie pokuśtykał do niego, odrzucił brezent i szarpnął za klamkę, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Przez okno widział otwartą skrytkę, więc miał rację: ten drań zabrał broń.

Lepiej mu się szło, kiedy przytrzymał chorą nogę, ujął ją więc oburącz i na poły niosąc, pokuśtykał przez trawnik do szopy. Na wieszaku z narzędziami znalazł dłuto i śrubokręt. Siekiery nie było.

Powlókł się do domu. Frontowe drzwi były uchylone. Pchnął je końcem palca. Otworzyły się bezszelestnie i Caffery zobaczył gabinet, w którym Gerber go zaatakował. Pusty. Zastłony zaciągnięto do połowy, herbatniki zmieciono na bok, szerokie smugi krwi na podłodze i sofie pośpiesznie zmyto. Wszedł do środka. Gdzie ukrywa się Gerber?

Pokuśtykał do biurka, otworzył szuflady, przerzucił zawartość, na którą składały się spinacze, długopisy, stare wizytówki. Wyprostował się i popatrzył na oszklone biblioteczeki. W jednej leżało skórzane pamiątkowe etui. Wyjął je i otworzył. W środku znajdowała się plakietka z napisem: „Georges’owi z wyrazami miłości i szacunku od personelu i pacjentów kliniki St. Hilda’s, 1998 rok”. W wytłaczanym niebieskim aksamicie spoczywało sześć połączonych instrumentów chirurgicznych, kleszcze hemostatyczne, pinceta, nożyce i trzy skalpele. Caffery wsunął skalpele do kieszeni, w której miał dłuto, odłożył etui i wyszedł na korytarz.

Drzwi do pomieszczenia z lodówkami były zamknięte. Przyłożył do nich ucho i lekko przekreślił gałkę. Tylko raz. I uważnie nasłuchiwał.

Nic poza słabym szumem lodówki, tykaniem zegara.

Mocno ujął skalpel. Dłuto także przygotował, wystawiając rękojeść z kieszeni. Naparł na drzwi. Otworzyły się z rozmachem i odbiły od ściany pokoju. Caffery przywarł do ściany.

I znowu nic. Wziął głęboki wdech i stanął w progu, pośpiesznie okręcając się wokół swojej osi. Sprawdził także sufit - kiedyś tego nie zrobił i źle się to skończyło - po czym wszedł do środka, plecami sunąc po ścianie.

Lampy się nie świeciły, Gerbera nie było w pomieszczeniu. Drzwi na końcu korytarza były uchylone. Caffery słyszał odległy świergot ptaków dryfujący ku niemu po schodach. Zbliżył się i otworzył drzwi na oścież. Poczekał chwilę, by się przekonać, czy wywoła to jakąś reakcję na piętrze. Nie wywołało. Gerber chciał, żeby tam poszedł. Chciał, żeby Caffery zobaczył, co robił przez tyle lat. Ale gdzie on jest? Może wcale go nie ma w domu. Może to jest początek skomplikowanej gry.

Caffery krążył po pokoju, gromadząc broń: długi nóż garbarski i przebijak, którego użył Gerber. Wciąż wisiał na nim strzęp szarego materiału - z nogawki jego spodni. Wsunął przebijak w rękaw, nóż schował do kieszeni. Z poczuciem, że jest tak uzbrojony jak helikopter bojowy, cicho ruszył po schodach, całą uwagę skupiając na tym, by nie skrzypiały. Rana na nodze prawie przestała krwawić, ale kiedy dotarł na górę i obejrzał się, zobaczył

kilka ciemnych plam krwi. Technicy będą mu wdzięczni - o ile on przeżyje, a oni dowiedzą się o tym miejscu.

Klatka schodowa kończyła się drzwiami, także uchylonymi. Caffery pchnął je czubkiem noża. Otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem. Kiedy zobaczył, co jest przed nim, natychmiast się cofnął, wystawiając przed siebie nóż.

Za drzwiami ciągnął się korytarz identyczny jak na dole. Różnił się tylko tym, że mniej więcej osiem metrów dalej, tuż przy drzwiach na końcu, plecami oparty o ścianę siedział Gerber.

Twarz miał odwróconą od Caffery'ego, jedną nogę założoną na drugą. Przebrał się w białą koszulę i beżowy płaszcz, który spadał mu z ramion. Prawą dłoń, tę od strony Caffery'ego, trzymał w kieszeni. Drugiej Caffery nie widział, leżała obok uda. Tam pewnie ma broń. Nie zareagował na skrzypnięcie otwieranych drzwi, nadal pustym wzrokiem patrzył w okno. Taki ma zwyczaj, pomyślał Caffery, spokojnie siedzi i czeka na ofiarę, uśmiechając się półgębkiem. Jak wąż w norze. Był dostatecznie sprytny, żeby zabić Lucy Mahoney i Susan Hopkins. Dostatecznie sprytny, by niemal uszło mu to na sucho.

Caffery stał oparty o ścianę, poza zasięgiem strzału.

- Pokaż ręce.

Gerber nie zareagował.

- Słyszałeś. Pokaż ręce.

Gerber wysunął prawą dłoń. Była pusta. Potem uniósł lewą kilkanaście centymetrów nad udo. Trzymał w niej Hardballera, ale nie celował w Caffery'ego. Pistolet opadł, przez sekundę zwisał bezwładnie, a potem ze szczękiem uderzył w podłogę, przesunął się i wylądował pod ścianą o krok od Caffery'ego.

Gerber śledził broń wzrokiem, ale nie poruszył się, żeby ją wziąć.

Caffery rozejrzał się po korytarzu, po oknach i drzwiach na końcu. Co to niby ma być? Tamte drzwi - czy są zamknięte na klucz? Spojrzał na broń.

- Cokolwiek knujesz, nie uda się - powiedział. - Nie ty zdecydujesz o zakończeniu, ale ja.

Gerber głośno dyszał. Nieznacznie zwrócił głowę i popatrzył na Caffery'ego. Twarz miał bladą, wargi boleśnie napuchnięte.

Ten widok zaskoczył Caffery'ego. Coś tu było bardzo nie w porządku. Zrobił krok do przodu, złapał broń i wycelował w głowę Gerbera, ale ten nawet nie drgnął. Jeśli już, to zwiesił brodę niżej, jakby trzymanie głowy prosto sprawiało mu trudność.

Caffery zbliżył się o kolejny krok, potem następny. Gerber wpatrywał się w niego

spod ciężkich powiek. W kąciu ust gromadziła mu się ślina.

Caffery zatrzymał się na odległość ramienia i nie opuszczając broni z namysłem przyglądał się temu dziwnemu człowieczkowi ze sztywnymi włosami i bladą, łuszczącą się twarzą. Z bliska widział, że Gerber dygocze. Machnął mu bronią przed twarzą. Tamten powiódł za nią wzrokiem, ale nie próbował jej złapać. Ślina zaczęła się sączyć strumyczkiem, potem oderwała się i spadła na orzechową podłogę. Caffery przyjrzał się jej uważnie - była w niej krew. Dopiero teraz zaczynał rozumieć. Spojrzał na Gerbera.

- Co zrobiłeś?

- Odpierdol się - wymamrotał Gerber. - Odpierdol się.

Uniósł dłoń, jakby chciał uderzyć Caffery'ego, ale wysiłek okazał się zbyt wielki i ciężko dysząc, opuścił ją na kolana.

Teraz Caffery dostrzegł powód. Koszula Gerbera na lewym boku, którego dotąd nie widział, od kołnierza do pasa była czerwona od krwi. Caffery pochylił się, nie na tyle, by Gerber mógł na niego splunąć albo go złapać, ale wystarczająco, by zobaczyć ranę na szyi.

- Cholera - mruknął. - Coś takiego.

Rana zaczynała się na przedzie, biegła na ukos i kończyła za linią włosów na karku. Caffery widział jej wnętrze, dostrzegał wszystko mówiący połysk kuli, która utkwiała w kości za uchem.

Gerber szczękał zębami.

- Strzeliłeś do siebie, ty tchórzliwa kupo gówna. Przeraziłeś się konsekwencji swoich zbrodni co? Nie trzeba było...

Urwał. Spojrzał na broń na podłodze, na ranę, na połyskujący błękitem pusty basen za oknem. Nie. Niemożliwe, że tak to było. Gerber nie miał czasu na otwarcie wjazdu, powrót do domu i strzelenie sobie w łeb. Do wnętrza szamba odgłos strzału pewnie by nie dotarł, ale przy basenie, dokąd Caffery w tym momencie zdążył się chyba dowlec, byłby wyraźny. Zwłaszcza przy otwartym oknie. A krew na koszuli częściowo zdążyła zakrzepnąć i pociemnieć. Jakby zaczęła płynąć dawno temu.

Znowu spojrział przez okno. Z powrotem na Gerbera.

- To wszystko nie tak - mruknął zafascynowany. - Kompletnie nie tak.

A potem jakby w odpowiedzi przed domem rozległ się warkot dwutaktowego silnika. Kosiarka do trawy. Nie. Odgłos był bardziej zamknięty, bardziej przypominał skuter.

Wtedy wszystko pojał. W jednej chwili. Gerber nie otworzył wjazdu, nie byłby w stanie. Cały czas tu był, wykrwawiając się na podłogę.

Caffery tak szybko jak potrafił, pokuśtykał po schodach do pomieszczenia z

lodówkami, a stamtąd na podjazd. Na środku drogi zatrzymał się, patrząc na południe, skąd dobiegał cichnący warkot. Droga była pusta do oddalonego o sto metrów ostrego zakrętu. Warkot silnika przez chwilę utrzymywał się w nieruchomym powietrzu, potem ucichł i Caffery słyszał tylko świergot ptaków w konarach drzew.

Tikoloshe. Amos Chipeta.

Caffery wpatrywał się w zakręt. Cholera jasna, jak właściwie mam to rozumieć? Czego ty chcesz?

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Amos Chipeta uratował Caffery'emu życie, równocześnie pakując się w gówno, którego usunięcie może potrwać w nieskończoność. Włosy zabierane trupom to jedno - prawdopodobnie to jakoś by mu uszło na sucho - ale zastrzelenie Gerbera? Pójdzie na dno tak szybko, jak poszedłby Gerber. Nawet jeśli uratował gliniarza.

Ale jak to czasami bywa w życiu, wracając z pustej drogi do domu, na korytarz, gdzie popołudniowe słońce zalewało podłogę miodowym światłem, Caffery dostrzegł nowe możliwości.

Otworzyły się przed nim następne drzwi. Tym razem takie, przez które obaj, on i Amos Chipeta, będą mogli się wymknąć jak duchy.

Prokuratorzy opowiadali Caffery'emu o „efekcie CSI”, czyli o wywołanej przez amerykański serial wierze, że technika kryminalistyczna jest wszechpotężna. Ulegali mu wszyscy, zwłaszcza ławnicy. Byli przekonani, że istnieje test na wszystko. Że jeśli na miejscu zbrodni pozostał jakiś trop, technicy automatycznie go znajdują. Prawda jednak była taka, a znali ją wszyscy stróże prawa, że najlepszy technik jest tylko tak dobry jak prowadzący śledztwo policjant. Technika kryminalistyczna opierała się na zebranych informacjach, więc niezwykle łatwo było nią manipulować.

Gerber nie żył. Przez ten krótki czas, który Caffery spędził poza domem, serce Gerbera zabiło po raz ostatni i teraz było nieruchome i szare, zamknięte w sobie. Co Caffery'emu dało możliwość zmiany biegu historii. Kuśtykał po domu, zbierając swoje rzeczy: telefon, kajdanki i gaz pieprzowy. Potem przez czterdzieści minut aranżował scenę: wycierał odciski, szorował plamy krwi, układał ciało Gerbera, dzięki czemu w chwili, gdy przyjadą ekipy, będzie mógł się zachowywać jak śledczy, a nie ofiara, i oprowadzając techników, sprzeda im własną, bardzo wiarygodną wersję wypadków.

Scenariusz wyglądał następująco: Gerber wiedział, że dał się złapać w sieć. Myśląc, że Caffery nie żyje, wrzucił go do szamba i odebrał sobie życie nielegalnie posiadaną bronią, którą trzymał owiniętą w kuchenną ścierkę w biurku. Kiedy Caffery odzyskał przytomność, wspiął się po drabinie i z jej szczytu wysłał esemesa do Turnbulla, a na szczęście sygnał był tam dość silny. W esemesie nie wspominał o broni, nie miał o niej pojęcia, nic nie słyszał, uwięziony w szambie.

Kiedy go uwolnili, strasznie się zdziwił, że Gerber popełnił samobójstwo.

Patrzył, jak zabierają ciało Gerbera. Kiedy zbadają mu dłonie, znajdą na nich ślady prochu. W suficie korytarza odkryją pocisk, rezultat odruchowego strzału po tym, jak Gerber wypalił sobie w kark. Na broni będą wyłącznie odciski Gerbera. Jedyne włókna na pistolecie będą pochodzić ze ściereki, którą wyjmą z szuflady w gabinecie - Gerber pewnie przez wiele lat ją tam przechowywał. Technicy nie znajdą krwi, odcisków palców ani stóp Caffery'ego nigdzie poza parterem, gdzie je zostawił podczas włamania - do tego wykroczenia przyzna się od razu. Ani słowem nie wspomni o Amosie Chipecie.

Caffery został na tyle długo, by zobaczyć, jak technicy balistyczni zabierają pistolet z

korytarza. Siedem setek wyrzuconych w błoto. Co za szkoda. To była skuteczna broń, brzydka, ale skuteczna. Niewykluczone, że po pewnym czasie znowu trafiłaby na ulicę i znowu musiałby ją kupić. Wyszedłszy z domu, chwilę stał w zachodzącym słońcu i wodził wzrokiem po pokrywie szamba i basenie. Myślał o Tanzanii. Jak to jest, kiedy człowiek dorasta w tym kraju jako zdeformowany kaleka. Jak wygląda Anglia w oczach Chipety.

We frontowych drzwiach stali dwaj paramedycy. Przez całe popołudnie chodzili za nim krok w krok, cierpliwie próbując go zwabić do karetki. Uśmiechnął się do nich przyjaźnie i zanim zdążyli go zatrzymać, wszedł do mondeo, postawił ranną nogę na pedale i zapalił silnik. Szpital oddalony był o trzydzieści kilometrów. Nie potrzebował karetki. Wycofując się z podjazdu, pomachał do paramedyków. Uznał, że po tym wszystkim, co dzisiaj przeżył, zdoła samodzielnie przejechać trzydzieści kilometrów.

Wezwanie nadeszło o wpół do dziewiątej wieczorem, kiedy Caffery leżał na brzuchu na izbie przyjęć. Podarte spodnie wisiały na krześle obok. Był gliniarzem, więc przyjęli i zdiagnozowali go błyskawicznie. Rana okazała się powierzchowna, nerwy, tkanki ani kości nie zostały naruszone, jeśli jednak chciał, żeby w ciągu roku jego noga zaczęła jakoś się prezentować, musi się poddać operacji. Chcieli go przyjąć na oddział. Odmówił. Poprosił, żeby go zszyli i wypuścili do domu. Teraz młody lekarz, który wyglądał jak model, siedział na łóżku, pompując mu w nogę naropin i zszywając ranę. Prychał głośno na brudne ubranie, które Caffery miał na sobie. Kiedy telefon zadzwonił, Caffery musiał się oprzeć na łokciach, żeby wyjąć komórkę z kieszeni na piersi.

- Inspektor Caffery - wymamrotał.

- Mamy kolejne. - Dzwonił Turnbull. - Znaleziono ją po południu. Na początku uznali to za samobójstwo i posłali ciało do Royal United, ale ktoś z centrum telefonicznego po pracy zaczął się zastanawiać, olśniło go i połączył sprawę z twoim dochodzeniem. Zachował się jak informator i złapał za telefon. Ten sam *modus operandi*. Znaleźli ją w samochodzie: tabletki, nóż, to samo gówno co przedtem.

Przez chwilę Caffery milczał. Lekarz przerwał pracę i stał przy łóżku z założonymi rękami, znacząco wpatrując się w tabliczkę na ścianie, która przedstawiała przekreślony telefon. Caffery uniósł kciuk, posłał lekarzowi przeproszające spojrzenie i zatkał sobie lewe ucho. - Dobra, mów dalej. Kto to jest?

- Kobieta nazwiskiem Lindermilk.

- Lindermilk? Gdzieś widziałem to nazwisko.

- Ruth Lindermilk? Mieszka niedaleko Farleigh Hall w jednej z tych wiosek, które przeszukiwaliśmy. Typ samotnicy. Spodoba ci się, jak powiem, kto jest jej bratanicą. To znaczy był.

- Niech zgadnę. Mahoney.

- Nie, Hopkins.

- Chryste.

- Tak. Dzisiaj rano Lindermilk miała wizytę w klinice Rothersfield. Nazwisko chirurga?

- Gerber. Widziałem jej nazwisko w jego dokumentacji.

- A tymczasem kiedy ekipa odgrywała Sherlocków na miejscu, gdzie ją znaleźli, nadeszło następne wezwanie. Dom Lindermilk został zdemolowany. Kompletnie.

- W czasie, gdy Gerber ją zabił?

- Nie sędzę. Ze stanu zwłok wnioskujemy, że się nie broniła. Myślimy, że to się stało potem. Wykończył ją, wrócił do domu i zrobił sajgon. Jak u Mahoney, tylko nie tak dyskretnie.

- Kto to zgłosił?

- Jej syn. Usłyszał o matce - to świadczy o ludziach, z którymi mamy tu do czynienia - i pobiegł do jej domu, bo chciał zabrać jakieś rzeczy, zanim policja go zapieczętuje. Wygląda na to, że miał klucz. Tylko że kiedy wszedł, ktoś już tam był. O mało nie przyłapał intruza. Usłyszał, jak tamten wyskakuje przez kuchenne okno. Rozminęli się o włos.

- O której to było?

- Dwie, trzy godziny temu.

- Więc to nie mógł być Gerber.

- Lindermilk od dawna wkurzała sąsiadów. Wiemy o kilku kłótniach. Może to któryś z nich.

Lekarz, któremu cierpliwość najwyraźniej się wyczerpała, wyszedł z boksu, zostawiając do połowy zszytą ranę, kilka strzykawek w nerce, zakrwawione prześcieradło i zasłone kołyszającą się na dowód, że tu był.

- Co mam robić? - zapytał Turnbull.

Caffery poczuł, jak zalewa go fala wielkiego znużenia. Nie przypuszczał, że starczy mu sił, żeby wstać i zabrać się do roboty. Chciał tylko coś zjeść, napić się i spać, nic poza tym.

- Nie mam pojęcia - mruknął. - Gdzie jest ciało?

- W kostnicy. Czekamy na informację, kiedy zostanie przeprowadzona sekcja. Technicy jadą do domu. Chcesz je obejrzyć?

Caffery ostrożnie spuścił nogi z łóżka. Poczekał, aż zawrót głowy minie, i rozejrzał się za dzwonkiem.

- Będę tam, jak tylko uda mi się znaleźć jakiegoś lekarza.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Caffery'emu w oczy, była bliskość domu Ruth Lindermilk i Farleigh Park Hall. Kiedy teraz o tym myślał, przypominał sobie, że kilka dni temu przejeżdżał koło wioski. Adrenalina mu podskoczyła, gdy zaparkował za oznakowanym wozem policyjnym. Chyba wykluczone, żeby Misty Kitson też znajdowała się na liście Gerbera? Nie. To byłoby zbyt proste, prawda?

Ale po kolei. Najpierw zajmie się włamaniem, potem pomyśli o Misty. Rozejrzył się. Wozy techników parkowały przy drodze, kilkoro sąsiadów stało przed podjazdem. Z założonymi rękami, w płaszczach narzuconych na ramiona usiłowali dostrzec, co dzieje się w środku. Ktoś postawił ekrany przed frontowymi drzwiami i pewnie to rozbudziło ciekawość innych mieszkańców.

Caffery dostał antybiotyk w zastrzyku oraz opakowania tramadolu i kodeiny ze szpitalnej apteki. Po lekach od razu by zasnął, więc na razie łykał ibuprofeny 400, które uzupełniał paracetamolem. W rzadkim przypiływie profesjonalizmu wpadł do swojego domu, żeby się przebrać i spakować garnitur dla techników. Teraz miał na sobie czarne dżinsy i ciepłą kurtkę, ale rana nadal dawała o sobie znać. W oczy rzucał się także spuchnięty nos i grymas na twarzy, kiedy opierał ciężar ciała na chorej nodze. Inspektor z okręgowej wyszedł mu naprzeciw i instynktownie wyciągnął rękę, żeby pomóc w przejściu przez podjazd.

- W porządku. - Caffery pokręcił głową. - W porządku. Wciągnął rękawiczki i po płytach poszedł za inspektorem do małego jasno oświetlonego salonu, gdzie przy dębowym stole siedział niski, krępy mężczyzna w szarym golfie. Caffery widział go z profilu; mężczyzna ściągał usta i opierał brodę na dłoni. Przed nim leżał miedziany teleskop.

- Syn pani Lindermilk - mruknął inspektor. - Steve. Wydaje mi się, że dopiero teraz to do niego dotarło.

- Radzi pan sobie? - Caffery stanął w progu. - Dobrze się pan czuje?

Twarz Steve'a Lindermilka była czerwona.

- Nie. Powinienem być coś zrobić, choć nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Mówiono panu o możliwości kontaktu z oficerem rodzinnym?

- Tak. Nie chcę z nim rozmawiać.

- Oficer został przydzielony. Może zmieni pan zdanie.

- Nie, dziękuję. Ale czy mógłby pan wysłać kogoś do sąsiadów? Tych, co się na nas gapią?

- Jasne.

Caffery spojrział na złotą taśmę zasłaniającą wejście do salonu.

- Wie pan, dlaczego tu jestem?

- Żeby zadać mi parę pytań?

- I przyjrzeć się domowi. Musimy stwierdzić, czy to włamanie ma związek z jej śmiercią. - Pomimo środków przeciwbólowych głowa i noga piekielnie go bolały. - Rozumie pan?

Lindermilk potaknął.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie. - Lindermilk wstał i poszedł za Cafferym po płytach. Zatrzymali się w progu salonu, unieśli taśmę i zajrzeli do środka jak goście zwiedzający siedzibę sławnego rodu. Caffery miał wrażenie, że Ruth Lindermilk nie była dobrą gospodynią, ale tu chodziło o coś innego: zawartość każdej szafki i półki leżała w stosach na podłodze. Włamanie dokonane w gniewie? W takim przypadku sprawcy zwykle poświęcają czas, żeby się wypróżnić na środku pokoju albo na łóżku. To wyglądało raczej tak, jakby czegoś szukano. W kuchni okno było otwarte, zamki wyłamane. Robota profesjonalisty. Kot skoczył na parapet, na widok gości znieruchomiał, wyciągając wszystkie cztery łapy.

- Niech pan na to popatrzy - burknął Lindermilk.

- Matka sama się o to prosiła. Nie miała żadnych zahamowań.

- Kiedy był pan tu ostatnio?

- Dwa dni temu.

- I rozumiem, że podczas tej ostatniej wizyty dom nie wyglądał tak jak teraz?

- Jasne, że nie, cholera - odparł Lindermilk. - To fotografowanie zwierząt najbardziej wkurzało sąsiadów. Dziwię się, że te zdjęcia wciąż tu wiszą, jeśli zrobił to któryś z nich.

- Rozważamy każdą ewentualność.

Lindermilk wzruszył ramionami.

- Jak tu skończycie, mogę wziąć te fotki? Wszystkie spalę.

- Niech pan pogada z technikami. To nie powinien być problem.

- Na podwórzu jest kilka rzeczy, które też chcę zabrać. Przede wszystkim koty z dachu. Nie chcę, żeby sąsiedzi się z nas śmiali.

Caffery spojrział na schody. Srebrny tlenek glinu przywarł do balustrady, przeplatając się z prostokątnymi lukami w miejscach, gdzie zdjęto odciski palców.

- Jak był pan tu ostatnio, nie widział pan nikogo kręcącego się koło domu? Jakież obce samochody?

- Nigdy nic nie widziałem.

- Zorientowałby się pan, gdyby czegoś brakowało? Trzymała w domu gotówkę, biżuterię, karty kredytowe?

- Z cennych rzeczy miała tylko komputer, telewizor i teleskop. Biżuterii też trochę było, pierścionki i takie tam.

- Gdzie je przechowywała?

- W sejfie.

Caffery spojrzał pytająco na technika, który stał obok drzwi wejściowych.

- Sejf nie został uszkodzony. - Technik palcem wskazał sufit. - Jest w sypialni. Jeszcze nie udało im się go otworzyć.

Wszyscy trzej poszli na górę. Caffery podciągał się na balustradzie, oszczędzając chorą nogę. W korytarzu przed komodą kucnął inny technik w niebieskim ochronnym kombinezonie i posypywał uchwyt czarnym proszkiem. Kiedy go mijali, głośno westchnął.

- Na razie mam tylko jeden zestaw odcisków. Należą do niej. Myślę, że facet nosił rękawiczki.

Lindermilk zaprowadził ich do sypialni, małego, niskiego pokoju z oknem pod okapem i odsłoniętymi krokwiemi. W rogu stało łóżko nakryte kołdrą, a nad nim na ścianie wisiał pokryty proszkiem do zdejmowania odcisków niewielki sejf, akurat odpowiedni na dokumenty i biżuterię. Lindermilk już miał przekręcić tarczę, ale Caffery zakaszłał.

- Chwileczkę. - Pokuśtykał z powrotem na korytarz i z zestawu technika wyjął rękawiczki, które rzucił Lindermilkowi. Ten zrzęcznie je złapał i wciągnął.

- Więc zna pan kombinację?

Lindermilk przyjrzał się zamkowi.

- Kiedyś znałem. Chyba że matka ją zmieniła. - Na próbę przekręcił gałką, pod nosem mamrocząc liczby. Zamek szczyknął i Lindermilk otworzył drzwiczki, po czym ustąpił miejsca Caffery'emu.

Sejf był pełny. Caffery widział dwie plastikowe teczki na dokumenty z jasnoniebieską tylną okładką i czarne emaliowane pudełko.

- Biżuteria. - Lindermilk wyjął pudełko. Otworzył je i zaczął w nim grzebać czubkiem palca.

- Czegoś brakuje?

- Nie wydaje mi się. - Lindermilk podał pudełko Caffery'emu.

Zawartość nie była imponująca: pojedynczy brylant na łańcuszku, spinki do mankietów, kilka pierścionków i broszka ze strasu w kształcie kotwicy.

Lindermilk odłożył biżuterię i wrócił do sejf. Wziął leżącą na wierzchu kopertę i przekartkował zawartość.

- Dokumenty prawnicze. Testament, akt własności domu, materiały od prawnika.

Zdjął gumkę z drugiej teczki. Były w niej kolorowe i czarno-białe fotografie, wszystkie rozmiaru A4, choć sądząc z różnicy w jakości i papierze, zrobiono je na przestrzeni trzydziestu lat lub więcej.

- Co to jest?

- Fotografie zwierząt. Bóg tylko wie, dlaczego je trzymała, głupia krowa. Zawsze lubiła fotografować delfiny i inne takie. Te też spalę.

- Niech pan pokaże.

Lindermilk ułożył zdjęcia w wachlarz. Kilka przedstawiało ślub, pewnie pod koniec lat siedemdziesiątych: uśmiechnięta para przed kościołem, panna młoda, blondynka o jasnej cerze, miała na sobie długą niebiesko-białą suknię w kwiaty i słomiany kapelusz. Na innych były martwe zwierzęta: borsuki rozciągnięte w poprzek drogi z tylnymi łapami i głowami rozmazanymi na liniach, króliki, wiewiórki. Jeleń z przetrąconym karkiem, który spoglądał na swój zad.

- Tu są prawie wszystkie ofiary wypadków drogowych w kraju - powiedział Lindermilk ze znużeniem. - Chciała prowadzić kampanię na rzecz zmniejszenia limitu prędkości na tej szosie. Dlatego sąsiedzi byli tak wkurzeni.

Ale Caffery przestał słuchać. W ogrodzie, gdzie na tle nocnego nieba drzewa rysowały się wyraźnymi czarnymi sylwetkami, coś się poruszyło. Podszedł do okna i wyjrzał, uważając, by nie dotknąć szkła zasnuwającego się parą od jego oddechu. Dostrzegł ruch kącikiem oka. To nie było odbicie w szybie żadnego z nich, ale coś innego. Coś w ogrodzie.

Stał przez chwilę i myślał o tym, jak ciemno jest na dworze, myślał o wielu kilometrach wiejskich okolic, przez które może przemykać cokolwiek, myślał o szosie, która prowadziła do ośrodka odwykowego, o miejscu, gdzie siedział Piechur, obserwując kształty przesuwane się wśród drzew. A potem pomyślał, jak sam wygląda z zewnątrz, gdy tak stoi w oknie z poważną twarzą oświetloną z tyłu.

- Panie inspektorze - powiedział Lindermilk. - Mogę o coś zapytać?

Caffery odwrócił się wyrwany z zadumy.

- Tak?

Lindermilk trzymał w dłoni zdjęcia.

- Te też zabiorę, dobrze? Razem z tymi, co wiszą na ścianach.

Caffery znowu spojrzął w okno. Co to było? Zauważył tylko smugę światła, ale jakimś sposobem odniósł wrażenie, że to były oczy.

- Panie inspektorze?

- Tak. - Caffery nie obejrzał się. - Niech będzie.

Pokuśtykał do drzwi, wyciągnął rękę do inspektora z okręgowej.

- Dzięki za pomoc, stary. Skończyłem. Dopilnuj, żeby technicy wszystko spakowali, dobrze?

Noga bolała go bardziej, niżby sobie życzył, kiedy szybko kuśtykał po schodach. Przez boczne drzwi wyszedł w cichą i chłodną noc na powietrze, w którym unosił się cytrynowy aromat. Od tej strony w domu nie paliły się światła. Trawnik schodził tarasowo przez jakieś sto metrów: Caffery widział w mroku zarysy karmników dla ptaków. Dalej biegła szosa, wznosiły się wzgórza i rozciągało pole z rzepakami, koło którego przejeżdżał tamtej nocy, gdy szukał Piechura.

Stanął pomiędzy drzewami i cicho, wyraźnie powiedział:

- Jesteś tam? To ty?

Słyszał tylko bicie swojego serca. Nic więcej.

- Jeśli tam jesteś, nie musisz się przejmować. Nikomu nic nie powiem. Nie zdradzę cię.

Wstrzymując oddech, nasłuchiwał, ale powietrze zmącił tylko zimny, bezszelestny powiew wiatru. Caffery poczuł metaliczny posmak w ustach. Pomyślał o wietrze wiejącym nad polami, o zapachach i dźwiękach, które ze sobą niesie. Obejrzał się na dom. Nikt nie przysłuchiwał się mu z okna. Technicy, którzy wyszli na dymka, także nie zwracali na niego uwagi. Wszedł głębiej między drzewa i przykucnął. Noga zaczęła pulsować od bólu. Oparł się palcami o ziemię.

- Wiem o wszystkim. - Zawahał się, niepewny dalszego ciągu. To mówienie do drzew i powietrza było kompletnie pogiete. - Z tej sprawy się wymigasz, ale posłuchaj. - Zniżył głos. - Nie jestem w stanie dalej ci pomagać. Od tej chwili musisz liczyć tylko na siebie. Tak to wygląda.

Czekał na odpowiedź. Mijały minuty, noga tak go bolała, że musiał się wyprostować. Wepchnął dłonie w kieszenie. W gruncie rzeczy nie wiedział, czego się spodziewał: ruchu albo oddechu. Szelestu liści czy chłodnych wyraźnych słów wypowiedzianych w ciemności.

Żadna odpowiedź nie nadeszła. Nic. Tylko krew dudniła mu w głowie.

Nic nie powiem. Nie wydam cię...

Pchła jak skamieniała kucąła za palnikiem, który przywlokła z samochodu, i z niedowierzaniem wpatrywała się w Caffery'ego.

Wymigasz się. Ale nie mogę dalej ci pomagać.

Nie poruszyła się, trwała w tej samej pozycji, otwierając szeroko oczy. Jego słowa przykuwały ją do miejsca. Cholera, o czym on gada? O czym wie?

Od tej chwili musisz liczyć tylko na siebie. Tak to wygląda...

Poczuła, jak w jej wnętrzu otwiera się otchłań. Nigdy dotąd nie była taka zmarznięta, samotna i przerażona. Przypomniała sobie, co w kamieniołomie powiedziała mama: *Dbaj o siebie*. To nie było banalne, rzucone mimochodem napomnienie, żeby była ostrożna. Chodziło o coś bardziej ponurego. Te słowa oznaczały: jesteś sama, więc siebie stawiaj na pierwszym miejscu. Przed innymi. Teraz Pchła widziała wyraźnie, co musi zrobić, pojmowała, że jedyną ważną rzeczą jest ochrona samej siebie. Musi walczyć o życie.

Caffery przez długi czas nie ruszał się z miejsca i stopniowo, gdy obserwowała jego twarz, oczy, w których odbijał się księżyc, dotarło do niej, że może wcale jej nie widzi. Uniosła dłoń, przesunęła sobie przed nosem. Nie zareagował. Przygryzając język, wychyliła się lekko i studiowała jego oczy. Nie patrzył na nią. Oparta na pięściach, z podniesioną głową próbowała zrozumieć, co do cholery jest grane. Kiedy westchnął, pozbyła się wątpliwości: nie wiedział o jej obecności. Tych słów wcale nie kierował do niej: do kogokolwiek je adresował, nie miał na myśli jej, a ich znaczenie było tylko kwestią przypadku. Ale to nie zmieniło jej postanowienia. Caffery odwrócił się i ruszył do furki, a Pchła odetchnęła i opadła na pięty, zdecydowana, skupiona i całkowicie spokojna. Dzisiaj o północy Mandy i Thom przeżyją niespodziankę swojego życia. Dostaną fotografię i coś więcej. Dostaną ciało Misty. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zostawi je na frontowym trawniku. Pchła nie zamierzała słuchać żadnych wymówek: będą musieli sami posprzątać ten bałagan.

Do dziesiątej ekipa techników odjechała i dom był pusty, tylko przy bramie odwrócony plecami do Pchły stał policjant, który czekał na administratora. Po dziesięciu minutach zgodnie z jej przewidywaniem znudził się i wsiadł do samochodu, skąd widział frontowe drzwi. Do głowy mu nie wpadło, że ktoś z tyłu domu czai się wśród drzew. Nie miał

pojęcia, że Caffery zostawił otwarte kuchenne drzwi.

Przemarznięta tak bardzo, że bolały ją kości, Pchła wyprostowała zdrętwiałe nogi, wzięła palnik i z trudem przeszła przez trawnik. Ukradkiem wsunęła się przez tylne drzwi. Policjant może jest leniwy, ale zauważy światło sączące się z okien, więc w środku wygrzebała latarkę z kieszeni kurtki, skierowała ją pod nogi i w półmroku przemknęła przez hol, kostkami muskając koty. Dom wysmarowany był proszkiem do zdejmowania odcisków, przez wybite okno do środka wpadało dziwne cętkowane światło, rzucając cienie na ściany. Przy schodach złapała swoje odbicie w lustrze: miała na sobie jasnoniebieską koszulę i dżinsy, które włożyła milion godzin temu, oczy jej łzawiły, a butla ciążyła na plecach. Jej twarz wydawała się dziwnie młoda i gładka, jakby stres zadziałał niczym lifting.

Plecak był ciężki, ścięgnięta w kolanach wciąż ją bolały po skoku z kuchennego okna, więc wolno wchodziła po schodach, uważając, by nie otrzeć się o ścianę. Nie myślała o losie ani o zwrotach przeznaczenia. Nie zastanawiała się, co Caffery robił w sypialni, kiedy dostrzegł ją między drzewami. Myślała wyłącznie o tym, że jest jej zimno i że za niecałe dwie godziny przywiezie fotografię Thomowi. I wtedy rzeczy zmieniają swój bieg.

Poświeciła latarką po ścianie nad łóżkiem i przekonała się, że sejf jest otwarty. Otwarty na oścież i kompletnie pusty. Pojęła, że w ciągu następnych dwóch godzin sprawy istotnie mogą zmienić swój bieg, ale nie w sposób, którego oczekiwała.

Dziesięć minut do północy. Jeszcze dziesięć minut. Pchła zatrzymała samochód na ciemnej ulicy. Wyłączyła silnik, spoglądając na dom Mandy i Thoma. Był ciemny, z zaciągniętymi zasłonami. Świeciła się tylko lampa na ganku.

Szybkim krokiem przemierzyła ścieżkę i zaczęła walić do drzwi. Otworzyła Mandy w szlafroku. Nagie białe łydki miała poznaczone żyłkami, oczy bez makijażu zapuchnięte, włosy rozczochrane. Stała w progu z założonymi rękami, drżąc w zimnym nocnym powietrzu, i przez zmrużone oczy patrzyła na Pchłę.

- Mam ją w samochodzie, Mandy. Jest w bagażniku.

- Kto jest w samochodzie? Kogo przywiozłaś?

- Możesz się odprężyć. Nie mam sprzętu nagrywającego.

Mandy spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Jakiego sprzętu?

Pchła westchnęła, wróciła do samochodu i otworzyła bagażnik. Ciało było przykryte kocem i obłożone kilkoma spłaszczonymi kartonami, które już nasiąkały wodą.

- Popatrz - powiedziała Pchła.

Mandy bosą przeszła kilka kroków. W pomarańczowym świetle ulicznej lampy jej twarz wyglądała jak wyprana z emocji. Minęła prawie minuta. A potem coś ważnego, strukturalnego, załamało się w jej twarzy. Spojrzała na okna sąsiadów. Przełknęła.

- Zamknij bagażnik, proszę.

Pchła zatrzasnęła klapę i podeszła do furtki. Wzięła głęboki oddech, spojrzała na niebo, które znowu zasnuło się chmurami. Wiecznie te chmury.

- Przyszłam ci powiedzieć, że dostaniesz to, czego chciałaś. Wygrałaś.

- Co wygrałam?

- Zajmę się problemem.

Mandy wyjrzała na ulicę, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma.

- Dobrze - powiedziała. - To dobrze.

- Thom w domu?

- Śpi. To dla niego bardzo trudne. Nie chcę go budzić.

Pchła nie odrywała spojrzenia od Mandy.

- Powiedz mi coś.

- Muszę?

- Powiedz prawdę. Tylko o to cię proszę, a potem sobie pójdę.

- Słucham?

- Czy Thom cię namówił? A może to był twój pomysł?

Oczy Mandy błysnęły. Zerknęła na bagażnik. Teraz dygotała.

- Więc? To był twój pomysł czy jego?

- Dla dobra nas wszystkich będzie lepiej, jeśli nigdy nie poznasz odpowiedzi na to pytanie - odparła Mandy cicho, niemal niedosłyszalnie.

Wróciła do domu i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając zmarzniętą Pchłę na pustej ulicy.

Okolica była opustoszała. Chmury przesuwwały się nad polami, więżąc każdy liść i gałąź w niesamowitym kredowym świetle. Pchła prowadziła focusa wolno, zdecydowanie, wybierając boczne trasy, których o tej porze na pewno nie będzie kontrolowała drogówka. Spotkała tylko kilka samochodów. Zastanawiała się, jak widzą ją kierowcy nadjeżdżający z przeciwka, jak wygląda jej twarz w świetle reflektorów. Kurczowo ścisnęła kierownicę, patrzyła przed siebie. Wyglądała jak opętana.

Zjechała z drogi. Focus podskakiwał na wyboistym trakcie prowadzącym do kamieniołomu numer osiem, w bagażniku zwłoki ocierały się o karton. Pchła znalazła wyrwę w zaroślach, przyspieszyła i wjechała w krzaki. Samochód gwałtownie się zatrzymał na zwalonym pniu drzewa. Pchła wysiadła i przedarła się nad brzeg kamieniołomu. Stojąc na opustoszałym trakcie, nasłuchiwała i rozglądała się. Nikt jej nie śledził. Grota Elfa znajdowała się na pustkowiu, nikt nigdy tu nie przyjeżdżał. Mimo to dopiero po pięciu minutach uznała, że jest bezpieczna.

Piętnaście lat temu, kiedy oboje z Thomem byli dziećmi, z nocnego klubu w Bath zniknęła kobieta. W jednej chwili była, w następnej nie. Na szkolnym boisku straszili się wzajemnie: mówili, że ten, kto ją załatwił, teraz zajmie się dziećmi. Dopiero kiedy Pchła dorosła i wstąpiła do policji, poznała prawdę. Kobiety nie zabił potwór, ale facet, któremu tamtego wieczoru dała się poderwać. Potrafił ją na wstecznym biegu. Pewnie nie chciał jej zabić, ale zabił. Wyrzucił ciało na świńskiej farmie i Pchła pewnego upalnego lata spędziła trzy tygodnie, wyjmując z szamba zwierzęce kości, czyszcząc je i przekazując antropologowi. Nie znaleźli ciała, a bez niego nie można było oskarżyć tamtego mężczyzny. Chociaż wszyscy znali prawdę.

To dowodziło, że można się wymigać od odpowiedzialności, jeśli zwłoki się dobrze ukryje. Najsensowniejszą rzeczą, jaką Pchła mogłaby teraz zrobić, było pożyczanie piły łańcuchowej, pocięcie Misty na tysiąc kawałków i rozrzucenie ich w rzekach i po polach. Ale nawet w obecnym stanie lodowatej determinacji nie rozważała takiego rozwiązania. Doszła do innego gorączkowego, acz racjonalnego wniosku - jedyne, na który potrafiła się zdobyć.

Z tylnego siedzenia wywlokła sprzęt do nurkowania, rzuciła go na ziemię i zabrała się do przykrywania samochodu gałązkami. Zdjęła buty, wciągnęła kombinezon, założyła

kamizelkę i butle, wzięła trzy regulaminowe wdechy przez aparat. Zapięła wszystkie pasy, zamknęła samochód, jeszcze raz się upewniając, że nie widać go z drogi, i zaniósła płetwy na brzeg kamieniołomu, gdzie umocowała je na nogach. Z maską na twarzy zeszła po zardzewiałej drabinie do kamieniołomu. Dokładnie o pierwszej trzynastej w nocy bezszelestnie zanurzyła się w mrocznej wodzie.

Marleyowie nurkowali od zawsze. Rodzice nauczyli tej sztuki dzieci. Kiedy kończyły jedenaście lat, wkładały kombinezony. Rodzinne wakacje w większości polegały na nurkowaniu i badaniu wraków w Morzu Czerwonym, na wybrzeżu Cypru, a raz w lagunie Trak, co o mało nie doprowadziło ich do bankructwa. Wtedy byli razem w miejscach, w których znajdowali pociechę, w których życie stawało się łatwiejsze. Nawet wypadek tego nie zmienił. Ale nurkowanie w samotności? Nocą? To złamanie wszystkich zasad bezpieczeństwa i dowód braku zdrowego rozsądku. Rzecz głupia, proszenie się o śmierć.

Pchła wolno opadała na głębokość piętnastu metrów, wypuszczając małe ilości powietrza z kombinezonu. Latarkę skierowała w dół, błoniasty snop światła wydobywał z mrocznej otchłani wirujące cząsteczki. Biegł daleko, może przez kolejne piętnaście metrów, ale nie sięgał dna. Pchła znajdowała się w głębszej części kamieniołomu. Pod nią wciąż było dwadzieścia pięć metrów - niemal siedemdziesiąt pięć stóp - wody.

Pokonała następne piętnaście metrów. Na pamięć znalazła sieć, zieloną jak zielska i nastroszoną w świetle latarki. Trzymając się jej, przepłynęła sześć metrów do miejsca, gdzie umieszczono znak ostrzegawczy. Dziura, którą zrobiła w zeszłym tygodniu, wciąż tu była, poszarpane krawędzie kołysały się wolno jak ukwiały. Pchła wsunęła się w otwór, uważając, żeby butle się nie zaplątały - nie chciała powtórki z ostatniego razu. Jakiś metr dalej, tam, gdzie zdarzył się ten wypadek, stanęła i zaczęła się odwracać, kierując latarkę w wirującą ciemność.

Zwykle podczas postojów dekompresyjnych przypinała się do liny i kładła w wodzie na brzuchu. Dzisiaj wolała pozycję pionową. Chciała móc się odwracać o trzysta sześćdziesiąt stopni. Zwiększając wyporność kamizelki, upuszczając nieco powietrza z kombinezonu, żeby nie wystrzeliło w górę i nie zebrało się przy szyi, odnalazła własną neutralną wyporność, po czym rozpostarła ramiona. Snop światła skierowany był na bok. Pchła unosiła się spokojnie w wodzie jak kosmonauta w mroku.

Odpoczywała. Z zamkniętymi oczami koncentrowała się na całkowitym opróżnieniu głowy, tak by nie było nic, żadnej myśli, żadnego dźwięku, tylko odgłos oddechu. Wiele lat temu usłyszała, że pewne gatunki ptaków morskich mają wewnętrzny kompas, którego używają do nawigacji nad oceanami; przemierzają połowę globu i zawsze wracają na miejsce

godów. Ptaki nie muszą myśleć, poddają się instynktowi prastaremu i cudownemu, wiedzy, która jest w ich ciałach, nie w głowie: gdzie znajduje się północ, a gdzie południe.

Próbowała wyobrazić sobie, że jest ptakiem morskim. Odchyliła głowę, spojrzała w górę. Pragnęła, by ciało podpowiedziało jej kierunek. Pragnęła jak ptak instynktownie wiedzieć, w którym kierunku ma iść.

Mijały minuty. Pomiędzy hałaśliwymi oddechami poddane ciśnieniu uszy płatały jej figle. Zewsząd przyciągały ją wymaginowane odgłosy, najpierw z prawej, potem z lewej strony. Pozwalała, by nad nią przepływały, i czekała, aż ciało zdecyduje, co chce robić.

Musisz dbać o siebie...

Otworzyła oczy. Snop światła pojawił się przed jej twarzą, kołysząc się w ciemności. Złapała latarkę, wyprostowała. Przesunęła z boku na bok, usiłując znaleźć źródło dźwięku.

- Mamo?

Żadnej odpowiedzi.

- Mamo?

Odwróciła się. Otoczyło ją światło. To była halucynacja.

- Mamo? Jesteś tu?

Ruch po lewej. Tuż za snopem światła. Przesunęła latarkę. Sześć metrów dalej zobaczyła stopy. Ludzkie stopy. Pośpiesznie się oddalały.

Amos Chipeta.

Ruszyła w mrok, oburącz ściskając latarkę. Snop światła tańczył przed nią jak zwariowany. Stopy zniknęły. Światło trafiało wyłącznie w pustkę.

Mając wrażenie, że serce wypełnia jej całą klatkę piersiową, zrobiła zwrot i popłynęła za stopami. Intuicja podpowiadała, żeby wyłączyć latarkę, nie zdradzać swej obecności przed istotą, która kryła się w ciemności, ale bez niej byłaby ślepa. Osłaniając latarkę dłonią, tak że różowa poświata sączyła się przez jej palce, płynęła ostrożnie.

Według wskazań kompasu tajemnicza istota poruszała się na zachód i w górę. Pchła dotarła do podwodnej skały przy brzegu kamieniołomu, oświetliła ją i nic nie zobaczyła. Odwróciła się - też nic. Sprawdziła licznik głębokości. Wciąż znajdowała się na głębokości trzydziestu metrów. Uniosła latarkę nad głowę, zatoczyła nią łuk. Nawet jeśli Chipeta płynie szybko, snop powinien go objąć. Oświetliła wszystko wokół siebie, ustawiając latarkę pod różnymi kątami, ale zobaczyła tylko poruszające się leniwie rośliny na skale.

Przyszło jej coś do głowy. Krążyły plotki, że kamieniołom łączy się z jaskiniami wykutymi przez rzymskich górników wydobywających ołów. Że są tu tunele. Zatknąwszy latarkę za kamizelkę wypornościową, przesunęła dłońmi po oślizłej powierzchni.

Niemal od razu natrafiła na niszę, miejsce ciemniejsze od reszty skały. Pchła miała prawie stuprocentową pewność, że nie zaznaczono jej na planie kamieniołomu. Wsunęła do środka głowę, oświetlając najpierw krawędzie, potem kierując latarkę przed siebie, by ocenić rozmiary niszy. Ciągnęła się bez końca, snop światła tonął w ciemności. Średnica także była spora: zmieściłoby się w niej trzech ludzi, nawet w pełnym ekwipunku nurka.

Nawet w pełnym ekwipunku. Pchła się skrzywiła. Nie ma innego wyjścia.

Wierzgnęła nogami i wsunęła się do jaskini. Przebierała palcami po ścianach, bo wiedziała, że równie dobrze otwór może się gwałtownie zwęzić i sufit uszkodzi butle, które miała na plecach. Ludzie w taki sposób ginęli w miejscach w rodzaju Eagle's Nest na Florydzie czy w jaskiniach Jukatanu, nie jak jej rodzice podczas fatalnej próby swobodnego nurkowania, ale zaplątani w liny, uwięzieni w nieruchomych skałach, w wypełnionych wodą niszach i przełazach. Myślała, jak walczyli samotnie, aż powietrze w butli się kończyło i płuca bezskutecznie próbowały się napełnić. Nazywali to pompowaniem. Najgorsza śmierć ze wszystkich.

Dno zaczęło się podnosić. Pchła wpłynęła do komina: pionowej wąskiej rury, szerokiej na metr dwadzieścia. W świetle zobaczyła, że ściany są gładkie, niemal jak wycięte maszynowo. Zmusiła się do krótkiego postoju dekompresyjnego: oddychała wolno, wyobrażając sobie, jak azot znika z jej mięśni. Na zegarku zmieniały się cyfry. Sześć minut powinno wystarczyć. Napełniła kamizelkę powietrzem i z wyciągniętą ręką ruszyła w górę.

Rozszerzający się gaz nadał jej prędkości. Poznaczone pasmami czarnego wapienia ściany migotały przed oczyma Pchły, światło przed nią gineło w ciemności; czuła się jak we śnie, *dbaj o siebie* dudniło jej w uszach przy każdym uderzeniu serca. Aż wreszcie nieoczekiwanie komin się skończył. Nad sobą miała powietrze.

Panowała tu ciemność. Oparła się jednym łokciem o krawędź, ciężko dysząc. Wystawiła tylko głowę, zapierając się nogami o ścianę. Gdyby nastąpił atak, uderzy zaworem o skałę, opróżni kamizelkę z powietrza i skoczy z powrotem do komina. Koncentrowała się na oddechu. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Minęła prawie minuta. Nikt nie złapał jej za głowę, nikt nie zbliżył twarzy do jej maski. Ostrożnie wyciągnęła latarkę z wody i skierowała przed siebie. Snop światła powędrował w ciemność i trafił na oddaloną o mniej więcej sześć metrów omszałą i wilgotną skałę. Pchła przesunęła latarkę na lewo: znowu skała. Żadnej mgły, księżycy, drzew. A kiedy skierowała ją do góry, światło padło na sufit wysoki na niemal dwanaście metrów. To nie były plotki. Znalazła się w chodniku starej kopalni ołowiu.

Po kilku przypadkowych śmierciach w innych oddziałach nurków w czasie szkolenia

wbijano jej do głowy, żeby w żadnym razie nie zdejmowała maski, dopóki się nie przekona, jakie jest powietrze. Podciągnęła się i wyszła na brzeg. Kucnęła, spięta i skoncentrowana, latarkę trzymając przed sobą jak broń, przez cały czas gotowa skoczyć z powrotem do komina. Wolnym ruchem zdjęła maskę z jednego ucha, przekrzywiła głowę na bok i ze wstrzymanym oddechem nasłuchiwała.

Usłyszała czyjś oddech. Ktoś ukrywał się w ciemności.

Uniosła maskę. Powąchała. Posmakowała powietrze. Było czyste. Wilgotne, pełne zapachu wody i gnijących roślin, ale czyste. Zawiesiła maskę na przegubie, żeby w każdej chwili móc ją nałożyć, i położyła palce prawej dłoni na ziemi. Mięśnie nóg potwornie ją bolały, mimo to pochyliła się odrobinę do przodu i skierowała światło na miejsce, skąd dochodził odgłos.

Snop padł na czarną skałę, zatoczył łuk. W szczelinie coś błysnęło. Oczy. Podłużne, na wysokości metra od podłoża. Ludzkie oczy, chociaż żółte i zażawione. Wpatrywały się w nią. Zamrugały, a potem pojawiła się wielka dłoń, by osłonić je przed nagłym światłem. Teraz mogła ocenić rozmiar głowy. Miała kształt kowadła, nadmiernie rozrośniętą szczękę, kark krótki, niemal nieistniejący. Pchła dostrzegała wystające żebra, jakby kości były za wielkie, słyszała wysilony oddech. To nie był elf, troll, skrzat ani gnom. To nie był Tikoloshe. To był człowiek ubrany w przetartą bluzę, szorty i klapki. Pchła zachowała opanowanie. Zachowała spokój.

- Jestem z policji. Nie ruszaj się. Nie zbliżaj się do mnie.

Oczy zamrugały.

- Zrobisz krok w moim kierunku, a znajdziesz się w takim gównie, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić. OK?

Tamten po chwili wahania kiwnął głową.

Pchła się wyprostowała. Spojrzała na niego zdecydowanie.

- Amos. Ty jesteś Amos. Śledziłeś mnie?

Pokręcił głową.

- A jak było w tamtym mieszkaniu w zeszłym tygodniu? Kiedy weszliśmy? - Wierzchem dłoni otarła usta, by usunąć smak kamieniołomu. - Ze mną był inny policjant. Po cywilnemu.

Cisza. Amos przyglądał się jej uważnie. Teraz Pchła dostrzegła coś jeszcze, błysk plastiku: białe pojemniki w rodzaju tych, które można spotkać w sypialni nastolatek. Cztery, może pięć - ustawione jeden na drugim. Poczowała zapach spalenizny, zobaczyła zniszczony śpiwór. I wtedy dotarło do niej, że on tu mieszka. Tutaj, w mroku pomiędzy mchem,

gnijącymi liśćmi i martwymi owadami próbuje jakoś przetrwać.

- Nie wiem, kim jesteś, ale nie pochodzisz z Anglii. Jesteś z Afryki. Z Tanzanii.

Oczy wpatrywały się w nią nieruchomo. Czekały na dalszy ciąg.

- Jesteś nielegalnym imigranem i wpadłeś po uszy w gówno. Tu i u siebie też. - Poruszyła językiem, usiłując resztki śliny przenieść na wargi. - Ja mogę sprawić, że wpadniesz jeszcze głębiej. Zrobię to, jeśli będę musiała.

Głowa musiała nieznacznie się przekrzywić, bo kąt, pod którym patrzyły oczy, uległ zmianie. Wciąż były utkwione w jej twarzy, ale teraz oddech wydawał się inny. Cichszy. Głębszy i wolniejszy. Nie potrafiła oderwać wzroku od tych oczu, które obserwowały ją bez jednego mrugnięcia.

- Coś ci dam. Zrozumiesz, kiedy zobaczysz, co to jest. Zrobisz z tym porządek i nigdy więcej o tym nie wspomnisz. Jeśli spróbujesz wykorzystać to przeciwko mnie, gorzko pożałujesz. Wiem, czego policja będzie szukała, więc coś z tym zrobiłam... Musiała przerwać, przycisnąć palce do gardła, by głos przestał jej drżeć. Sprężone powietrze wysuszyło jej usta.

- Zrobiłam coś z ciałem, żeby ślady nie prowadziły do mnie. Jeśli pójdziesz z tym na policję, pomyślą, że ty ją zabiłeś. Ale... - Znowu zamilkła; kiedy odzyskała panowanie nad głosem, mówiła dalej: - Jeśli zrobisz to jak trzeba, z szacunkiem, znajdę sposób, żeby ci pomóc. Nie wiem jak, ale ci pomogę, będę cię chronić. To prosta wymiana.

Przez chwilę mały człowiek trwał w bezruchu. Potem niemal niedostrzegalnie potaknął. Zgadzał się.

Pchła wytarła nos i wzięła głęboki wdech.

- Dobrze. Tylko tyle miałam do powiedzenia.

Wciągnęła maskę na mokre włosy, zostawiła osłonę na oczy na czubku głowy. Położyła dłonie na podłożu, kucnęła przy krawędzi komina i spuściła nogi do wody. Poczekała chwilę, patrząc tamtemu w oczy.

- Jeszcze jedno.

Spojrzał na nią pytająco.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Zsunęła maskę na twarz i zniknęła w burzy bąbelków, które wytrysnęły w ciemności.

Siedząc w samochodzie przed domem Lindermilk, Caffery popił szpitalny tramadol i kodeinę puszką sprite'a. Niewykluczone, że po jakimś czasie złagodzą ból, ale Caffery wiedział, że na pewno po nich nie zaśnie. Zbyt wiele się dzisiaj wydarzyło.

Pojechał do Farleigh Park Hall, zaparkował przy skrócie na podjazd i długo wpatrywał się w oślepiające światła ośrodka, paląc papierosa za papierosem. Było ciemno, więc technicy przerwali badanie domu Gerbera. Wrócą tam jutro rano. Może powinni szukać ludzkich szczątków, pomyślał. Misty Kitson. Powie im to rano, a potem ponownie odwiedzi sekretarkę Gerbera, Marshę. Z akt pamiętał, że Misty przeszła operację nosa, która miała na celu naprawienie szkód wyrządzonych przez wieloletnie wciąganie kokainy. Operację przeprowadził Irańczyk na Harley Street, ale może zależało jej na następnej. Może umówiła się na wizytę u Gerbera. *Nazwiska mogą być fałszywe, ludzie się wstydzą*, powiedziała jedna z sekretarek. Czy to możliwe, że Misty też zabiłeś, ty draniu?

Po wypaleniu czterech papierosów wciąż nie chciało mu się spać. Zostawił wiadomość na poczcie głosowej Powersa - *Zadzwoń. Ważna sprawa* - zapalił silnik i ruszył na wschód, zamierzając wrócić do domu, ale złapał się na tym, że znowu myśli o Amosie Chipecie. Czego chce? Myślał o bransolecie z ludzkich włosów, która miała odstraszać złe duchy. Stwierdził, że kieruje się krętą drogą w stronę mrocznego lasu Stockhill. Tuż po drugiej w nocy zamiast skrócić na podjazd w Priddy, zjechał z głównej drogi na trakt prowadzący do kamieniołomów przy Grocie Elfa.

Światła reflektorów omiotły świeże listki na gęstych kolcolistach. Posłuszny intuicji, która kazała mu się cicho zachowywać, zaparkował samochód tuż przy trakcie za kontenerami i kulejąc, pieszo przemierzył ostatnie sto metrów dzielące go od kamieniołomu numer osiem.

Noc była mleczna, księżyc rzucał intensywną poświatę. Chmury napierały, utrzymując światło blisko ziemi. W cieniach nic się nie poruszało, ani wiatr, ani zwierzęta. Caffery stał chwilę nad wodą. Sprawdził, czy rana w czasie marszu nie zaczęła na nowo krwawić, ale opatrunek był suchy.

Nad kamieniołomem panował spokój. Bezruch. Gdzie on mieszka? Gdzie się ukrywa?

Wzdłuż brzegu przeszedł do oddalonego o pięćdziesiąt metrów miejsca, gdzie

znaleziono Bena Jakesa, i uważnie przyjrzał się zarośłom. Nic się nie zmieniło. Ruszył wokół kamieniołomu. Co kilka minut przystawał i nasłuchiwał nocnych odgłosów, przedzierając się przez jeżyny i suche gałązki w miejscach, gdzie kończyła się dróżka. Kiedy dochodził do miejsca, w którym znalazł skuter, nagle stanął jak wryty.

Trzy metry dalej w krzakach zobaczył przykryty gałązkami samochód. Srebrnego forda focusa. Wyglądał, jakby stał tu od dawna, od wielu dni, sądząc ze sposobu, w jaki był zasłonięty. Ale Caffery wiedział, że to niemożliwe. Zbliżył się i wyciągnął rękę nad maskę. Wciąż ciepły. Ktoś go tu ukrył. Caffery spojrzał na kamieniołom. Woda i rosnące na brzegu drzewa trwały w kompletnym bezruchu. Czy ktoś tu jest? Obserwuje go zza drzew, z drugiego brzegu kamieniołomu?

Tramadol nie zaczął jeszcze działać, serce biło mu szybko, kiedy przez krzaki przedzierał się na tył samochodu. Z namysłem spojrzał na tablicę rejestracyjną. Nowa. Ford focus z nową tablicą.

Z wolna zaczęło to do niego docierać.

Wiedział, czyj to samochód.

Sierżant Marley powiedziała, że focus się jej znudził. Znudził? Caffery pociągnął za klapę bagażnika. Zamknięta. Kiedy nad kamieniołomem w dniu, gdy znalazła psa, zapytał ją o ten samochód, coś się w niej zmieniło.

Powróciło na wpół zapamiętane wspomnienie. Cofnął się w krzaki i spojrzał na numer rejestracyjny. Widział focusa kilka razy. Raz w dniu, kiedy dokonywali aresztowań w trakcie operacji Norwegia: stał zaparkowany przed domem w Mendips i Caffery miał czas, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Zmrużył oczy, przypominając sobie: zasilacz na tylnej półce i coś jeszcze... Coś ważnego. Kawałek materiału zwisający z bagażnika. Strzęp fioletowego aksamitu przytrzaśnięty w zamku.

Zadzwoił telefon w jego kieszeni. Caffery drgnął. Schował się między drzewa i odebrał tak szybko, jak się dało.

- Tak - powiedział cicho. - Co jest?

- Jack? - To był Powers. Głos miał łagodny i rozwlekły po wieczornych drinkach. - Dostałem twoją wiadomość. Dopiero teraz usłyszałem, co się stało. Bardzo mi przykro, stary, naprawdę przykro.

- Tak. - Caffery nie odrywał wzroku od samochodu. Fioletowy aksamit. Fioletowy aksamit przytrzaśnięty klapą tego pierdolonego samochodu. - Jasne.

- Gdzie jesteś? W szpitalu? Technicy próbują cię znaleźć. Podobno im obiecałeś swoje ubranie, jak wyjdiesz ze szpitala.

Fioletowy aksamit. Samochód, płaszcz. Samochód, płaszcz. Płaszcz Misty Kitson. Pchła nie chciała szukać jej w jeziorze.

- A co ze mną? Masz coś dla mnie? Wydawałeś się podniecony. Co z Kitson?

- Kitson - powtórzył Caffery z taką obojętnością, jakby nigdy dotąd nie słyszał tego nazwiska. - Misty Kitson.

- Powiedziałeś, że do dzisiaj coś powinieneś mieć, pamiętasz? - Powers umilkł na chwilę. - Czy ty mnie słyszysz, Jack? Wiesz co, powtórz mi tylko, co ta twoja wtyka opowiadała, a resztą my się zajmiemy. Przyjdę do ciebie, jeśli chcesz. Teraz. Miejsce nieważne.

Caffery milczał. Wciąż wpatrując się w samochód, odsunął telefon od ucha i trzymał go na długość ramienia, pozwalając Powersowi mówić w powietrze. Potem kciukiem przerwał rozmowę. Stał z wyciągniętą ręką, z sercem walącym w piersiach, nieruchomy jak kamień.

Nie ma Boga, pomyślał. Nie istnieje nic takiego jak Bóg.

Kiedy teraz o tym myślał, wszystko było jasne. Tyle rzeczy wskazywało na Pchłę. Tiki, brak logiki w zachowaniu. Przypomniawszy sobie Stuarta Pearce'a, kiedy znaleźli Lucy Mahoney. Gliniarza z drogówki nad kamieniołomem, który mówił, że w wieczór zaginięcia Misty Kitson z Pchłą było coś nie w porządku. Że bardzo się denerwowała.

Z kamieniołomu po jego prawej dobiegł cichy jednoznaczny bulgot, jakby zwierzę wynurzyło się na powierzchnię. Caffery wrzucił telefon do kieszeni i cicho wycofał się między drzewa. Stał w odległości dwudziestu metrów od samochodu i czekał, obserwując czarną wodę, w której odbijały się chmury.

Taflę zmaciły zmarszczki, jakby ktoś rzucił kamień z brzegu. Znowu zabulgotało, rozeszły się koła, burząc obraz chmur na wodzie. Ktoś był w kamieniołomie. Caffery zrobił jeszcze kilka kroków w cień. Wreszcie nad powierzchnią pojawiła się głowa. To była Pchła, zamglone światło czołówki podskakiwało przy każdym jej ruchu.

Caffery oparł się o pień, żeby nie stracić równowagi. Pchła wspięła się po drabinie i usiadła na brzegu. Odpięła pasy, odchyliła się i zsunęła butle na ziemię. Zdjęła rękawice i pletwy, wyłączyła regulator powietrza w butlach i chwiejnie wstała. Odwracając się na pięcie, uważnym wzrokiem wodziła po kamieniołomie. Mokre włosy przykleiły się jej do czaszki, drobną twarz miała ściągniętą i zmizerowaną. Kiedy się upewniła, że jest sama, z kieszeni kombinezону wyjęła kluczyki i ruszyła do samochodu. Nie otworzyła drzwi, ale bagażnik.

Schylona, objęła wielki biały pakunek. Caffery wiedział, co w nim jest: dostrzegł żółtawą smugę farbowanych włosów przyciśniętych do plastiku. Zrobił kilka kroków do przodu, szczypiąc się mocno w nos, jakby mógł się obudzić i przekonać, że to tylko sen.

Wolno, niezgrabnie Pchła upuściła ciało, które uderzyło w ziemię z głuchym tąpnięciem. Zamknęła klapę i złapała pakunek za dwa rogi. Zaciskając zęby w skupieniu, odchyliła się i zaczęła go wywlekać spomiędzy drzew w kierunku wody. Pakunek podskakiwał i zahaczał o korzenie. Raz czy dwa Caffery pomyślał, że Pchła nie da rady wyciągnąć zwłok na ścieżkę, ale była przyzwyczajona do bezwładnego ciężaru martwego ciała i w końcu się jej udało. Po dziesięciu minutach dotarła na brzeg.

Przysunęła pakunek do drabiny, po czym się wyprostowała, przyciskając ręce do pleców i kręcąc głową, by rozluźnić napięte mięśnie. Nagle zeszywniała. Odwróciła się i

spojrzała w kierunku drzew, gdzie stał Caffery.

- Ktoś tu jest?

Caffery zacisnął nozdrza, zwalczając chęć odezwania się. Poczł ciężar napierający mu na żebra.

Pchła nasłuchiwała przez chwilę, potem ze zmarszczonym czołem wciągnęła płetwy i założyła butle.

Skończywszy kompletować ekwipunek, zesła po drabinie do wody, zanurzając się po pas. Jedną ręką trzymała się szczebla, drugą przysunęła zwłoki. Kiedy się przechyliły, Caffery dostrzegł skórę widoczną przez rozdarty plastik. Obtartą skórę, mięsień, platynowe włosy.

W pewnej chwili Pchła znieruchomiła, obejmując pakunek.

Najpierw pomyślał, że się zastanawia, próbując ustalić następny krok, ale zaraz uświadomił sobie, że chodzi o coś zupełnie innego. Pchła miała głowę lekko pochyloną, ale oczy uniesione. Wpatrywała się w to miejsce pod plastikiem, gdzie była twarz Misty Kitson. Gdyby nie przeczyło to wszystkim jej postępkom, których był świadkiem, Caffery powiedziałby, że Pchła przeprosza Misty Kitson.

Mógł teraz wyjść spomiędzy drzew, stanąć bez ruchu w świetle księżyca gdzieś, gdzie by go zobaczyła. Zanim jednak zdążył wykonać ruch, Pchła włożyła maskę, mocno objęła zwłoki i jak kamień skoczyła w czarne lustro kamieniołomu.

Zaskoczony, że stało się to tak szybko, Caffery pokuśtykał nad brzeg, gdzie jej ekwipunek zostawił kałużę wody. Przez bąble widział czarną głowę Pchły, oszroniony plastikowy całun Misty, kołyszący się snop światła latarki.

A potem zniknęły, powierzchnię mąciły tylko bąbelki.

O świcie Pchła wreszcie dotarła do wąskich dróg wokół domu. Jechała z równą prędkością, w nozdrzach wciąż czując odór kamieniołomu. Świat otuliła mgła, szara i gęsta, w której kręte drogi stawały się zdradzieckie. Jakies osiemset metrów od domu nagle pojawił się przed nią ostry zakręt. Nadepnęła hamulec, skręcając focusa na lewo. Opony zapiszczały, kierownica podskoczyła jej w rękach, ale trzymała ją mocno. Samochód się przechylił, zablokowane koła wpadły w poślizg. Pchła zobaczyła zbliżające się błyskawicznie drzewo. Uderzenie rzuciło ją do przodu, pasy boleśnie wbiły się jej w żebra. Poduszka powietrzna pchnęła jej głowę do tyłu i tak mocno walnęła w szczękę, że Pchła przygryzła sobie język.

Poduszka zwiotczała. Głowa poleciała w dół.

Siedziała chwilę i czekała, aż w uszach przestanie jej dzwonić. Pod językiem zbierała się krew. Zatrzymała ją w ustach, w myślach sprawdzając, czy nie odniosła obrażeń. Bolało ją kolano, którym uderzyła w kolumnę kierownicy, i mostek od pasów bezpieczeństwa, ale czuła palce u nóg. Mogła nimi poruszać.

Otworzyła drzwi i wypluła krew na asfalt. Niezgrabnie odpięła pasy, pchnęła drzwi na oścież i ostrożnie wysiadła, starając się oszczędzać mięśnie klatki piersiowej. Samochód wylądował blisko drzewa, musiała się obok niego przecisnąć i poczłapała na tył. To była pusta droga, obrośnięta dzikim bzem i świeżo rozkwitłymi makami. Z mgłą mieszał się ostry zapach trybuli zmiążdżonej kołami samochodu. Rosa z gałęzi spryskała przednią szybę. Pchła obeszła focusa, oglądając uszkodzenia. Kiedy zobaczyła przód, głośno wypuściła powietrze z płuc. Jakimś sposobem, bardziej dzięki szczęściu niż rozsądnej decyzji, wszystko było jak trzeba.

Z bagażnika wyjęła worek na śmieci z torebką, telefonem, sandałami i płaszczem Misty. Puszka z farbą, którą postawiła w głębi, przewróciła się, ale nie wylała, więc Pchła szwajcarskim scyzorykiem podważyła wieko, tak by zawartość mogła się sączyć.

Po raz ostatni spojrzała na samochód. Reflektor, który uderzył w Misty, wbił się w pień drzewa, przednie koła skręciły, oś pękła. Silnik i przegroda także na pewno pękły. Samochód był skasowany. Wcześniej wymyła całość szmatą zamoczoną w benzynie, usuwając tłuszcz i odciski palców, zbierając włosy i włókna. Poświęciła na to dwie długie godziny i była pewna, że nic nie zostało. Zresztą i tak nikt nie podda tego samochodu

szczegółowym badaniom. Nie będzie powodu, o ile Pchła zgłosi, że sama go prowadziła. Wszystkie dowody łączące ją i Thoma z Misty Kitson wylądają na złomowisku. Resztki benzyny były w małej butelce w worku.

Przerzuciwszy go przez ramię, Pchła precyzyjnie się przez żywopłot i ruszyła po pokrytych rosą polach. Słońce przebijało się przez poranną mgłę i gdy szła w górę zbocza, widmowe kształty z obu stron zmieniały się w przełazy i drzewa. Kiedy dotarła na stare wojskowe lotnisko na szczycie Charny Down, mgłę zostawiła za sobą. Nieużywana wieża połyskiwała w słońcu. Resztki poprzedniego ogniska wciąż tu były: płaski krąg poczerńiałej trawy, której rosa nadała szary odcień. Pchła położyła worek na kręgu, wyjęła butelkę, połała benzyną zawartość i rzuciła zapaloną zapałkę.

Cofnąwszy się o kilka metrów, usiadła i czekała, aż ogień zacznie się palić. Niebo na wschodzie znaczyły smugi brudnego różu i brązu, w dolinie kłębiła się mgła. Sąsiednie wzgórza, miejsca, które znała od urodzenia, wznosiły się nad doliną niczym mroczne wyspy. Kilkaset metrów dalej był Solsbury Hill, a za nim, tam gdzie przełęcz prowadziła do Frome i Warminster, w błękitne niebo niczym palec unosiła się inna smuga dymu.

Pchła nie odrywała od niej oczu. Ciało bolało ją od wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin, w palcach czuła mrowienie po lodowatej wodzie w kamieniołomie, ale obserwowanie tego dalekiego ogniska sprowadzało na nią spokój, którego nie potrafiła wyjaśnić. Zaplotła dłonie na kostkach i pochyliła się.

Dbaj o siebie...

To było w porządku. Ratowanie siebie w taki sposób było w porządku. Przez popełnienie złego uczynku dla słuszych powodów. Czasami nie pozostaje ci nic innego, tylko iść dalej. Dokonywać wyborów, które utrzymują cię przy życiu.

Usłyszała cichy trzask i płomień skoczył w górę. Opadł, znowu skoczył, dołączyły do niego inne barwy zieleni, pomarańczy, błękitu. Jedwabisty czarny dym zakotłosał się i uniósł w niebo, posyłając odpowiedź ognisku płonącemu na pobliskim wzgórzu.

Ognisku człowieka, którego Pchła nigdy nie spotkała.

Niektórzy ludzie mają zwierzęcy instynkt, który się bierze z wielu lat życia pozbawionego wygód. Nawet śpiąc, Piechur sprawiał wrażenie, że wie, co się dzieje na jawie i kogo powinien się spodziewać. Jakby jego uśpiony umysł opuszczał ciało i dryfował nad wzgórzami i dolinami, jak jastrząb obserwując tych, którzy noc spędzają poza domem i kręcą się po jego terenie. A przez cały ten czas ciało leżało obok wygasłego ogniska, ciche i nieruchome z wyjątkiem drgających oczu.

Tamtej nocy, gdy Gerber leżał w kostnicy w Trowbridge, a Pchła nurkowała w kamieniołomie przy Grocie Elfa, Piechur spał smacznie i spokojnie. Spodziewał się gościa. Zostawił matę i śpiwór obok ogniska.

Caffery przyjechał o wpół do czwartej nad ranem. Wsunął się do śpiwora i momentalnie zapadł w ciężki, narkotyczny sen.

Kiedy dwie godziny później obudził się zimnym, mlecznym świtem, mgła zamarzała, a jedynym odgłosem było ponure krakanie wron w koronach wysokich drzew. Usiadł. Piechur przygotowywał śniadanie. Z ogniska unosił się wąski słup dymu. Dwie porcje jajek z bekonem, dwa kubki.

- Dzień dobry. Zapowiada się na taki. Mgła wkrótce opadnie.

Caffery nie odpowiedział. W organizmie wciąż miał szpitalną kodeinę, która jak gorąca i pierzasta kula wypełniała mu mózg. Kładąc dłonie na kostkach, spojrzął na ognisko, na bliźniacze metalowe kubki do kawy, na dwie patelnie skwierczące nad płomieniami. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak bardzo wyczerpany, znużony umysłowo i fizycznie. Głowa mu opadła. Musiał oprzeć ją na dłoniach.

- Dlaczego masz wyłączony telefon? - Piechur patrzył w ogień. - Zwykle traktujesz go jak drugie serce.

Caffery wyjął komórkę z kieszeni. Położył na ziemi i popatrzył na nią. Nie jak na serce, ale jak na węża.

- Więc?

- Nie wiem, co miałbym począć, gdybym znowu ją włączył. Więcej mnie o to nie pytaj.

Piechur wzruszył ramionami. Przełożył jedzenie na dwa talerze: po cztery grube

plastry bekonu, trzy smażone jajka, dwie kielbaski i kromce pieczonego chleba dla każdego. Cały dzień chodził i potrzebował paliwa. Swoją talerz zawsze wypełniał po brzegi i pilnował, żeby gościom także niczego nie brakowało. Wyprostował się, jeden talerz zostawił na swoim posłaniu, drugi przyniósł Caffery'emu. Widząc jego minę, zażawione oczy, wstręt, z jakim spojrzał na jedzenie, zawahał się.

- OK. W porządku. - Odsunął się od ogniska na kilka kroków, przykucnął i zrzucił jedzenie na ziemię. - Borsuki cię za to pokochają.

Wrócił na swoją matę, ostrożnie krocząc w samych skarpetkach, bo jedno musiał robić na pewno: dbać o stopy. Usiadł, kładąc talerz na kolanie. Przesuwał palcami po brodzie i przez przymknięte powieki przyglądał się uważnie Caffery'emu.

- Wiesz, do czego doszedłeś. - Głową wskazał telefon. - Prawda?

Caffery był przygnębiony.

- Do czego?

Piechur się uśmiechnął.

- Do skrzyżowania - odparł. - Ostatecznego skrzyżowania. I czeka cię rozstrzygnięcie. Nie wiem, dlaczego ani co się stało, ale kiedy włączysz komórkę, będziesz musiał zdecydować. Prawda?

Caffery wpatrywał się w Piechura. Ten drań miał rację. Myślał o tym we śnie. Halucynacje kłębiły mu się w głowie. Że rano będzie musiał pogadać z Powersem. Podjąć decyzję. Powiedzieć szefowi, co wie o Misty Kitson.

- A to jest decyzja, która wisi nad tobą od lat. Może tego nie dostrzegasz, ale jej istotą jest to, czy nadal będziesz stał twarzą w twarz ze śmiercią, czy też odwrócisz się i wybierzesz życie. To wszystko.

Caffery pogardliwie prychnął.

- I właśnie ty głosisz mi kazanie o takim wyborze? Ty, który wybrałeś śmierć? Jak to jest?

- Może kazanie wygłasza ci ktoś, kto został wybrany przez śmierć.

- Nie jesteś martwy. - Caffery patrzył Piechurovi w oczy. Były niebieskie. Jak jego własne, jakby pochodzili z tej samej rodziny. Tylko że Caffery wiedział, że mądrość malująca się w oczach Piechura w jego oczach jest nieobecna. Jeszcze nie. - Wciąż żyjesz.

- Tak. O, tak. - Piechur patrzył na swoje dłonie. Odwracał je raz po raz, jakby należały do kogoś innego. - Wygląda na to, że faktycznie żyję.

- Masz plan. Nie wiem, na czym polega, ale go masz. Więc jednak nie wybrałeś śmierci.

Piechur się roześmiał - współczująco, jakby Caffery był nieskomplikowany jak dziecko. Jakby potrzebował wielu lat na osiągnięcie dojrzałości myśli czy emocji. Wytał wąsy.

- Kiedy Craig Evans zabił moją córkę, kiedy mi powiedział, co zrobił... ile razy ją przedtem zgwałcił - poklepał palcem usta, jakby przez chwilę nie ufał we własną zdolność dokończenia myśli - kiedy mi to wszystko powiedział, wiedziałem, że decyzja została podjęta. Za wszystko, co przecierpiała, należała się jej pociecha. A żeby ją pocieszyć, musiałem pójść za nią.

Caffery pochylił się ku niemu. Piechur po raz pierwszy mówił wprost o śmierci swojej córki.

- Pójść za nią dokąd?

- Na drugi świat, to oczywiste. Tak po prostu musiało się stać. To naturalny bieg rzeczy. Przygotowuję się do tego każdym uczynkiem, każdą przemierzoną milą. Muszę znaleźć odpowiednie miejsce i czas. - Podniósł głowę. - Ty nie wiesz, co się stało z ciałem twojego brata.

- Nie.

- Szukałeś wszędzie, w każdym miejscu, które przyszło ci do głowy.

- Tak. Innych możliwości nie ma. Raz myślałem, że jestem blisko. Daleko stąd. Na wschodzie, nie na zachodzie.

- Tak?

- Myliłem się.

Piechur z namysłem kiwał głową. Długo przyglądał się Caffery'emu, potem ujął widelec i wrócił do jedzenia, wpatrując się w horyzont. Caffery dopiero teraz zauważył, że Piechur pilnuje, żeby na brodzie nie zostało jedzenie, i wyciera palce w ubranie. Piechur był brudny od stóp do głów, ale z jakąś dziwną starannością dbał o siebie.

- Nie miałeś tyle szczęścia co ja - odezwał się po długiej przerwie Piechur. - Ja nie mam wyboru, co czyni mnie szczęśliwcem. Ale ty? Ty wciąż masz wybór. A to o wiele trudniejsze. Zwłaszcza teraz, kiedy pojawiła się nowa komplikacja.

Caffery zmarszczył brwi.

- Skąd...

- To bez znaczenia, skąd wiem. Ważny jest wybór i powody, dla których go dokonasz. Popatrz na mnie. - Odstawił talerz i odwrócił się do Caffery'ego, rozpościerając szeroko ramiona. Przy tym ruchu brudna kurtka spadła, odsłaniając poplamiony termoaktywny podkoszulek. - Ty, drogi policjancie, uczysz się osądzać mnie takim, jakim jestem, a nie

takim, za jakiego mnie bierzesz.

- Więc?

- Więc? - Piechur zapiął kurtkę i wziął talerz. - Więc uważaj, by w tej sprawie zastosować te same reguły, inspektorze Caffery. Postaraj się osądzać dopiero wtedy, gdy będziesz miał pełny obraz. To potrwa, ale kiedy poznasz wszystkie elementy, sprawy mogą wyglądać inaczej.

Pełny obraz. Przed oczyma Caffery'ego przesuwały się wspomnienia. Twarz Pchły tamtego dnia, gdy nad kamieniołom przyjechała nowym samochodem: napięte, ściągnięte czoło. Wyraz jej oczu dzisiaj, kiedy wciągała ciało Misty do wody. Jakby ją przepraszała. Jakby nie chciała, żeby tak się stało.

- I jeszcze coś.

Caffery spojrzał na niego.

- Co jeszcze?

- Rzecz, o której nie powinienem akurat tobie przypominać. - Piechur pochylił głowę, gładząc się po wąsie; dłonią ukrywał ironiczny półuśmiech. - Że zanim wydasz sąd o innym człowieku, zawsze powinieneś się obejrzeć. Może na własną przeszłość?

Caffery nie mógł oderwać od niego oczu. Wcale by go nie zaskoczyło, gdyby jakimś sposobem Piechur o tym także wiedział, gdyby znał sekret, który Caffery nosił ze sobą od prawie dziesięciu lat. W Londynie doszło do morderstwa. Zabił człowieka - gołymi rękami.

Pochylił się i przysunął do siebie komórkę, oparł na niej palec. Był tak bardzo zmęczony. Może to prawda, może wybór rzeczywiście jest podstawą ludzkiego szczęścia - i ludzkiego smutku.

- Już czas - powiedział Piechur. - Wiesz, że już czas.

Caffery wziął głęboki wdech i podniósł telefon. Stał, patrząc na pusty wyświetlacz.

- Nie obserwuj mnie, dobra?

Piechur uśmiechnął się, uprzejmie skłonił głowę i gestem dał znać Caffery'emu, żeby oddalił się od ogniska.

Caffery poszedł na szczyt. Zgodnie z zapowiedzią Piechura mgła opadła i Caffery widział zielone lasy, polodowcowe wzgórza, ciągnącą się daleko za Bath dolinę Avon, niewyraźną smugę Białego Konia w Westbury. Bliżej, z Charny Down po drugiej stronie Solisbury Hill, w niebo wznosił się dym. Podobny do dymu z ogniska Piechura, ale ciemniejszy. Czarny i gęsty. Zostawiał na niebie mazy.

Włączył telefon, wybrał numer Powersa i ze wzrokiem utkwionym w czarny dym czekał na połączenie.

- Szefie, obudziłem cię?

- Owszem - odparł Powers cicho. Zakaszłał. - Jack, o co chodziło wcześniej? Przerwałeś rozmowę. Dzwoniłem, ale miałeś wyłączoną komórkę.

Caffery zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy Piechur słucha. Nie słuchał, patrzył w przeciwnym kierunku z uśmiechem na twarzy, jakby już zdecydował, co Caffery zrobi.

- Gdzieś ty był? Technicy wariują. Ludzie z okręgu byli u ciebie w domu, wszyscy cię szukają. Nie odbierasz telefonu, dzwonili do ciebie przez całą noc.

- Wiem, widziałem wiadomości.

- Domyślam się, że byłeś z informatorem. Mam rację?

- Tak. Dowiedział się czegoś.

W słuchawce zapadła cisza.

- To wiarygodne - powiedział Caffery. - Bardzo wiarygodne.

I znów milczenie. Potem Powers sucho powiedział:

- Opowiedz w skrócie. - Gerber. Gerber zabił także Kitson.

- Nie. Kurwa, nie.

Caffery spojrział na dym. Nie wiedział dlaczego, ale ten czarny dym z cudzego ogniska dawał mu pociechę. Jakby świat jednak nie był tak bardzo samotnym miejscem.

- Umówiła się z nim. Użyła fałszywego nazwiska, nie wiemy, jakiego. Może go namówiła, żeby nie rejestrował wizyty. Nie chciała, żeby media się o tym dowiedziały. Ale proponuję, żebyś z samego rana posłał ludzi do domu Gerbera. Jest tam kilka miejsc, które można sprawdzić radarem.

- Masz pewność? Stuprocentową pewność?

Caffery nie od razu odpowiedział. Wiatr porwał czarny dym z odległego wzgórza i wolno przesuwał go po niebie. Kiedy zabił tamtego człowieka w Londynie, miał swoje powody, które wciąż wydawały się dobre i właściwe. Powody Pchły także są jasne, równie zrozumiałe jak jego. Na podwórzu Gerbera nic nie było - nic prócz okazji do kupienia sobie czasu na to, by jak powiedział Piechur, poznać wszystkie elementy obrazu i zdecydować, czy rozwiązać tę sprawę prosto, czy też zostawić Pchłę w spokoju i pozwolić jej na własne błędy i zadośćuczynienia.

- Tak - powiedział spokojnie. Wydało mu się, że ciężar na jego piersi zmałał. - W życiu niczego nie byłem tak pewny.